

Evelyn Anthony

Dom lalek

The Doll

Tłumaczenie

Magdalena Jakóbczyk-Rakowska



1.

Mąż Rosy Bennet był w złym humorze. Poznała to natychmiast, gdy tylko wszedł, powiedział „cześć”, poklepał ją po policzku i nalał sobie drinka. Była zajęta przygotowywaniem obiadu, a poza tym nie było sensu z nim rozmawiać, kiedy miał taki nastrój.

Siedzieli naprzeciwko siebie w jadalni. Spojrzał na nią i powiedział:

- Dobrze. Uwielbiam solę.

Jadł dalej, popijając wino. Przynajmniej raz się nie spóźniła. Sprzątnęła biurko i popędziła do domu, żeby być przed nim. Nie znośił wracać do pustego domu. Niestety, ostatnio często się to zdarzało.

Popatrzyła na niego. Był tym samym mężczyzną, w którym zakochała się sześć lat temu. Przystojnym blondynem o niebieskich oczach. Wysportowanym, inteligentnym, pełnym energii i radości życia. Cudownym kochankiem, hojnym aż do przesady. Byli bardzo szczęśliwi jako kochankowie. I przez pierwsze trzy lata po ślubie. Ale wtedy nie odnosiła jeszcze takich sukcesów; była wciąż u dołu drabinki w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, a on był już ważniakiem z najwyższą pensją w City Investment Bank. Nie stanowiła dla niego konkurencji.

Tak bym chciała z nim porozmawiać, pomyślała. Naprawdę porozmawiać, a nie kłócić się... Gdyby było inaczej, mogłabym mu nawet coś wspomnieć o mojej pracy... Tak się cieszę, a nie mogę się z nim tym podzielić. Z nikim nie mogę się podzielić.

Usłyszała, że zapytał: „Miałaś ciężki dzień, ulepszając świat?” - i wiedziała od razu, że było to powiedziane ironicznie. Zignorowała te słowa; ostatnio często się to zdarzało.

- Bardzo ciężki. A jak twój dzień, kochanie?

- Raczej spokojny - mruknął James. Wyjął ość i położył ją z ostentacyjnym wyrzutem na brzegu talerza. - Cholerna recesja się przedłuża. Poszedłem się napić przed przyjściem do domu, żeby się trochę rozerwać.

Starła się być współczująca.

- Wiem, że ci trudno - powiedziała. - Ale tak jest wszędzie, na całym świecie.

- Ja się martwię tylko o swój świątek - rzekł ostro. - Sprawy ogólnoswiatowe zostawiam tobie. Jest coś jeszcze w tej butelce?

Naląła mu. Na moment ich spojrzenia się spotkały.

- Przepraszam, Rosa - powiedział nagle. - Nie chciałem być taki wredny. To był okropny dzień. Wylali biednego Davida. Nie będzie mu łatwo znaleźć pracy w wieku czterdziestu czterech lat. Większość firm zwalnia pracowników, a nie zatrudnia.

- Przykro mi.

Naprawdę tak było. Znała trochę Davida Hughesa. Był sympatycznym człowiekiem, który miał trzech synów w dobrych prywatnych szkołach, wymagającą żonę i wysokie raty do spłacenia za dom na Brompton Square. Tak jak wszyscy, wzniósł się na fali w okresie koniunktury. Nie miała pojęcia, co teraz zrobi.

- To z nim poszedłeś się napić?

James Bennet skinął głową.

- Tak, urządziliśmy sobie stypę w miejscowej winiarni. Zostawiłem go tam.

Skończył rybę. Odrzuciła włosy z czoła dobrze mu znanym ruchem. Miała je gęste, ciemnobrązowe, a w słońcu nabierały odcienia miedzi. Kiedy się poznali, była śliczną dziewczyną, teraz - śliczną kobietą. Bardziej wyrafinowaną, pewniejszą siebie. Wtedy szalał na jej punkcie. Była zabawną towarzyszką, a w łóżku cudowną kochanką. Dla obojga była w tym jakaś magia. On czuł się dojrzały do małżeństwa i sądził, że ona również. Prawdę mówiąc, nie słuchał uważnie, kiedy usiłowała mu opowiadać o swojej pracy w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Tak, wiedział, musiała ciężko harować... Była już raz służbowo w Vancouver i wyjeżdżała kilka razy do Stanów w ciągu pierwszych miesięcy, odkąd byli razem. Nie miał nic przeciwko temu. On też miał swoją pracę, nie tylko od dziewiątej do piątej. Wszystko wydawało się takie proste. Idealne partnerstwo.

Rosie też się tak wydawało. Teraz, kiedy to się zmieniło, spędzała dużo czasu na rozmyśleniach, usiłując uświadomić sobie, co spowodowało kryzys. Zaczęło się od jej awansu, dwa lata po ślubie. James nie był tym zachwycony, a ona czuła się urażona. Zaczęła mimo to żywo się interesować jego pracą i zasypywała go pochwałami, gdy mu się powiodło. On jednak pozostawał chłodny, kiedy interesująco opowiadała o swojej pracy czy dobrze mówiła o szefie. Z początku Rosa tłumaczyła to sobie męską zawiścią i starała się wyrównać nastrój dodatkową troską o męża. Zrzęczenie i złośliwości zupełnie nie były w stylu Jamesa. Nie mogła zaakceptować faktu, że miał żal o jej niezależność i osiągnięcia zawodowe.

Uważała, że przechodzą tylko trudniejszy okres, który minie. Byli tak dobrze dobrani, tacy szczęśliwi. Mieli piękny dom, dużo pieniędzy, szeroki krąg interesujących znajomych. Byli modelową parą. Kiedy przyjaciółka jej mamy tak ich określiła, Rosa się śmiała. Jedyne, czego im trzeba, powtarzała przyjaciółka, to dziecka. Matka Rosy wtórowała. Słodkie

maleństwo, chłopiec lub dziewczynka, to cudowne. Jak dobrze byłoby zostać babcią.

Nikt nie słuchał Rosy, kiedy usiłowała protestować, twierdząc, że ma dopiero dwadzieścia sześć lat i dużo czasu przed sobą, i nikt też nie wiedział, że James koniecznie pragnął mieć dzieci, odkąd awansował na osobistego asystenta szefa wydziału. Usiłowała mu to wyperswadować, prosić o pewną zwłokę, ale nie chciał zrozumieć, że ona też ma prawo do swojej pracy i kilku lat niezależności.

Wtedy rysa się pogłębiła i wreszcie stała się przepaścią, nad którą trudno było przetrząść most. James zarzucił jej kiedyś, że jest samolubna i niedojrzała, nie chcąc w pełni realizować powinności kobiety zamężnej. Ona odparowała podobnym zarzutem: jest egoistą, męskim szowinistą i zrobił się... zazdrosny. Słowo zostało wypowiedziane. Choć pogodzili się potem, coś się między nimi zmieniło od tego czasu. Kiedy miała dodatkową pracę albo zostawała dłużej w biurze, miał pretensje i często pił za dużo, a później bywał nieprzyjemny i agresywny.

Czuł się jednak nieszczęśliwy, ponieważ ją kochał, i Rosa wiedziała o tym. Chciał ją mieć dla siebie, bez żadnych wyjątków. Bywały chwile, kiedy już prawie się poddawała i chciała zrezygnować z pracy. Wydawało się to jedynym sposobem, aby znów się zbliżyli do siebie. Jednak w istotnych momentach wycofywała się. Rosa uważała, że wymagania Jamesa są niesprawiedliwe, jego zawiść wobec jej sukcesów nieuzasadniona. Gdyby skapitulowała, nigdy by mu nie wybaczyła i straciłaby szacunek dla siebie. A cięża byłaby nieszczęściem, gdyby ona, Rosa, została do niej zmuszona. Próbowала mu to kiedyś wyjaśnić, ale James wydawał się urażony i oświadczył, że gdyby go kochała, pragnęłaby urodzić jego dziecko. Zdała sobie sprawę z tego, że tak naprawdę on chce innej kobiety o innych poglądach na małżeństwo. Być może żadne z nich nie znało naprawdę drugiego, nim podjęli tę poważną decyzję. Ale podjęli ją i Rosa była przekonana, że jak wszystko, co ma znaczenie, małżeństwo też wymaga wysiłku. Czas i zdecydowane postępowanie pomogą w końcu pokonać wszelkie trudności. Wciąż zresztą kochała Jamesa. Była tego pewna. Nie rozmawiała z nim już o swej pracy, a on sam rzadko o nią pytał. Czasem tylko atakował Ministerstwo Spraw Zagranicznych za niekompetencję, poruszając jakieś ogólniejsze tematy. Na pozór żyli razem, ale napięcie między nimi rosło, kiedy byli sami.

Teraz James obserwował ją. Zjadła niewiele, była blada i przygaszona. Czuł się winny i bardzo go to irytowało. Wiedział, że ona się nie podda. Próbowала różnych sposobów: gotowała to, co najbardziej lubił, zносиła cierpliwie jego humory, kiedy pragnął, żeby straciła opanowanie i nakrzyczała na niego. Ona wciąż walczyła, choć on już zrezygnował.

Odsunął talerz. Wstała i zaczęła sprzątać ze stołu. Siedział dalej, nie próbując jej

pomóc. Był wściekły. Jeżeli jest zmęczona, to z własnej winy. Nie musi pracować. On postąpił znacznie sprytniej niż jego nieszczęsny kolega. Zarabiał dużo pieniędzy, ale nie wydawał ich. I był w swojej pracy naprawdę dobry. Nie czeka go na razie stypa w winiarni. Mogliby być z Rosą tacy szczęśliwi. Były to bolesne rozmyślenia, więc je przerwał.

- Chcesz kawy? - zawołała żona.

Nie zjadł sałatki owocowej, którą przygotowała na deser, i nie chciał też kawy. Chciał się napić.

- Nie, dziękuję. Nie możesz zostawić tych naczyń do rana? Vicky jutro nie przychodzi?

Starał się znaleźć dziurę w całym. Dlaczego nie może usiąść tu, przy nim, kiedy on popija whisky, zamiast kręcić się po kuchni, skoro ma posługaczkę? Ostatnio wciąż krytykował Rosę. Często prosto w oczy. Czasami wybuchała i odgryzała się, a wtedy było mu łatwiej.

Włączył telewizor i opadł na fotel, trzymając w ręce dużą whisky z wodą sodową. Przyszła Rosa i usiadła obok.

- Chciałabym obejrzeć ten program o Węgrzech w ITV. Mogę?

Zrobił kwaśną minę. Whisky zaczynała mu uderzać do głowy, bo mało zjadł.

- Nie możesz tej swojej cholерnej roboty zostawiać w biurze, kochanie?

Rosa powstrzymała wybuch, chociaż miała już dość ciągłego wtykania szpilek.

Powiedziała urażonym tonem:

- Myślałam, że ciebie też to zainteresuje. Ale widocznie wolisz oglądać te bzdurne komedie!

Zmienił kanał.

- Gównu mnie obchodzi Węgrzy, Rumuni i cała reszta! Komuniści nie byli tacy głupi.

- Cieszę się, że tak uważasz. - Nie miała zamiaru dłużej się powstrzymywać. -

Dlaczego jesteś w takim okropnym humorze, James? Chyba nie tylko dlatego, że wyrzucili Davida?

- Biedaczysko - mruknął. - Powiedział, że będzie musiał odebrać chłopców z Harrow. Poradziłem mu sprzedać dom i uregulować długi. Dzieci nie mogą na tym wszystkim ucierpieć. Powiedziałem mu: „To twój najważniejszy obowiązek”.

Opróżnił szklankę. Rosa miała nadzieję, że jej ponownie nie napelni.

- Są inne dobre szkoły - zauważyła. - On sam nie skończył Harrow i nie musi posyłać tam swoich synów. To chyba rozsądni chłopcy i na pewno zrozumieją sytuację.

- Jeżeli chcesz to oglądać, przestańmy gadać. Nie rozumiesz jak się czuje David? No

tak, nie masz dzieci.

- Wygląda na to - Rosa wstała - że to całe szczęście. Idę spać, James. Ty możesz się upijać i tracić czas na kłótnie, kiedy wracasz z banku, ale ja ciężko pracowałam i śpieszyłam się, żeby zdążyć do domu na czas. Teraz jestem zmęczona.

Wyszła, z trudem powstrzymując się od trzaśnięcia drzwiami. Był w fatalnym nastroju. „*Nie masz dzieci*”. To była broń, której często używał. W drodze na górę złość jej mijała. Ale on nie pójdzie za nią, żeby ją przeprosić. Ona nie będzie czekała, nie wyciągnie rąk i nie powie: „Nie walczmy ze sobą, kochanie. Chodź tu”.

Rozebrała się i przez parę minut przyglądała się sobie w łazienkowym lustrze. Sińce pod oczami, grymas wokół ust. Czowała się nieszczęśliwa. On też. Nie był z natury złośliwcem. James Bennet, w którym się zakochała, był serdeczny. Teraz się nią rozczarował. Pragnął od niej tego, czego nie mogła mu dać, ale od początku go przecież ostrzegła.

Kochała swoją pracę. Chciała odnieść sukces. Nie zamierzała jej rzucić, urodzić dzieci i siedzieć z nimi w domu. A jeśli James sprzeciwia się jej karierze w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, cóż dopiero powiedziałby na nowe stanowisko, które jej zaproponowano i które dziś po południu przyjęła! Przeniosła się z dyplomacji do wywiadu. Przypomniała sobie długą rozmowę kwalifikacyjną i obraz nieszczęśliwej kobiety z lustra rozmył się. Słyszała teraz głos Hugh Chapmana, przekonującego ją:

- Rosa, masz wyjątkowy talent. Dlatego cię chcemy. A tobie przyda się nowe doświadczenie. Wzrosną twoje szanse na przyszłą karierę, kiedy wrócisz do normalnej pracy. Gwarantuję. Stanowisko w Brukseli należy do najważniejszych.

Drugi sekretarz ambasady brytyjskiej. Oczy i uszy w sercu Wspólnoty Europejskiej. Poważny dyplomata, nie wzbudzający najmniejszych podejrzeń. Sir Hugh wychwalał ją przed emerytowanym marszałkiem lotnictwa, szefem sekcji C.

Nie wahała się długo. Chodziło najwyżej o dwa lata. Weekendy będzie mogła spędzać z Jamesem. Może dobrze by im to zrobiło, gdyby w ciągu tygodnia byli osobno. Wiele osób tak żyło: żona na wsi, a mąż w londyńskim mieszkaniu; przyjeżdżał do domu w piątki. Bruksela... to tylko kilka godzin pociągiem. Taka okazja, taka szansa. Gdyby było między nimi dobrze, zaświtała jej myśl, może nie chciałabym wyjeżdżać. Ale nawet gdybym odmówiła, James nie byłby zadowolony. Chce całkowitego podporządkowania.

Poszła po południu do Champana i powiedziała, że zdecydowała się przenieść do sekcji C. I już. Przez jakiś czas może jeszcze nic nie mówić Jamesowi. Musi ukończyć podstawowy kurs dla pracowników wywiadu w Londynie, nim będzie gotowa podjąć pracę. Właściwie nie mogła się już doczekać, kiedy zacznie. Przed nią było ważne wyzwanie, gdyż

Wielka Brytania stanowiła część Wspólnoty, ale miała w Europie więcej wrogów niż przyjaciół. Wiele zależy od tego, żeby wiedzieć, co wrogowie mówią i robią.

- W porę uprzedzony - oświadczył oschle jej nowy szef - to uzbrojony, pani Bennet.

Nie zabrzmiało to nawet banalnie.

Spojrzała znów w lustro i podjęła decyzję. Pogodzi się z mężem po tej głupiej kłótni. Nie miała racji, lekceważąc to, co przydarzyło się jego dobremu koledze. Weszła do łóżka i zapaliła nocną lampkę. Miała rozpuszczone włosy i była naga. Kiedy otworzyły się drzwi, zawołała:

- Czy to mój miś z bolącą główką?

Był to ich intymny żart, do jakiego niegdyś się odwoływali, pragnąc się pogodzić po sprzeczce. Wszedł do sypialni i zobaczył ją, skąpaną w delikatnym świetle. Wyciągnęła do niego ręce, a jej pełne piersi wyraźnie go podnieciły. Powiedziała miękko:

- Chodź, misiu, pogódź się ze mną.

Podszedł i poczuł, jak bardzo jej pragnie. Kochali się tej nocy kilka razy i zasnęli przytuleni, jakby terażniejszość stała się przeszłością.

I każde z nich pomyślało to samo: „Teraz już będzie dobrze. To był tylko zły okres. Od dziś będę się bardziej starać”.

*

- Pomyślałem, że wpadnę się pożegnać, bo właśnie przechodziłem.

- Cieszę się, że pan przyszedł. Szkoda, że nie było pana na obiedzie. Wspaniała uroczystość - powiedział Harry Oakham.

Sir Erie przeprosił już wcześniej, że nadmiar obowiązków nie pozwoli mu na uczestnictwo w pożegnalnym obiedzie w hotelu St Ermin. Dużo alkoholu, przemówień, niektóre nawet dowcipne, w hołdzie dla Harry'ego Oakhama odchodzącego na emeryturę. Wspaniałe pożegnanie.

- Szkoda - powtórzył jeszcze raz sir Erie - że nie mogłem być z wami.

Oakham wydawał się odprężony. Sam też wygłosił przemówienie. Któryś z gości był na tyle przytomny, że je zanotował i przesłał sir Ericowi. Było dowcipne i na szczęście krótkie. Zwykle przy takich okazjach starzy szpiedzy uderzali w płaczący ton. Ale Oakham nie był sentymentalny. Sir Erie Newton był jego przełożonym przez trzynaście lat i znał Harry'ego wystarczająco dobrze. Nie był na przyjęciu, ale uznał, że wypada pożegnać podwładnego osobiście. A więc po południu, ostatniego dnia pracy Oakhama w biurze, przyszedł mu uściskać dłoń.

- Jakies plany na przyszłość? - spytał. Tak naprawdę nie był ciekaw, ale należało

zainteresować się tym z uprzejmości.

- Myślałem, żeby spróbować szczęścia w hotelarstwie - odpowiedział Oakham.

Sir Erie był zdziwiony.

- Naprawdę? To coś zupełnie innego niż twoja dziedzina.

- Taki luźny pomysł, jeszcze nic konkretnego. Na razie się nie śpieszę. Mam dużo czasu.

- Oczywiście. Trzeba się najpierw spokojnie porozglądać, co? I nie zapominaj, Harry, że jeżeli będziesz czegokolwiek potrzebował, jakiegokolwiek pomocy, daj znać. Żona pewnie się cieszy, że nareszcie będzie cię miała w domu?

To był taki tradycyjny żart. W teczce Oakhama znajdowała się informacja, że jego żona lubi skoki w bok i że nie są dobrym małżeństwem, ale Newton mawiał tak do wszystkich żonatych mężczyzn odchodzących na wcześniejszą emeryturę w ostatnich miesiącach i teraz po prostu samo mu się wyrwało. Oakham nawet nie mrugnął.

- Jeśli będę miał szczęście, to tak jej się znudzę, że mnie zostawi. - Roześmiał się, a sir Erie poczuł się nieswojo.

Ale Harry Oakham już taki był. Nigdy z nim nic nie wiadomo. Jednak wydawał się ze wszystkiego zadowolony, nie narzekał na wysokość emerytury ani odprawy. Podchodził do sprawy z dystansem, jakby kpiąc z siebie samego, z wywiadu i wszystkich jego pracowników.

- Cóż... - sir Erie wstał. Był niskim, żyłastym mężczyzną i Oakham przewyższał go o głowę. Wyciągnął rękę. - Powodzenia, Harry. Ciesz się życiem. Zasłużyłeś na to.

Oakham otworzył mu drzwi i zamknął je za nim. Jego biurko było puste. Wszystko spakował. Oddał klucze, zwrócił identyfikator.

Obrzydzenie go brało na wspomnienie obiadu pożegnalnego. Słuchał tych bzdur, tych oklasków, których najwięcej zdobyło jego dowcipne przemówienie, pewnie również ze względu na ilość alkoholu, jaką wszyscy zdążyli już wchłonąć. Po dwudziestu ośmiu latach służby - w tym dwadzieścia aktywnej pracy w terenie - Harry Oakham odchodził na emeryturę. Obiad odbył się pierwszego kwietnia, w prima aprilis. Dziękujemy ci, stary, dziękujemy za najlepsze lata życia i te wszystkie chwile, kiedy go omal nie straciłeś. I nie mówmy, ile razy je odebrałeś. O tym najlepiej zapomnieć. Urządziliśmy dla ciebie przyjęcie, kiedy dostałeś kopa, powspominaliśmy, jak to było cudownie, i pomachaliśmy ci na pożegnanie, życząc świetlanej przyszłości.

Harry wyszedł ze swego gabinetu i zamknął drzwi z trzaskiem. Poczekał na windę, aby go zwiozła po raz ostatni. Jakaś młoda kobieta wysiadła na jego piętrze i uśmiechnęła się przelotnie. Nie znał jej. Nie zatrzymał się w holu. Pożegnał się już z personelem

poprzedniego wieczoru w pubie. Zaprosił tam Franka z recepcji, ochroniarza Pata i sprzątaczkę, która robiła porządki w jego gabinecie, odkąd zaczął pracować.

Nie pozostawało mu nic innego do roboty, jak pomachać im po raz ostatni i wyjść na Victoria Street. Poruszał się ze sprawnością człowieka znacznie młodszego niż pięćdziesięciodwulatek. Nie miał prawie siwych włosów, a wzrok i pozostałe zmysły służyły mu z niezmienną ostrością. Ale nie były już potrzebne. Harry Oakham, emerytowany szpieg. „Czasy się zmieniły” - jakże często słyszał ostatnio ten slogan! Ludzie z jego umiejętnościami i doświadczeniem byli teraz anachronizmem. Jego wydział likwidowano, a budynek przejmowało Ministerstwo Obrony. Oficjalnie wydział przestał istnieć po zakończeniu wojny, w 1945 roku. Nieoficjalnie działał znów od 1961. Rozmowę kwalifikacyjną przeprowadzano z Harrym w nędznych biurach przerobionych z magazynów wojska i marynarki. Był jednym z pierwszych zwerbowanych. Ostatnie osiem lat spędził za biurkiem.

Zatrzymał się, aby zapalić papierosa. Kiedyś zimna wojna była dla takich jak on cholernie gorąca. Teraz wszystko się kończyło. Pokój na świecie i kochany Gorbaczow. Stał przy krawężniku, paląc papierosa. Zauważył taksówkę z zapalonym światelkiem i pomachał ręką. Zwolniła, zatrzymała się. Wsiadł. Rozparł się wygodnie na siedzeniu.

- Do klubu artystów przy Dover Street - powiedział.

Kierowca zerknął na niego przez ramię. Miał ponurą twarz.

- Jest tabliczka, żeby nie palić - burknął.

Napis był uprzejmiejszy od kierowcy. Głosił: „Dziękuję za niepalenie”. Harry Oakham wyrzucił papierosa przez okno. Nie zwracać na siebie uwagi. Nie wdawać się w żadne awantury. Nie rzucać się w oczy. Uczono go tego latami. Trudno wypenić stare nawyki. A może to w ogóle niemożliwe, pomyślał.

Odszedł z emeryturą, odprawą w gotówce i świadectwami stwierdzającymi, że ostatnie dwadzieścia osiem lat przepracował jako średniego szczebla urzędnik państwowy. Dostał też spis instytucji zaprzyjaźnionych z wywiadem. Któraś z nich z pewnością zaoferuje mu jakąś pracę, żeby mógł dorobić do emerytury.

Taksówka zatrzymała się przy Dover Street. Zapłacił wyliczonymi pieniędzmi. Taksówkarz podniósł wzrok i spojrzał na niego. Oakham uśmiechnął się.

- Myślałem - powiedział - że napisano też „Dziękuję za niedawanie napiwków”.

Wysiadł z taksówki i zniknął w wejściu, chociaż taksówkarz wciąż jeszcze na niego pomstował. W klubie był dobrze znany, należał do niego od wielu lat. Lubił przyjazną i pogodną atmosferę, jaka tu panowała. Klubowi patronowali wydawcy i plastycy. W salach na górze wisiały zwykle dobre obrazy, a w barze odbywały się ciekawe wystawy. Personel go

znał, ale on nie zaprzyjaźniał się z innymi członkami klubu. Było to dogodne miejsce spotkań z tak zwanymi kontaktami. Nikt nie podejrzewałby, że dwaj profesjonalisci z branży wywiadowczej opracowują akcję podczas obiadu.

Zamówił przy barze whisky z wodą sodową i zabrał ją do dużego salonu recepcyjnego. Przy drzwiach wisiał portret aktorki Evelyn Laye. Harry często spędzał czas, przyglądając mu się. Cóż za piękna kobieta! Przypominała mu Judith. Ale to były dawne czasy. Judith miała takie samo rozmarzone spojrzenie i zdumiewająco błękitne, olbrzymie oczy. Wciąż nie potrafił o niej myśleć bez żalu.

Czyjś głos za nim odezwał się:

- Cześć, Harry.

- Cześć, Jan. Przyniosę ci coś do picia. Szkocką?

- Proszę. Z wodą, bez lodu. Dzięki.

Jan był bardzo punktualny. Jego nazwiska nikt nie był w stanie wymówić, więc wszyscy mówili o nim Jan. I nigdy się nie spóźniał. Zdarzyło mu się to tylko jeden raz. Spóźnił się dziesięć lat, ponieważ siedział w więzieniu w Krakowie. Skazano go na dożywocie, ale zwolniono, kiedy w Polsce zapanowała demokracja. Wrócił do Anglii. Tu był jego dom, Anglia była jedynym krajem, jaki znał. Wrócił, żeby się kurować. Spędził sześć miesięcy w sanatorium, a po leczeniu wypuszczono go ze świadectwem lekarskim, że po wszystkich swoich przejściach jest niezrównoważony psychicznie. Był niegdyś jednym z ludzi Harry'ego. Kiedy wrócił z sanatorium, Harry opłacił mu wyjazd do Szkocji z przyjaciółką. Szkocja kojąco wpływa na duszę. W dolinach nabiera się dystansu do wielu spraw. Widzisz, jaki jesteś mały, a świat olbrzymi, i rozumiesz, że nic nie jest takie znowu ważne.

Kiedy Harry zobaczył zaświadczenie lekarskie Jana, wrzucił je do kosza i znalazł przyjacielowi zajęcie. Krótco potem dziewczyna Jana opuściła go dla faceta pracującego w City i posiadającego ładne mieszkanie. Jan włączył się do pracy przy akcjach charytatywnych na rzecz Polski.

Harry wrócił, niosąc whisky.

- Jak się czujesz?

- Świetnie. I jestem bardzo zajęty. - Jan miał przemiły uśmiech. - Zajęty, choć niewiele robię, ale mi płacą i jakoś leci. Więc dzisiaj był twój ostatni dzień, Harry?

Jana nie zaproszono na obiad, co Oakham odnotował z wściekłością.

- Tak. - Poczęstował Jana papierosem, ale Polak odmówił. Miał zniszczone płuca i musiał bardzo uważać z paleniem. - Oficjalnie jestem emerytem. Mogę wsiąść w pociąg,

wrócić do Woking i siedzieć tam na dupie, dopóki nie dostanę zawału z nudów. Albo wziąć jakąś robotę na pół etatu, którą mi firma łaskawie załatwi. Możesz tam zarobić na papierosy. I robią ci łaskę. Nie, dziękuję.

Nareszcie mógł wylać całą gorycz. Jan znał go dobrze, nawet bardzo dobrze i wiedział, że Harry potrafi być niebezpieczny, kiedy jest zły.

- Więc co masz zamiar robić? - spytał.

Odpowiedź przyjaciela go zdumiała.

- Pozbyć się Peggy.

Jan nigdy nie lubił żony Harry'ego. Widział ją parę razy i uznał, że jest głupia, a poza tym wiedział, że zdradza męża, zresztą on sam dowcipkował na ten temat. Jan powiedział po chwili:

- Chyba rzeczywiście już na to czas. Dziwię się tylko, że tak długo z nią wytrzymałeś.

- Miałem inne sprawy na głowie. Ale dłużej nie chcę z nią żyć, a ona z pewnością nie chce żyć ze mną. - Roześmiał się. - Ucieszy się, kiedy trafi jej się okazja dostać trochę grosza i prysnąć z aktualnym kochasiem. - Uniósł pustą szklankę. - Dokończ i wypijemy jeszcze po jednej, a potem możemy przejść do interesów.

- Jakich interesów? - spytał Jan ciszej.

- Finansowych - odparł Harry Oakham. - Chodzi o duże pieniądze dla nas obu. Długo byliśmy razem, w dobrych i złych czasach, co?

Jan skinął głową, dopił swoją whisky i spojrzał na Oakhama.

- Tak. Dobrze nam się pracowało. Zawsze mogłem na ciebie liczyć, Harry. Nigdy tego nie zapomnę.

- Wzajemnie - rzekł Oakham. - Teraz obaj poszliśmy na zieloną trawkę. Nikomu nic nie zawdzięczamy. Szykowałem się na tę emeryturę, Jan. Nie czekałem z założonymi rękami, aż mi dadzą kopa. Mam propozycję. Porozmawiamy o tym później, przy kolacji.

*

- No i - spytał Harry - co o tym myślisz?

Jan otarł usta serwetką.

- Naprawdę chcesz znać moją opinię?

- Zapropnowałem ci współpracę, więc jak uważasz?

- Myślę, że jesteś szalony - orzekł Jan.

- To znaczy, że sprawa cię nie interesuje - podsumował obojętnie Harry.

- Oczywiście, że mnie interesuje. Lubię szalone pomysły. Dlatego mnie wyrzucili z wydziału. Może nie aż tak szalone, ale wchodzę w to razem z tobą, Harry. Tylko mam jedno

pytanie...

Oakham przez moment czuł podwyższone tętno, kiedy myślał, że Jan odrzuci jego pomysł. Teraz uśmiechnął się zachęcająco.

- Skąd weźmiesz takie pieniądze? - spytał Jan.

Oakham skinął na kelnera.

- Kawę i dwie brandy, proszę. - Pochylił się nad stolikiem. - Mam pieniądze.

Polak popatrzył z niedowierzaniem.

- Mówiłem ci, że nie siedziałem z założonymi rękami. Wystawiłem czujki i dostałem cynk. Dwa tygodnie temu spotkałem się z naszymi bankierami.

- W Anglii? - Jan aż się zachłysnął. - Aż tak ryzykowałeś?

- Żadne ryzyko. Popłynąłem statkiem ze wstrętnymi siostrzeńcami Peggy do Hampton Court. Kontakt czekał na statku. Dzieciaki opychały się lodami, a ja omawiałem warunki. Mamy zagwarantowany kapitał, a oni dostarczą pieniądze, jakich potrzebujemy na początek, kiedy tylko zbiorę ekipę. Nie przekażą forsy, póki nie przedstawimy im ekspertów. Reszta zależy od ciebie. Ile czasu to potrwa?

Jan zmarszczył czoło.

- Żeby się skontaktować, niewiele. Ale zebrać wszystkich w jednym miejscu... Nie wiem, Harry. Trzeba ich będzie przekonywać, że to nie żadna sztuczka.

- Zawsze byłeś dobry w kaptowaniu ludzi - powiedział Oakham. - Zrobisz to. Jeśli namówisz Rilkego, reszta pójdzie za nim.

- Naprawdę w to wierzysz? Wierzysz, że potrafisz to przeprowadzić?

- Wierzę, że my potrafimy - padła odpowiedź. - Są nam to winni, Jan. Oddałeś im dziesięć lat życia, a co oni z tobą zrobili? Wyrzucili cię na śmietnik. Ja zacząłem tę zabawę w wieku dwudziestu czterech lat, zaraz po uniwersytecie. Miałem głowę pełną szczytnych idei ratowania świata przed czerwonymi. I co mi z tego przyszło? Wyleciałem na mordę. Z dziesięć razy prawie mnie załatwili na amen. No i Judith.

- Wiem - powiedział Jan szybko. - Nie mów o tym.

- Są mi cholernie dużo winni - powtórzył Harry. - Ale ja to zainkasuję. Ty też. Dziękuję. - Powiedział coś do kelnera i nalał kawy. - Wiemy, że Rilke jest w Berlinie i wciąż mieszka z matką. Najpierw wybierz się do niego. Kiedy możesz jechać?

- W każdej chwili - odpowiedział Polak. - Ale musisz mnie dofinansować. Organizacje charytatywne nie płacą tak dużo, żeby człowieka było stać na podróżę.

- O gotówkę się nie martw. Mam dosyć, żeby nam starczyło do chwili zorganizowania tej operacji. Otworzę ci jutro rachunek w banku Midland. Gdzie masz najbliższy oddział?

- Przy Gloucester Road - odparł Jan.

Mieszkał w obskurnym pokoiku koło stacji metra. Nigdy nie zaprosił do siebie Harry'ego, bo był na to zbyt dumny.

- Przekażę tam przyzwoitą sumkę. Kup sobie jakieś nowe ubrania, wyglądaj na człowieka zamożnego. Zatrzymaj się w dobrym hotelu i nie skąp, kiedy trzeba będzie Rilkego trochę zmiękczyć. Musi uwierzyć, że mamy poparcie. Jak pomyśli, że to tylko ja sobie wykombinowałem, gotów odmówić.

- Czy mogę wspomnieć coś na temat bankierów? - spytał Jan.

Harry zastanawiał się przez chwilę. Ludzie na wysokim poziomie potrzebują odpowiednio wysoko postawionych partnerów.

- Popiera nas Libia - zaczął. - Kaddafi szasta pieniędzmi jak wariat. Rilke o tym wie. To starczy na początek. Jeszcze na jedną nóżkę?

- Upiję się - zaprotestował Jan.

- To co? Od jutra, przyjacielu, zaczynasz działać.

*

Harry Oakham jechał metrem do stacji Waterloo. Nie znosił metra. Było brudne i nędzne, jak większa część Londynu. A poza tym niebezpieczne. Siedząc w wagonie, rozmyślał, jakby to było zabawnie, gdyby ktoś go spróbował napaść. Dałby mu wtedy popalić. Nie był pijany, ale wszystko w nim kipiało.

Jak zwykle, doskonale wymierzył czas. Zdążył na ostatni pociąg, wagon był pusty. Cuchnęło stęchlizną, a pod siedzeniem leżały jakieś śmieci i pusta puszka. Wytoczyła się wprost po jego stopy, kiedy pociąg ruszył, więc ze złością zgniół ją obcasem.

Dwadzieścia osiem lat. Zaczynał jako idealista. Nie zdążył na wojnę, ale trafił akurat na następny etap konfliktu ze straszliwym wrogiem. Sowieckim komunizmem, rosnącym w siłę i wzmocnianym słabością zachodnich przywódców. Była to tyrania równie okrutna i sprzeczna z podstawowymi wartościami ludzkimi, jak nazizm. Harry widział siebie jako żołnierza i wykonywał swoje zadania z oddaniem żołnierza. Kochał niebezpieczeństwo i ryzyko walki w terenie. Wiedział, co to strach, bo tylko głupcy twierdzą, że się nie boją - dlatego krótko żyją. W nim strach wywoływał podniecenie i mobilizował jego wrodzoną odwagę i szybkość reakcji. Nienawidził wroga, ale kochał przyjaciół, takich jak Jan. Myśl o Janie, cierpiącym w piekielnej celi w Krakowie, dręczyła go nieustannie, ale nie mógł nic zrobić, żeby mu pomóc.

W ciągu lat służby stracił wiele koleżanek i kolegów; nie wszystkich lubił, ale wszystkich szanował. To zawsze było dla Harry'ego najtrudniejsze, ale przetrzymywał jakoś

chwile załamania i zgłaszał się do następnej niebezpiecznej misji ze zdwojonym zapalem. A potem stracił Judith i świat stał się ciemny i ponury. Portret ślicznej aktorki w klubie znów przywołał falę wspomnień. Kiedy siedział tam z Janem, wydawała się tak blisko. Jej duch będzie go nawiedzał, dopóki i on nie umrze. Szukał ukojenia w pracy. Na własne życzenie otrzymywał zadania o najwyższym stopniu ryzyka i wydawał się niezniszczalny. Przeprowadzał na polecenie swych przełożonych najokrutniejsze akcje bez cienia wątpliwości czy skrupułów. Wierzył w sprawę, bo tylko to mu pozostało. A później zaczął się upadek. Kompromisy, uniki, politycy o lepkich rękach, manipulujący ludźmi dla własnych celów. Harry obserwował z niedowierzaniem, jak on i inni, pracujący z nim w służbach wywiadowczych, stają się źle widziani jako relikty epoki, która szczęśliwie minęła.

Biurokraci w Ministerstwie Skarbu zaczęli zmniejszać koszty. Wiedział o dwóch agentach z Bukaresztu, których poświęcono z powodu braku funduszy, a potrzebna była solidna łapówka. Później zwolnienia czy emerytury, jak woleli je nazywać, następowały w takim tempie, że odbijało się to na skuteczności działania. Czasami Harry myślał, że stosowano świadomie politykę zmierzającą do zamknięcia sekcji. Niezależnie od tego, kogo się skrzywdzi. Złość wzbierała w nim jak wrzód i gnębiła go bezsilna wściekłość.

Sposób, w jaki potraktowali Jana, był typowy. Pożalują tego. Przysięgł sobie, że mu to wynagrodzi, i dotrzyma słowa. Teraz, tak jak przyjaciel, znalazł się na śmietniku, a oni sądzili, że jako dobry urzędnik państwowy przyjmie to z godnością i będzie spokojnie żył w świecie, w którym nie żył nigdy przedtem. Odłożył nóż i pistolet, a dla rozrywki zapisze się do miejscowego klubu golfowego. Zajmie czymś ręce.

Popatrzył teraz na nie. Były zaciśnięte. Uspokoił się, rozprostował palce. Silne, ale subtelne. Na małym widniał sygnet z wygrawerowanym herbem.

Oakhamowie z Dedham w hrabstwie Suffolk. Od pokoleń w wojsku, Kościele, wśród ziemiaństwa. Na jego rękach była krew, ale nie odczuwał wstydu. Nic go nie obchodziło. Pod koniec działalności jego przykrycie zdemaskowano, a on ledwo uciekł przed człowiekiem, którego teraz zamierzał zwerbować. Hermann Rilke, były szef wschodnioniemieckiej bezpieki. Gruba ryba, którą trzeba będzie złowić. Rozbawiła go ta ironia losu. Odegra swoją rolę do końca i nikt nie będzie podejrzewał, że Harry Oakham, były agent w średnim wieku, choć aktywny i lubiący ryzyko, może być w jakikolwiek sposób niebezpieczny.

Pociąg stanął i Harry wysiadł. Było bardzo późno, ale dość jasno. Ruszył w stronę domu szybkim krokiem. Miał kocie oczy i ciemność mu nie przeszkadzała. Za dawnych czasów potrafił przejść wiele kilometrów w nieznanym terenie, orientując się według gwiazd. Skręcił w swoją uliczkę. Była dobrze oświetlona, wysadzana drzewami. Przedwojenne

bliźniacze wille, prawie identyczne, wszystkie miały zadbane ogródki. Otworzył furtkę, wyjął klucz i włożył go do zamka.

Jeżeli się powiedzie, pomyślał, już nigdy nie będę musiał otwierać tych cholernych drzwi. Albo znajdować jej śpiącej w sypialni, zmęczonej uganianiem się za facetami. Guzik mnie to obchodzi!

Rozebrał się i położył do łóżka. Peggy oddychała głęboko. Nie nienawidzę jej, pomyślał, zasypiając. Nienawidzę siebie za to, że miała mi zastąpić Judith. Byłem szalony z rozpaczy. Nie jest to wystarczające usprawiedliwienie, ale jedyne, jakie mam.

*

- Jaki kurs? - spytał James Bennet.

Rosa nie chciała kłamać, ale nie miała wyjścia. Rzuciła lekkim tonem:

- Wszyscy szaleją na temat EWG i nadchodzących zmian. Więc szef postanowił wysłać niektórych z nas na seminarium. To tylko tydzień, kochanie.

Zrobił wielki wysiłek.

- Mógłbym przyjechać na weekend i zatrzymać się w hotelu.

- Och, tak bym chciała - powiedziała szybko. Położyła mu rękę na kolanie. - Bardzo bym się cieszyła, kochanie, wierz mi, ale byłoby to dla ciebie strasznie nudne. Będziemy pracować na okrągło, jest bardzo napięty program. Nie będę miała chwili czasu.

Wzruszył ramionami. Widziała, że jest zły. Uśmiechnęła się zachęcająco.

- Moglibyśmy wyrwać się na kilka dni, kiedy wrócę. Pojechać gdzieś na weekend, jak kiedyś. Pamiętasz ten rozkoszny hotelik w Fordingbridge, gdzie próbowałeś mnie uczyć łowić ryby?

Wiedział, że Rosa próbuje załagodzić sprawę, widział, jak bardzo się stara od tego wieczoru, odkąd usiłowali wskrzesić przeszłość. Usiłował ją za to podziwiać, próbował reagować pozytywnie, ale czuł się jeszcze bardziej winny.

Doskonale pamiętał hotelik w Fordingbridge. Wybuchnęła płaczem, starając się wyjąć haczyk z pyszczka ryby, a on się zaśmiał i uściskał ją za to, że ma takie miękkie serce. Byli naprawdę szczęśliwi, nim stanęła między nimi jej cholerna kariera.

Jechali wzdłuż nadbrzeża Tamizy na kolację z jednym z jego kolegów. Wysoko postawionych kolegów. Zaproszenie miało ogromne znaczenie. Chciano przyjrzeć się jemu i Rosie w związku z jego ewentualnym awansem. Rosa odniosła się entuzjastycznie do całej sprawy, chcąc mu się jak najlepiej przysłużyć. Zwolnili, żeby skrócić, i popatrzyła na niego. Twarz miał zaciętą, bez uśmiechu. Bała mu się powiedzieć, zwłaszcza że moment był nieodpowiedni, ale cóż robić? Siedem dni w Branksome pod ścisłą ochroną; wykłady i zajęcia

praktyczne nie miały bynajmniej dotyczyć przepisów EWG.

Skoncentrowała się więc na przygotowaniach do ważnej kolacji i karierze Jamesa. Pewnie mają zamiar mu zaproponować, aby został wspólnikiem, domyślała się, a on przyznał, że istnieje taka możliwość.

Kupiła nową suknię, nie poszła na obiad, żeby zdążyć do dobrego fryzjera, i miała nadzieję, że mąż będzie zadowolony. Ale on nawet nie powiedział, że ładnie wygląda, kiedy zeszła na dół.

- Zrobmy tak - powtórzyła. - Pojedźmy gdzieś.

- Nie wiem - zastanawiał się głośno James. - To zależy od sytuacji w biurze.

Wjechał w Cheyne Walk i zaparkował samochód. Rosa weszła przed nim po schodach eleganckiego domu w stylu z epoki króla Jerzego. Musiał przyznać, że wygląda bardzo dobrze. Wybrała długą jedwabną suknię, dobrze podkreślającą figurę, a włosy upięła w zgrabny węzeł. Niewiele biżuterii, chociaż dostała od niego kilka efektownych drobiazgów. Nie wypada zaćmić żony przełożonego. Rosa, dyplomatka doskonała, pomyślał ze złością.

- Kiedy się zaczyna ten kurs?

Odwróciła się, sięgając do dzwonka. Boże, pomyślała, może nie będzie pamiętała...

- Siedemnastego. Ma potrwać tylko tydzień. Nie odezwał się. Rozległ się dźwięk dzwonka. Nacisnęła go bardzo mocno, bo była zdenerwowana, i teraz słyszeli ostry odgłos dochodzący z głębi domu.

Drzwi się otwały i Filipińczyk w białej marynarce wprowadził ich do holu. James przedstawił żonę gospodarzom:

- Philip, poznałeś już kiedyś moją żonę.

Uścisnęli sobie ręce i Philip uśmiechnął się do Rosy.

- Oczywiście, była pani na jakiejś biurowej kolacji w zeszłym roku. Moja żona, Joyce.

- Bardzo mi miło. - Rosa miała czarujący uśmiech i gospodyni spodobał się jej uścisk dłoni. Nie znosiła omdlałych rączek.

Przyjęcie było bardzo udane. Do kolacji zasiadło dwanaście osób, a potrawy i wina dobrane były oryginalnie i ze znanstwem. Rosa pochwaliła pięknie ułożone bukiety i okazało się, że dobrze trafiła, ponieważ gospodyni wyznała, że zawsze robi to osobiście. Dom był elegancki, pełen pięknych mebli i cennych obrazów.

James, rozochocony popołudniowym koniackiem, rozglądał się dookoła. Taką właśnie przyszłość planował dla siebie. Zostanie wspólnikiem w swojej firmie, był tego pewien. Będzie wydawał eleganckie przyjęcia dla kolegów z pracy, z piękną żoną u boku. Będą mieli cudowny dom w mieście i posiadłość na wsi, by spędzać w niej weekendy. I

dzieci, żeby stali się prawdziwą rodziną.

On sam był jednak i marzył, żeby dać dzieciom wszystko, czego nie zaznał sam w swoim samotnym dzieciństwie. Szkoła podstawowa w wieku lat siedmiu, szkoła z internatem w wieku lat trzynastu. Rodzice upychali go, gdzie się dało, bo nawet podczas wakacji mieli ciekawsze rzeczy do roboty niż wymyślanie mu rozrywek. Wyrósł na twardziela, który za wszelką cenę chciał się sprawdzić i inaczej ułożyć swoje życie. Kiedy poznał Rosę, nie mógł uwierzyć własnemu szczęściu, że jest wolna. Bystra, piękna, seksowna, kochająca. Wymarzył ją sobie w roli żony i matki i namówił do małżeństwa.

Była czarująca w stosunku do ludzi i żona szefa ją wyróżniała. Rosa nie wzbudzała zazdrości u innych kobiet. Mimo swej urody nie stanowiła zagrożenia i nie interesowały jej flirty. Nic jej nie interesuje, pomyślał z rozdrażnieniem, prócz własnej kariery. Od siedemnastego, na tydzień. Nic jej nie powie, ale dziewiętnastego wypada ich rocznica ślubu. Ona będzie na kursie, zbyt zajęta, aby pamiętać o tym, że pięć lat temu obiecała go kochać i dzielić z nim życie. Kupił jej brylantowe kolczyki. Zamówił pokój w ekskluzywnym wiejskim hoteliku niedaleko Windsoru i chciał jej zrobić niespodziankę, przypominając o tym rano. James zawsze pamiętał o urodzinach i rocznicach. Były dla niego szczególnie ważne, bo bardzo często zapominano o takich datach, kiedy był mały.

- Bardzo miłe przyjęcie - zaczęła Rosa rozmowę w drodze powrotnej. Zbliżała się północ, ulice Londynu były ciche i puste. - Wszystko świetnie zorganizowała.

- Tak - odpowiedział. - Joyce to skarb. Tym razem mu się udało.

- Nie mówiłeś mi, że był już raz żonaty.

- Nie znałem jego poprzedniej żony. Odeszła z kimś, zdaje się. - Powiedział to tonem sugerującym zmianę tematu.

Prowadziła Rosa. On nie chciał ryzykować po wypiciu paru koniaków.

- Dobrze się bawiłeś, James? Wydawałeś się zmęczony, kochanie.

- Przyjemnie było... - Ziewnął i zamilkł.

A więc nie pamięta o rocznicy. Rosa poczuła ulgę. Powiedziała by coś. Później ona mu przypomni i wymyśli coś atrakcyjnego, żeby mu to wynagrodzić. W końcu w drugą rocznicę to on musiał wyjechać do Hongkongu...

- Ja się bawiłam świetnie - powiedziała. - Byli dla nas obojga szalenie mili. Jestem pewna, że wkrótce zaproponują ci współdziałanie. Może byśmy to uczcili? - Odwrócił się i spojrzał na nią. - Nie wpadlibyśmy gdzieś na drinka? Jeszcze nie jest tak późno, dopiero dziesięć po dwunastej. Byłoby przyjemnie.

Uśmiechnęła się z zachętą. A więc nie pamięta ich daty! Spędzi rocznicę ślubu z

kolegami z Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Była tak nieświadoma tego, co robi, że miał ochotę ją uderzyć.

Kiedy się poznali, bywali w szykownym klubie nocnym dwa razy w tygodniu. Pili szampana, tańczyli. Była to ich gra wstępna, nim szli się kochać do jego mieszkania. Ale teraz już nie. Oparł się głębiej i przymknął oczy.

- Przepraszam, Rosa - powiedział - ale mam jutro mnóstwo pracy. Zrobimy to kiedy indziej.

Kiedy wrócili do domu, poszedł na górę bez zwyczajowego kieliszeczka na dobranoc, a kiedy ona się położyła, odwrócił się plecami.

2.

Hermann Rilke wszedł do mieszkania. Różniło się znacznie od tego dużego i wygodnego przy Potsdammer Platz, gdzie mieszkał z matką przez ostatnie piętnaście lat. Tamto służbowe skończyło się wraz z pracą, a emerytura nie starczała na więcej niż skromne, trzypokojowe na drugim piętrze, przy Eser Strasse. Znajdowało się na przedmieściu dawnego Berlina Wschodniego i matka go nie znosiła. Narzekała na centralne ogrzewanie, schody i bezczelność dozorczyń. I - oczywiście - utratę służbowego samochodu. Rilke usiłował to jakoś usprawiedliwiać. Była stara, nie przygotowana do obniżonego standardu życia. On nie miał wygórowanych potrzeb, będąc z natury ascetą. Dbał jednak o matkę i nawet kiedy miała do niego pretensje, wysłuchiwał jej cierpliwie.

Usłyszała otwieranie drzwi i zawołała:

- Hermann?

- Tak, to ja, mamusiu! - odkrzyknął.

Wszedł do saloniku, powiesiwszy przedtem kurtkę w przedpokoju. Był wielkim pedantem. Matka nauczyła go porządku i miał obsesję na tym punkcie. Dawniej robił piekło, kiedy coś na jego biurku przesunięto o centymetr.

Nachylił się i pocałował matkę w policzek. Miała białe włosy i pachniała pudrem i wodą kolońską. Zapach ten był jednym z najwcześniejszych wspomnień jego dzieciństwa.

- Jest list do ciebie - powiedziała. - Tam leży. Przyniósł go posłaniec.

Rilke wziął kopertę i zobaczył, że przy nazwisku widnieje jego dawny stopień służbowy.

- Co to? Od kogo? - Matka zawsze chciała wszystko wiedzieć.

- Nie wiem - odparł. - Otworzę i zobaczę.

- Pewnie nie dostałeś tej pracy?

- Nie - przyznał. - Potrzebowali kogoś młodszego.

Był wykwalifikowanym księgowym, nim zaczął pracować w służbach specjalnych. Czasem żałowała, że w ogóle zmienił zawód.

- Nie wiem, jak sobie poradzimy, jeżeli czegoś nie znajdziesz.

Jej jasnoniebieskie oczy wpatrywały się ze złością w syna. Co z niego za głupiec, żeby dać się wyrzucić z dobrej posady w ministerstwie! Stracili piękne mieszkanie, samochód i

różne przywileje, dzięki którym życie było o tyle wygodniejsze. A teraz nikt go nie chce zatrudnić. Świat tak się zmienił, odkąd Niemcy połączyły się w jeden kraj. I to wcale nie na lepsze, zdaniem pani Hildy. Skończyła się stabilizacja i dyscyplina. Zaczęła się anarchia, a ludzie zupełnie powariowali, robili i gadali, co im się podobało... A jacy bogaci są ci z Zachodu! Dla niej zawsze będą inni. Przecież jej syn był takim oddanym obywatelem Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Nie pasuje do nowego systemu. Tak jej zawsze mówił. Nie potrafił zdradzić swoich ideałów.

Zgadzała się z nim, nie zdając sobie sprawy z konsekwencji. Teraz miała do niego żal. Syn zawsze się o nią troszczył i dbał, ale ona upominała go, jakby nadal był dzieckiem.

- Co jest w tym liście? - domagała się odpowiedzi podniesionym głosem.

Na pojedynczej kartce nie było podpisu, tylko hasło. Jego blada twarz stała się jeszcze bledsza.

- Ktoś chce się ze mną spotkać - wyjaśnił.

- Praca? Dobre pieniądze?

- Nie podają szczegółów - odparł Rilke, nie słuchając jej i starając się zyskać na czasie. Przeczytał list jeszcze raz.

Proszę się ze mną skontaktować w hotelu Prosser, jeśli interesuje Pana spora suma pieniędzy. Numer pokoju 87, między godziną 18.30 a 21 dziś wieczorem. A pod spodem hasło: Wolność. Były powody, dla których je znał. Swoją drogą, tylko Brytyjczycy ze swoim specyficznym poczuciem humoru mogli wymyślić taki kryptonim dla planowanej akcji.

- No, coś tam musi być napisane - upierała się matka.

- Mam wieczorem zadzwonić. - Wyglądała na zdenerwowaną, więc dodał: - Mowa też o dużych pieniądzech.

- Więc weź, cokolwiek by to było - zachęcała. - Nie przeżyję następnej zimy w tym obrzydliwym miejscu. Od stycznia wpadam z jednego przeziębienia w drugie. Chciałabym się napić kawy, Hermann. Byłam zanadto zmęczona, żeby sobie zrobić obiad.

- Nie wolno ci opuszczać posiłków - upomniął z troską. - Wiesz, że ci to szkodzi.

- Więc podaj mi jakieś herbatniki - powiedziała. - I nie zapomnij tam zadzwonić!

Piła kawę i jadła herbatniki czekoladowe, a on tymczasem poszedł zadzwonić z holu, żeby nic nie usłyszała.

Po chwili wrócił i powiedział:

- Wychodzę się z kimś spotkać. Nie potrwa to długo. Wrócę na czas, żeby zrobić kolację, więc się nie martw. Powiem ci, czy mam jakieś dobre wiadomości, jak wrócę.

Wyciągnęła rękę, poklepała go czule po ramieniu i uśmiechnęła się.

- Dobry z ciebie chłopiec, Hermann - powiedziała. - Czas, żeby ci się trochę poszczęściło.

*

Peggy patrzyła na niego, siedząc po przeciwnej stronie kuchennego stołu. Był w domu już od trzech tygodni i nie wiedziała, czy go jeszcze długo zniesie. Postawiła na stole płatki, sok pomarańczowy i grzanki, a on otworzył poranną gazetę. Starła się nie mieć wolnego czasu, udało jej się parę razy urwać i spotkać z przyjacielem, ale wszystko razem było denerwujące, kiedy Harry siedział całymi dniami w domu. Nie robił nic innego, tylko czytał, oglądał telewizję i telefonował. Nic nie mówił o pracy.

Posmarowała sobie grzankę i pomyślała, jaka jest nieszczęśliwa. Dziesięć lat koszmaru. Nie był świadomie okrutny, po prostu traktował ją, jakby była największym błędem, jaki kiedykolwiek popełnił. Teraz rozumiała, że nigdy nie mieli ze sobą nic wspólnego, ale kiedy się poznali, był takim przystojnym mężczyzną o seksownym głosie i ujmującym sposobie bycia.

Miała wielu chłopaków. Pracując w restauracji, łatwo było poznawać facetów. Pozwoliła się Oakhamowi poderwać i zapraszać na randki. Wkrótce potem poszła z nim do łóżka. Była romantyczną dziewczyną, dla której seks zawsze związany był z zakochaniem, choćby na krótko. On był inny. Ubierał się inaczej niż większość znanych jej mężczyzn. Miał pracę w ministerstwie i chociaż nie bardzo wiedziała, co tam robił, musiało to być ważne, bo często wyjeżdżał za granicę. Wzięli cichy ślub w urzędzie, co ją rozczarowało, bo marzyła jej się ceremonia w białej sukni, z druhami i białym rollsem, ale Harry już raz był żonaty i nie miał ochoty na taką pompę. Skończyła grzankę. Przewrócił stronę i gazeta zaszeleściła.

Wszystkie kłopoty wiązały się z pierwszą żoną Harry'ego. Peggy była zazdrosna, bo nie chciał o niej rozmawiać. Twierdził, że to jego sprawa, więc była zła i czuła się odrzucona. Przecież to nie jej wina, że tamta umarła. O tym też nie chciał mówić. Jeżeli wciąż go to obchodziło, to nie mógł kochać jej, uważała. Jęła natrętnie drażnić ten temat. Aż pewnego dnia pokłócili się i posunęła się za daleko. Oakham zaczął nią potrząsać i trząśł tak długo, aż zaczęła krzyczeć. A później powiedział: „Jeżeli jeszcze kiedyś powiesz coś takiego o Judith, to ci skręcę ten cholerny kark”.

Nigdy więcej nie zachował się brutalnie. Po prostu przestał z nią sypiać i wznosił pomiędzy nimi mur. Musiała szukać pociechy gdzie indziej. Potrzebowała jej. Nie umiała żyć w emocjonalnej próżni, gdyż w przeciwieństwie do niego była osobą ciepłą i uczuciową. Z latami przestała już być ostrożna. A on, jeśli wiedział o zdradach, nie zwracał na nie uwagi. Ona nic go nie obchodziła, i to też boleło. Nienawidzę go, pomyślała, naprawdę nienawidzę.

- Wychodzisz dzisiaj? - spytała.

Przez chwilę jeszcze czytał gazetę, ale nagle wyjrzał zza niej.

- Tak, wyjeżdżam na dzień czy dwa. Nie przeszkadza ci to? Będziesz miała czas na brydża.

Zaufana przyjaciółka zapewniała jej alibi, kiedy ona spotykała się z aktualnym wielbicielem. Peggy mówiła wtedy:

- Idę do Madge, bo brakuje im czwartego do brydża.

Kiedyś ją sprawdził, ale Madge oznajmiła radośnie:

- Jesteśmy właśnie w środku robra, Peggy później do ciebie zadzwoni.

A więc wiedział, co robi i że nie jest to gra w karty. Zorientowała się, że przejrzał jej kłamstwa. Zarumieniła się.

- Dlaczego nic nie mówiłeś? Dokąd jedziesz?

Złożył i odsunął gazetę.

- Do Suffolk - odparł. - Słyszałem o jakiejś pracy w tych okolicach.

Teraz różowość na jej twarzy ustąpiła miejsca czerwieni.

- Do Suffolk? Co to za praca? Dlaczego nigdy nic mi nie mówisz? Nie chcę się przemieszczać do żadnego cholernego Suffolk.

- Nie proszę cię o to - zauważył. - Tylko nie zaczynaj awantur, Peggy. Moja kuzynka Liz powiedziała mi o tej pracy i zainteresowałem się tym.

Kuzynka Liz, pomyślała i przypomniała sobie tę snobistyczną krowę w dużym domu, kiedy się poznały. W obecności jego rodziny Peggy czuła się poniżona. Myślała z goryczą, że wciąż porównują ją z pierwszą żoną Harry'ego i zadzierają nosa.

- To miło - powiedziała. - Mniejsza o mnie. Co to za praca? - Wycofała się na pozycje defensywne. Nie chciała pytać, ale sprawa pieniędzy była bardzo ważna. Jego emerytura to kpiny, a nie wiedziała nawet, jaką dostał odprawę.

- W branży hotelarskiej - odparł. - Praca w miejscowym hotelu. Pojadę tam, żeby się rozejrzeć, i zatrzymam się u Liz i Petera. Wiedziałem, że nie będziesz chciała jechać.

- Jechać do twoich zarozumiałych krewnych? O nie, dziękuję bardzo. Co ty wiesz o hotelach? To strata czasu. Jeżeli masz ochotę się wypuścić, dlaczego po prostu tego nie powiesz? W branży hotelarskiej! - przedrzeźniała go, sięgając po dzbanek z kawą.

- Jeżelibyś się na to zdecydował - zignorował jej zaczepki - nie chciałabyś się przeprowadzić?

- Oczywiście że nie - odpowiedziała i zorientowała się, że sam wmanewrował ją w taką odpowiedź. - Dlaczego nie poszukasz sobie czegoś w okolicy? Idź do biura

pośrednictwa, rób coś zamiast siedzieć tu cały dzień. Suffolk, też pomysł!

Odsunęła krzesło. Nie chciała kawy, nie chciała tu dłużej siedzieć, próbując przebić jego pancerz. Nie potrafiła go rozzłościć ani zranić. Stanęła przy stole i zapytała nagle:

- Dlaczego się ze mną ożeniłeś?

Popatrzył na nią i pokręcił głową.

- Naprawdę nie wiem. Słuchaj, wyjeżdżam za dziesięć minut. Może nic z tego nie wyjdzie, więc się nie przejmuj. Dam znać, kiedy wrócę. Nie chcę ci przeszkadzać w twoich planach towarzyskich.

Wyszedł z kuchni.

- Ty gnojku - mruknęła pod nosem i zaczęła sprzątać naczynia po śniadaniu. Jej oczy napelniły się łzami. Kiedy tylko wyjdzie, powiedziała sobie, zadzwonię do Dave'a. Pójdziemy gdzieś coś zjeść i wrócimy tutaj... - Gnojek - szepnęła znowu i wytarła oczy.

Spakował się szybko. Jak często wrzucał do torby parę rzeczy i pędził albo wyjeżdżał, tak jak stał... pod drutami, przez Mur... Teraz podróżuje we własnych sprawach. Wyszedł z domu, nie żegnając się z żoną. Nim ujedzie kawałek, ona już będzie telefonować do kochanka. Dzień był piękny, więc pogwizdywał, jadąc na Heathrow. Bez wątpienia się uda, był tego pewien. Jan dzwonił do niego wczoraj. Wszystko jest gotowe. Na miejsce spotkania wybrał Genewę. Kupił bilet na lot o jedenastej. Na chwilę wrócił myślami do smętnej sceny w kuchni. Jak łatwo Peggy wpadła w pułapkę! Nie przeprowadzi się do Suffolk. Sama tak powiedziała i na pewno nie zmieni zdania, kiedy on przedstawi jej swoje warunki. Będzie hojny. Zostawi żonie mieszkanie i resztę oszczędności. Nie czuł do niej żalu, tylko wielką obojętność, zmieszana z odrobiną poczucia winy, że się w ogóle z nią ożenił. Byłoby jej lepiej z innym mężczyzną. Może by go zdradziła raz czy drugi, bo odznaczała się niezwykle bujnym temperamentem, ale gdyby miała dzieci, starałaby się być dobrą żoną. On nigdy nie chciał dzieci, w tej sprawie był bardzo stanowczy. Zostawić wdowę to przykre, ale sieroty... Dzięki Bogu, jego to nie dotyczy.

*

Mężczyzna skończył się ubierać. Przygładził włosy i odchrząknął, nim odezwał się do leżącej na łóżku kobiety.

- A może jutro? Mam służbowy obiad, ale potem jestem wolny przez dwie godziny. Proszę.

Była bardzo piękna. Przypomina wspaniałe zwierzę, lwicę, pomyślał, patrząc na nagie ciało i burzę gęstych blond włosów. Uśmiechnęła się do niego i powoli uniosła z łóżka. Chciała, żeby ją prosił, błagał. Wiedziała, jak bardzo to lubi.

- Tylko dwie godzinki - nalegał. - Przyniosę ci coś ładnego, coś wyjątkowego. -
Podszedł i chwycił ją za ręce. - Nie każ mi klękać - szepnął. - Nie każ mi się czołgać,
kochanie.

Nagle wpiła paznokcie w jego dłonie. Krzyknął z bólu i puścił ją. To należało do gry.
Spojrzał na ręce i zauważył krew.

- Ty dziwko! - mruknął.

Odwróciła się od niego, wkładając rajstopy, a następnie zarzuciła jedwabny
szlafroczek i wsunęła stopy w pantofle na wysokich obcasach.

- Nie mogę się jutro z tobą zobaczyć, Gustavie, wyjeżdżam na kilka dni.

Usiadła przy toalecie i zaczęła szczotkować włosy. Obserwowała mężczyznę w
lustrze. Nienawidziła go, ale przecież nienawidziła ich wszystkich. Masochistów jak ten,
który musiał być tłamszony i upokarzany, zanim się podniecił, innych, którzy sami lubili być
brutalni, maminsynków z kompleksem sutka płacących za to, żeby ich wziąć na kolana
pieścić, gaworzących jak niemowlęta. Nawet tych normalnych, którzy chcieli tylko
przyzwoitego seksu i którym zależało, żeby ona też była zadowolona. Ale płacili. Płacili duże
pieniądze za Monikę. A Monika płaciła duże pieniądze za ochronę. Nie miała alfonsa. Nie
urodził się jeszcze taki, który mógłby ją wykorzystać. Chodziło o inną ochronę. Przed
tajemniczym kierowcą, który mógłby ją przejechać i uciec, przed zawodowym mordercą,
czyhającym z nożem za rogiem. Coraz więcej pieniędzy i żadnej gwarancji. Klient wysysał
rankę na palcu.

- Krwawi - poskarżył się. - Dlaczego to zrobiłaś?

- Bo mnie nudzisz - powiedziała, nie odwracając się.

- Nie mów tak - błagał, najwyraźniej zadowolony. - Pozwól mi przyjść jutro, proszę.

Wstała. Była bardzo wysoka, wyższa od niego.

- Moje pieniądze - przypomniała. - Jesteś mi winien forszę, Gustav. Nie przyjdiesz
więcej, jeśli nie zapłacisz.

- Mam je tutaj. - Pogrzebał w kieszeni marynarki i wyjął kopertę.

- Gotówka, kochanie. Przelicz.

- Nie będę sobie tym zawracała głowy. - Wzruszyła ramionami i odłożyła kopertę, nie
otwierając jej. - Nie oszukałbyś mnie. Nigdy więcej bym się z tobą nie spotkała, gdyby
brakowało chociaż franka. Dobrze o tym wiesz.

Poprawił krawat i znów zapiął marynarkę.

- Naprawdę wyjeżdżasz?

- Mówiłam ci.

Był zazdrosny. Wiedział, że ma innych klientów, ale wolał nie myśleć o dzieleniu się nią z kimkolwiek. Bywał już u niej ponad rok.

- Jedziesz sama?

Zapięła na szyi ciężki złoty naszyjnik i włożyła kolczyki. Przejrzała się w lustrze.

- Jadę odwiedzić matkę w Grasse - powiedziała. - Do widzenia, kochany Gustavie.

Czas minął.

Otworzyła drzwi i stanęła w nich. Zatrzymała się na chwilę.

- Dwa dni. A więc wracasz w czwartek. Zadzwoń. Widziałem na wystawie u Boucherona piękną broszkę.

- Nie chcę broszki. Wymyśl coś innego. Prawdziwą niespodziankę. Uśmiechnęła się do niego.

- Wymyślę - obiecał i wyszedł. Oczekała, aż wsiądzie do windy, a potem zamknęła drzwi.

Za godzinę przyjdzie następny klient. Ten zawsze najpierw zabierał ją na kolację, a ona wyszukiwała najdroższe lokale. Tour d'Argent, Maxime, czasami Grill Room w hotelu Ritz. Musiała się pokazywać, być widoczna. I wyglądać dokładnie na to, czym była: jedną z najdroższych *poules de luxe* w Paryżu. Marudny Gustav, którego nazwisko kojarzyło się z największym salonem mody przy rue St Honore, był znanym tyranem wśród pracowników i rodziny. Dziś wieczorem będzie jadła kolację z jeszcze bogatszym biznesmenem, będzie udawała, że słucha, jak on mówi o sobie i swoich interesach, a później pojedą do niej do domu i będzie musiała znieść równie nudny seans łożkowy.

Nazajutrz o dziesiątej rano jednak znajdzie się w samolocie do Genewy. Do liściku dołączono bilet lotniczy i nazwę hotelu. Ale nie tych kilka zdań z nęcącą obietnicą dużych pieniędzy skłoniło ją do decyzji wyjazdu. Nie było podpisu, tylko jedno słowo: *Wolność*. Dlatego poleci tym samolotem.

*

Oakham lubił latać. Nie denerwował się, a wyobraźnia nie podsuwała mu nigdy obrazów tego, co mogłoby się wydarzyć na wysokości dziesięciu tysięcy metrów przy prędkości ośmiuset kilometrów na godzinę, gdyby coś nawaliło. Latał wszystkim, począwszy od dwuosobowych samolocików, podskakujących w turbulencjach jak zabawki, na ciężkich samolotach wojskowych, które wypluwały człowieka z tyłu na spadochronie, skończywszy. Najlepszy był Concorde. Leciał nim służbowo, w sprawie, w której czas był najważniejszym czynnikiem - wtedy mógł podróżować w wielkim stylu. Jeden z jego podwładnych tak się bał latania, że wymiotował, nim wsiadł do samolotu. Zginął w Amsterdamie, doprawdy

najgłupszym z miejsc, w którym można dać się zabić. Taki porządny człowiek. Amsterdam był równie niebezpieczny, jak brudny, pełen ludzkich odpadów i szczurów żywiących się nimi. Genewa była piękna. Kochał Szwajcarię, jej czystość, góry, majestatyczne jeziora. Załatwiał wiele spraw w Szwajcarii, kiedy już go przeniesiono do pracy za biurkiem.

Wziął taksówkę do hotelu d'Angleterre, który był elegancki, ale nie przesadnie drogi, polecany przez lepiej płatnych urzędników. Zameldował się pod innym nazwiskiem, takim, jakie figurowało w paszporcie, który miał przy sobie. Przechodząc na emeryturę, nie oddał wszystkiego... Wszedł na trzecie piętro i rozejrzał się po pokoju.

- Bardzo miły - powiedział do boya, który przyniósł jego bagaż, i wręczył mu sowity napiwek. Pokój był wygodny, z ładnym widokiem. Harry wypróbował łóżko. Doskonale. Jan miał przyjechać po południu. Rozpakował się, wykąpał i zszedł na obiad. Tym razem wydawał własne pieniądze. Nie był już nędznym urzędnikiem państwowym, któremu każą się wyliczać z głupich paru groszy. Będzie nareszcie miał pieniądze, żeby móc wydawać, ile chce. Jeśli mu się spodoba, spali je w ognisku. Na pewno wszystko się uda, bo nigdy, prócz jednego razu, niczego nie zawalił. Nie chciał myśleć o Judith, ale nawiedziła jego myśli, nim ją powstrzymał. Jedwabiste blond włosy rozsypywały się na ramionach, a w roześmianych oczach, wpatrujących się w niego, widać było błękit letniego nieba. Tyle się razem naśmiali. Odepchnął ją na cmentarz wspomnień.

O czwartej Jan zapukał do jego pokoju. Harry otworzył mu drzwi.

- Robimy interes - powiedział Polak. Uśmiechnął się do Oakhama. Był bardzo podniecony. - Duży interes. Namówiłem Rilkego, żeby przyjechał ze mną.

- Dobra robota - pochwalił go Oakham, pełen podziwu. To nasz as. Dobra robota.

- Reszta będzie tu jutro rano. Ustaliłem, że spotkamy się o jedenastej. Kazałem im pytać o przedstawiciela D. H. Co., to znaczy o mnie.

- Zarezerwowałem małą salkę konferencyjną, tam też podadzą nam obiad. Hotel zapewnia ekran i wideo. Wszystko wygląda bardzo profesjonalnie, jak w prawdziwym biznesie. Napij się, przyjacielu. Szkoocką? Poproszę, żeby nam przysłali coś specjalnego. Może starą, dwunastoletnią, na dobrym słodzie, co?

- Chętnie - odpowiedział Polak.

Oakham chodził po pokoju, zamawiał napoje, uśmiechał się. Zawsze się tak niespokojnie zachowywał, gdy chciał się na czymś skupić. Jan widywał go w takim stanie przed akcją. Harry przypominał wówczas wielkiego kota, przeczuwającego podniecające polowanie.

- Woda... zwyczajna i bez lodu - mówił Harry przez telefon. Odwrócił się i uśmiechnął

do Jana. - Nie chcemy sobie chyba popsuć smaku, co? A teraz opowiedz mi o Rilke. Jak, do cholery, udało ci się go namówić, żeby z tobą przyjechał?

- Powiedziałem mu, że chcesz z nim pogadać osobno, przed rozmową z innymi. Pochlebiałem mu, jaki jest ważny. Wiesz, jaka z niego prózna świnią. Nie mógł się oprzeć. Myślał, że spotkasz się z nim już dzisiaj wieczorem, i był bardzo niezadowolony, kiedy mu oznajmiłem, że dopiero jutro rano. Zatrzymał się w Alexandre. Obiecałem, że zaproszę go na kolację, a potem pójdziemy do jakiegoś klubu.

- Będzie szukał chłopców - zauważył Harry. - Tylko niech za bardzo nie szaleje, bo musi mieć jutro świeżą głowę.

Jan skrzywił się.

- Nie martw się, dopilnuję tego świntuszka.

- Niektórzy z naszych gejów byli bardzo dobrzy w pracy. Nie miej uprzedzeń. Niech się dobrze zabawi, nie oszczędzaj pieniędzy. Musi być na nie napalony, jak tu przyjdzie.

Kiedy przyniesiono szkocką, napełnił szklaneczki, po czym obaj unieśli je w toaście.

- Za przyszłość!

*

Georg Werner pocałował bliźniaki na dobranoc. Był kochającym i obowiązkowym ojcem i dobrym mężem. Jego żona, Erna, obserwowała go zza drzwi. Miłe chłopaki, pomyślała, i tak lubią, jak tata im poczyta i ułoży ich do snu. Zamknął drzwi i razem zeszli na dół.

- Długo cię nie będzie? - spytała.

- Nie jestem pewien - odpowiedział. - Dwa dni, może mniej. Zależy, jak się to spotkanie potoczy. Zadzwoń do ciebie.

Uśmiechnęła się.

- Dawno już cię nigdzie nie wysyłali. Taka odmiana dobrze ci zrobi. Chyba się nudzisz, wciąż tak siedząc w tym ministerstwie.

Objął ją ramieniem, gdy wchodzili do salonu. Był to duży pokój, jasny i ładnie urządzone, z nowoczesnymi obrazami i włoskimi meblami. Jego żona miała dobry gust. Był dumny z jej wyglądu, prowadzenia domu i wychowywania dzieci. Miała rację. W większym stopniu, niż sądziła. Od dawna nie wysyłano go za granicę. Nie dawano mu nic ważnego do roboty poza obowiązkowym pensum. Nie miał okazji zabłysnąć, nie było mowy o awansie, a nie dobiegł jeszcze pięćdziesiątki. Wszystko się zmieniło. Najlepsze lata życia zmarnował na próżno.

- Przyniosę coś do picia. - Żona podeszła do prostokątnego stolika z blatem z czarnego

szkła, na którym stały butelki. - A może pojechałabym z tobą na lotnisko? Na pewno kierowca mógłby mnie odwieźć z powrotem do miasta.

- Nie jadę służbowym samochodem - wyjaśnił Werner, sącząc wódkę z lodem. - Mówiłem ci, to poufne spotkanie. Zamówiłem taksówkę. Chodź, usiądź przy mnie i opowiedz, co robiłaś.

Chłopcy wyszli wcześniej ze szkoły, bo musiała ich zaprowadzić do dentysty. Albrecht był bardzo dzielny, ale Georg płakał. Na obiad zaprosiła dwie przyjaciółki... Nie słuchał. Wódka mu smakowała i szybko ją wypił. Pomogła mu się uspokoić. Jeszcze mógł się wycofać, jeszcze nie było za późno. Tak dawno nikt się z nim nie kontaktował, że doznał szoku, kiedy przyszła wiadomość. Wydarzyło się coś, o czym musiał zdecydować sam. Bilet lotniczy, adres hotelu i hasło. W jego wypadku brzmiało ono inaczej. Nie „Wolność”.

*

Harry wcześniej udał się do małej salki konferencyjnej. Usiadł przy stole. Wszystko było przygotowane. Ekran, wideo, przy każdym siedzeniu notesy, ołówki, woda mineralna i papierosy. Z boku skromny wazon ze świeżymi kwiatami. To robiło wrażenie. Profesjonalnie zaaranżowana sceneria dla najwyższej klasy specjalistów. Było ich pięcioro, wybranych bardzo starannie. Libijski bankier z uznaniem kiwał głową, kiedy Harry wymieniał nazwiska, podczas gdy obrzydliwi siostrzeńcy żony packali się swoimi lodami.

Hermann Rilke. O tego trzeba było zabiegać. Szef wschodnioniemieckiej służby bezpieczeństwa przez ostatnich szesnaście lat. Ekspert kontrwywiadu i spec od przesłuchań. Jego sukcesy budziły podziw wśród aliantów i agentów amerykańskich. Wśród rodaków jego nazwisko wzbudzało postrach. Rilke był zdeklarowanym stalinowcem, zaufanym Honeckera, pupilem Adolpha Gorsta, swego poprzedniego szefa. Zły człowiek, który lubił zadawać ból. Jan nazywał go świnią. Harry wyobrażał sobie, jak Jan się czuł, będąc zmuszony zabawiać Rilkego i akceptować jego perwersyjne zachcianki.

Jego polski przyjaciel był w głębi serca pruderyjny i starej daty. Oakham myślał o nim ciepło. Pozostały w Janie wpływy surowego katolickiego wychowania. Co za diabelna religia! Nigdy nie można się z niej do końca wyzwolić... Na niego osobiście niezbyt natrętny rodzimy anglikanizm nie miał zupełnie wpływu. Guzik Harry'ego obchodziło prywatne życie Rilkego. Interesowały go tylko jego umiejętności i czas.

Wasilij Zarubin. Błyskotliwy młody taktik, nauczyciel przyszłych kadr KGB, który przeprowadzał egzaminy końcowe. Był zaledwie po trzydziestce, jednak sercem trwał przy radzieckich ludziach z żelaza z dawnych czasów. Jego ojciec był lojalnym zwolennikiem tego starego tyrauna Breżniewa. Gdy przeszedł na emeryturę, syn przejął jego obowiązki i stał się

jeszcze lepszy od niego. Dla rozrywki grywał w szachy na poziomie mistrzowskim.

Georg Werner, przystojny, towarzyski, wyrobiony zachodnioniemiecki dyplomata. Był komunistyczną wtyczką w Ministerstwie Spraw Zagranicznych przez ostatnie dwadzieścia lat.

Następny był Izraelczyk, Daniel Ishbav. Oakham wahał się co do niego. Daniel pracował w Mossadzie jako specjalista od kidnapingu. Od Syryjczyków brał pieniądze na finansowanie swojej namiętności do kobiet i hazardu. Pracował na dwie strony, zdradzał jednych i drugich, żeby wyjść na swoje, aż w końcu pewien schwyty agent syryjski przekonał Mossad do sprawdzenia swoich szeregów. Daniel zdołał umknąć, nim się do niego dobrali. Przez dwa lata ukrywał się w Iraku, a teraz, kiedy i Irak przestał być bezpieczny, przedostał się przez Turcję do Anglii. Pieniądze mu się kończyły, a Harry wiedział o nim, bo Londyn miał Daniela na oku. Nie chciano, aby swoje specjalistyczne usługi zaoferował IRA.

Następną osobą, uśmiechnął się do siebie Oakham, była jedyna dama wśród tej międzynarodowej bandy. Monika Van Heflin. Piękne nazwisko dla naprawdę pięknej kobiety. Nazywano ją Wenus Trucicielka i tak jej się to podobało, że jak wieść głosi, kupiła owadożerną roślinę o tej samej nazwie. Lata sześćdziesiąte przyniosły potężne zawirowania wśród zamożnej klasy średniej w Holandii, Niemczech, Włoszech i Japonii. Dzieci bogatych i szanowanych obywateli stawały się wywrotowcami i mordercami pod płaszczykiem szalonych idei komunistycznych. Czerwone Brygady wciągnęły Monikę do swoich szeregów, gdy miała siedemnaście lat. Piękna blondynka, córka znanego psychiatry, studiowała w Amsterdamie. Specjalizowała się w zabijaniu mężczyzn, z którymi najpierw się przesypiała. Stanowiła postrach wybrańców, mających skądinąd doskonałą ochronę.

Była piękną kobietą. Oakham widywał jej fotografie, lecz nie z ostatnich czasów. Grupy terrorystyczne się rozpadły, ich przywódców wyłapano, uwięziono i wszyscy o nich dawno zapomnieli. Monika w porę się wycofała. Pracowała dla świata przestępczego w Paryżu, jak twierdzili niektórzy - także dla wywiadu francuskiego, wykonywała też dyskretne zadania zlecane przez CIA. Przez ostatnie lata żyła z prostytutkami na najwyższym poziomie, ochraniana przez organizacje, którym niegdyś oddawała usługi. Szeptano jednak, że ochrona już nie potrwa długo.

Umiejętności, narodowość, wiek, poczucie lojalności - wszystko ich różniło. Ale jedno łączyło tych ludzi z Harrym Oakhamem i ze sobą nawzajem; dlatego przyjechali teraz do Genewy, by się z nim spotkać.

Jan przyprowadził Rilkego do sali konferencyjnej wcześniej. Harry przyszedł się z nim przywitać. Znał go tylko z fotografii. I z tego, co pozostało z jego sprawozdań. Rilke był

niewysoki, żyłasty, o głęboko osadzonych ciemnych oczach. Miał wypukłe czoło, jasną skórę ze śladami po młodzieńczym trądziku i cienki wąsik nad wąskimi ustami. Dłoń, którą Harry uściskał, przypominała w dotyku mokrą rybę, co go zdziwiło.

Rilke powiedział doskonałą angielszczyzną, prawie bez akcentu:

- Dzień dobry. Śledziłem pańską karierę z podziwem, panie Oakham. Miło mi pana poznać osobiście.

- Mnie też jest bardzo miło - odparł Harry. - Ja również śledziłem pańską karierę, starając się w niej orientować na bieżąco, ale z miernym sukcesem. Był pan dla nas za dobry.

Jan miał rację. Ten prózny śmierzdel kupił komplement natychmiast.

- Słyszeć to od profesjonalisty na pańskim poziomie to prawdziwa satysfakcja.

- Proszę usiąść - rzekł Harry.

Rilke musiał uczyć się angielskiego w specjalnej szkole językowej w Poczdamie. Oakham nie tracił czasu na dalszą wymianę uprzejmości, bo przeznaczył na rozmowę z Rilke tylko piętnaście minut przed przyjściem innych.

- Jan zaznajomił pana z ogólną ideą. Ciekaw jestem pańskiej opinii.

Rilke nalał sobie szklankę wody. Zrobił to celowo, jego gest był zupełnie zrozumiały. Do niczego się nie zobowiązuje, nie będzie o nic pytał, dopóki nie uzyskam więcej informacji.

- Plekiewski przedstawił jedynie najogólniejsze założenia - powiedział. - Ale były to luźne uwagi, nic konkretnego. Tyle tylko, że się sprawą zainteresowałem. Ale nie wezmę udziału w żadnym spotkaniu, jeśli nie dowiem się czegoś więcej.

Oakham się spodziewał, że Rilke będzie stawiał warunki, ale nie było czasu na długie dywagacje.

- Muszę wziąć pod uwagę własną pozycję - dodał Niemiec.

Harry zmienił taktykę.

- A jakaż to pozycja? - spytał uprzejmie. - Rozumiem, że został pan przeniesiony na szacowną emeryturę. Ale czy naprawdę szacowną? Nie powiedziałbym. Po tylu latach oddanej służby wykopano pana. I nikt się nie pali, żeby pana zatrudnić. Standard pańskiego życia bardzo się obniżył.

Zabolało. Rilke mu poczerwieniały policzki.

- Sam wybrałem emeryturę - burknął. - Nie mogłem pracować w nowym ustroju.

Zdusił papierosa. Jan rzucił ostrzegawcze spojrzenie Harry'emu, który położył rękę na ramieniu Rilkego, gdy ten zaczął odsuwać krzesło.

- Niech pan nie odchodzi, póki się pan nie dowie, co oferuję. Zapewniam, że nie będzie pan żałował.

Rilke popatrzył na niego.

- Nie jestem do niczego zobowiązany ani zmuszony?

- Nie w większym stopniu niż każdy z nas - padła odpowiedź. - Cholera! - rzucił Harry, gdy zadzwonił telefon. - Straciliśmy tylko czas.

Jan podniósł słuchawkę.

- Są na miejscu - powiedział po chwili do Oakhama.

*

W recepcji hotelu d'Angleterre stał przed Georgiem Wernerem jakiś mężczyzna. Gdy Werner usłyszał, że podaje on tę samą nazwę, D. H. Company, cofnął się.

Tamten był od niego młodszy, wysoki i szczupły, w źle skrojonym garniturze. Miał szeroką twarz i czarne oczy, sugerujące wschodnie pochodzenie, prawdopodobnie ormiańskie. Mówił z rosyjskim akcentem. Werner poszedł za nim przez hol i stanął, czekając na windę. Denerwował się. Obciągał marynarkę, jakby źle leżała. Winda zatrzymała się i drzwi się otworzyły. Wysoki Rosjanin wszedł, Werner tuż za nim. Nim drzwi się zamknęły, do windy wbiegła jakaś kobieta i mężczyzna, na którego Werner zwrócił uwagę, bo miał krzykliwy, zielono-żółty krawat. Winda się zamknęła i Werner nacisnął guzik trzeciego piętra. Rozejrzał się po pozostałych pasażerach. Poczł zapach drogich perfum.

Rosjanin powiedział:

- Ja również jadę na trzecie piętro.

Niski mężczyzna w krzykliwym krawacie mruknął:

- Ja też.

Kobieta skinęła głową. Miała piękną twarz i doskonale zrobiony makijaż. Kiedy winda się zatrzymała, cała trójka wysiadła. Georg Werner zawahał się, zerkając w jedną i drugą stronę korytarza. Rosjanin przejął inicjatywę. Miał autorytet.

- D. H. Company, pokój dwadzieścia dwa - powiedział. - To chyba tam, na prawo.

Nie obejrzał się, czy za nim idą. Wiedział, że tak.

*

- Mogę panu powiedzieć, kto do nas dołączy - powiedział Oakham. - Wasilij Zarubin.
- Zauważył, że Niemiec zmrużył oczy na dźwięk tego nazwiska. - Niemiecki dyplomata, który był jednym z waszych uśpionych agentów od czasu, gdy skończył uniwersytet, Georg Werner, podsekretarz stanu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych RFN-u. Poza tym ktoś spoza waszego terenu - Izraelczyk nazwiskiem Ishbav, były szpieg Mossadu, były szpieg syryjski. I kobieta. Chodziło mi o równouprawnienie. - Zaśmiał się.

Drzwi się otworzyły i stanął w nich Jan. Wszyscy przybyli na czas. Punktualność

należała do zawodu. Popatrzyli na niego, potem na Rilkego i na siebie wzajemnie. Georg Werner usztywnił się i zbladł. Ale Jan zamknął już drzwi i facet nie mógł się wycofać tylko dlatego, że stanął twarzą w twarz z Rilke. Ostatnia weszła kobieta. Była wysoka, a kaszmirowy turban podkreślał jeszcze jej wzrost. Gdy zbliżyła się do nich, kosztownie ubrana, owionął ich zapach jej perfum. Jan przedstawił ją Oakhamowi pierwszą.

- To jest Monika - powiedział.

- Cześć. - Harry uściśnął rękę w miękkiej rękawiczce.

W przeciwieństwie do Rilkego kobieta miała silny uścisk. No i piękną twarz, ale wiele było takich kobiet, zwłaszcza wśród tych, które mogły sobie pozwolić na dbanie o siebie. Różniła się od innych tym, że gdy tylko się zbliżyła, wszyscy panowie, poza Rilke, mieli ochotę na seks. Odezwała się przyjemnym, nieco gardłowym głosem z leciutkim obcym akcentem:

- Witam, panie Oakham. Witam, panowie.

Uśmiechnęła się do nich i usiadła na miejscu, które wskazał jej Polak. Harry zajął miejsce u szczytu stołu.

- Nim zaczniemy nasze spotkanie... Czy ktoś chciałby napić się kawy? A może coś mocniejszego?

Nikt niczego nie chciał. Atmosfera była napięta. Rilke zapalił kolejnego papierosa. Zarubin palił rosyjskie, od których dymu Jan kaszłał. Czekali. Werner wziął jeden z ołówków leżących przed nim i stukał nim nerwowo o stół.

Harry Oakham wstał. Nie uśmiechnął się. Powiedział:

- Chciałbym wszystkich serdecznie powitać. Cieszę się, że tu jesteście, i nie będę tracił czasu na opowiadanie bzdur. Wy wiecie, kim ja jestem, i ja wiem, kim wy jesteście. Pracujemy w tym samym interesie. Byliśmy kiedyś po różnych stronach, teraz jesteśmy po tej samej. Najpierw przedstawię swoje zawodowe *curriculum vitae*.

Popatrzył dookoła. Rilke, chłodno patrzący Rosjanin, układny dyplomata, bawiący się ołówkiem, ciemnooki Izraelczyk w krzykliwym krawacie, nie spuszczaający wzroku z Moniki.

- Zostałem zwerbowany prosto z wojska - powiedział Oakham. - Zacząłem pracę w tajnych służbach, kiedy miałem dwadzieścia cztery lata. Przeszedłem szkolenie, które było naprawdę twarde. Ale ja też. Przeprowadziłem wiele akcji sam, kierowałem też innymi, grupowymi. Mieliśmy do wykonania zadania w Berlinie Wschodnim, w Bonn, w Polsce - był tam ze mną Jan - raz czy dwa działałem też w Stanach. Mogę dodać, że bez współpracy naszych amerykańskich sojuszników. Niezbyt wysoko cenię ich dyskrecję. Miałem własne zadania i wykonywałem je. Nikt mnie nie zmuszał, tak jak nikt nie zmuszał was. Wybraliśmy

sobie taki zawód. Znaliliśmy ryzyko. Niektórzy z nas sądzili, że to, co robimy, usprawiedliwia niektóre nasze czyny. Naraziłem życie prawie dwadzieścia lat. Straciłem przyjaciół. Zyskałem wielu wrogów. - Był to żarcik skierowany do słuchających go dawnych przeciwników. - Przez ostatnie osiem lat siedziałem za biurkiem. Nie podejmowałem już osobistego ryzyka, ale musiałem na nie narażać innych. Bywało to niekiedy trudniejsze. Ale taka była moja praca, więc ją wykonywałem. Z pewnością każdy z was odczuwał to samo. Nie wszyscy z tu obecnych brali bezpośrednio udział w akcjach. Daniel na przykład brał. - Zwrócił się do Izraelczyka. - Organizowałeś porwania dla Mossadu. Wszyscy wiedzą, co OWP robiła z izraelskim agentem, jeśli go złapała. Synowie Allaha ćwiartowali go jeszcze za życia. A Monika (uśmiechnęła się do niego, gdy na nią popatrzył) była idealistką. Nie wybrała zbyt szczytnych ideałów, popychały one ludzi do ohydnych czynów. Ale ty w to wierzyłaś, zabijałaś z tego powodu, ryzykowałaś dożywotnie więzienie w jednym z tych zachodniemieckich więzień, gdzie większość więźniarek politycznych kończy samobójstwem. A pan, Herr Werner? - Oakham przerwał na chwilę. Pozostali patrzyli na Holenderkę. Po chwili znów zwrócili na niego uwagę. - Był pan uśpionym agentem sowieckim, odkąd zaczął pan pracę w Ministerstwie Spraw Zagranicznych w Niemczech Zachodnich. Miał pan dobrą pracę, obiecującą przyszłość, ale zdecydował się pan na życie w wiecznym kłamstwie, czekaniu na możliwość przysłużenia się swoim mocodawcom, prawda? Nie był pan człowiekiem czynu, Werner, choć wymaga to specyficznej odwagi, żeby czekać w ukryciu latami, aż człowieka zdemaskują... My oczywiście wszystko o panu wiedzieliśmy. Dostaliśmy informację z naszego źródła w NRD i przekazaliśmy ją do Bonn. Nic panu nie zrobiono, ale złapano by pana natychmiast, gdyby się pan uaktywnił. Nie czuł pan nigdy niczyich oczu na plecach?

Niemiec pokręcił głową. Zamiast się zaczerwienić, zbladł.

- Więc to nas wszystkich, wokół tego stołu, łączy. Jesteśmy profesjonalistami. Ekspertami w różnych dziedzinach. Jan był moim koordynatorem. Teraz nazywają to logistyką. Rilke, pan wzniosł na wyżyny sztukę przesłuchiwania. Osiągnął pan subtelności techniczne, o jakich się nikomu nie śniło. Zarubin, pańska twarz nigdy nie była znana publicznie, ale nie potrzebował pan tego. Grał pan w grę, zwaną wywiadem, jakby to były szachy. Jak przedtem pański ojciec. Odbyliśmy wszyscy długą i wierną służbę, zgodnie ze swoimi umiejętnościami. Jeżeli zdarzyła się jakaś brudna robota, polityczny szwindel, za który przecież nie byliśmy odpowiedzialni, trudny problem do rozwiązania, nasi mocodawcy zwalali go na nas. I robiliśmy, czego od nas wymagano. - Oakham nalał sobie wody do szklanki i wypił. Obserwowali go. Napięcie wzrastało. Czuł jednak także rosnącą sympatię.

Dotknął współczującą ręką drażliwych miejsc. Przeciągnął ich na swoją stronę, dając do zrozumienia, że jest z nimi. Pochylił się w ich kierunku, pozostawiając dłonie na stole. Mówił łagodnym głosem. - Ale czasy się zmieniły, prawda? Będziemy wszyscy wielką, szczęśliwą, europejską rodziną. Teraz obowiązuje hasło: „Kochaj swego sąsiada”, Amerykanie otwierają sieć McDonalda w Moskwie. Informacje się rozchodzi niczym puszki brzoskwiń. Niemcy są jednym narodem, obejmują się czule po pięćdziesięciu latach, jak gdyby Mur Berliński nigdy nie istniał. Zimna wojna się skończyła, blok wschodni to kupa kraików pogrążonych w chaosie, ludzie strzelają do siebie w imię demokracji. Większość z nich nie wie nawet, jak to się pisze! Ale słyszymy, że czeka ich wszystkich świetlana przyszłość. Bardzo miły obrazek. A co to ma wspólnego z nami? - uniósł głos. - Powiem wam, przyjaciele. Nas na tym obrazku nie ma. My należymy do przeszłości. Mamy brudne ręce, a wszyscy pokazują czyste. A więc mój wydział zamknięto. Urządzono mi pożegnalny obiad, odwiedził mnie zastępca dyrektora i dostałem emeryturę. To ja. Po dwudziestu ośmiu latach. A co z tobą, Rilke? Wczesna emerytura? Wykopali cię? Nie chcą, żeby im przypominano takich jak ty. Werner, jesteś spalony, twoja kariera się skończyła. Wyrzucą cię na śmietnik. Jeżeli będą złośliwi, utrudnią ci nawet zdobycie jakiegś przyzwoitej pracy. A będą złośliwi, wierz mi. Pułkownik Zarubin, jesteś człowiekiem napiętowanym. Zbyt twarda linia, zbyt blisko wrogów słynnej głośności. Zamiast w górę, to w dół. Już tak się dzieje, prawda? - zwrócił się do Rosjanina. - Twoje stanowisko zajął ktoś nowy. Wprawdzie o dziesięć lat starszy, ale o liberalnych poglądach. Chce, aby pociągnąć KGB do odpowiedzialności. Wkrótce dołączysz do swego ojca, będziecie siedzieć na ławeczce jak Chruszczow po zdjęciu ze stołka... Daniel, twoje życie nie jest warte trwającego jedną dobę ubezpieczenia. Kumple z Mossadu dostaną cię wkrótce w prezencie. A Monika... - Pokiwał głową. - Twój czas też już minął. Trochę go sobie kupiłaś, pracując dla różnych dziwnych ludzi, ale za dużo o nich wiesz, żebyś była bezpieczna.

Niebieskie oczy kobiety rozblęskły, otuliła się szczelniej kaszmirową chustą.

- Potrafię się o siebie zatroszczyć - powiedziała.

Wzruszył ramionami.

- Skoro tak uważasz... Ale fakt pozostaje faktem, każdy z nas jest skończony. Niektórzy mają przed sobą dość nędzną przyszłość, inni nie mają wcale. Wypuszczono nas na zieloną trawkę. Znacnie to powiedzenie? Tak robimy ze starymi końmi, kiedy się już do niczego nie nadają. W Anglii wyprowadzamy je na łąkę i zostawiamy, żeby tam umarły z nudów. A poza tym nie trzeba ich karmić.

- My wysyłamy swoje do rzeźni i sprzedajemy na mięso - zauważyła Monika.

- To chyba lepsze - rzekł Harry Oakham. - Ja w każdym razie nie jestem gotów do

emerytury. Nikt mnie nie odstawi na zieloną trawkę. Teraz chcę popracować dla siebie. Naszym szefom może nie jesteśmy potrzebni, ale są tacy, którzy chcieliby skorzystać z naszych usług. Mamy wiele do zaoferowania. Wchodzę w interes i proponuję go wam.

Pierwszy odezwał się Rosjanin:

- Założmy, że to prawda, co o nas powiedziałaś. Czego dotyczy ten interes?

- Terroryzmu - odpowiedział lekko Oakham. - Do tego byliśmy trenowani i to wszyscy potrafimy. Tylko tym razem będziemy działać za pieniądze. Duże pieniądze. Możemy wyznaczyć własną cenę, pułkownik. Ja już swoją podałem i została przyjęta. Teraz wasza kolej.

- Ale kto chce płacić? - dopytywał się Rilke. Napił się wody mineralnej i otarł usta jedwabną chusteczką. Był bardzo akuratywny.

- Rozmawiałem z Libijczykami - padła odpowiedź. - Będą finansować operację, łącznie z kosztami przykrycia i tak dalej. Zażądałem czterech milionów funtów i nie zawahali się.

Wśród zebranych nastąpiło lekkie poruszenie. Teraz ich miał.

- Zgodzili się tyle zapłacić? - Daniel znał libijskie układy lepiej od innych. Kaddafi wydawał pieniądze, jakby odkręcał kurek, z którego leciały, ale oczekiwał w zamian usług najwyższej jakości.

- Tak - skinął głową Harry. - Za usługi, jakie możemy zaoferować, to niezbyt wygórowana cena. Przeprowadziłem już pewne negocjacje w waszym imieniu. Po sto tysięcy funtów na indywidualne, numerowane konta w tym czarującym mieście. Jako zaliczka. Później będziemy opłacani, w zależności od efektów, stopnia ryzyka i złożoności zadania. Uważam, że załatwiłem dobry kontrakt.

Wasilij Zarubin roześmiał się. Przedtem nawet się nie uśmiechnął, a teraz się śmiał.

- Ja też tak uważam. Podoba mi się to.

- Rilke? - spytał Harry. Niemiec przygryzł wargę. Ma irytujące odruchy, pomyślał Harry.

- W zasadzie tak, ale musiałbym wiedzieć dokładniej, o co chodzi. Co to za przykrycie, że musi tyle kosztować?

- Zaraz do tego dojdziemy. Werner, co ty o tym sądzisz?

Werner wciąż obracał ołówek w palcach. Spojrzał na Oakhama.

Nagle ołówek pękł z trzaskiem.

- Ależ byłem głupi - wymamrotał Niemiec. - Tyle lat zmarnowanych na nic. Na co się teraz komu przydam?

- Potrzebujemy mózgu, Werner. Mięśnie można wynająć, ale ty wciąż pracujesz w tym interesie i potrafisz zdobyć ważne informacje. Plan jest taki, że co najmniej przez rok będziesz jeszcze pracował. Jeżeli otrzymamy zadanie, a cel znajdzie się na wyższym poziomie, ty będziesz wciąż miał dostęp do ambasad i ministerstw na całym świecie. Mógłbyś nam naszkicować plan. Potrzebujemy cię, wierz mi. Interesuje cię to?

Werner był sfrustrowany, zły i przerażony. Trzeba było obchodzić się z nim delikatnie.

- Tak - odpowiedział. - Interesuje mnie. Masz rację, są mi coś winni. Muszę teraz pomyśleć o sobie.

- Dobrze - zabrzmiała spokojna odpowiedź, okraszona uśmiechem. - Daniel?

Izraelczyk wruszył ramionami. Popatrzył na blondynkę, która zmierzyła go chłodnym wzrokiem i uśmiechnęła się lekko.

- Pod jednym warunkiem - powiedział. - Nie jadę na Bliski Wschód. Poza tym zgadzam się. Co mam do stracenia? Nic, o ile ma pan rację co do tych pieprzonych Brytyjczyków. Przyłączam się do was, panie Oakham.

- Harry - zachęcił go Oakham i uśmiechnął się, podobnie jak do Wenera, uśmiechem z serii: „Witaj w rodzinie”. A Monika?

Z nią mogło być najwięcej kłopotu. W niej jeszcze coś się tliło. Mogła kazać im wszystkim wynosić się do diabła i odmaszerować z zaciśniętą pięścią, symbolem Czerwonych Brygad.

- A co będę musiała robić? - dopytywała się. - Mam pieniądze. Jeżeli będę chciała, sama mogę zarobić tyle, ile wynosi ta zaliczka.

Może niezupełnie, pomyślał Oakham, ale nie miał zamiaru się sprzeczać. Skinął głową i powiedział:

- Nie wątpię, ale musisz być żywa, a bez ochrony masz niewielkie szanse. Jeśli się włączysz, będziesz wykorzystywać swoje znane umiejętności. Wszyscy pamiętamy Juliusa Rittermana.

To przypomnienie było mądrym posunięciem. Monika poczuła się doceniona. Rittermana znaleziono uduszonego we własnym mieszkaniu w Monachium. Przedtem widziano go z wysoką blondynką w eleganckiej restauracji. W usta wepchnięto mu kartkę, na której czerwonym atramentem ktoś nabazgrał: *Śmierć kapitalistycznej świni*. Był prezesem ważnego banku inwestycyjnego w Niemczech Zachodnich.

- To mogłoby być zabawne. - Pokazała w uśmiechu białe zęby. - Nudzę się. Mężczyźni potrafią być bardzo nudni. Może pan na mnie liczyć.

- Jestem zachwycony - rzekł bardzo uprzejmie i skłonił się lekko.

- A teraz, kiedy Jan wszystko uruchomi, pokażę wam przykrycie i wyjaśnię sprawę.

Czy ktoś chce kawy?

Nikt nie chciał. Wszyscy w skupieniu czekali na następny etap. Jan włączył wideo. W pokoju panowała cisza, w której słychać było tylko cichutki warkot urządzenia. Oakham komentował:

- To, co widzicie, znajduje się w gestii agencji nieruchomości, która ma na sprzedaż tę posiadłość w Anglii. - Na ekranie pojawiła się imponująca rezydencja z czerwonej cegły, w stylu Tudorów. Kolejne ujęcia pokazywały stylowo urządzone wnętrza, luksusowy kryty basen. Otoczenie, piękne jezioro. Rilke patrzył spode łba, twarz Zarubina była jak maska, Werner bawił się połamanymi grafitami ołówków. - Chcą za to trzy miliony - ciągnął Oakham.

- Nie rozumiem. Przecież to jest hotel - odezwał się Werner.

- Tu będzie nasza kwatera główna - wyjaśniał Harry beznamiętnie. - Dobrze prosperujący, luksusowy hotel. Czy ktoś pomyślałby, że nasza organizacja znajdzie się w takim miejscu? Jest tam wszystko, czego potrzebujemy. Dodatkowy milion mamy na nieprzewidziane wydatki. Libijczycy chcą mieć urządzenia treningowe dla swoich grup specjalnych. Za ich pośrednictwem wyraziła też zainteresowanie IRA. Są również inni, znacie ich. - Wzruszył ramionami, odrzucając wszelkie wątpliwości. - Będziemy wykonywać i takie usługi, ale naszym głównym zadaniem będzie przeprowadzanie ryzykownych akcji, do których nikt sam nie chce się brać. W tym są pieniądze. Ładne miejsce. Chętnie tam pomieszkać. Będzie nam wygodnie, nie uważacie?

Rilke powiedział cicho:

- Genialne przykrycie. Szalone, ale genialne. Ty to wymyśliłeś?

Oakham skinął głową.

- Tak, znam to miejsce. Urodziłem się w tej okolicy. Cały dowcip mojego pomysłu polega na tym, że interes jest absolutnie legalny. Wszyscy zostaniemy zatrudnieni w administracji hotelu. Szczegóły ustalę później. Będzie nam wypłacać pensje konsorcjum, które zakupiło hotel. Prawdziwe rachunki, opłacone podatki, mucha nie siada. Żadnych kombinacji, do których mógłby się przyczepić urząd skarbowy.

Film na wideo leciał dalej, ukazując cały teren i dom z różnych stron. Jan wyłączył dźwięk. Daniel spytał:

- Nie wiemy nic o hotelach. Co z obsługą?

- Oni zostają - uspokoił go Harry. - To część umowy. Nie martwcie się o szczegóły,

wszystko będzie dopracowane.

- A dokumenty dla nas? Kto się tym zajmie? - chciał wiedzieć Zarubin.

- Wy - powiedział Oakham. - Skorzystajcie ze znanych sobie źródeł, sami najlepiej wiecie, jak zacierać swoje ślady.

Rilke skinął głową, przytakując.

- Trzeba rozbudować bazę treningową, jeśli mamy tam prowadzić kursy - dodał Rosjanin. Trening, zarówno fizyczny, jak umysłowy, był jego specjalnością. - Można urządzić mały poligon. Czy jest na to dosyć miejsca?

- Ponad dwieście akrów - zapewnił go Harry. - Niektóre hotele proponują podczas weekendów gry wojenne. To się zrobiła popularna rozrywka. My też będziemy je prowadzili. Jedne dla gości, drugie naprawdę. Ale podkreślam jeszcze raz: ta działalność jest wtórna. Zgodziłem się na nią, bo mojemu kontaktowi bardzo na niej zależało. Musi być ograniczona i wybiórcza. Jeżeli przeprowadzimy jedną czy dwie poważne akcje, możemy się z tego zupełnie wycofać.

- Wolałbym, wtrącił Daniel. - Podoba mi się wiejski hotel, byłbym w nim znacznie szczęśliwszy niż w nędznym pokoiku w Londynie. Ale nie chciałbym, żeby kręcili się tam ludzie, którzy o nas wiedzą.

Harry uśmiechnął się do niego, ale nie był to przyjacielski uśmiech. Daniel kołysał łodzią, a nie była to pora na sianie wątpliwości.

- Za długo już się ukrywasz - powiedział Oakham - i dlatego zrobiłeś się nerwowy.

Daniel zaczerwienił się.

- Ostrożny - odparł. - Twojej kryjówki nikt nie poszukiwał.

- Do czasu - odparł Oakham. - Teraz na pewno zechcą to zrobić, tylko nie będą wiedzieli, gdzie szukać. Twojej też nie znajdą. Jeżeli umowa ci się nie podoba, możesz się wycofać, ale zdecyduj się od razu!

Izraelczyk nie wahał się. Nie miał wyjścia i ten uśmiechnięty gnojek wiedział o tym. Daniel nienawidził Anglików. Chytry, wyniośli, wciąż mieli w sobie imperialną butę.

- Wchodzę w to. Przecież powiedziałem - oświadczył.

- Dobrze. - Oakham się rozluźnił i promieniał życzliwością.

Daniel nie dał się zmylić. Rozejrzał się po wszystkich. Film się skończył i Jan wyłączył aparat.

- Czy są jakieś pytania? - rzucił Harry.

- Kiedy możemy zacząć działać? - spytał Rilke. Był podniecony i pełen zapału. W jego zimnych oczach pojawił się błysk. Matka znów będzie mogła mieć komfortowe

mieszkanie i żyć w luksusie.

- Za trzy miesiące. Wtedy będę miał wszystko gotowe. Po tym zebraniu wracamy z Janem z powrotem do Anglii. On jako koordynator będzie z wami wszystkimi w kontakcie. Oczekuję, że spotkamy się na miejscu dokładnie za trzy miesiące od dzisiaj. A teraz może byśmy to uczcili. Szampana?

- Czemu nie? - Werner odrzucił resztki ołówków. Uśmiechnął się do Harry'ego. - Ja zostaję, gdzie jestem, i będę wam dostarczał informacji, kiedy zajdzie potrzeba. Jak mnie wyrzucą, będę bogaty. Chętnie za to wypiję!

Przyniesiono i otwarto butelki. Zapanował nastrój podniecenia. Dawni wrogowie znaleźli się po tej samej stronie. Zarubin wypił szybko. Oakham przechylił się i znów mu nalał.

- Za przyszłość - powiedział. - Niedługo staniemy się bogaci i będziemy mieli nadzieję. Nadzieję na jeszcze większe bogactwo. Wznoszę toast w imieniu wszystkich. Za hotel Dom Lalek!

*

Harry Oakham zatrzymał samochód przy pubie na bocznej drodze do Ipswich, w Higham. Spojrzał na szyld. Łabędź. To przywodziło wspomnienia. Łabędzie sunęły majestatycznie po rzece w Dedham, kiedy był chłopcem. Wiejskie dzieci rzucały im kawałki chleba, bojąc się podejść zbyt blisko syczących ze złości stworzeń. Harry karmił je z ręki. Nie bał się ich.

Pub był ponury, z niskim sufitem, który podtrzymywały pomalowane na czarno belki. Pomieszczenie wypełniała znana woń piwa, dymu tytoniowego i lekki zapach smażeniny, dochodzący z zaplecza. Główna sala pełna była miejscowych, jedzących kurczaka z frytkami lub wsuwających obrzydliwą maź, imitującą chili con carne. Harry jadł prawdziwe chili w Meksyku. Zamówił tradycyjny „posiłek wieśniaka”: pajdę świeżego białego chleba, ser cheddar, masło i marynowane cebulki. Odsunął na brzeg talerza przywiedły listek sałaty i skrawek pomidora bez smaku. Piwo natomiast było naprawdę dobre i mocne. Pił je powoli, smakując. Wokół baru skupiła się grupka turystów. Z pewnością są w drodze do jego dawnej wioski, żeby zobaczyć miejsce uwiecznione na płótnach Constable'a. W ciągu ostatnich dziesięciu lat bardzo się tutaj zmieniło. Otwarto mnóstwo sklepów z antykami i herbaciarni, tłoczyły się samochody. Kiedy był chłopcem dorastającym na starej plebanii, panował tu zupełny spokój. Dziadek Harry'ego był pastorem w Dedham; jako młodszy syn w rodzinie zgodnie z tradycją musiał poświęcić się wojsku albo Kościołowi. Harry pamiętał dziadka jak przez mgłę. Był bardzo stary i miał zwyczaj błędzić po całej okolicy o najróżniejszych

porach. Zawsze ktoś uprzejmie odprowadzał go do domu. Ojciec Harry'ego kupił plebanię, kiedy rada kościelna wystawiła ją na sprzedaż tuż przed wojną. Matka, kiedy owdowiała, proponowała Harry'emu, by kupił dom, ale Peggy nie chciała się ruszyć z Woking.

„Nie zagrzebię się za życia na wsi! Co bym tam robiła przez cały dzień?”

*

Słyszał jeszcze jej głos. Judith wychowała się w hrabstwie Devon. Była dziewczyną, która uwielbiała jeździć konno i chodzić na spacer z psami. Kiedy umarła, oddał jej labradora. Nie mógł się nim odpowiednio zająć, a pies potrzebował opieki i czyjeś miłości po stracie pani. Tak, Peggy na pewno nie nadawała się do wiejskiego życia, nie miał zamiaru się z nią spierać. Na tym między innymi polegał jego błąd. Tak więc plebania została sprzedana. Czasy się zmieniły. Teraz zostali tam tylko jego kuzynowie. Podzielili dom na mieszkania i sami zajmowali najwyższe piętro. Nie widział się z nimi od lat. Czasem przychodziła jakaś kartka na Boże Narodzenie, a on odpisywał, jeśli pamiętał. Ta część jego życia skończyła się wraz ze śmiercią Judith. Ona łączyła go z przeszłością.

Pewnego letniego dnia zabrał ją na przykościelny cmentarzyk w Dedham, żeby odwiedzić groby rodzinne. Pokazywał jej, gdzie leżą jego dziadkowie i ojciec, oraz starsze, zniszczone przez czas groby. Był wtedy wyjątkowo upalny sierpień. Judith miała gołe nogi, była opalona, a jej blond włosy wyjaśniały na słońcu i stały się srebrzystozłote. Przypomniawszy sobie, że przytuliła się wtedy do jego ramienia i zadrżała.

- Nienawidzę cmentarzy - powiedziała nagle. - Zimno mi, kochanie. Chodźmy już.

Niedługo potem sama tam spoczęła.

*

Umowa została zawarta. Dokonano wymiany kontraktów i hotel Dom Lalek należał teraz do konsorcjum z siedzibą w Szwajcarii. Niedzielne gazety poświęciły nieco miejsca tej transakcji. Harry nawet się ucieszył z dyskretnej reklamy. Znał ludzi z prowincji na tyle, żeby wiedzieć, iż plotki o nowych właścicielach będą krążyć po okolicy przez jakiś czas, ale wkrótce ucichną. Nikt nie starał się o pozwolenie na zakup terenów golfowych ani o nic, co mogłoby spowodować sprzeciw miejscowej ludności. Wszystko przeprowadzono spokojnie i w najlepszym stylu.

Zaopatrzone w listę współpracowników, Oakham spotkał się pewnego wieczoru z libijskim partnerem na stateczku płynącym Tamizą do Tower. Zobaczywszy nazwiska, Libijczyk niczego nie kwestionował. Miał doświadczonego bankiera, który tak potrafił ukryć zagraniczne depozyty, że nie dało się prześledzić ich drogi. Facet potrafił stworzyć pozory legalności. Suma potrzebna na przeróbki i przystosowanie hotelu do specjalnych zadań miała

trafić do Oakhama poprzez szacowną londyńską firmę finansową, która sądziła, że pracuje dla szwajcarskiego konsorcjum z Bazylei. Oakham był pośrednikiem. Rachunki napływały do firmy i były przez nią regulowane. Ani jeden pens nie trafiał po drodze do niczyjej kieszeni. Tego Harry stanowczo pilnował. Nie można bezkarnie oszukiwać szefa bankiera.

Harry podszedł do baru, by uregulować rachunek. Właściciel spojrzął na niego z pewnym zainteresowaniem, gdyż ten gość nie wyglądał na turystę. W białej jakiej tweedowej marynarce i bawełnianych spodniach mógł być kimkolwiek.

- To wynosi razem dwa pięćdziesiąt, proszę pana. Zwiedza pan okolicę?

Harry uśmiechnął się mimo woli. Ale ciekawscy są ci ludzie z Suffolk! O sobie za to nie chcą mówić. Postanowił jeszcze chwilę udawać.

- Jadę do Domu Lalek. To chyba niedaleko stąd?

- Jakieś piętnaście kilometrów, proszę pana. Słyszałem, że właśnie sprzedano go jakimś obcokrajowcom. Pan na długo?

- Mam nadzieję. - Harry uśmiechnął się i zgarnął resztę. - Jestem nowym szefem. Do widzenia.

Wyjechał na główną szosę do Ipswich; nie było dużego ruchu. Skręcił w boczną drogę. Pachniało świeżą trawą. W oddali widniał napis: „Hotel Dom Lalek”. Kiedy mieszkała tam rodzina Lisle, posiadłość nazywała się Barrington Hall. Zmiana nazwy oznaczała zmianę statusu. Nazwa pochodziła od niezwyklego domku dla lalek.

Do rezydencji prowadziła bukowa aleja. Różowoczerwona budowla w stylu Tudorów połyskiwała w słońcu, na fasadzie rysował się ciemniejszy wzór. Dawno, dawno temu był tu na przyjęciach u dzieci Lisle’ów. Podjechał do zwirowanego placu przed budynkiem i zatrzymał samochód. Podczas pierwszej wizyty stwierdził, że ogrody są zaniedbane, stolarka wymaga odmalowania, a na ścianie południowego skrzydła pojawiła się rysa. Czasy były trudne i hotel tracił dochody. Właściciele bezskutecznie usiłowali go sprzedać od ponad roku. Znaczący spadek ceny nastąpił w odpowiedniej dla Harry’ego Oakhama chwili. Była to okazja. Pułkownik z pałacu na pustyni - Kadafi - zrobił dobry interes, chociaż jego akurat nie interesowały zyski. Teraz ogrody uporządkowano, stolarka połyskiwała świeżą farbą, znikły zewnętrzne oznaki zaniedbania. Harry nie szczędził na to pieniędzy. Taki dom należy odpowiednio traktować. Podobało mu się, że utrzymuje przy życiu takie unikatowe, zanikające zjawisko za pieniądze Kadafiego. Bardzo go to bawiło.

Młody człowiek w niebieskiej liberii portiera zbiegł ze schodów, żeby otworzyć drzwiczki samochodu. Harry wysiadł.

- Zostaje pan, sir?

- Tak. Proszę wnieść moje bagaże, dobrze?

Zdecydowanym krokiem wszedł po kamiennych stopniach do holu, wysokiego i chłodnego, z lekkim zapaszkiem starości. W recepcji siedziała miła dziewczyna, która popatrzyła na niego i uśmiechnęła się. W rogu stały świeże kwiaty. Dziewczyna wstała i powiedziała:

- Dzień dobry panu. Czym mogę służyć?

- Nazywam się Oakham. Kierownik mnie oczekuje. Proszę mu powiedzieć, że jestem i że chciałbym się z nim zobaczyć za jakieś piętnaście minut.

Zarumieniła się.

- Och, tak, przepraszam, jestem tu nowa. Nie mówił, że pan przyjeżdża. Zarezerwowaliśmy dla pana apartament Stuartów. Schodami w górę i pierwszy po prawej. Jest winda, gdyby pan wolał.

Była wciąż zarumieniona. To pełnomocnik nowego właściciela. Dlaczego kierownik jej nie powiedział, jak wygląda?

- Nie, dziękuję, pójdę pieszo - powiedział Oakham.

- Dave - zwróciła się dziewczyna do portiera, który złożył już bagaż w holu. - Zaprowadź pana na górę, dobrze? Ja zaraz zadzwonię i powiem, że pan tu jest, sir.

- Dziękuję. - Harry uśmiechnął się, tak że poczuła się raźniej.

Dawno nie widział, żeby dziewczyna się rumieniła. Spodobało mu się to. Wchodził po szerokich schodach. Pamiętał je dobrze z wizyt w dzieciństwie. Przesunął ręką po gładkiej, wypolerowanej przez wieki drewnianej poręczy. Chłopak szedł przed nim, dźwigając bagaż.

Był tam, na górnym podejściu, obudowany szkłem. Dom dla lalek. Wbudowany w ścianę u szczytu schodów. Harry zatrzymał się, by go obejrzeć. Domek był wystarczająco duży, żeby dziecko mogło bawić się wewnątrz, a wyglądając przez okienka, widzieć, kto idzie po schodach. Znajdował się w tym miejscu od czterystu lat, więc Harry nie miał zamiaru go usuwać. Domek stanowił atrakcję turystyczną. Ciekawe, co napisano na ten temat w przewodniku leżącym w recepcji. Oddzielony szkłem od zanieczyszczeń współczesnego życia, domek dla lalek może trwać równie długo, jak sam dom.

Nie bał się go wówczas, chociaż dzieci przypominały różne strachy z przeszłości. Nie obawiał się domu dla lalek, podobnie jak nie bał się atakujących łabędzi, kiedy podpływały na brzeg rzeki. Zatrzymał się, przymrużył oczy i dotknął szyby. Była ciasno przyśrubowana do ściany. Przesunął lekko palcem, natrafiając na główkę śruby, wkręconej głęboko w szkło i w cegłę pod nim. Zewnętrzna ściana była niewidoczna z dworu, ukryta gdzieś między kominami a załamaniem wysokich dachów. Jeżeli dom dla lalek to coś więcej niż tylko fasada, musi

sięgać w głąb co najmniej półtora metra. Chyba mieści się w bardzo grubej ścianie. Pójdę jutro na dach, postanowił Harry, i przyjrzę się dokładnie. Tylko żeby zaspokoić ciekawość. W końcu tego mnie uczono, żeby niczego nie osądzać według pozorów. Prawie trzydzieści lat miałem do czynienia z sytuacjami, które nie były takie, na jakie wyglądały. Pod szybą znajdowała się tabliczka. Przeczytał i uśmiechnął się. Nie było jej tutaj, kiedy wystawał w tym miejscu, będąc chłopcem, i wyśmiewał się z tchórzostwa innych:

*Ten dom dla lalek został zbudowany dla dzieci Lisle'ów
w 1598 roku. Jest egzemplarzem unikatowym
i prawdopodobnie dziełem miejscowego stolarza.*

Przyśpieszył kroku, widząc, że młody portier czeka na niego u szczytu schodów.

- Tędy, proszę pana, tymi drzwiami.

Otworzył je i Oakham wszedł do szerokiego korytarza. Wszystkie pokoje miały jakieś historyczne nazwy. Apartament Stuartów był najdroższy. Mówiono, że w sypialni spał niegdyś król Jakub I, przebywając z wizytą w tym domu w roku 1610. Niezbyt dobra rekomendacja, pomyślał Harry, wspominając, jak pan od historii opisywał pierwszego Stuarta na tronie: niedowładny władca. Wszyscy chłopcy się śmieli.

Dał młodemu portierowi napiwek i zamknął za nim drzwi. Rozejrzał się. Na stole stały kwiaty, w koszyku ułożono owoce. Bogate zasłony i piękne, antyczne łoże wspaniale harmonizowały. Jakże się różniło to wnętrze od podłych domów noclegowych i wynajętych mieszkańek, w których spędzał tyle niebezpiecznych dni i nocy, kiedy brał aktywny udział w akcjach. W ciągu ostatnich lat, gdy przestawał pracować za biurkiem i wyjeżdżał, mieszkał w hotelach drugiej kategorii i miał ściśle wyliczone diety. Jakiś gnojek sprawdzał jego wydatki aż do ostatniej szklanki piwa. Firma była skąpa dla swych pracowników i teraz to skąpstwo będzie jego byłych pracodawców drogo kosztować.

Wiedział, że kierownik przyjdzie go powitać. On i jego asystentka byli bardzo miłą parą i prowadzili doskonale hotel pierwszej kategorii. Będą się starali go zadowolić. Nie podejrzewają, że przyjechał wyrzucić ich oboje.

Czas wprowadzić lalki do Domu Lalek.

3.

Małżeństwo Rosamund Bennet zakończyło się czwartego lipca. Z okazji święta narodowego ambasador amerykański wydawał prywatne przyjęcie w swej rezydencji w Regent's Park. Rosa spotkała jego i jego żonę już kilka razy i uważała, że oboje są czarujący. Oni sądzili to samo o niej. Przyjechała wcześniej, aby nie znaleźć się zbyt późno z powrotem w domu. Było to imponujące przyjęcie w reprezentacyjnej neogeorgiańskiej rezydencji, którą spadkobierczyni Woolwortha, Barbara Hutton, oddała na rezydencję ambasadora amerykańskiego w Londynie. W dużych, reprezentacyjnych salonach grał zespół amerykańskich marines. Zaanonsowano Rosę, która uściśniła dłonie gospodarzy.

- Miło cię widzieć, Rosa - powitał ją ambasador. Jego żona wypowiedziała jakąś pochlebną uwagę na temat jej sukni i oboje odwrócili się do następnego gościa.

Impreza była bardziej prywatna niż duże, oficjalne przyjęcia przy Grosvenor Square, w siedzibie ambasady. Rosę otoczyły znajome twarze, ludzie, którzy chętnie się z nią spotykali. Była elegancka i urocza, co należało do wyjątków, jeśli idzie o damski personel w Ministerstwie Spraw Zagranicznych.

- Cześć, Rosa! Wypatrywałem cię. Jak leci? - Czyjaś ręka dotknęła lekko jej łokcia.

- Cześć, Dick.

Dick Lucas był stałym gościem w kręgach dyplomatycznych. Pracował jako attache amerykańskiej marynarki, był popularnym i atrakcyjnym kawalerem w wieku mniej więcej trzydziestu pięciu lat. Kiedy się tylko dało, próbował Rosę zagarnąć dla siebie. Jego intencje były zupełnie czytelne, ale ona udawała, że nie wie, o co chodzi. Lubiła go jednak. Był zabawny, a jego upór pochlebiał jej. Nie obrażały go odmowy. Próbował ją udobruchać szampanem i rozśmieszał różnymi ploteczkami.

- Nie - zaprotestowała Rosa. - Więcej nie mogę, Dick. Muszę wrócić samochodem.

- W porządku. Zaprosiłbym cię na kolację, ale wiem, że odmówisz.

Roześmiała się.

- Więc dlaczego wciąż mnie zapraszasz?

- Bo może któregoś dnia będę miał szczęście.

Zawsze przychodziła sama. Zdziwił się, gdy mu powiedziano, że jest mężatką. Mąż pracował w jakimś banku inwestycyjnym. Nikt nie wykazywał specjalnego zainteresowania

jego osobą. Rosamund Bennet była niezwykle bystra i przeznaczona do wielkich rzeczy w ministerstwie. Była protegowaną sir Hugh Chapmana.

Dick Lucas zawsze podziwiał Rosę. Miała styl i klasę. Patrzył, jak z gracją lawiruje wśród tłoczących się ludzi. Bardzo atrakcyjna kobieta, ale samotniczka. Poświęciła się karierze. Szkoda, stwierdził i poszedł szukać towarzystwa na kolację. Na przyjęciu jest mnóstwo ładnych kobiet, które nie odrzucają jego zaproszenia.

Rosa wyszła szybko z rezydencji. Amerykańscy marines dzwonili po służbowe samochody. Ona odnalazła swój i wyjechała z Regent's Park. Cholera, znowu będę tak późno, martwiła się, wyjeżdżając na Marylebone Road. Ruch odbywał się w ślimaczym tempie. Ledwie przejechała parę metrów, znów musiała się zatrzymać. Dopiero po dwudziestu minutach dotarła do Baker Street, a na Park Lane znów wlokła się beznadziejnie. Nim dojedzie na Fulham Road, będzie pewnie dziewiąta. James się wścieknie i znów się pokłóci. Niedobrze jej się zrobiło na samą myśl o tym. Bardzo się między nimi popsulo w ciągu ostatnich dwóch miesięcy, od czasu kiedy nie było jej w domu w rocznicę ślubu. James miał do niej straszne pretensje, kiedy wróciła z kursu w Branksome.

Nie mogła mu powiedzieć, dlaczego ma tyle pracy, dlaczego bywa w biurze w soboty, dlaczego muszą swoje plany dopasowywać do jej napiętego rozkładu zajęć. Nie mogła mu powiedzieć, co naprawdę robi. Raz czy drugi ją kusilo i miała nadzieję, iż gdyby wiedział, że szkolenie związane jest z przeniesieniem do wywiadu, zrozumiałby i pomógł. Nie zaryzykowała jednak. Był zazdrosny, a to zawsze utrudnia racjonalną ocenę. Stojąc teraz w korku, Rosa czuła, że doszli do punktu krytycznego. Bruksela będzie katalizatorem. Nie odważyła się mu powiedzieć, że za dwa tygodnie wyjeżdża. Dłużej już nie może zwlekać. Wybrała się na przyjęcie, ale zamierzała wyjść wcześniej i być na czas w domu. Teraz, gdy sytuacja ekonomiczna się poprawiła, James był bardziej zajęty, więc chciała wrócić przed nim i ułożyć sobie całą rozmowę. Spotkanie Dicka Lucasa w połączeniu z korkami spowodowało, że się spóźniła. Bardzo spóźniła, i to właśnie tego wieczoru.

W końcu dobrnęła do skrzyżowania i skręciła w ładną uliczkę, zabudowaną eleganckimi wiktoriańskimi willami, gdzie mieszkali. W salonie się świeciło. James był w domu. Przejrzała się w lusterku stojącego już samochodu. Była spięta i zdenerwowana. To ją rozżłościło. Dlaczego stał się taki zazdrosny, ciągle zrzedził i traktował jej karierę zawodową jak obrazę własnej godności? Wysiadła, zamknęła samochód i weszła do domu. James siedział przed telewizorem ze szklanką w ręku. Odwrócił się i spojrzał na nią, gdy drzwi się otwarły. Powiedziała szybko:

- Przepraszam, że jestem tak późno. Wyszłam z przyjęcia wcześniej, ale były

koszmarne korki. Zaraz się wezmę do robienia kolacji.

- Daj sobie spokój z kolacją. Nie jestem już głodny. Zrób sobie drinka i siadaj tu, Rosa. Chcę z tobą porozmawiać.

Znała to wrogie spojrzenie. Może zresztą sobie tylko wyobraziła, że jest chłodniejsze niż zwykle.

- Ale proszę, bez kazania. Nie zniosę tego. Nie mam zamiaru się kłócić.

- Ja też nie chcę się kłócić - odpowiedział. - Nic innego nie robimy i ja też już tym rzygam. To nic nie daje. Ja na ciebie naskakuję, ty zaczynasz płakać, a wtedy czuję się jak szmata. Czas z tym skończyć, Rosa. Przyniosę ci coś do picia. Siadaj. Kieliszek wina?

Nie był złośliwy, nie miał zamiaru na nią krzyczeć ani się denerwować. Był chłodny, zły, ale jakiś inny.

- Nie chcę nic - powiedziała. - O co chodzi, James? Coś się stało?

- Tak uważam - odparł. - Coś się stało z nami. Nie idzie nam, prawda?

- Nie - zgodziła się. Czowała się okropnie. - Nie idzie. Ale nie wiem, co zrobić. Chcę tylko, żebyśmy byli tacy szczęśliwi jak kiedyś.

- Gdybyś rzeczywiście tego chciała - ciągnął spokojnie - rzuciłabyś tę swoją cholerną karierę, ustatkowała się i byłabyś nareszcie żoną. Mielibyśmy rodzinę i prowadzili normalne życie.

- Mówiłam ci, że nie chcę jeszcze dzieci - zaprotestowała. - Od początku byłam z tobą uczciwa. Powiedziałeś, że ci to nie przeszkadza.

- Nie spodziewałem się, że to się będzie tak długo ciągnęło. Rok za rokiem mija. Wiem tylko, że to nie jest dla ciebie ważne, Rosa. Twoja praca, ludzie, z którymi pracujesz, wszystko, ale nie ja. Staralem się do tego dopasować, chodziłem na te cholerne dyplomatyczne przyjęcia, na których nikt się do mnie nawet nie odzywał, bo byłem tylko mężem. Nie należałem do paczki. Prawie co wieczór wracam do pustego domu. W zeszłym roku przerwałeś urlop, ponieważ cię odwołali. Wysłuchiwałem cierpliwie wszelkich tłumaczeń i próbowałem się oszukiwać, że będzie lepiej, że chociaż raz mnie i nasze małżeństwo postawisz na pierwszym miejscu. Nigdy tego nie zrobiłaś.

Wstrząsnął szklanką, aż zadzwoniły kostki lodu.

- To nieprawda - usiłowała oponować Rosa. Tak mi wszystko utrudniasz, że czuję się rozdarta na dwoje. Chcesz, żebym przestała pracować. Czy ty rzuciłbyś bank, gdybym cię o to poprosiła?

- Z trudem byśmy wyżyli z twojej pensji, więc nie opowiadaj bzdur.

Skończył pić, odstawił szklankę i powiedział:

- Poznałem kogoś. Chcę się rozwieść.

Wpatrywała się w niego. On unikał jej wzroku. Odsunęła włosy z czoła.

- Nie mówisz tego tylko po to, żeby mnie zranić?

- Uważasz mnie za skończonego gnoja? Nie zrobiłbym tego. To prawda, spotykam się z nią od jakiegoś czasu. Mogę ci zresztą powiedzieć, że jest w ciąży.

- O mój Boże! To rozkoszne. - Wstała i spojrzała na niego. - Naprawdę rozkoszne.

- Tak sądzę - odpowiedział. - Jeśli chcesz wiedzieć, uważam, że to cudowne. I wcale nie oczekuję, że się z nią ożenię, nic podobnego. Urodzi dziecko i zamieszkamy razem, jeśli będziesz robiła trudności. Nie zależy jej na ślubie i mnie też nie. W końcu i tak się kiedyś pobierzemy.

- Musisz mnie naprawdę nienawidzić, żeby mi coś podobnego robić - powiedziała Rosa. - Do czego może człowieka doprowadzić zazdrość!

Poczerwieniał ze złości.

- Nie jestem zazdrosny. Po prostu chcę mieć żonę, a nie cholerną gwiazdę Ministerstwa Spraw Zagranicznych! Nie sądzę, żebyś mi uwierzyła, ale guzik mnie to obchodzi.

- Kim jest ta kobieta? - Rosa nie mogła się powstrzymać od tego pytania.

Ktoś z grona ich przyjaciół, koleżanka Jamesa z banku? Jak mogła być taka ślepa, taka głupia, wypruć sobie flaki, podczas gdy on ją zdradzał, tłumacząc to faktem, że kariera jest dla niej ważniejsza.

- Nie znasz jej - odparł. - Jest dziennikarką, zajmuje się finansami. Przyszła kiedyś robić wywiad dla „Financial Timesa” i zaprosiłem ją na lunch. I tak się to stało, po prostu. Cenią ją w City, ale jest gotowa rzucić pracę.

- Gratuluję. Niedobrze mi.

Łzy spływały jej po policzkach. On nie ruszył się z miejsca. Mówił dalej:

- Zniszczyłaś nasz związek, Rosa. Wszystko nam sprzyjało, ale ty to zniszczyłaś. Więc nie obwiniaj jej. Gdybyśmy byli szczęśliwi, nie spojrzałbym na nią ani na żadną inną kobietę. Spakowałem torbę. Wyprowadzam się dziś wieczorem. Myślę, że lepiej przeciąć od razu ten węzeł, nie uważasz?

- Tak. Na miłość boską, po prostu sobie idź. - Odwróciła się do niego plecami i powiedziała: - Jadę do Brukseli jako drugi sekretarz ambasady. Próbowałam zdobyć się na odwagę i powiedzieć ci o tym już od sześciu tygodni. Teraz ta sprawa nie ma znaczenia. Możesz dostać rozwód. Im szybciej, tym lepiej. Jutro rano zadzwonię do mojego adwokata.

- Dziękuję - usłyszała. - Głupie awantury chyba nie przysłużyłyby się twojej karierze.

Miałem nadzieję, że też dojdiesz do tego wniosku.

Drzwi się zamknęły. Nie poruszyła się. Usłyszała jego kroki w sypialni. Słyszała, jak schodzi ze schodów i zatrzaskuje frontowe drzwi. Uruchamia samochód. Samochód odjeżdża.

W pokoju było bardzo cicho. W całym domu panowała zupełna cisza. Nie mieli żadnych zwierzątek, nawet kota. Niezależne, pracujące małżeństwo, bez zobowiązań. Nagle przestało być cicho. Słysząc było każde skrzypnięcie drewna, każdy szum w rurach. Zauważyła, że drży. Wieczorami włączało się centralne ogrzewanie. Lubili oboje ciepło w domu. Było jej potwornie zimno. Weszła do kuchni połyskującej bielą. Wystawa sprzętu elektrycznego, oszczędzającego czas. Od miesiący nie mieli gości na kolacji. Była zbyt zajęta. Jadalni prawie nie używali.

- Kawy, gorącej kawy - powiedziała głośno. - Weź się w garść. To nie jest koniec świata. Byłaś cholernie nieszczęśliwa, więc czego płaczesz, idiotko?

Włączyła ekspres i usiadła przy stole. Potem wypija powoli kawę. Nie zrobiło jej się cieplej. Pięć lat i stali się elementem statystyk rozwodowych. Wszystko, co ich łączyło - wszelkie nadzieje i entuzjazm z początku ich miłości - zakończyło się trzaśnięciem drzwi, kiedy jej mąż odszedł do innej kobiety.

Rosa miała dwadzieścia dziewięć lat i była u progu kariery, którą mogła ukoronować jedna z najlepszych ambasad. Małżeństwo jej się nie udało. Wypadek na obranej przez nią drodze. James żądał niemożliwego. Rzucić wszystko i prowadzić ustatkowane, rodzinne życie, z zakupami u Marksa i Spencera i odbieraniem dzieci ze szkoły jako głównym punktem dnia.

Rosa wstała, umyła kubek po kawie i odstawiła go na półkę. To wina Jamesa, że chciał, aby żyła w jego cieniu, marnując swą inteligencję i zdolności. Prymuska z Oksfordu, szybko awansująca w zawodzie, który ją fascynował. I miała to wszystko rzucić.

Weszła na górę do sypialni. Nie było śladu jego odejścia. Żadnych ziejących pustką szaf i nie domkniętych szuflad. Jak gdyby nigdy tu z nią nie mieszkał. Zrobiła sobie gorącą kąpiel i moczyła się teraz w wodzie, starając się myśleć o Brukseli i ambitnych zadaniach. Jej siła leżała w koncentracji. Potrafiła się wyłączyć i rozważać tylko ten temat. Ale tym razem to nie zadziałało. Czy miał rację, czy rzeczywiście jest taka samolubna, jak mówił? Czy go kochała? Na początku na pewno tak. Boże, szalała za nim.

Ale nie długo. Nie można kochać kogoś, przez kogo człowiek czuje się winny. Kończy się tak, że się go nienawidzi. A on odpłaca nienawiścią. James mnie nienawidzi, bo wszystko zniszczyłam.

Wyszła z wanny, wytarła się i położyła do chłodnego łóżka. Głowa ją bolała i czuła

się wykończona. Rosa Bennet, wielki sukces, wschodząca gwiazda. Boże, wymamrotała, zasypiając. Co za porażka...

*

Marszałek lotnictwa sir Peter Jefford wstał zza biurka i podszedł, by ją powitać. Był wysokim, szczupłym mężczyzną o siwiejących włosach, z eleganckim wąsikiem, nienagannie ubranym w ciemny garnitur i dyskretny krawat. Zajmował stanowisko szefa wywiadu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych od trzech lat. Nie był zbyt wylewny, ale ujął rękę Rosy i uścisnął ją serdecznie.

- Proszę wejść i usiąść - powiedział.

Była jedną z protegowanych Hugh Chapmana, a Hugh wybierał najlepszych. Od początku zwrócił na nią uwagę ze względu na najlepsze oceny na egzaminie w ministerstwie i polecił ją Jeffordowi. Uznał, że przyda się bardzo w sekcji C. W ciągu ostatnich tygodni Jefford obserwował jej postępy.

Szybko opanowała podstawowe zasady zbierania informacji, miała wrodzony instynkt odróżniania tego, co ważne, od rzeczy mniej istotnych oraz fenomenalną pamięć. Jej raporty były doskonałe. Szybko się uczyła, była oddana sprawie, zrównoważona emocjonalnie, akceptowana przez kobiety, gdyż nie towarzyszyła jej opinia pożeraczki męskich serc. Uroczą w towarzystwie, dobrze się z nią rozmawiało. Po prostu stworzona do Brukseli.

- Dostałem pani notatkę - powiedział Jefford. - Przykro mi.

- Dziękuję, sir Peter. Uznałam, że powinien pan o tym wiedzieć. Bardzo miło, że chciał się pan ze mną spotkać. To naprawdę nie było konieczne. Wiem, jaki pan jest zajęty.

Powiedziała wszystko, co należało. Podobała mu się jej skromność.

- Czy to już ostateczne? Pani mąż nie zmieni zamiaru?

- Ostateczne - zapewniła Rosa. - Dostałam dziś rano list od jego adwokata.

Była spokojna, ale wokół jej oczu zauważył ślady napięcia. Sir Hugh wprowadził go w sprawę, nim on sam ją tu zaprosił. Powiedział, że to był trudny facet z kompleksem na tle kariery żony, i że lepiej jej będzie bez niego. Jefford powiedział uprzejmie:

- Musiała pani przeżyć wielki szok. Nie miała pani pojęcia, że coś takiego się szykuje? Pokręciła głową.

- Absolutnie nie, chociaż od jakiegoś czasu istotnie nam się nie układało. On chciał mieć dzieci, ja wołałam poczekać. Nie chciał, żebym pracowała, w tym problem. Wiem, że małżeństwa miewają złe okresy, i myślałam, że to minie. Właśnie miałam mu powiedzieć o wyjeździe do Brukseli tego wieczoru, kiedy mnie zostawił.

- I dlatego odszedł?

- Nie, zawiadomiłam go dopiero, gdy sam oświadczył mi, że poznał inną kobietę i chce rozwodu.

Peter Jefford zauważył, że ściska dłonie, mówiąc o tym. Nie miała obrączki.

- Ona jest w ciąży - dodała.

Milczał przez chwilę.

- Niezbyt to eleganckie. Przykro mi, że się pani przydarzyło. Napije się pani herbaty? Vera zaraz nam przyniesie. - Nie, dziękuję. Czy mogłabym zapalić?

Na jego biurku stała kasetka z papierosami. Poczęstował ją.

- Myślałem, że pani nie pali. Oczywiście, proszę bardzo.

- Znowu zaczęłam. Chwilowo.

Rozsiadł się wygodniej w fotelu.

- Niestety, to znana historia. Zwykle jest odwrotnie. Wie pani, żony się nudzą, nie lubią podróżowania, nowych placówek... Rzecz niby zrozumiała, ale nie ułatwia nam pracy. Więc co pani zamierza?

- Dać mu szybko rozwód - odpowiedziała. - Nie chcę się mścić, zwłaszcza że dziecko jest w drodze.

- Bardzo szlachetnie - zauważył. - I na pewno słusznie. Ma pani jakieś problemy finansowe?

- Nie, żadnych. James przepisał dom na mnie, kiedy się pobraliśmy. Mam niewielki dochód z majątku ojca i pensję. Nie chcę alimentów ani nic takiego. W końcu to głównie moja wina.

Zgasila papierosa. Był zwietrzały. Kasetka została napelniona dawno temu i zapomniana.

- Nie uważam, by musiała pani obwiniać siebie - powiedział Jefford. - Jego podejście wydaje się bardzo nierozsądne. Mam nadzieję, że wkrótce pani przestanie o tym myśleć.

- Spróbuję - obiecała. - Dzięki Bogu, mam pracę.

Nachylił się w jej stronę.

- Ile czasu zajmie pani załatwienie tych spraw?

- Niedługo. Żadne z nas nie chce walki. Pod koniec tygodnia mam się spotkać ze swoim adwokatem. Czy możliwe byłoby odłożenie wyjazdu do Brukseli o... powiedzmy... dziesięć dni, dopóki się wszystko nie zakończy?

- Oczywiście że tak. Właściwie - taksował ją przez chwilę wzrokiem - właściwie chciałem z panią o tym pomówić. Nie ma to związku z pani prywatnymi sprawami, po prostu zaistniała dość niezwykła sytuacja. Na pewno nie napije się pani ze mną herbaty?

Rosa spytała szybko:

- O co chodzi? Czy nie chce pan, żebym pojechała do Brukseli?

Pokręcił głową.

- Nie, tylko mamy pewien problem i myślę, że pani byłaby odpowiednią osobą, żeby pomóc go rozwiązać. A może wybrałaby się pani ze mną na obiad? Chciałbym, żeby pani kogoś poznała. Pójdziemy do mojego klubu. Zna pani Boodle's, prawda? Mają tam doskonałe jedzenie.

- Sir Peter - Rosa wstała - proszę mi powiedzieć jedną rzecz. Czy tu nie chodzi o mój rozwód? Nie jestem odstawiona na boczny tor?

- O mój Boże - zaśmiał się. - Gdyby rozwód miał być przeszkodą w awansie, mielibyśmy w służbach tylko sprzątaczkę! Oczywiście że nie. Uważam nawet, że to może być korzystne. O pierwszej w Boodle's, sala dla pań. Niech się pani nie martwi. To może być ciekawsze niż Bruksela. Jeżeli naturalnie pani uzna, że może się tego podjąć.

*

- A teraz - powiedział Harry Oakham - chciałbym przedstawić nowych pracowników administracji.

Zebrali się wszyscy w eleganckim wielkim holu. Szef kuchni, zastępca, gospodyni, kierownik restauracji, recepcjonistki i starszek konserwator. Poproszono również studentów-kelnerów, przeważnie Włochów i kilku Niemców, a nawet sprzątaczkę, żeby przyszedli i posłuchali, co ma do powiedzenia nowy generalny dyrektor. Wszystko musi być wyjaśnione oficjalnie, żeby nie wzbudzało żadnych podejrzeń wśród doświadczonych pracowników hotelu. Harry poprosił Hermanna Rilkego, aby wstał.

- To jest pan Brandt, nasz główny księgowy.

Hermann skinął zebranym, zmuszając się do krzywego uśmiechu. Harry ciągnął dalej:

- Wiem, że dotąd sprawy finansowe nie były załatwiane tu, na miejscu, ale jak wicie, należymy do szwajcarskiego konsorcjum, a oni lubią to organizować w ten sposób. Państwo Brandt przyjechali do nas z Zurychu.

Odwrócił się nieco w kierunku Moniki, która uśmiechnęła się miło, grając swą rolę. Oakhama bardzo ubawiło, że zrobił z nich męża i żonę. Rilke, w przeciwieństwie do Moniki, wcale nie uważał, żeby to było śmieszne.

- Pan Daniels, asystent pana Brandta, przyjedzie za kilka dni. Będzie mieszkał z państwem Brandtami w Croft Lodge. - Harry pozwolił sobie na drobny żart: - Dwóch księgowych do pilnowania, czy dobrze sobie radzimy. Musimy się więc pilnować i my, żeby hotel był dochodowy, bo będziemy mieć kłopoty, a Szwajcarzy tego nie lubią. Sierżant

Stevenson i jego dwaj chłopcy są moimi starymi znajomymi z marines. Będą pomagali w różnych sprawach konserwacyjnych, dbali o cały teren i służyli we wszystkim pomocą. Planujemy na jeziorze narty wodne i surfing i oni będą się tym zajmować. Pragnę dodać, że z każdym problemem możecie państwo przyjść do mnie albo pana Pollocka, którego już wszyscy poznaliście. - Wskazał na Jana. Jan świetnie sobie radził z ludźmi i młodzi pracownicy bardzo go lubili. Harry uśmiechnął się do zebranych. - Chciałbym też powiedzieć, że wszyscy doskonale z nami współpracowaliście podczas przejmowania przez nas hotelu. Przykro nam, że musimy się rozstać z Johnem Fordem i Michaeliem Robertsem, ale zawsze będą mile widziani, kiedy do nas zajrzą. Chciałbym podziękować wszystkim za ułatwienie mi pracy. Trudno było dorównać Johnowi i Michaelowi i nie byłoby to możliwe bez waszej pomocy. To wspinały hotel i musimy starać się utrzymać jego standard i reputację. Jeśli osiągniemy sukces, oznacza to udział w zyskach dla wszystkich, którzy tu pracują. Szwajcarzy bardzo na to liczą: na inicjatywę. Pan Brandt ustali system gratyfikacji na podstawie rocznych zysków. Będziecie więc również pracować dla siebie. Jutro rozpoczynamy nowy sezon i chcę, żeby był możliwie najlepszy. Dziękuję za uwagę. Dobrej nocy i do zobaczenia jutro rano.

Rozległy się oklaski. Harry umiał pozyskiwać sobie ludzi. Jan patrzył, jak jego przyjaciel na chwilę przystanął niby aktor, w nienagannej ciemnej marynarce i spodniach w dyskretne prążki - wytwornie prezentujący się dyrektor hotelu, entuzjastycznie przemawiający do personelu.

Rilke chrząknął. Nie miał zwyczaju chwalić innych ani zachwycać się ich wystąpieniami, ale Oakham postąpił słusznie, integrując zarządzających z personelem.

Zajęli Croft Lodge, mały domek na terenach należących do hotelu, i Rilke miał wolną rękę w organizowaniu swej specjalistycznej jednostki na piętrze. Bardzo był z tego zadowolony. Nie mógł się doczekać, kiedy zacznie pracę.

Oakham pożegnał personel i zwrócił się teraz do małej grupki współpracowników. Nazywał ich swoimi lalkami, co irytowało Rilkego okropnie, a z czego śmiała się ta holenderska morderczyni. Izraelczyk Daniel miał dopiero przyjechać, a po nim Rosjanin, Wasilij Zarubin. Oficjalnie już nie żył. Werner przesłał im informację z radzieckiej agencji TASS, w której zawiadamiano o wypadku samochodowym na Krymie. Zginął w nim major Wasilij Zarubin, jedyny syn słynnego generała KGB, Josifa Zarubina. Wasilij z pomocą ojca zorganizował swój pogrzeb, a teraz był już w drodze do Anglii przez Turcję. Rilke starał się zarobić punkt u Oakhama:

- Jaką funkcję będzie pełnił w zarządzie hotelu nasz rosyjski przyjaciel? Czy

zamierzasz go przebrać?

Oakhama ubawił ten pomysł.

- Nie zamierzam - odpowiedział swoim zwykłym, beztroskim tonem. - Wasilij jest rosyjskim pisarzem, pracującym nad bardzo poważną biografią charyzmatycznego Vaclava Havla. Jeśli chcesz coś dobrze ukryć, Hermann, połóż to na widoku, tam gdzie wszyscy patrzą. Mnie w każdym razie tak uczono. - Uśmiechnął się do Rilkego. - Chodźmy się napić, bo później Jan i ja musimy być na dyżurze. Upewnić się, czy nasi goście są zadowoleni. Na kolację mamy wszystkie stoliki zarezerwowane.

Prowadził ich do swojego domu. Ekssierżant marines i jego dwaj goryle szli za nim. Rilke znał ten typ ludzi. Sam z takich korzystał, kiedy miał do wykonania jakąś brudną robotę, oczywiście wyłącznie do pracy mięśniowej. To brutale o kryminalnych skłonnościach, którzy dla pieniędzy i rozrywki zrobią wszystko.

Stevensona usunięto z pułku za złe traktowanie rekrutów, a jego asystentów za różne niehonorowe przewinienia. Rilke nie chciał z nimi pić jak z równymi. Tyle że nie on tu rządził. Rządził Oakham. To mu się też nie podobało.

*

- Chyba dobrze poszło, co? - spytał Harry.

Wracali z Janem do hotelu na wieczorny obchód.

- Dobrze, świetnie to rozegrałeś.

- Nasz przyjaciel Hermann był jakiś kwaśny. Nie wiesz, o co mu chodziło?

Polak pokręcił głową.

- On już taki jest. Nieszczęsna świnia. Uśmiecha się tylko wtedy, kiedy ma wyciągnąć zeznania z jakiejś biednej ofiary. Nudzi się, no i nie jest szefem. Rozkręci się w akcji.

Przechodzili właśnie przez górny podest i Jan spojrzał na dom dla lalek, połyskujący za szkłem.

- Nie znoszę tego - mruknął. - Dlaczego to wciąż trzymasz, Harry?

Oakham opowiedział mu parę dni wcześniej legendę związaną z domkiem. Żona Lisle'a, macocha jego dzieci, podczas nieobecności męża zagłodziła jedno z nich na śmierć. On z zemsty zbudował ten dom dla lalek i umieścił w nim szkielet córeczki, aby morderczyni codziennie go widziała. W końcu zwariowała i utopiła się w jeziorze. Jan wzdrygnął się wtedy z przerażenia.

Harry przystanął. Zauważył, że szyba wymaga wyczyszczenia. Ociągał się z odejściem, bo wiedział, jak bardzo Jan nie znosi domku, a lubił czasem przyjaciela trochę podrażnić. - Kiedy byłem małym chłopcem, przychodziłem tutaj czasami bawić się z dziećmi.

Mieszkali tu jeszcze Lisle'owie. Dzieciaki okropnie się bały, że zobaczą za szybą szkielet. Podobno jest z nim związana klątwa. Kto spróbuje go ruszyć, padnie trupem. Wszystkie dzieci w to wierzyły.

- Ja go ruszę, nie wierzę w klątwy - rzeki Jan.

- Oczywiście, że wierzysz, ty przesądny stary papisto! To jedna z atrakcji hotelu. Zapewne znajduje się na liście zabytków.

Zaśmiał się. Jan się odwrócił.

- Jest obrzydliwy. Zejdźmy na dół.

Wydawał się zdenerwowany, więc Harry klepnął go przyjacielsko po plecach.

- Daj spokój, przecież to bzdury. Ludzie zawsze wymyślają historie o takich starych domach. Nie wierzę w ani jedno słowo z tej historii, nigdy nie wierzyłem.

Zeszli po schodach do głównego holu. Harry pomyślał, że nie powinien już z Jana tak żartować. Polak ma zszarpane nerwy. Nie można zapominać, co przeżył.

- Zaczniemy od koktajlbaru - zaproponował.

Ustalili tok wieczornych czynności: obchód pomieszczeń dla gości, tu i ówdzie kilka uprzejmych słów, witanie nowo przybyłych, by czuli się jak w domu. Polubił to nawet Jan. Opanował też dyskretny ukłon, szalenie dystyngowany. Gdy przechodzili przez hol, jedna z recepcjonistek, ta, która się rumieniła, podeszła do nich. Harry miał do niej słabość.

- Przepraszam, panie Oakham, telefon do pana. Jakiś pan Harris.

Harry przystanął i powiedział do Jana:

- Zrób obchód sam, a ja za chwilę dołączę.

Pan Harris. Alias Hakim, jego libański kontakt. Oakham wszedł do swojego gabinetu i zamknął drzwi. Do jego prywatnego telefonu podłączono zagłuszacz. Podniósł słuchawkę.

- Proszę połączyć pana Harrisa, Jane.

Nacisnął przycisk i linia stała się niedostępna dla podsłuchujących.

- Oakham - powiedział. - To ty, Hakim?

Nie wysilali się na grzecznościowe rozmówki.

- Mam dla ciebie propozycję.

Oakham zapalił papierosa.

- Jakiego rodzaju?

- Chcę się z tobą spotkać.

- Będziesz musiał tu przyjechać. Jest taki pub w Dedham, nazywa się Old Mile. Czy to pilne?

- Bardzo pilne. Spotkamy się jutro.

- W porządku. O dwunastej w barze.

Przez chwilę po drugiej stronie linii panowała cisza.

- Czy to bezpieczne miejsce? Wolałbym Londyn.

- A ja wolę Dedham. Nie martw się, powiesz sobie aparat na szyi i udawaj turystę. Jakakolwiek jest twoja propozycja, wiesz, że będzie cię kosztować.

- Wiemy - padła odpowiedź.

- I chcę połowę z góry.

Z Libańczykami najpierw zawsze załatwiają sprawy pieniężne.

- Dobra, jutro o dwunastej.

Hakim rozłączył się.

Oakham siedział chwilę bez ruchu. Następnie na leżącym na biurku notesie zaczął rysować jakieś zawile wzory. Znał Hakima od dawna. Organizował on morderstwa, porwania, szantaże, najróżniejsze akty terrorystyczne dla rozmaitych organizacji. Korzystał tylko z najlepszych sił. Harry był pewien, że zgłosił się do niego potencjalny klient. Ktoś, kto korzysta z pośrednictwa Hakima, chce wynająć Harry'ego i jego współpracowników do jakiejś brudnej sprawy. I niebezpiecznej.

Postukał lekko w biurko długopisem, zmiął kartkę i wyrzucił ją do kosza. Nigdy nie zapisywał. Nie musiał. Lata zapamiętywania sprawiły, że jego głowa działała jak komputer. Rilke miał umówionych klientów na początku miesiąca. Trzech facetów z Ulsteru. Marzyli tylko o tym, żeby siedzieć u stóp mistrza i uczyć się, jak torturować istotę ludzką, tak by ją doprowadzić do całkowitej uległości. Ten telefon jednak oznaczał akcję. Może to będzie coś dla niego. Poczł podniecenie. Zawsze w takich razach wzrastał mu poziom adrenaliny, a nigdy nie pojawiał się strach.

Wyszedł, zamknął biuro na klucz i poszedł szukać Jana. Głupio się zachował, strasząc go domem dla lalek. Jak można być takim niewrażliwym idiotą. Kochał Jana, tak jak Jan jego. Powie mu o Hakimie. To poprawi przyjacielowi humor. Zjedzą razem kolację i coś wypiją. Będą zgadywać, co przyniesie jutro. Jak za dawnych czasów. Odnalazł Polaka, kiedy ten wychodził z głównej jadalni. Zapytał go:

- Wszystko w porządku? Goście zadowoleni?

- W porządku, żadnych skarg. - Jan wciąż był spięty.

- Więc chodź ze mną. Mam dobre wieści. Coś się zaczyna dziać.

*

Rosa weszła do sali dla pań w Boodle's dokładnie dwie minuty po pierwszej. Peter Jefford czekał na nią w części barowej. Siedział przy nim jakiś mężczyzna. Mieli na stoliku

kieliszki, więc musieli być tu już od pewnego czasu.

- Rosa, to jest Jim Parker. Pani Bennet.

Mężczyzna był typem nie rzucającym się w oczy, średniego wzrostu, o niewyraźnych rysach, przedwcześnie łysiejącym. Miał bystre, szare oczy.

- A teraz - spytał Peter Jefford - czego chciałaby się pani napić? Ja i Jim już pijemy, bo przyszliśmy wcześniej.

- Poproszę o białe wino. - Usiadła i skrzyżowała nogi.

Parker jej się przyglądał, i to wcale nie z podziwem. Przyniesiono kieliszek i Jefford powiedział coś na temat ruchu ulicznego:

- Rozkopują ulicę przy Hyde Park Corner. Kompletny chaos. Dlaczego, u licha, nie mogą pracować w nocy albo wcześniej rano, zamiast blokować w ciągu dnia Knightsbridge?

Parker wyjął papierosy i poczęstował Rosę. Podał jej ogień.

- Dzięki Bogu, że jeszcze ktoś pali - powiedział. - Kiedy zapalam papierosa, ludzie patrzą na mnie, jakbym miał AIDS.

- Jim u nas pracuje. - Jefford uśmiechnął się lekko. - Do jego obowiązków należy mieć nas wszystkich na oku, zgadza się?

- Można to nazwać działem kadr. Sprawy socjalne. - Spojrzał na Rosę. - Sir Peter powiedział mi, że włączono panią do sekcji C.

- Tak - odpowiedziała Rosa. - Uważam, że to może być bardzo interesujące.

- Ale pani jest zawodowym dyplomatą, pani Bennet. To zajęcie nie będzie stałe.

- Wiem, przejściowe.

Zapanowało milczenie. Wolno popijała wino.

Peter Jefford powiedział:

- Chciałbym, żebyś przedstawił nasz problem pani Bennet. Ale najpierw muszę wyjaśnić twoją rolę, jeśli pozwolisz.

- Oczywiście.

- Zadaniem Jima jest sprawdzanie oficerów wywiadu, którzy przechodzą na emeryturę albo z innych powodów rezygnują ze służby. Jeśli trzeba, współpracuje z sekcją specjalną. W dziewięciu przypadkach na dziesięć jest to rutynowa kontrola, ale bardzo ważna. Jim jest świetnym psem myśliwskim. - Obdarzył Parkera lekkim uśmiechem. - Wykrył kilka przypadków wysokiego ryzyka. Sądzi, że teraz wywęszył kolejny. Dobra, Jim, twoja kolej. Ale najpierw zamówmy obiad.

Bardzo przystojna, pomyślał Parker. Z klasą, opanowana. Jemu osobiście taki typ się nie podobał. Za mądra, za ambitna. Jefford uważał, że nada się do tego konkretnego zadania,

ale zanim on sam się zgodzi, musi wybadać jej słabe punkty. Jeżeli rzeczywiście się nada, będzie podlegała bezpośrednio jemu.

- Co pani sądzi na temat szpiegów, pani Bennet?

- Nie wiem. Nigdy żadnego nie znałam.

- Poznała ich pani mnóstwo, tylko pani o tym nie wiedziała. Czy uważa pani, że to uczciwe zajęcie? Czy może trochę brudne? Dobrze dla typów takich, jak bohaterowie Lena Deightona albo dla wymoczkowatych intelektualistów, wie pani, w rodzaju Smileya?

- Nie czytuję kryminałów - powiedziała Rosa. Nie podobał jej się jego sposób bycia.

- I bardzo dobrze, to stek bzdur. Więc nie ma pani zdania? Zatem dlaczego przeszła pani do sekcji C? Przecież to szpiegowanie.

- Sądziłam, że chodzi o wywiad.

- Ładniejsza nazwa na to samo. Czy może pani odpowiedzieć na moje pytanie?

- Mówiłam już, wydawało mi się to interesujące i korzystne dla mojej kariery.

- Więc podsłuchiwanie i składanie raportów pani nie przeszkadza?

- Nie, jeśli robię to w interesie kraju.

Odpowiedziała sprytnie. Po raz pierwszy w kamiennym spojrzeniu Parkera dojrzała błysk zadowolenia. Bardzo przelotny błysk.

- Więc uważa pani, że to w porządku, jeśli postępuje się tak z pobudek patriotycznych?

- Tak, oczywiście. Nie rozumiem, do czego pan zmierza.

- Co pani sądzi o zabójstwach politycznych?

Zbił ją z tropu. Popatrzyła na niego.

- Jaki typ człowieka posuwa się do tego, jak pani myśli?

- Chyba psychopata - odpowiedziała.

- Ale przypuśćmy, że trzeba to zrobić. W interesie kraju, jak to pani nazwała. Co wtedy?

- Nie wiem - przyznała Rosa. - Nie potrafię tego osądzić. Wolałabym nie wiedzieć, czy to jest konieczne.

- Nie jest pani jedyną osobą, która tak uważa - powiedział Parker. Zapalił kolejnego papierosa. Pochłonięty był grą w pytania i odpowiedzi. - Podczas wojny mieliśmy wydział składający się z bardzo odważnych kobiet i mężczyzn, gotowych zabić dla kraju. Nikt wtedy nie miał skrupułów z tego powodu. Później wydział zamknięto. Wojna się skończyła, oficjalnie nie mogliśmy mieć brudnych rąk. Nieoficjalnie wszystko działało po staremu. Teraz wydział naprawdę nie istnieje. Wstydzimy się za tamten okres. Amerykanie wciąż gdzieś

załatwiają ludzi i nazywają to „eliminacją ze skrajnym uszkodzeniem”. - Zaśmiał się. - Ależ potrafią kaleczyć pocziwą angielszczyznę. W każdym razie, nasi licencjonowani eliminatorzy, jeśli mogą użyć tego żargonu, zostali zwolnieni. Uściski dłoni, emerytury, pomoc w znalezieniu pracy, dowody uznania. Jeden z naszych najlepszych ludzi, szef sekcji nazwiskiem Harry Oakham, właśnie odszedł. Ma pięćdziesiąt dwa lata i rozpoczyna nowe życie. I tu ja wkraczam. Moim zadaniem jest obserwowanie go przez rok, żeby sprawdzić, jak się adaptuje. Upewnić się, czy nie ma kłopotów, finansowych lub innych. Wyciągnąć pomocną dłoń, jeśli zajdzie potrzeba. Coś doradzić. Jak powiedział sir Peter, jestem oficerem od spraw socjalnych. Działam oficjalnie, jawnie. Kontaktuję się raz czy dwa, a potem znikam. Naprawdę zaś wcale nie znikam, dopóki nie mogę ostatecznie odwołać alarmu. Niekiedy trwa to długo. Jeśli chodzi o Oakhama, mam wątpliwości.

- Nasz stolik jest chyba gotowy - powiedział Peter Jefford.

*

- Co to za człowiek? - spytała Rosa. Jefford wymówił się od kawy i zostawił ich samych.

Parker wsypał cukier do filiżanki.

- Mógłbym pani podać dane. z jego teczki, ale to pani nic nie powie o tym, jaki jest. Nie miał nigdy nic przeciwko zabijaniu, to pewne. Ale nigdy go ono specjalnie nie rajcowało. To też pewne. Takie typy długo nie wytrzymują bez zajęcia. Nie trzyma się ich i nie awansuje w czasie pokoju. To facet bardzo odważny, fizycznie i psychicznie jak skała. Nigdy się nie dał złapać. Lojalny w stosunku do współpracowników. Lubił działanie, nie znosił pracy za biurkiem. Zupełnie jak postać z tych kretyńskich kryminalów, co? Tyle że nią nie jest. Pojechałem się z nim zobaczyć w ramach swoich obowiązków. Nie było go, więc porozmawiałem sobie z jego żoną. Opowiem pani o tym.

*

- To bardzo miło, że chce mi pani poświęcić czas, pani Oakham.

Pracowała na pół etatu jako recepcjonistka w miejscowej agencji nieruchomości i tak się szczęśliwie złożyło, że miała akurat wolne popołudnie.

- Nazywam się Parker - przedstawił się. - Jim Parker. Pani mąż i ja pracowaliśmy w tym samym wydziale. Teraz zajmuję się sprawami socjalnymi, dlatego tu jestem. Chcemy być w kontakcie z byłymi kolegami, mieć pewność, że wszystko u nich w porządku.

Poczęstowała go herbatą i siedział teraz, pijąc ją w małym, przyjemnie urządzonej saloniku.

- Och, niech pan się o niego nie martwi, Harry zawsze da sobie radę.

Jim Parker poczęstował się czekoladowym herbatnikiem, choć nie miał na to ochoty.

- Nie wiedzieliśmy, że się przeprowadził - powiedział. - Pojechałem do państwa starego domu i nowi właściciele dali mi adres. Muszę powiedzieć, że byłem zdziwiony, iż nie zadzwonił. Zwykle koledzy są w kontakcie. Nie, dziękuję już za herbatę.

- Pracuje w jakimś hotelu w Suffolk - wyjaśniła. - Ja bym tam nie wytrzymała, więc pojechał sam, a mnie zostawił. Nie żebym specjalnie żałowała, panie Parker.

- Jim - zaproponował. Patrzył ze współczuciem. - Musiało ci być bardzo ciężko. Nie wyobrażam go sobie w hotelu.

- Ja też nie. Nigdy nie wiedziałam dokładnie, czym się zajmuje, tyle lat po ślubie.

- To było tajne - wyjaśnił Jim Parker.

- „Odkodowuję szyfry, mówił. To strasznie nudne”. Ty też to robiłeś, Jim?

Zauważył, jak łatwo przyszło jej zwracanie się do niego po imieniu. Uśmiechała się, a spódniczka powędrowała kilka centymetrów nad kolano.

Wiadomo było, że żona Oakhama się puszcza, ale nigdy nie stanowiło to problemu. Obracała się we własnym, niewielkim środowisku. Żonaci faceci, spragnieni odrobiny rozrywki na boku, czasem jakiś rozwodnik, jak ten, z którym jest ostatnio. Oakham chyba się tym nie przejmował.

Parker spytał:

- Kontaktujecie się?

- Nie. Rozwodzimy się i nie ma się po co kontaktować. Nie zależy mi na tym, żeby jeszcze kiedykolwiek go widzieć albo słyszeć. Był okropnym mężem. - Zaciśnęła wargi i obciągnęła spódnice.

- Przepraszam. - Parker nachylił się do niej. - Może to by pomogło, gdybyś o nim porozmawiała? Dlaczego był okropnym mężem?

Wzruszyła ramionami.

- Traktował mnie, jakbym nie istniała. Nie rozumiem, dlaczego w ogóle się ze mną ożenił. Sypialiśmy ze sobą, niczego więcej nie oczekiwałam, a on się nagle oświadczył. Po trzech tygodniach. Byłam w nim zakochana, Jim. Nigdy przedtem nikogo takiego nie spotkałam. Był inny.

- Inny? - zachęcił ją.

- Taki romantyczny - roześmiała się. - Przysyłał mi kwiaty, mówił jak z książki. Na oko też był niczego sobie, seksowny. Nie mogłam uwierzyć we własne szczęście. Oczywiście, pochodziliśmy z różnych środowisk. Jego rodzina to cholernie zarozumiałe snoby, jeśli mam być szczerą. Od początku się na mnie wypięli. Jego matka to taka cholerna

zimna krowa. - Skrzywiła się, pogrążona w jakichś przykrych wspomnieniach. - Byłam inna niż jego pierwsza żona. Miała na imię Judith. Oni ją wszyscy uwielbiali. Czy wiesz, że on nigdy ze mną o niej nie rozmawiał? Doprowadzało mnie to do szału. Wiedziałam tylko, że nie żyje. Oczywiście, że byłam ciekawa - usprawiedliwiała się. - Kto by nie był? Nie żyła dopiero od roku, kiedy mnie poznał. Ale nie. Była za wspaniała, żeby o niej rozmawiać.

- Bardzo dziwne - przyznał Parker. - No i niełatwe dla ciebie.

Wyobrażał sobie, jaka musiała być zazdrosna. Była typem, co to potrafi drażnić i drażnić...

- Nigdy mnie nie kochał - powiedziała nagle i wykrzywiła usta z goryczą. - Po prostu był samotny, kiedy mnie poznał. Chciał o niej zapomnieć. Wykorzystał mnie.

- Ale się z tobą ożenił - przypomniał Parker.

Romantyczny, przysyłał kwiaty, prawil poetyckie komplementy.

Wykorzystał ją. Niezupełnie, w każdym razie nie tak, jak uważała.

- To było najgorsze, co mógł zrobić, Jim - odparła. - Zmarnował mi życie. Pewnego dnia po prostu odwrócił się ode mnie. Byliśmy małżeństwem chyba od półtora roku. „Nie chcę z tobą więcej sypiać”, tak powiedział. „Idź swoją drogą, nie będę miał żalu”. To było okrutne.

- A poszłaś swoją drogą? Nie dziwiłbym ci się, gdybyś tak zrobiła.

- Miewałam facetów - przyznała. - Nie jestem zimną rybą, jak on. Najpierw robiłam mu na złość, żeby był zazdrosny. Ale jego to nie obchodziło. Miał swoją pracę, swoje wyjazdy. W domu był lokatorem. Kiedyś, kiedy się pokłóciliśmy, zrobiłam jakąś głupią uwagę o Judith. Wiesz, co wtedy usłyszałam, Jim? Oświadczył, że mnie zabije, jeżeli jeszcze kiedyś coś o niej powiem. Okropnie się wystraszyłam, mówię ci. Tylko ten jeden, jedyne raz tak się zdenerwował. Od tej pory byłam już skreślona.

Milczała przez parę minut. Wyjęła z rękawa ligninową chusteczkę i wydmuchała nos. Było mu jej żal. Okrucieństwo może przybierać różne formy. To, co Harry Oakham wyrządził tej prostej, dość głupiej kobiecie, było bardziej niszczące niż kłótnie i awantury.

- W jaki sposób odszedł? Powiedział ci coś?

- Wyjechał - odpowiedziała. Chusteczka została zgnieciona i znów powędrowała do rękawa. - Pojechał do Suffolk w sprawie pracy. Wiedział, że ja bym nie chciała mieszkać na wsi. Powiedziałam mu to przed wyjazdem, ale i tak wziął tę pracę. Po prostu przyjechał do domu i powiedział: „Będę zarządzał hotelem, Peg. Była okazja, więc z niej skorzystałem”. Wtedy ja się wściekłam. Wygarnęłam mu, co o tym myślę i że zachowuje się tak, jakbym się w ogóle nie liczyła. „Nie lubisz wsi. Poza tym nie chcą tam żonatego mężczyzny”. Tyle

powiedział. Taki gnojek. Zaczęłam płakać. Wtedy usiadł i oświadczył mi: „Daj spokój, porozmawiajmy rozsądnie. Nie ma sensu tak się denerwować. Możesz zatrzymać dom, sprzedać go, jeśli zechcesz. Zatrzymaj też pieniądze, wszystkie meble i wyposażenie. Nie będę niczego potrzebował. Zaoszczędziłem parę tysięcy, forszę także możesz sobie wziąć. Chcę szybkiego rozwodu. Jeśli będą problemy, nie dostaniesz domu. Zresztą będzie ci lepiej beze mnie. Wyjdiesz za swojego przyjaciela, jeśli zechcesz. Idę się pakować”. I odszedł jeszcze tego samego dnia!

Parker mruknął coś współczująco. Bezwzględny, napisano w charakterystyce Harry’ego. Bez zahamowań moralnych w trakcie pełnienia obowiązków. Nie tylko obowiązków, jak widać. Postanowił zmienić taktykę.

- Nie masz kłopotów finansowych? Z pewnością wydział mógłby pomóc, gdyby były jakieś trudności.

- Nie, wszystko w porządku. Mam pracę. Dom dobrze sprzedałam i mam odłożoną pewną sumkę, która mi została po kupieniu tego mieszkania. Dziękuję, Jim.

- Zamierzasz wyjść za mąż?

Pokręciła głową.

- O nie - powiedziała ze złością. - Raz wystarczy. Mój przyjaciel chciałby, ale ja dziękuję. Dobrze mi tak, jak jest.

- Zastanawiam się, dlaczego wziął się do hotelarstwa. Nie chodził na żadne kursy po przejściu na emeryturę?

- Nie, skąd. - Machnęła pogardliwie ręką. - Jeżeli tylko nie musiał, nie ugotował sobie nawet jajka. Nigdy nie umył filiżanki. Mówił, że zajmie się zarządzaniem. Brzmiało to bardzo nowocześnie - kpila. - Taki był. Musiał być wspaniały. Lubił mnie ponizać, bo mój ojciec był zwyczajnym robotnikiem.

- Wygląda na to, że bardzo cię skrzywdził - zauważył Parker. - Jak się nazywa ten hotel?

- Nie mówił. Zszedł tego dnia z walizkami i powiedział: „Przemyślałaś moją propozycję? Szybki rozwód i wszystko zgarniasz?” Ja mu na to: „Nic się nie martw, nie mogę się doczekać, żeby się ciebie pozbyć”. Był chyba zadowolony. Uśmiechnął się do mnie. „To dobrze, bardzo rozsądnie”. I wiesz, co wtedy zrobił? Pocałował mnie w policzek. „Przepraszam, że się nie udało. Będiesz na pewno szczęśliwa z innym facetem. Powodzenia, Peg”. I odszedł. Zamknął drzwi, wsiadł do samochodu i odjechał.

Znów milczała. Parker poruszył się.

- Czy to był duży hotel, czy jakaś gospoda? Mówił, w jakiej części Suffolk? Muszę

pojechać się z nim zobaczyć, zamienić słowo. Taki jest zwyczaj, chociaż sądząc z tego, co mówisz, nie bardzo na to zasługuje.

Westchnęła. Rozdrapał ranę, która jeszcze nie zaschła. Jego zdaniem, będzie ropieć przez resztę jej życia.

- W Dedham, tam gdzie mieszkała jego rodzina. W tej okolicy. To tylko wiem. Wszystko załatwiali jego adwokaci. W każdym razie skończyło się i nie chcę go już nigdy widzieć ani słyszeć.

Parker wstał.

- Dzięki za naświetlenie sprawy - powiedział. - To wszystko jest oczywiście poufne, nie martw się. Mam nadzieję, że ci się powiedzie.

Uścisnęli sobie ręce. Musiała być naprawdę ładna z tymi blond włosami i niebieskimi oczami, kiedy Oakham ją poznał.

- Do widzenia.

- Do widzenia. Jak będziesz kiedyś w okolicy, zadzwoń do mnie. Poszlibyśmy na drinka.

- Będę pamiętał - odpowiedział. - Byłoby miło.

*

- Przejdźmy się po parku - zaproponował Parker. - Taki ładny dzień.

Rosa i Parker wyszli z klubu. Jefford już wcześniej podpisał rachunek. Szli wzdłuż St James Palace aż do Mail. Turyści krążyli w małych grupkach, gapili się na wartowników, robili zdjęcia. Grono Japończyków czekało niepewnie przed Clarence House. Chociaż jego mieszkanki, królowej matki, nie było w Londynie, wcale im to nie przeszkadzało.

- Lubię ten park - powiedział Parker. - Jest wolna ławka, może byśmy usiedli?

- Co pan wie o jego pierwszej żonie, Judith? - spytała Rosa.

- Była śliczną kobietą. Oczywiście sprawdziliśmy ją, kiedy powiedział, że się żeni. Bez problemów. Z tego samego środowiska co on. Szlachecka rodzina, tweedy, psy, konie. Była jakiś czas modelką w Londynie. Nic dziwnego, kiedy się zobaczy jej zdjęcia. Byli dwa lata małżeństwem, kiedy zginęła.

- Co się stało?

- Wypadek na nartach. Byli na urlopie w Verbier. Pojechała za szybko, uderzyła w bandę i przewróciła się. Skręciła kark.

- Okropne - wzdrygnęła się Rosa. - A on tam był?

- Tuż za nią. Sam ją zwiózł.

- A później ożenił się z kobietą tak zupełnie różną od pierwszej żony. Unieszczęśliwił

ją. Dostrzegam w tym jakiś brak równowagi. Może jest niezupełnie taki, na jakiego wygląda...

Zastanawiała się, próbując pustą ramię podpisaną „Harry Oakham” wypełnić wizerunkiem konkretnej osoby.

- Pracował z nim pewien Polak - ciągnął Jim Parker. - Bywali razem w terenie. On ustalał cel, Harry wykonywał robotę. Byli bardzo, bardzo zaprzyjaźnieni. Polaka aresztowano i odsiedział dziesięć lat w więzieniu w Krakowie. Straszne miejsce. Kiedy w końcu wyszedł, Oakham się nim opiekował. Zapłacił za jego wakacje, starał się, żeby go zatrzymano w wydziale. Ale wyniki badań lekarskich były bardzo kiepskie. Facet miał ciężkie przejścia za sobą i nie był wystarczająco zrównoważony, żeby go zatrudnić. Oakham robił z tego powodu piekielne awantury, aż w końcu ktoś znalazł Polakowi pracę w organizacji charytatywnej, więc jakoś funkcjonował i nie mógł nikomu zaszkodzić. Ja też go miałem na oku. Oakham spotykał się z nim regularnie, dofinansowywał go, jeśli tamten potrzebował trochę gotówki. Był bardzo lojalny, bardzo opiekuńczy. To jest właśnie druga strona jego charakteru. Nie pasuje do obrazu sadystycznego łobuza, który odmalowała żona.

- Nie - zgodziła się Rosa - nie pasuje. Musiał nienawidzić jej albo siebie za to, że się z nią ożenił. Dlaczego się pan o niego martwi? Widział go pan?

- Tak, widziałem. Jak mówiła żona, zarządza hotelem niedaleko Dedham.

- I co w tym złego?

- Nic - powiedział - tylko to trochę tak, jakbym widział tygrysa zwiniętego w koszyczku dla kotka. Po rozmowie z żoną i zasięgnięciu języka wśród jego dawnych kolegów pojechałem do Dedham, żeby go odszukać. Niepokoił mnie także ten Polak. Znikł. Zostawił pracę, mieszkanie i przepadł. Gospodyni twierdziła, że wrócił do Polski. Miałem dziwne przeczucie, że znajdę go w pobliżu Oakhama. Ładna miejscowość to Dedham. Zna je pani?

- Nie - odpowiedziała. - Nigdy tam nie byłam. Constable malował w tych okolicach. Zawsze uważałam go za nudnego malarza, ale ja nie lubię pejzaży.

Parker wyjął papierosy. Rozmawiał z nią już bardzo przyjacielsko i wydawało jej się, że zdobyła jego zaufanie. Jestem instruowana, pomyślała nagle. Siedzimy w parku, gdzie nikt nas nie może usłyszeć, a on mnie instruuje.

- Mogę? - spytała.

- Przepraszam, niech się pani częstuje. - Ładna trasa, prowadzi do Suffolk - powiedział. - Jechałem z Londynu niecałe dwie godziny.

*

Jim Parker ulokował się w pubie Old Mill. Nie znał tej części Anglii, jego rodzina pochodziła z Sevenoaks. Ojciec był znanym dentystą. Bardzo się zawiódł, kiedy syn wybrał

służbę w wywiadzie, na szczęście młodszy przejął praktykę. Jim Parker nie był żonaty. Nie miał nigdy czasu, żeby się ustatkować, i nie czułby się dobrze w małżeństwie. Kilka stałych przyjaciółek, bez zobowiązań, zupełnie mu wystarczało. Nie znosił więzów i nie miał zbyt pochlebnej opinii o instytucji małżeńskiej. Widział zbyt wiele związków, które się rozpadły. Old Mill był wygodną i bezpretensjonalną gospodą. Mimo że w Dedham było sporo osobliwych domów i uroczy krajobraz, jak na jego gust kręciło się tu zbyt wielu turystów. Nie znosił tłumów. Poszedł do baru wypić drinka i pogawędzić z barmanką.

Wtedy zobaczył Harry'ego Oakhama. Harry siedział z jakimś mężczyzną w ciemnym kącie. Kiedy wstał, posuwał się wydłużonym krokiem, niby drapieжник wśród stada tłustych gołębi. Parker nie ruszył się z miejsca, nie próbował iść za nim. Oakham zauważyłby śledzącego kilometr za sobą. Jim siedział więc i obserwował mężczyznę, z którym Harry pił. Facet odczekał dwadzieścia minut, nim wyszedł z pubu. Czytał gazetę, zabijając czas. Parker go nie znał. Zamówił piwo i pił powoli, czekając. Przesunął się bliżej barmanki.

- Przepraszam - powiedział. - Czy ten facet, który niedawno wyszedł, to nie był Oakham? Wysoki, ciemne włosy?

Uniosła wytuszone brwi.

- Nie wiem. Nigdy o nim nie słyszałam. Przykro mi.

Parker wzruszył ramionami.

- Myślałem, że go poznaję. Jakiś czas pracowaliśmy w tym samym biurze, ale to już będzie jakiś rok czy dwa temu. Słyszałem, że mieszka gdzieś w okolicy. Chciałbym się z nim spotkać.

Uśmiechnął się do niej zachęcająco. Była dosyć zgryźliwa i nie odwzajemniła uśmiechu.

- Bob może coś wiedzieć - zasugerowała. - Ja nie jestem z tych stron, ale on tak. Bob - zawołała wysokiego faceta o czerwonej twarzy, polerującego kieliszki trochę dalej przy barze.

Ten podszedł bliżej i zapytał:

- O co chodzi, Betty?

- Ten pan pyta o kogoś... jak się nazywa pana znajomy?

- Oakham - odpowiedział Parker. - Wydawało mi się, że go poznaję... Był tu wcześniej i nie zdążyłem go zaczepić.

Bob był z Suffolk i traktował obcych podejrzliwie. Obcy zaczynali się na granicy z hrabstwem Essex czy każdym innym.

- Są Oakhamowie, którzy mieszkają w Dedham - rzekł po chwili. - Od pokoleń. Mój dziadek pracował u nich przed wojną. Mógłby pan spróbować w Bruton Hall. Teraz porobili

tam mieszkania, ale ktoś z rodziny jeszcze został.

Znał Harry'ego Oakhama. Powiedział mu nawet „dzień dobry”, jak tu wchodził. Nie miał zamiaru wskazywać go komukolwiek, zwłaszcza jeżeli ten ktoś nie był stąd. Zresztą facet nie wyglądał na takiego, z którym Oakham chciałby mieć coś wspólnego. Bob wrócił na swoje miejsce i znów zabrał się do kieliszków.

Jim Parker postanowił jeszcze raz zagadnąć barmankę. To może być najkrótsza droga.

- Są tu w okolicy jakieś duże hotele? - spytał.

Popatrzyła na niego.

- A ten jest niedobry?

Nie dał się zbić z tropu. Uśmiechnął się.

- Nie. Wcale nie. Jest bardzo miły. Panuje tu życzliwa atmosfera. - Nie mógł się powstrzymać od złośliwości, ale ona tego nie zauważyła. Chyba uważała, że jest życzliwa. - Chodzi o to, że mam znajomą, która lubi kolacje przy świecach. Bardziej romantyczne niż w pubie. Chcę ją zaprosić dziś wieczorem.

- Możemy panu osadzić świeczkę w butelce. Ale jeżeli ma pan zamiar wydać dużo pieniędzy, niech pan spróbuje w Barrington. Będzie pan musiał zarezerwować stolik. Jest tam bardzo elegancko. I drogo - podkreśliła. - Hotel Dom Lalek. Stary, duży pałac, niedawno sprzedany. Bob mówi, że poprzedni właściciele splajtowali. Ale jest dobry, jeżeli lubi pan takie obskakiwanie - dodała niechętnie. - Mam nadzieję, że dziewczyna jest tego warta.

- Ach, jest - zapewnił Parker. - Podjadę tam i obejrzę go. Wypiję jeszcze przedtem małe piwo beczkowe, a pani niech naleje coś dla siebie.

- Dzin z sokiem z limonki byłby w sam raz - powiedziała. - Dziękuję. - Zdobyła się na przelotny uśmiech.

4.

Kiedy Harry wszedł do baru Old Mill, panował tam tłok. Stał przez chwilę, rozglądając się, powiedział „...bry” Bobowi, który pracował w pubie już wtedy, kiedy Harry właśnie dorósł, żeby zamówić pierwsze piwo po meczu krykieta, i szukał wzrokiem Hakima. Hakim jest profesjonalistą i na pewno nie usiadłby na widoku. Harry przepchał się do baru, zamówił małe piwo i czekał, aż gburowata barmanka napełni kufel. Dużo turystów, trochę miejscowych, nikogo znajomego. Dawno tu nie był, ale Bob go pamiętał. Jego rodzina pracowała u Oakhamów od trzech pokoleń. Harry był wzruszony, kiedy przyszedł tutaj po raz pierwszy, a on nachylił się, żeby mu się przyjrzeć, i zapytał: „To pan Harry, prawda? Ile ma pan lat, sir?”

Popijając piwo, zerknął na zegarek. Przyszedł trochę wcześniej, parę minut przed dwunastą. Później zauważył wchodzącego Hakima, który obrzucił go przelotnym spojrzeniem, skierował się do najodleglejszego i najciemniejszego zakątka baru i usiadł, prawie tyłem do sali. Pod pachą miał gazetę. Otworzył ją i zaczął czytać. To był znak rozpoznawczy. Hakim miał poczucie humoru. Jedną z jego niewielu zalet, pomyślał Harry. Czytał „Sporting Life”, pokpiwając z Anglików. I jak większość Libańczyków, kochał hazard. Konie, psy, cokolwiek. Oakham zauważył, że do Hakima podeszła inna kelnerka i przyjęła zamówienie. Zaczekał, pozwalając Hakimowi jeszcze chwilę posiedzieć samotnie. Nigdy nie okazuj zapału. Nigdy nie przyśpieszaj zawarcia umowy. Hakim odczytałby to jako słabość. Libańczyk skończył pić, otarł usta białą chusteczką i rozejrzał się. Oakham odszedł od baru i zbliżył się do niego. Usiadł naprzeciwko. Nie byli przyjaciółmi. Nikt nie był przyjacielem Hakima. Oakham spytał:

- Dotarłeś bez kłopotów?

- Bez.

Libańczyk był opryskliwy. Nie lubił wiejskich pubów. Z zamiłowania i wychowania był zwierzęciem miejskim.

- O co chodzi? - Harry Oakham nie tracił czasu.

- Mamy cel - powiedział Hakim. - Chodzi o eliminację.

Harry sączył piwo.

- Z krańcowym uszkodzeniem?

- Nie pieprz tych amerykańskich bzdur - syknął Libańczyk.

Oakham lubił wbić komuś szpilę. Uśmiechnął się. CIA miała zwyczaj ubierać brudne czyny w długie słowa.

- Dobra, trzeba skrócić kark jakiemuś draniowi. Lepiej? Kto to jest?

Hakim zniżył głos, tak że Harry musiał się nad nim nachylić, żeby usłyszeć.

- Księżę Abdullah Al Rashid - mruknął.

Oakham skończył piwo. Na jego gust było zbyt łagodne.

- Nie ma mowy - powiedział. - Nie pojedziemy do Arabii Saudyjskiej. To zanadto ryzykowne.

- Nie chodzi o Arabię - rzekł Hakim. - On przyjeżdża z prywatną wizytą do Londynu. Będzie mieszkał w hotelu Regis. Za dwa tygodnie.

Harry zmrużył oczy, nie patrząc na nic. Hakim znał to spojrzenie. Było zachęcające.

- Po co przyjeżdża?

- Jak zwykle, kłopoty z oczami. Lubi hazard. I blondynki.

- Jakie szanse załatwienia go na zewnątrz?

Libańczyk pokręcił głową.

- Nie da rady. Samochód kuloodporny, uzbrojeni ochroniarze i oddział specjalny. Skaczą dookoła niego jak pchły.

Oakham wskazał na pustą szklankę Hakima.

- Dżin?

- Tak, z sokiem pomarańczowym. Dziękuję - dodał Libańczyk.

Harry po chwili wrócił z dżinem i szklanką gorzkiego piwa. Libańczyk skrzywił się.

- Jak możesz pić takie świństwo? Nawet nie schłodzone...

- Wiesz, co mówią o dżinie z sokiem pomarańczowym? Że lubią go kurwy. A propos, gdzie chodzi na dziewczynki?

- Nie chodzi, to one przychodzą do jego hotelu. Zawsze korzysta z tej samej agencji.

- I lubi blondynki... - kombinował Oakham. - Skąd masz te informacje?

- Mamy sympatyka w kręgach zbliżonych do księcia - odparł Hakim.

- Ale nie jest aż takim sympatykiem, żeby wykonać dla was tę robotę? - spytał Harry.

- Nie. Zanim człowieka zetną publicznie na placu w Rijadzie za zbrodnię przeciwko rodzinie królewskiej, obcinają ręce i nogi. To nasza jedyna szansa. Interesuje cię ta sprawa czy nie?

- Zależy od pieniędzy. Jaka jest oferta?

Hakim dostał wolną rękę. Arabski księżę był ulubionym synem swojego ojca. Po

wojnie w Zatoce Perskiej stał się zagorzałym zwolennikiem Amerykanów i przeciwnikiem fundamentalistów muzułmańskich. Iran od dawna pragnął go widzieć martwym. Jednak księżę nie mógł zginąć w Arabii Saudyjskiej i nie z ręki żadnej z tamtejszych organizacji. Idealnym rozwiązaniem było zabójstwo w Europie, w skandalizujących okolicznościach, które wzburzyłyby opinię muzułmanów. Irańczycy byli gotowi dać wszystko, żeby osiągnąć ten cel.

Ale Hakim był Libańczykiem i targowanie się było mu równie potrzebne do życia, jak powietrze. Wymienił na początek połowę sumy.

- Pięćset tysięcy funtów.

Oakham pokręcił głową.

- Nie pieprz - powiedział uprzejmie. - Cena wynosi trzy czwarte miliona. - Odsunął nieco krzesło, jakby chciał wstać i wyjść. - Ani pensa mniej. - Już stał.

Hakim poddał się.

- Zgoda. Siadaj, siadaj. Jest jeden warunek.

- Trzy czwarte za eliminację. Warunki kosztują więcej.

- Chcemy, żeby dodać do tego jeszcze trochę brudów - powiedział Hakim. - Jakiś skandal, którego nie będą mogli zatuszować. Alkohol, narkotyki, coś atrakcyjnego dla prasy...

- Chcesz, żebyśmy go jeszcze obsmarowali, nie tylko zabili? To będzie kosztowało dodatkowe dwieście pięćdziesiąt tysięcy.

Nie targowali się ze sobą członkowie konkurencyjnych band na podłym bazarze w Libanie. Chodziło o zadanie najwyższej klasy, zleczone i sterowane z Teheranu. Śmierć arcywroga w świątyni zakazanych rozkoszy Zachodu... Dobrze.

- Więc?... - spytał Oakham i Hakim po chwili skinął głową.

- Zgoda. Milion za całą robotę. Ale żadnych zaliczek. Tego mi się nie uda wydebić. Kiedy chodzi o takie pieniądze, płaci się po wykonaniu zadania.

Oakham szybko ocenił sytuację. Postanowił nie posuwać się za daleko.

- Słusznie. Spotkaliśmy się i ja nie domagam się zaliczki. Myślę, że teraz czeka mnie sporo roboty. Ale potrzebuję bardzo dokładnych informacji z waszej strony. Zadzwoń do mnie jutro. Około wpół do siódmej.

Wstał, dopił piwo. Hakim otworzył gazetę. Nawet nie powiedzieli sobie „do widzenia”.

*

Nad brzeg stawu zeszły dwie dziewczynki z torebką okruchów i zaczęły rzucać je kaczkom. Było dużo zamieszania i chlapaniny. Jim Parker powiedział:

- Lubię kaczki. Zwłaszcza ozdobne. Bardzo ładne są karoliny. Znalazłem Oakhama w książce telefonicznej. Zadzwoiłem i przedstawiłem się. Nie był zbyt wylewny, jak zwykle. Powiedziałem, że jestem w okolicy i chciałbym wpaść zobaczyć się z nim. Sprawy socjalne i tak dalej, nie zabiorę mu dużo czasu. Wie pani, na razie wszystko się zgadzało. Był dyrektorem tego hotelu, musiałem tylko podjechać, pogadać, ocenić sytuację i spytać o jego przyjaciela Jana. I tak zrobiłem. Tam właśnie zastałem tygrysa zwiniętego w kłębek w koszyczku dla kotka.

- I nie spodobało się to panu - powiedziała Rosa. - Czuł pan, że coś jest nie w porządku.

- Problem polegał właśnie na tym, że wszystko było w porządku. Widzi pani, on nie miał pojęcia, jaka jest moja prawdziwa funkcja. Istnieje wydział socjalny, który oferuje pomoc emerytowanym pracownikom. Oakham o tym wiedział. Więc kiedy tam pojechałem, spodziewałem się, że będzie się zachowywał raczej arogancko, bo przez telefon rozmawiał ze mną tak, jakby chciał mi powiedzieć: „Nie twój pieprzony interes, co robie?”. Było jednak inaczej. Hotel jest naprawdę wspaniały, jeśli ktoś lubi takie stare budowle. Cegła, styl Tudorów. Kiedy wjeżdżałem, wszystko było oświetlone słońcem, tereny pięknie utrzymane. Przypomniałem sobie, jak dziewczyna z pubu mówiła, że poprzedni właściciele prawie zbankrutowali. Teraz widać było, że wydano majątek na doprowadzenie hotelu do takiego stanu i ktoś, kto go kupił, nie szczędził grosza. I wtedy wyszedł Oakham, w eleganckiej marynarce, prążkowanych spodniach, promiennie uśmiechnięty. „Witam, miło mi pana poznać. Proszę bardzo”.

Jim Parker. Wydział socjalny. Facet po prostu chce wpaść, żeby zobaczyć, jak on sobie radzi w nowej pracy. Harry Oakham odłożył słuchawkę. Z domowego telefonu zadzwonił do Jana. Nie było go w biurze. Recepcjonistka powiedziała, że jest w jadalni.

- Poproś, żeby zaraz do mnie przyszedł.

Wydział socjalny. Tak, wiedział, że bawili się tam w miłosiernych samarytan i odwiedzali ludzi, kiedy im już dali kopa w tyłek. Bardzo troskliwi. Zastanowił się chwilę. Nie ma co wchodzić z Parkerem w konflikt. Kimkolwiek jest, lepiej niech odjedzie stąd zadowolony. Drzwi otwarły się i wszedł Jan. Był zaniepokojony.

- O co chodzi, Harry? Coś się stało?

- Jakiś cholerny ciekawski z socjalnego jedzie tutaj.

- O Boże! - przeraził się Jan. - Dlaczego mu pozwoliłeś przyjechać? Czego chce?

Harry zauważył, jak łatwo Jan się denerwuje. Powiedział spokojnie:

- Nie bądź idiotą. To rutynowa sprawa. Wypijemy coś, powiem mu, jak się urządziłem

i że się cieszę, że już nie bawię się w tamte klocki, a on pojedzie do Londynu i napisze to w raporcie.

- Już dobrze, dobrze. - Polak chodził po pokoju. - Jak cię tu znalazł? Dlaczego dopiero teraz cię sprawdza?

- Rusz głową, dobra? Pomyśl. Figuruję gdzieś na wydruku komputerowym, pod hasłem „uzupełnić dokumentację” albo coś w tym rodzaju, nic pilnego, i teraz w końcu doszli do mnie.

- Masz rację - mruknął Jan. - Mnie też odwiedzali regularnie, kiedy odszedłem. Te same gadki. Jak pan sobie radzi? Czy możemy w czymś pomóc? A odprawili mnie z głównianą rentą i znaleźli mi pracę, gdzie zarabiałem akurat na papierosy! - Twarz pociemniała mu z wściekłości. - To są dranie, Harry. Uważaj na tego typka. Bądź ostrożny.

Oakham powiedział spokojnie:

- Ja też jestem drań. Poradzę sobie z nim. Nie martw się. Uspokój się i o nic się nie martw. Ufaj mi.

- Ufam - odpowiedział Jan. - Jesteś jedynym, który mnie nie opuścił. Nigdy cię nie zawiodę, Harry.

- Nie opowiadaj bzdur. Po prostu trzymamy się razem. Zawsze tak było.

- Przez ostatnie sześć miesięcy przysyłali do mnie z socjalnego bardzo taktowną panią - przypomniał sobie Jan. - Ostatnim razem, kiedy przysłała, kazałem jej się odpieprzyć. Nie miała żalu. Wiedziała, że mam coś z główką. Bardzo taktowna, naprawdę. Gdyby o mnie pytali, powiedz, że wróciłem do Polski.

- Dobra - kiwnął głową Oakham. - Masz rację. Kroj nam się robota. Po co masz się rzucać w oczy.

Janowi rozbłyły oczy.

- Hakim?

- Tak. Słuchaj, siedź u siebie, nie pokazuj się, póki ten typek się nie wyniesie. Jeżeli będzie o ciebie pytał, powiem to, co mówiłeś. Pojechałeś do Polski odnaleźć rodzinę. Będzie to brzmiało wiarygodnie. Jeżeli będziemy mieli szczęście, zamkną twoją sprawę. Zadzwoń, jak facet już pojedzie.

Wyszedł z biura i poszedł do głównego holu recepcyjnego. Ten gnojek powinien tu być za parę minut. Harry spojrział przez okno i zauważył na podjeździe samochód, który zwolnił na łamaczach. Wóz stanął i wysiadł z niego mężczyzna w sportowej marynarce i rozpiętej przy szyi koszuli bez krawata. Około czterdziestki, ocenił Harry, łysiejący, o przeciętnym wyglądzie.

Napraw złe wrażenie, jakie mógł odnieść podczas rozmowy telefonicznej. Bądź przyjacielski, pokaż, jak świetnie się przystosowałeś w nowej sytuacji. Niech odjedzie w dobrym nastroju. Harry wyszedł i powiedział z uśmiechem:

- Witam. Miło mi pana poznać. Proszę bardzo.

Mężczyzna wyciągnął rękę.

- Jim Parker. Mam nadzieję, że nie jest to zła pora?

Kiedy telefonował w sprawie wizyty, Oakham dawał do zrozumienia, że każda pora jest zła. Teraz jego odpowiedź była zupełnie inna:

- Ależ skąd. Proszę do mojego biura, możemy się czegoś napić.

Biuro było elegancko, a nawet luksusowo, zdaniem Parkera, urządzone. Dyrektorowi dobrze się powodziło. Usiedli naprzeciwko siebie w skórzanych fotelach. Przyniesiono dzin z tonikiem. Parker uniósł szklankę.

- Na zdrowie - powiedział.

- Na zdrowie - zawtórował mu Harry. - Co mógłbym dla pana zrobić?

- Cóż - zaczął Parker dosyć głupio - to ja przyjechałem zobaczyć, czy mógłbym coś zrobić dla pana. Wie pan, na tym polega moja praca. Zdajemy sobie sprawę, że może być trudno się przystosować po tylu latach u nas. A pan był długo. Dwadzieścia siedem lat, tak?

- Dwadzieścia osiem - uśmiechnął się Harry. - Nie miałem żadnych problemów. Przez ostatnie osiem lat pracowałem za biurkiem. Tu jest trochę inaczej, ale ciekawie. Zawsze interesowały mnie sprawy zaopatrzenia, usług.

- Ach tak? Rzeczywiście, słyszałem, że to teraz bardzo rozwojowa branża.

Nigdy nie ugotował jajka... Nigdy nie umył filiżanki. Przypomnił sobie słowa jego żony. Nachylił się.

- A jak pan znalazł tę pracę?

Harry zaśmiał się.

- Niestety, przez znajomości. Widzi pan, jestem stąd. Urodziłem się w Dedham i moi krewni wciąż tam mieszkają. Znali właścicieli i polecili mnie. Przez pierwsze dwa miesiące byłem na okresie próbnym, ale widocznie uznano, że dobrze sobie radzę, bo zostałem zatrudniony na stałe. Piękne miejsce, miły personel, niezła pensja, mieszkanie, utrzymanie. I czasem jakieś gratyfikacje.

Mówił to bardzo przyjacielsko, po kumpłowsku. Parker pokiwał głową.

- A więc spadł pan na cztery łapy. Gratuluję. A tak przy okazji, widziałem się z pańską żoną.

- Moją byłą żoną - poprawił go Oakham. Na jego twarzy wciąż widniał uśmiech. - A

dłaczego? Chyba nic jej się nie stało?

- Nie, nie, wszystko w porządku. Pojechałem do pana starego domu, a tam nowi właściciele podali mi jej adres. Powiedziała, że się rozwiedliście.

Harry uniósł ręce w geście żalu.

- Lepiej było definitywnie załatwić sprawę. Miała innego faceta. Póki pracowałem, nie miało to znaczenia, ale kiedy odszedłem z biura, zaczęło mi przeszkadzać. Mam nadzieję, że za niego wyjdzie. Nie byłem zbyt dobrym mężem, zanadto pochłaniała mnie praca. Na szczęście nie mieliśmy dzieci, bo to jest dopiero straszne, kiedy wszystko skrupia się na dzieciach. Jesteś żonaty, Jim?

Parker zauważył przejście na ty.

- Jakoś nie. A nie musiał pan ukończyć jakichś kursów hotelarskich czy czegoś takiego, żeby podjąć tu pracę?

- Nie. - Harry pokręcił głową, wyraźnie ubawiony własnym tupetem. - Podjąłem pracę w miejscu, w którym zostawił ją mój poprzednik. Zmieniłem parę rzeczy, kiedy się zacząłem lepiej w tym wszystkim orientować, ale polegało to głównie na zarządzaniu ludźmi, a w tym zawsze byłem dobry. W poprzedniej pracy miałem do czynienia z bardzo różnymi, ale ja lubię ludzi.

- I hotel dobrze idzie? Widziałem dużo samochodów na parkingu. Musi tu być bardzo drogo.

- Jest - przyznał Harry. - Bardzo drogo, ale warto. Przyjedź kiedyś na jedną noc.

- Nie przy mojej pensji - odpowiedział Parker.

- Jako mój gość - zaprosił Harry. - Naprawdę. Oprowadziłbym cię, ale jestem trochę zajęty po południu.

Odprawienie go wymagało więc połączenia z przekupstwem. Parker nie od razu się ruszył. Zmarszczył brwi i odchrząknął. Wyglądał na zakłopotanego.

- Próbowałem odnaleźć twojego dawnego kolegę, Harry. - On też przeszedł na ty. - Jan Plekiewski. Zniknął. Wiesz, nie był zbyt zrównoważony. Pytałem wszystkich, którzy go znali, ale on po prostu zostawił pracę, wyszedł ze swego pokoju i tyle go widzieli. Nie miałeś od niego jakichś wiadomości?

Harry Oakham wstał.

- Nie zniknął! Wrócił do Polski, kiedy doszła do władzy Solidarność. Jadłem z nim kolację przed wyjazdem. Był w świetnej formie, przejęty powrotem. Mówił, że zacznie od nowa, wśród swoich. Urodził się tutaj, ale zawsze mówił, że nie czuje się Anglikiem. Jakiś czas temu dostałem od niego kartkę, że trochę podróżuje, ale nie zamierza wracać. Nie ma

potrzeby się o niego martwić. Myślę, że odnalazł swoje miejsce w życiu. Mam nadzieję, bo to dobry człowiek.

Otworzył drzwi i Parker wyszedł za nim do holu. Razem zeszli po schodach przed budynek. Świeciło słońce. Parker odwrócił się i spojrzał na hotel.

- Musi być bardzo stary - zauważył. - Ma jakąś historię?

Specjalnie zwleka, uznał Oakham. Nie pozwoli się wyprowadzić, dopóki nie będzie gotów. Znał ten typ. Nadmiernie gorliwy, drobiazgowy, pełen dobrych intencji. Nie znosił wszystkich Parkerów tego świata. Odpowiedział trochę protekcyjnie:

- Tak, był twierdzą katolików w czasach Tudorów, schronieniem księży i tak dalej. Podobno jest nawiedzany przez ducha dziecka, które zostało tutaj zamordowane, ale nie umieszczamy tego w prospektach reklamowych. Naprawdę, Jim, przyjedź kiedyś. Po prostu przedtem zadzwoń.

Otworzył drzwiczki samochodu i Parker wsiadł. - Dziękuję, może kiedyś skorzystam. Cieszę się, że ci się wszystko tak dobrze ułożyło. A jak się kiedyś do ciebie odezwie Plekiewski, masz tu mój telefon. Jeżeli rzeczywiście wyjechał na dobre, to musimy zamknąć jego akta.

Pomachał ręką, odjeżdżając. Harry odwrócił się i wszedł do środka. Schował w biurku kartkę z telefonem. Zamknął akta Jana. Później coś im opowie.

*

- Która to godzina? Muszę lecieć - rzucił nagle Jim Parker.

Wstała razem z nim. Przerwał opowiadanie na odjeździe z hotelu, więc oznajmiła:

- Nie powiedział mi pan dostatecznie dużo. Czy pańskie odczucie, że coś jest nie w porządku, to wszystko? Nie bardzo jest się na czym oprzeć. Niech się pan nie gniewa, że tak mówię.

- Absolutnie się nie gniewam, ale to ciekawa historia, co?

- Tygrys w kocim koszyczku - mruknęła, gdy wracali w kierunku Birdcage Walk. - Dobry tytuł na jakiś kryminał, choć pan ich nie lubi. Ale gdzie ma być moje miejsce w tym wszystkim, panie Parker?

- Jeżeli pani nie złapie zaraz tej taksówki, która tam jedzie, pani miejsce będzie tu, na Birdcage Walk. Zadzwoń do pani jutro. Moglibyśmy się spotkać i iść dalej tym tropem. Jeśli to panią naprawdę interesuje.

Była na niego zła.

- Oczywiście, że mnie interesuje - powiedziała. - Nie musi pan dzwonić. Mam się zobaczyć z moim byłym mężem o dwunastej, a później będę w domu, całe popołudnie i

wieczór.

- Więc może o trzeciej? Znam adres. Do zobaczenia.

Odwrócił się i ruszył szybko w przeciwnym kierunku. Posłuchała jego rady i zatrzymała taksówkę. Wieczorem była umówiona na kolację z przyjaciółmi. Byli bardzo mili, kiedy się dowiedzieli, że jest sama.

*

James Bennet na ostatnie spotkanie zaproponował miejsce neutralne. Na rogu World's End znajdowała się winiarnia, w której był raz czy dwa. Zaproponował, żeby podsumowali swoje małżeństwo między dwunastą a pierwszą. Czekał już, gdy weszła. Wyglądał na bardzo odprężonego.

- Cześć, Rosa.

- Cześć, James.

Zauważył, że jest dość blada. Jego dziewczyna w ciąży rozkwitła. Rosa usiadła i zapaliła papierosa.

- Znów zaczęłaś? - spytał. - Chyba ostatnim razem mówiłaś, że rzuciłaś.

- Dobrze wyglądasz - zmieniła temat.

- Bo dobrze się czuję. Jestem zajęty, ostatnio zrobił się spory ruch.

- Cieszę się.

- A jak ty? Co w pracy?

Usłyszała znaną nutkę w jego głosie. Wciąż miał żal. Zgodziła się na wszystko, o co prosił, ale jej nie przebaczył. Może nie był aż tak szczęśliwy, jak opowiadał.

- Jestem na urlopie.

- Kiedy jedziesz do Brukseli? - Przywołał kelnera. - Co pijesz? Czerwone czy białe?

- Nic, dziękuję. Może nie przyjmę tej brukselskiej propozycji. Chcę pozatwajać swoje sprawy. Będą inne okazje.

- Nie oczekuj, że powiem, jak mi przykro. Gdyby nie ta twoja cholerna praca, Rosa, nie siedzielibyśmy teraz tutaj, chcąc oszczędzić na adwokatach.

Popatrzyła na niego i powiedziała cicho:

- Jesteś tego pewien? Bo ja już nie. Niewiele było trzeba, żeby nas rozdzielić, nie uważasz? Zrobiliśmy błąd, pobierając się. Zostawmy to tak.

Pijąc wino, patrzył na nią przez kieliszek.

- Poznasz kogoś innego - rzucił. - O ile już nie poznałaś.

- Nie poznałam - odparła obojętnym tonem. - To ty miałaś coś na boku, nie ja. Przestańmy sobie dogryzać, tylko załatwmy to wreszcie. Nie chcę się kłócić.

- Nigdy się nie lubiłaś kłócić - przyznał. - Teraz, kiedy coś palnę, Bella robi piekło. Łatwiej z tym żyć.

- Masz szczęście. - Wzruszyła ramionami. - Nie chcę o niej mówić. Masz te papiery? Otworzył teczkę.

- Wszystko jest tutaj. To lista rzeczy, które chciałbym zabrać. Powiedz, czy się zgadzasz.

- Meble są w większości twoje - powiedziała, odsuwając listę w jego stronę. - Nie muszę tego oglądać. Kiedy przyjedzie ciężarówka?

- Nie potrzebuję ciężarówki - rozłożył się. - Co ty sobie wyobrazasz? Że chcę tę chałupę ogołocić? Jest tam biurko i dwa obrazy mojej matki. Chyba powinna je dostać z powrotem. Niektóre książki i krzesła z holu. Nie upierałbym się przy nich, ale należały do mojego dziadka.

- Weź je - powiedziała Rosa. - Proszę cię, James, bierz, co chcesz. Daj, podpiszę ten papier.

To ona wystąpiła z propozycją rezygnacji z alimentów. O dziwo, musiała go przekonywać, nim się zgodził, by podpisał zrzeczenie się roszczeń do części jego zarobków. Kiedy jednak podjęli decyzję i pozostałe dokumenty były gotowe, powiedział adwokatowi, że on i jego żona nie muszą się spotykać w jego kancelarii, aby dopiąć szczegóły. Adwokat zirytował go swoją złośliwością. „Miło, że państwo są w takich przyjacielskich stosunkach. Może nie powinniście się śpieszyć z rozwodem?” - powiedział.

James nie zareagował.

Wziął od niej papiery, spojrzał, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku - Rosa wiedziała, że jest bardzo dokładny - i odłożył je.

- Więc jakie masz plany?

- Nie zastanawiałam się jeszcze.

Jakby rozmawiała z nieznajomym. Był jej mężem, kochankiem, a teraz gawędziła z nim jak z obcym na temat swojej przyszłości.

- Jeśli nie pojedę do Brukseli, może wybiorę się gdzieś na wakacje. James, skoro nie mamy nic więcej do załatwienia, to chyba już pójdę.

Poprosił o rachunek. Nie chciała czekać, wołałaby się pożegnać przy stoliku i wyjść sama. Ból ostatecznego rozstania czy ból klęski - nie wiedziała, co to jest. Ale czuła ból. Otworzył jej drzwi.

- Rosa - powiedział i na moment przytrzymał jej rękę. - Żal ci, prawda?

- Tak, oczywiście, że mi żal.

- Wiem, że zachowałem się jak gnojek, przepraszam. Jeżeli kiedykolwiek będziesz czegoś potrzebowała, jakiejś pomocy, daj mi znać. Obiecujesz?

- Dzięki, będę pamiętać.

- Nie zapomnij. Mam nadzieję, że ci się ułoży. Może zostaniemy przyjaciółmi. Polubiłabyś Bellę.

- Do widzenia, James.

Puścił jej rękę.

- Jest taksówka. Hej!

Wóz zatrzymał się przy nich. Kierowca się wychylił i otworzył drzwiczki.

- Przejdę się - powiedziała. - Weź ją.

- Dobra, bo już jestem trochę spóźniony. Do widzenia, Rosa.

Zatrzasnął drzwiczki, uniósł rękę i zaraz usiadł, tak że nie było go widać. Już po wszystkim. Odszedł z żalem, widziała to po nim, i odrobiną smutku, bo nie spełniły się jego nadzieje, ale z czystym kontem. Ona też miała czyste konto.

*

Parker się spóźniał. Przygotowała na tacy nakrycia do herbaty i ciasteczka i zastanawiała się, co go mogło zatrzymać. Na automatycznej sekretarce nie znalazła żadnego nagrania. Spojrzała na zegarek. Dwadzieścia po trzeciej. Wtedy usłyszała dzwonek i zobaczyła go w progu. Nie usprawiedliwił się, powiedział tylko „cześć” i wszedł za nią do salonu. Rozejrzył się.

- Ładny ma pani dom. Jak poszło na lampce?

Popatrzyła na niego.

- Lampce?

- Lampce wina, z pani byłym - wyjaśnił. - Tu mam usiąść?

- Poszło bardzo dobrze - odpowiedziała oschle.

Nie miał prawa pytać jej o życie osobiste, ale nagle zdała sobie sprawę, że w jego świecie takie prawo istnieje. A teraz jest to też jej świat.

Powiedziała:

- Przepraszam. Nie chciałam być opryskliwa. Było nie najgorzej, o nic się nie kłóciliśmy. Prawdę mówiąc, okazał się bardzo hojny.

- Nieczyste sumienie - orzekł Parker. - Ale jakoś pani to przeżyje?

- Już przeżyłam. No, prawie. Zrobię herbaty. Woli pan z mlekiem czy z cytryną?

- Z mlekiem proszę. - Wstał, kiedy weszła z kuchni do pokoju. - Wezmę tacę. Mieszka tu pani sama?

- Mógłbyś do mnie mówić Rosa? Postaw na tym stoliku.

Nalała im obojgu herbatę, a on wziął dwa herbatniki.

- W naszej służbie pełno jest dziwaków - zaczął. - Może trzeba być dziwakiem, żeby w ogóle się do tego nadawać.

- A ty jesteś?

- Chyba tak. Wojna to co innego, ale robić w czasie pokoju to, co robił Oakham, to zupełnie co innego. Sporo pracowników zrezygnowało po wojnie. Nie potrafili zabijać z zimną krwią, bez sztandarów i trąb bojowych w tle. On przyszedł do nas jako młody człowiek, miał dwadzieścia cztery lata, po uniwersytecie i krótkiej pracy w City, w ubezpieczeniach. Umierał tam z nudów, jak powiedział podczas rozmowy kwalifikacyjnej. Szukał wyzwania, czegoś, żeby się sprawdzić. Przeszedł długie szkolenie, testy psychologiczne, poddawany był próbom do granic wytrzymałości fizycznej i zniósł je również dobrze psychicznie, choć wielu innych z tego samego naboru się załamało. Stanowił materiał na zabójcę, tak uznano. Mimo to przeszedł długą drogę, naukę śledzenia i kodowania, posługiwania się materiałami wybuchowymi, szkolenie w zakresie radiokomunikacji, zakładania podsłuchu, wszystkiego. Nim go awansowano, znajdował się na pozycji równej gliniarzowi na obchodzie. A później, bocznymi drogami, przeszedł do wydziału W. „W” jak wolność.

- Co to znaczy? - spytała Rosa.

- Wolność od trosk tego świata. - wyjaśnił Parker. - Pewnie wymyślił to jakiś pedzio w Cambridge. Cha, cha.

- Dla mnie to nie jest śmieszne.

- Dla mnie też nie. Mogę jeszcze herbatnika? Jeżeli się zastanawiasz, dlaczego ci to mówię, to wiedz, że nie robię tego bez powodu.

- Jestem pewna - Rosa pokiwała głową. - Poczęstuj się. Jeszcze herbaty?

Nalała mu.

- Maluję ci portret Harry’ego Oakhama. Nie jest to łatwe, ale muszę spróbować. Jeżeli się podejmiesz tego zadania, musisz wiedzieć, z czym się masz zmierzyć. Oakham nie był zupełnie w porządku i czułem to, ale nie mógłbym powiedzieć dlaczego. A muszę to wiedzieć na pewno, nim napiszę raport. Zostałem więc przez weekend w Dedham i powęszyłem trochę.

*

Po niedzielnym śniadaniu poszedł na spacer. Przechadzał się po uroczej wiosce, oglądając wystawy sklepów z pamiątkami i butików. Stary kościół z czworokątną wieżą zamykał perspektywę głównej ulicy. Teraz już nie słyszy się w niedzielę dzwonów, pomyślał

Parker. W każdym razie nie tam, gdzie on mieszka. Ta sceneria przypominała mu małe miasteczko jego dzieciństwa. Ojciec chodził na poranne nabożeństwo, a matka w tym czasie przygotowywała tradycyjną pieczeń na niedzielny obiad. Jim miał dwie siostry i brata. Siostry wyszły za mąż i przeniosły się w różne strony kraju, brat przejął praktykę dentystyczną ojca. Matka żyła, ale była stara, miała zaawansowaną sklerozę i nie mogła mieszkać sama. Starał się odwiedzać ją w domu opieki jak najczęściej. Oddalił się od rodzeństwa.

Obserwował grupki ludzi wchodzących do kościoła i pod wpływem impulsu wszedł za nimi i usiadł w ławce. Poczł znajomy zapach. Kościół, który pamiętał z dzieciństwa, też był z trzynastego wieku i czuło się w nim lekką woń stęchlizny, co mu zawsze przywodziło na myśl martwe ptaki, gdy był chłopcem. Nie brał udziału w modlitwach, kazanie nie przerwało mu toku własnych myśli. Kiedy przebrzmiały ostatnie dźwięki organów, ludzie zaczęli wychodzić. Nie było ich wielu i wkrótce kościół opustoszał. Harry Oakham pewnie tu przychodził jako chłopiec. Oakhamowie mieszkali w Dedham od pokoleń. Przypomnił sobie starego barmana w pubie, przyglądającego mu się z podejrzliwością wieśniaka. „Niech pan spróbuje w Bruton Hall”. Rodzina Harry’ego Oakhama to stara szlachta. Pewnie nie on pierwszy wyruszył stąd, aby zanurzyć ręce we krwi, a następnie obmyć je do czysta przed kolacją w klubie artystów.

Parker wstał i zaczął chodzić po kościele. Na ścianach widniały tablice ku pamięci Oakhamów. Jakiś Oakham figurował w spisie pastorów. Dziadek Harry’ego. To było w jego teczce. Mały witrażyk, na nim Jezus z owieczką jak zabawka i dwoma tłustymi aniołkami, wpatrującymi się w niebo. Ufundowany dla uczczenia pamięci podporucznika Artura Davida Oakhama z pułku Suffolk, poległego nad Sommą, 10 września 1916 roku, w wieku dwudziestu lat. Pamięć o nim będzie żyła wiecznie.

Parker wrócił do wyjścia. Mężczyzna w sutannie czekał, żeby zamknąć. Uśmiechnął się do Parkera i powiedział „dzień dobry”. Miał miłą, przyjacielską twarz. Dobry pasterz swego stadka. Jim pamiętał, że jego ojciec mówił tak o ich duszpasterzu. Otrząsnął się ze wspomnień i zaczął obchodzić kościelne podwórze, przyglądając się nagrobkom. Znalazł go z tyłu. Wysoki, granitowy, otoczony małym płotkiem. W szczelinach granitu nie wyrosły żadne zielska. Wazon na kwiaty był pusty, okryty warstewką pajęczyny. Od dawna nikogo tutaj nie było.

Judith Elizabeth, ukochana żona Harry’ego Oakhama. Urodzona w 1953, zmarła w 1977. Bardzo młodo. Patrzył na grób. Tak, to wszystko było w teczce Oakhama. Zginęła w wypadku w Verbier. Tutaj jednak wydawało się to bardziej realne. Zmarła dwa lata po ślubie. A później, kierując się niezrozumiałymi motywami, Oakham ożenił się z kobietą, z którą

Parker rozmawiał. Mieszkał w małym, skromnym domku, jak gość, i rzucił wszystko natychmiast po zakończeniu służby. Nagle znalazł się w luksusowym hotelu w okolicy swego domu rodzinnego. Wspaniała praca, do której nie był przygotowany. Śmiertelna broń, unieszkodliwiona i zawieszona na ścianie... Zarządzanie ludźmi. Był w tym dobry. Dostał pracę dzięki znajomościom rodzinnym.

Doszedł do Bruton Hall i ruszył długim, dobrze utrzymanym podjazdem. Z daleka widać było pasące się bydło. Dom znajdował się na końcu pięknej lipowej alei.

Mieszkało tu kilka pokoleń, powtórzył w myśli. Czasy się zmieniły. Przed domem stały samochody, nieomylny znak, że ze względów finansowych został on podzielony na mniejsze mieszkania. Podeszedł do głównego wejścia. Zabytkowe drzwi otaczał kamienny portyk. Spojrzał na listę lokatorów. Oakhamów znalazł na ostatnim piętrze. Nacisnął dzwonek i czekał.

- Proszę? - usłyszał głos w domofonie.

- Pani Oakham?

- A kto tam?

- Nazywam się Parker. Czy to pani Oakham?

- Nie. Niestety, Oakhamowie wyjechali. Zaraz zejść.

Drzwi otworzyła kobieta w średnim wieku, w spodniach. Właściwie uchyliła je, bo nie zdjęła łańcucha. Tak wygląda Wielka Brytania w latach dziewięćdziesiątych, pomyślał Parker. Nawet w prowincjonalnym Suffolk panuje obawa przed obcymi.

- Pan Parker? - Miała nosowy głos, wznoszący się przy ostatnich sylabach.

- Tak. Przepraszam, że zawracam pani głowę w niedzielę, ale szukam dawnego kolegi, Harry'ego Oakhama. Zatrzymałem się we wsi i poradzono mi, żeby tu spytać.

Otworzyła drzwi z łańcucha i wpuściła go do holu. Musiał to być kiedyś piękny dom.

- Czy on przypadkiem nie pracuje w jakimś hotelu w okolicy? Chyba Liz coś mówiła. Przypominam sobie imię. Jakiś ich kuzyn. Ja jestem tylko przyjaciółką. Pilnuję psa, bo Oakhamowie pojechali na ryby do Szkocji.

- Nie powiedzieli przypadkiem, co to za hotel?

- Nie, nie sądzę. Mówili, zdaje się, że kuzyn kiedyś do nich zadzwonił. Przykro mi, że nie wiem nic konkretnego, ale chyba nie widzieli się z nim od lat. Mogę im zostawić wiadomość, jeżeli poda mi pan swój numer, to do pana zadzwonią. Wracają w przyszłym tygodniu.

Uśmiechnął się i machnął ręką.

- Nie, proszę sobie nie robić kłopotu. Po prostu zatrzymałem się w okolicy na parę dni

i chciałem spróbować. Dziękuję pani bardzo.

Drzwi się zamknęły, a on odwrócił się i ruszył w drogę powrotną. Minęła go jakaś cortina, odświętnie wypucowana, i zatrzymała się przed domem. Któryś z mieszkańców. Przyjaciółka pilnująca psa miała głos jak Joyce Grenfell i wyglądała też podobnie. Zdawało jej się, że kuzynostwo nie widzieli się z Oakhamem od bardzo dawna. Ale Harry powiedział: „znajomości rodzinne”. Kuzynowie mieli być przyjaciółmi nowego właściciela, i to dzięki nim dostał pracę.

W poniedziałek rano Parker napisał w biurze notatkę dla swego bezpośredniego przełożonego. Jedno kłamstwo to za mało, żeby budować na tym teorię, ale nie miał nic poza tym, oprócz dręczącego przeczucia. Szef nauczył się to szanować. Wszczęto śledztwo.

- Problem w tym - wyjaśniał Parker Rosie - że nie możemy zaangażować w tę sprawę żadnego zawodowca. Zawsze istnieje możliwość, że Oakham go rozpozna. To mały światek i takie rozwiązanie nie byłoby bezpieczne. Odszedł zaledwie kilka miesięcy temu. Potrzebujemy nowej twarzy. Kogoś, kto nie ma etykiety, którą Harry mógłby łatwo odczytać. Dlatego zwróciliśmy się do sir Petera Jefforda, czy nie zna kogoś, kto, jego zdaniem, mógłby się tego podjąć. Zaproponował ciębie.

Czas szybko mijał. Wstała.

- Napijmy się, ja mam ochotę. Co chcesz?

- A co masz?

Był teraz dla niej bardzo miły, chyba go nawet polubiła.

- Praktycznie wszystko. James zostawił mi pełną piwniczkę wina i zapasy czegoś mocniejszego.

- Bardzo hojny, co? Poproszę szkocką z lodem.

- Ja mam dzisiaj ochotę na wódkę - powiedziała. - Chwileczkę.

Czekając, zapalił papierosa. Zrobiła na nim wrażenie. Słuchała, nie przerywając, żeby pokazać, jaka jest mądra. Podobało mu się to. Zaczynał ją lubić. Jeżeli jest rzeczywiście taka dobra, na pewno coś znajdzie. O ile on ma rację i coś jest na rzeczy. Bo na razie to nic konkretnego. Zaledwie jedno drobne kłamstwo, za którego pomocą Oakham robił z siebie ważnego faceta z rodziną, co to pstryknie palcami i od razu znajduje mu wspaniałą posadę. Kłamstwo rozrastało się po ustaleniu, że nowi właściciele to szwajcarskie konsorcjum z siedzibą w Genewie. Ci z konsorcjum na pewno nie byli niczymi przyjaciółmi.

Rosa Bennet nadawałaby się doskonale do Domu Lalek. Miała idealne przykrycie i w dodatku prawdziwe. Porządne wakacje, żeby się pozbierać po rozwodzie. Dwa lub trzy tygodnie na wsi. Czytanie, zwiedzanie sklepów ze starociami, trochę wycieczek. I

jednocześnie wyszukiwanie szczegółów, które do siebie nie pasują w sprawie Oakhama. Jeśli przekaze coś interesującego, zajmą się nim chłopcy z wydziału specjalnego. Nie grozi jej niebezpieczeństwo, jeśli będzie ostrożna.

Wróciła z napojami i uśmiechnęła się do niego.

- Znalazłam specjalną, marki Chivas Regal. Wrzuciłam tylko trochę lodu. - Usiadła obok niego. - A jaka byłaby moja rola w tym wszystkim? Nie widzę jakoś dla siebie miejsca.

- Pierwsze, co masz zrobić - odpowiedział Parker - to zastanowić się nad tym. Przemyśl to dokładnie, nim się zdecydujesz.

- Mogłabym to zrobić jedynie wtedy, gdy się dowiem, o co chodzi - odparowała. - Nie umiem czytać w myślach, Jim.

- Jeśli chcesz być dobra, to i tego będziesz się musiała nauczyć. Świetna szkocka. Chodzi o to, żebyś pojechała i zatrzymała się w tym hotelu, miała oczy otwarte i spróbowała zaznajomić się z Oakhamem. Porozmawiać z nim, trochę go poczarować. Jesteś bardzo atrakcyjną kobietą. Rozwiedzioną, nieco zagubioną, próbującą się pozbierać. Ale bądź bardzo, bardzo ostrożna, żeby nie wzbudzić jego podejrzeń. Wiesz, co to za człowiek. Do czego jest zdolny.

Nie odpowiedziała od razu. Wypiła łyk wódki.

- Kiedy mówiłaś „trochę poczarować”, miałaś na myśli... przespać się z nim?

- Sama będziesz musiała się zorientować - powiedział. - Może w ogóle do tego nie dojść, a może dojść. Nie potrafię określić, jak daleko trzeba będzie się posunąć, ale odpowiedź muszę znać teraz. Jeżeli odrzucisz propozycję, pewnie postąpisz właściwie. Nikt nie będzie miał do ciebie żalu. Ja na pewno nie. Masz czterdzieści osiem godzin. Nie śpiesz się. Później zadzwoń do mnie. Jeżeli twoja odpowiedź będzie „tak”, dam ci ostatnie instrukcje i numer kontaktowy. Jeśli „nie”, wybierzemy się ewentualnie na drinka lub na obiad. A teraz chyba już pójdę.

*

- Rosa, kochanie, dlaczego nie wybierzesz się na urlop do jakiegoś ciepłego kraju? - Matka spojrzała na nią znad haftu. Była kobietą, która nie potrafi usiedzieć bez pracy. Musiała coś robić. Uważała, że gdyby córka zajęła się robótkami ręcznymi, pomogłoby jej się to zrelaksować. - Jesteś taka spięta - ciągnęła. - Teraz, kiedy jest po wszystkim, powinnaś jak najprędzej wyjechać. Czy mogłabyś mi podać nożyczki? Są na stole.

Kochała córkę, ale niewiele je łączyło. Od czterech lat była wdową i ułożyła sobie życie bardzo pracowicie. W wiosce dużo się działo, a ona angażowała się we wszystko. Twierdziła, że nie ma czasu czuć się samotna.

- Wolałabym spędzić urlop w Anglii - powiedziała Rosa.

- Nie wiem, dlaczego jesteś taka przeciwna Hiszpanii. - Matka nawlokła igłę jedwabną nitką. - Ja i Sally spędziłyśmy tam w zeszłym roku cudowne wakacje.

Matka jeździła z przyjaciółkami i w ogóle uwielbiała podróże. Była przekonana, że słońce doskonale Rosie zrobi, i prawie cały weekend spędziła na poleceniu jej swoich ulubionych kurortów.

- Na samą myśl o Costa del Sol dostaję dreszczy! - Rosa wstała i podała matce nożyczki. - Nie pojedę do Hiszpanii ani na Majorkę z żadnym biurem turystycznym i dajmy już temu spokój, mamo. Zatrzymam się w jakimś miłym, cichym hoteliku, gdzie nikt mi nie będzie zawracał głowy i nie stracę czasu na dojazd.

Weekend stawał się koszmarem. Zawsze nawzajem działały sobie na nerwy. Teraz dodatkowo matka przejęta była jej rozwodem z Jamesem. Zawsze go lubiła, a on lubił ją; matka uważała, że Rosa będzie żałować dobrze zarabiającego męża z dużymi perspektywami na przyszłość.

Kiedy Rosa zadzwoniła do niej, by poinformować ją, co się zdarzyło, matka wykrzyknęła:

- Jesteś niemądra i uparta! Dlaczego ta kobieta ma ci go odebrać? Nie zaczynaj znów o tej ciąży, przecież zrobiła to tylko po to, żeby go na nią złapać. Na twoim miejscu próbowałabym go odzyskać. Praca, tak, no dobrze, ale...

Rosa przerwała wtedy rozmowę i nie przyjeżdżała do matki, póki nie załatwiła rozvodu. Teraz było już po wszystkim.

Mama powiedziała:

- Jeżeli rzeczywiście wolisz takie wakacje, to nie będę cię namawiać, żebyś postąpiła rozsądniej. Ale myślę, że się zanudzisz na śmierć. Wiesz, jaka jesteś. Zrobię herbaty.

Matka wyszła do kuchni. Była to kobieta, która wszystko robiła planowo. Spieszyła się przez całe życie, jakby wszystko, do czego się brała, było niezwykle ważne. Ojciec Rosy nigdy się nie śpieszył. Był spokojnym, skupionym człowiekiem, lubiącym ciszę i własne myśli. Póki nie przeszedł na emeryturę po niezbyt groźnym ataku serca, był profesorem historii w Oksfordzie. Rosa miała jeszcze starszego brata. Oboje, podobnie jak rodzice, byli zupełnym przeciwieństwem. Rozmiłowany w sportach brat, raczej bez polotu, zamiast iść na studia wyjechał do Australii i tam osiadł. Miał żonę Australijkę i kilkoro dzieci, które biegały po domu jak szalone, kiedy przyjeżdżały z wizytą do dziadków. Rosy nic nie łączyło z żadnym z nich. Jej rodzice cieszyli się, kiedy je widzieli, i wyraźnie oddychali z ulgą po ich wyjeździe. Rosa od dziecka miała zamiłowanie do nauki, była doskonałą studentką i

ukończyła uniwersytet jako prymuska. Ojciec był szalenie dumny z jej osiągnięć i zachęcał ją do pracy w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Matkę znacznie bardziej ucieszyło małżeństwo córki z Jamesem Bennetem.

- Proszę. Mamy pyszny biszkopt. Spróbuj kawałek. Więc kiedy wyjeżdżasz? Znalazłaś już jakieś miejsce?

- Tak, w jakiejś ulotce reklamowej. Wygląda uroczo. Hotel nazywa się Dom Lalek. Tuż koło Dedham.

- Mnie się to wydaje okropne - powiedziała matka. - Jakaś dziura zabita deskami.

- Duży budynek w stylu Tudorów. - Rosa nie chciała się spierać. - I jest tam jezioro. Sporo ciekawych miejsc do zwiedzania, jeśli będzie mi się chciało jeździć samochodem. Właśnie na coś takiego mam ochotę.

- No trudno - westchnęła matka. Co za bzdura, spędzać wakacje w Anglii! Nigdy nie można być pewnym pogody. Ale ona i Rosa zawsze lubiły co innego. - Może i dobrze ci to zrobi. Ale uważam, że to pretensjonalne, żeby nazwać hotel Dom Lalek. Pamiętasz swój domek dla Wendy? Ty i Philip zawsze psuliście wszystkie swoje zabawki.

- Zawsze się o nie biliśmy - przypomniała jej Rosa. O wszystko inne też. - Nie pamiętam domku dla Wendy. Co się z nim stało?

- Oddałam go, gdy organizowano jakąś akcję charytatywną. Wy oboje wyjechaliście do szkoły. Niepotrzebnie zajmował miejsce. Może szkoda, że się go pozbyłam. Wnukom pewnie by się spodobał.

- Mamusiu kochana, oni roznieśliliby go w drzazgi w ciągu pięciu minut.

- Chyba masz rację. Tak bym chciała, żeby byli trochę lepiej wychowani. Ale są słodcy.

Zawsze kończyła w ten sposób, gdy była mowa o wnukach.

- Są okropni i dobrze o tym wiesz - sprostowała Rosa.

Matka uśmiechnęła się. Nie miała żalu, jeśli ktoś mówił szczerze.

- Tak, kochanie, wiem, że są, ale i tak ich Kocham. - Skończyła herbatę i odstawiła filiżankę na tacę. - Jedno, co dobre, to to, że przeprowadziliście rozwód tak kulturalnie. Bałam się, że będziecie się wzajemnie oskarżać. Wręcz klinicznie czysto.

- Tak - zgodziła się Rosa. - Jak amputację nogi.

Matka spojrzała na nią.

- Chyba tego nie żałujesz? Nie jest za późno, jeżeli...

- Nie żałuję, a poza tym nie chodzi o mnie. James chciał rozwodu. Ożeni się, gdy tylko wyrok się uprawomocni.

- Tak, kochanie, wiem, ale na pewno mogłabyś go odzyskać, gdybyś chciała. Był w tobie szaleńczo zakochany i na pewno jeszcze jest.

- Niestety, nie - odparła Rosa. - Czekał tylko, żeby się mnie pozbyć. Nie ma się co ludzi, mam. Koniec, kropka. I nie martw się o mnie. Już się z tym pogodziłam. Pewnie dlatego, że ty i tata byliście tacy szczęśliwi, uważałam, że małżeństwa się nie rozpadają.

Tak było naprawdę. Byli szczęśliwi przez ponad czterdzieści lat. Dopasowani jak dwie połówki jabłka. Rosa wstała.

- Pójdę się spakować, mam. Lepiej wyjechać, zanim się zacznie większy ruch. Wiesz, jak to bywa w niedzielę wieczorem.

Matka wyniosła tacę i pozmywała naczynia. Schowała biszkopt do puszki. Westchnęła. Rosa była zawsze śliczna, już jako małeństwo. Ale tak sobie wszystko skomplikowała. Szkoda, że jest taka mądra, zupełnie jak ojciec. I taka ambitna. Teraz te młode kobiety są zupełnie inne, niezależne. Nie znajdzie następnego Jamesa tak szybko. Mieli uroczy dom, dużo pieniędzy. Była urządzona... Matka wróciła do pokoju i do zaczętej robótki.

Na górze, w swoim dawnym pokoju, Rosa spakowała niewielką torbę. Pokój wyglądał prawie tak samo jak wtedy, kiedy go opuszczała w dniu ślubu. Te same obrazki, ta sama, spłowiała z latami, narzuta na łóżko, stanowiąca komplet z zasłonkami. Ona, Rosa, była szczęśliwa, wychodząc stąd w ślubnej sukni i rozpoczynając nowe życie. Teraz wszystko się skończyło. Rozejrzała się dookoła. Przyjechała tu w piątek, po spotkaniu z Parkerem. Zaprosił ją na obiad do włoskiej knajpki na Fulham Road.

- Niestety, nie bywam w eleganckich klubach - powiedział - ale jeżeli lubisz włoskie jedzenie, to znam dobre miejsce.

Nie naciskał jej, żeby dała odpowiedź na złożoną propozycję.

Wypili coś i przeglądali menu. Odłożyła je i powiedziała:

- Wezmę tę pracę, jeżeli oferta jest wciąż aktualna. Przemyślałam wszystko starannie i chciałabym się tego podjąć.

Popatrzył na nią znad karty.

- Dobrze. Miałem nadzieję, że tak zrobisz. Co byś zjadła? Mogę polecić spaghetti *alle vongole*, jeżeli lubisz owoce morza.

Miała wynająć pokój w hotelu na dwa tygodnie, i to jeden z najlepszych. Zachowywać się normalnie, ale przyjaźnie w stosunku do personelu. Zorientować się, jak hotel działa oraz jaki jest jego rozkład. Poznać się z Oakhamem, ale nie oczekiwać szybkiego wyjaśnienia wszystkich wątpliwości. Może jej się w ogóle nie udać. Wszystko jest problematyczne.

- Musiałabyś mieć szczęście - tłumaczył Rosie Parker, gdy już pili kawę. -

Zaobserwować jakiś drobny błąd, który ktoś popełni, jakieś wydarzenie, które nie powinno mieć miejsca. Tak, będziesz potrzebowała dużo szczęścia.

- A jeżeli nic się nie wydarzy? Będę się kręcić tu i tam i nic nie znajdę? Jeżeli on jest czysty, a jego praca prawdziwa?

Parker wzruszył ramionami.

- Będziesz miała za darmo dwa tygodnie wakacji w wytwornym hotelu. Sądę jednak, że moje przypuszczenia się potwierdzą.

Dostała dwa numery telefonów. Jeden do rzekomej przyjaciółki w Londynie. Pod ten numer może zadzwonić z hotelu, powiedzieć, że wszystko jej się podoba, jest bardzo miło, i to będzie znaczyło, że nie dostrzegła nic podejrzanego. Pod drugi wolno jej dzwonić tylko z bezpiecznego telefonu poza hotelem. Było to bezpośrednie połączenie z Parkerem.

- I jeszcze jedno dodał Parker, jakby mu to dopiero w tej chwili przyszło do głowy, ale Rosa wiedziała już, że zawsze na końcu dorzuca coś ważnego. - Jeżeli wpadniesz na kogoś takiego, daj mi znać.

Pokazał jej zdjęcie Jana Plekiewskiego. Przyglądała się uważnie, tak jak ją nauczono, starając się zapamiętać rysy twarzy.

- To dawny kumpel Oakhama - wyjaśnił Parker. - Polak, ale urodzony w Anglii. Jan Plekiewski. Znikł. Wspominałem ci o nim, pamiętasz?

Pokiwała głową. Pytał o niego Oakhama, a ten mu odpowiedział, że przyjaciel wyjechał do Polski.

- Myślisz, że może z nim być? W hotelu?

- Jeżeli jest - Parker skinął na kelnera - mamy punkt zahaczenia. Zawsze pracowali razem.

Na ulicy uścisnęli sobie ręce.

- Daj mi znać, kiedy już będziesz na miejscu - powiedział. - Bądź ostrożna. Powodzenia.

Wyjechała na weekend do matki. Sprawa zaczynała się posuwać naprzód. Rosa postanowiła zadzwonić i zarezerwować pokój po powrocie do Londynu. Wystarczy w poniedziałek. Zobaczyła przez okno gromadzące się chmury. Znosi się na deszcz. Wzięła torbę. Jakby po raz drugi zostawiała tu wszystko za sobą. Jest coś ostatecznego w tym zamykaniu drzwi swego pokoju, pomyślała, schodząc na dół. Opuszczam dom, w którym się urodziłam i wychowałam, jakbym miała nigdy nie wrócić.

Pożegnała się z matką. Jadąc do Londynu, karciała się w duchu za takie ponure i przesądne myśli.

5.

Rosjanin Wasilij Zarubin i Daniel Ishbav przybyli tego samego dnia. Daniel przyjechał pociągiem do Ipswich i Hermann Rilke miał odebrać go ze stacji samochodem. Panował między nimi jakiś wrodzony, naturalny antagonizm. Daniel wyglądał na zdenerwowanego i niepewnego siebie.

Rilke popatrzył na niego i powiedział:

- Pośpiesz się, tam stoi wóz. - W samochodzie dodał: - Musisz mieć odpowiednie ubranie. Masz być rewidentem ksiąg, moim asystentem, a wyglądasz jak handlarz uliczny.

- Odpieprz się - warknął Daniel.

Odwrócił się i zaczął wyglądać przez okno. Przeżył ciężkie trzy dni, zmieniając kryjówki na wypadek, gdyby go śledzono. Stał się nerwowy. Kluczył tak długo, dopóki nie był pewien, że jeśli ktoś go śledził, musiał go zgubić. W końcu znalazł się na stacji w Ipswich. Nie miał ochoty wysłuchiwać krytycznych uwag od tego szkopa. Handlarz uliczny! Zabolalo go to; właśnie taka była intencja Rilkego.

- Jak tam jest? - chciał wiedzieć Daniel.

- Widziałeś na wideo - usłyszał w odpowiedzi.

Rilke był wściekły, że taki gad mu odszczeknął. Jechali w milczeniu przez całą drogę do Croft Lodge. Rilke uważał, że bardzo przekonująco odgrywa rolę, jaką mu przydzielił Oakham, ale ten nie ogolony, szmatławy Izraelczyk...

Daniel rozejrzał się.

- Tu mieszkasz?

- Tak - syknął Rilke. - Harry wpadnie przywitać się z tobą. To jest twój pokój. Niestety, mieszkamy w tym samym domu.

Zostawił Daniela i poszedł do swojej części. Była obszerna i prowadziły stąd schody na najwyższą kondygnację. Została urządzona tak, jak Rilke sobie życzył, i nikt prócz niego nie miał tu wstępu. Drzwi na końcu schodów zostały wyposażone w podwójny zamek i tylko on i Harry Oakham posiadali klucze.

Pokój Daniela był doskonale urządzony. Bardzo podobała mu się też duża nowoczesna łazienka. Był zmęczony i spocony po podróży. Zrzucił ubranie i długo się mył pod gorącym natryskiem. Owinął się potem ręcznikiem i wszedł do pokoju. Różnił się on

znacznie od obskurnych kryjówek, w których tak długo mieszkał. Był tu wbudowany telewizor i mały barek, stała kanapa i wygodny fotel, szerokie łóżko, duża szafa na ubrania. Wprawdzie nie miał ich wiele, ale wszystko jedno. Ładnie urządzone. Luksus, pomyślał. Wygrzebał z torby czystą koszulę i dzinsy.

Rozległo się pukanie do drzwi i wszedł Harry. Uścisnął mu dłoń i poklepał go po ramieniu.

- Daniel! Jak miło cię widzieć! Dotarłeś bez problemów?

- Bez - powiedział Daniel. - Ładnie tu. Jak leci, Harry?

- Bardzo dobrze. - Oakham usiadł i wskazał na barek. - Napijmy się. Opowiem ci, jaki jest układ. Cały personel już słyszał o tobie. Nazywasz się Daniels i jesteś asystentem Hermanna. Nawiasem mówiąc, on nazywa się Brandt. - Roześmiał się. - A Monika jest panią Brandt.

Daniel zachichotał.

- Boże! Muszę z nim pracować?

- Pracujesz ze mną - sprostował Oakham. - Wszystko inne to tylko kamuflaż. Mam swój domek obok hotelu, bo jestem dyrektorem, ale zwykle przychodzę tu do was wieczorami. Trzymaj się cały czas z dala od hotelu, chyba że cię poproszę, abyś się pokazał. Rilke i ty jesteście audytorami zatrudnionymi przez firmę i tu macie swoje biuro i mieszkanie. Jan ma swoje koło stajni. Sprzątaczką przychodzi co rano, a wyżywienie załatwiacie na własną rękę.

- Nie wyobrażam sobie siebie w jednym biurze z Rilke - zaprotestował Daniel. - Tu naprawdę są biura?

- Prawdziwe, z komputerami i całą buchalterią hotelu. Rilke jest z wykształcenia księgowym, więc zna się na tym. Mówiłem ci, wszystko jest normalne, autentyczne. Dostaniesz strój służbowy, bardziej oficjalny. Jeżeli potrzebujesz trochę pieniędzy, służę gotówką. Będziesz miał do dyspozycji samochód. Możesz wyjeżdżać i wracać, kiedy chcesz. Nie muszę ci przypominać, żebyś się nie pakował w kłopoty i nie zwracał specjalnie na siebie uwagi, prawda? - Uśmiechnął się do Daniela w swój zwykły, przyjacielski sposób, lekko pokpiwając z jego licznych perypetii. - Zarubin ma przyjechać koło południa. Nie będzie tu z wami mieszkał. Jest gościem i ma pokój w hotelu.

- Dlaczego? - zaniepokoił się Daniel. - Kim on ma być?

- Pisarzem pracującym nad książką. Pisze biografię Vaclava Havla. Będzie ją tu kończył w ciszy i spokoju. Powiedziałem już personelowi, żeby mu nie przeszkadzano. Wygłosiłem im rano całe kazanie na jego temat.

- O wszystkim pomyślałeś - zauważył Daniel. - O każdym szczególe.

- Nie pociągnęlibyśmy długo, gdybym tego nie zrobił. Rozgość się, tu masz pięćset funtów i kluczyki od samochodu. Szare volvo 340 stoi na parkingu dla personelu. Zrób jakieś zakupy. Najłatwiej w Ipswich, jak już się zorientujesz, które ulice są jednokierunkowe. Kup ciemny garnitur, jakieś gładkie koszule, wiesz, o co chodzi. - Spojrzał na stopy Daniela, obute w adidas. - I buty - dodał. - Przyjdę jutro o wpół do ósmej. Czekam na telefon w sprawie pewnej propozycji. Dowiem się o szczegóły i chcę, żeby wszyscy tu byli na wstępnej naradzie.

Ciemna, drapieżna twarz Daniela ożyła.

- Będzie coś dla mnie? Tak od razu?

- Myślę, że dokładnie w twoim guście - zapewnił go Oakham. - Do zobaczenia jutro.

*

Wasilij Zarubin przyleciał na lotnisko Stansted o dziesiątej rano. Podróżował przez Turcję, dalej do Kairu, skąd poleciał do Neapolu, a stamtąd do Paryża. Za każdym razem używał paszportu z innym obywatelstwem. Na ostatnich etapach podróży był narodowości rumuńskiej, austriackiej, szwajcarskiej. Nie potrzebował wiz, bo zawsze leciał tranzytem. Z Paryża na Stansted trzydziestoosobowym odrzutowcem. Z zainteresowaniem obserwował lądowanie w Anglii. Znał dobrze język, ale nigdy nie był dalej na zachód niż w Warszawie. Zdziwił się, że tak szybko i bez większych formalności załatwił odprawę celną i paszportową. Po drodze oglądał nowe lotnisko. Wydało mu się bardzo duże, jak na tak niewielką liczbę pasażerów. Nie było kolejek. Wypożyczył samochód z firmy Avis. Kupił mapę i opracował sobie trasę. Jechał powoli ze względu na lewostronny ruch.

Wokół rozciągał się piękny, bardzo zielony krajobraz. Jak w książeczce z obrazkami: małe pola i wioski, domki z cegły. Uznał, że Anglicy muszą być bardzo porządni. Ale też ten kraj jest maleńki. Prawie można dostać klaustrofobii, kiedy się go porówna z olbrzymimi przestrzeniami jego kraju. Tam, na rozległych stepach, jak okiem sięgnąć, widać tylko horyzont. Wyobrażał sobie zawsze, że gdyby na końcu horyzontu dać krok, można by runąć w przepaść.

Pożegnał się z ojcem. Przeżyli obaj bardzo wzruszający moment. Byli sobie bardzo bliscy. Kochał i podziwiał swego ojca. Łączyły ich te same cele i ideały. Teraz Wasilij był przegrany, zmieciony przez falę przemian historycznych, jaka przetoczyła się przez Rosję. Skazany na zapomnienie. Oakham mówił, że jego spotkał taki sam los. Twardziele przegrali.

Zatrzymał się na poboczu i sprawdził mapę. Bał się, że przegapił skręt, ale nie, był jeszcze przed nim. Przejechał trasę palcem po mapie. Spojrzał na zegarek. Kupił go na

lotnisku Charles'a de Gaulle'a. Wszystko, co miał, było nowe. Ubranie, maszynka do golenia, nawet pasta do zębów. Nie istniało nic, co mogłoby pomóc go zidentyfikować, łącznie z metkami na bieliźnie. Kiedy samochód w Turcji miał wypadek i spłonął, on był bezpieczny. Ojciec poprosił o pomoc dawnych towarzyszy i udzielono im jej. Wasilij był martwy. Nie istniał.

Zwolnił, szukając drogowskazu. Zobaczył tablicę przy drodze.

„Hotel Dom Lalek”. Jego nowa siedziba. Ostrożnie skręcił i zauważył, że jeden z jadących w rzędzie samochodów zatrzymał się, przepuszczając go. Bardzo uprzejmi ci Anglicy. U niego w kraju nikt nie zatrzymałby się dla innego samochodu. Zaklął, kiedy wjechał na pierwszy garb, ograniczający prędkość. Potem już uważał.

Kiedy zadzwonił z Paryża, Oakham powiedział:

- Przyjedź około dwunastej piętnaście. Będę na ciebie czekał.

Spóźnił się dziesięć minut, ale zobaczył schodzącego ze schodów Oakhama, kiedy tylko wysiadł z samochodu.

- Dzień dobry, panie Zarubin. Witamy w hotelu.

Uścisnęli sobie ręce i Harry skłonił się lekko.

- Proszę za mną, sir, zaraz przyślę kogoś po pana bagaż.

Wasilij poszedł za nim, a chłopak w niebieskiej liberii minął go, żeby zabrać walizki.

Przy recepcji Harry się zatrzymał.

- Może zechce się pan zameldować. Dziękuję bardzo.

Wasilij wpisał się.

- Jeżeli zostawi pan w recepcji kluczyki od samochodu, odstawią go panu. Jane?

Ładna recepcjonistka uśmiechnęła się do gościa, a on odwzajemnił uśmiech. Podał jej kluczyki.

- Dziękuję.

Oakham był tuż przy nim. Uprzejmy, obojętny.

- Zaprowadzę pana. Daliśmy panu apartament duński. Mam nadzieję, że będzie pan zadowolony. Tędy, sir.

Jane patrzyła, jak odchodzą. Bardzo słynny pisarz. Pisze książkę o prezydencie dramaturgu, którego więzili swego czasu komuniści. Była prostą dziewczyną, nie interesowała się specjalnie polityką, ale imponowało jej to, czego dokonali Polacy, Węgrzy i Czesi. Był młodszy, niż przypuszczała. Nawet dosyć przystojny. Podobał jej się jego głęboki głos i akcent. Pan Oakham podkreślał, że to dla nich wielki zaszczyt, że taki znany człowiek wybrał ich hotel. Trzeba mu zapewnić ciszę i zanosić posiłki do pokoju, jeśli nie zechce zejść

do restauracji. Gdyby potrzebował sekretarki, hotel mu ją zapewni. Jane była stenotypistką. Miała nadzieję, że może poprosi o nią. W saloniku apartamentu duńskiego ustawiono biurko, szafkę na skoroszyty i komputer. Harry wyjaśnił, że za wszystko płaci wydawca.

Pan Zarubin nie był w stanie pracować w Londynie. Siedem lat temu szukał azylu i znalazł go w Anglii. Jane uważała, że to bardzo romantyczna historia, kiedy ją usłyszała. Teraz nie mogła się doczekać, żeby go opisać dziewczynom.

W apartamencie Harry i Wasilij Zarubin spojrzeli na siebie.

- Jak się czujesz? Jak na trupa, wyglądasz bardzo zdrowo! Musiałeś się nieźle nakłuczyć, nim tu dotarłeś.

- Długo to trwało - przyznał Rosjanin. - Powinieneś być aktorem. Byłeś bardzo dobry tam, na dole. Szczególnie podobał mi się ukłon.

- Kłaniam się wszystkim gościom, zwłaszcza paniom - zaśmiał się Harry. - Tego oczekują. Mam nadzieję, że znajdziesz wszystko, czego potrzebujesz. Napij się. Jak ci się podoba w Anglii? Jesteś pierwszy raz, prawda?

Zarubin wyciągnął się na sofie. Nalał sobie wódki do szklaneczki i pił ją czystą, bez dodatków. W apartamencie nie było barku, ale ustawiono tacę z alkoholami i napojami - na koszt dyrekcji. Spojrzał na Oakhama.

- Jest mała, ale ładna, jeśli ktoś lubi małe miejsca. Co mam z tym wszystkim robić przez cały dzień?

Wskazał na zawałone biurko w kącie. Oakham wyczuł wewnętrzny opór Zarubina. Powiedział:

- Opracuj program dla swoich pierwszych klientów. Pod koniec tygodnia przyjeżdża troje ludzi do Rilkego. Gnojki z Belfastu. Rozgość się, idź na spacer, rozejrzyj się. Wpadnę koło siódmej, bo mamy dziś zebranie, chcę, żebyś na nim był. Zaprowadzę cię.

Zostawił Zarubina samego. Powoli schodził ze schodów. Miał rację, jeśli idzie o nastawienie Rosjanina. Zarubin był z nich najmłodszy i chyba najtwardszy. Trzeba nim ostrożnie kierować. Pobyt w wiejskim hotelu i zgrywanie się przed służbą hotelową może się okazać dla niego trudnym zadaniem.

*

Harry Oakham odebrał telefon od Hakima. Niewiele mówił, słuchał i zadawał pytania. Po drugiej stronie słuchawki Hakim naciskał:

- W jakim terminie wykonacie zadanie?

- Kiedy opracuję szczegóły i wszystko ruszy - odpowiedział Oakham.

- On tu będzie tylko tydzień, a może zmienić plany i przybyć wcześniej.

Hakim był zdenerwowany i niecierpliwy.

- Więc stracimy robotę - padła odpowiedź. - Nie zabiorę się do niczego bez odpowiedniego przygotowania. Nie chciałbyś chyba, żebyśmy to spieprzyli. Zadzwoń, jak przyjedzie albo jeśli zmieni plany.

Odłożył słuchawkę, bo Hakim chciał się sprzeczać. O siódmej wstąpił po Zarubina, o wpół do ósmej udali się do Croft Lodge na spotkanie z resztą. Tamci zebrali się w saloniku. Jan zaproponował drinki i wpatrywał się w drzwi, czekając na Oakhama. Był zdenerwowany. Harry pozbył się tego węszącego faceta z Londynu i uspokajał go, ale Jan nie przestawał się martwić. Wiedział o takich wszystko. Łażą w zwykłych ubraniach, żeby nie można było ich rozpoznać, a potem nagle cię łapią, już są w mundurach i otwierają ci drzwi do piekła...

Wszedł Oakham i uśmiechnął się do zebranych.

- Dobrze, wszyscy jesteście. Jan, zadbałeś o wszystkich, a co z moją szkołą? Dziękuję.

- Co się dzieje? - chciał wiedzieć Rilke.

Zauważył, że Polak jest niespokojny. Rosjanin, Zarubin, rozciągnął się wygodnie w fotelu, opierając szklankę na piersi. Obserwował po kolei każdego z nich.

- Zaproponowano nam pierwszy duży kontrakt - oświadczył Oakham. - Pojedyncza eliminacja. I muszę wam powiedzieć, że pieniądze są bardzo duże.

- Jak duże? - spytał Daniel. Był ogolony, w nowym ubraniu. Wadą Rilkego było okrucieństwo, Daniela - chciwość.

- Milion funtów. Żadnej zaliczki, więc albo wykonamy robotę, albo nie dostaniemy nic.

Zapanowała chwila milczenia. Wszyscy byli zawodowcami i zebrali się dlatego, że byli chciwi. Pierwszy odezwał się Zarubin:

- Za takie pieniądze to musi być zabójstwo. Trudny cel?

- Bardzo trudny - rzekł Oakham - ale możliwy do osiągnięcia. - Dla większego efektu zrobił pauzę. To prawdziwy artysta, pomyślał Rilke. Chce, żebyśmy skakali na trzaśnięcie bata. - Książę Abdullah Al Rashid.

- Arab? - Daniel spojrzał na Oakhama. - To nie kontrakt, to samobójstwo!

- Przyjeżdża do Londynu - wyjaśnił Oakham. - Zatrzyma się w hotelu Regis. Będzie się leczył u okulisty, trochę grał w ruletkę i przelatywał blondynki.

- W Londynie - podchwycił Rilke - to wydaje się możliwe.

- To jest możliwe - padła odpowiedź Oakhama. - Dostaniemy informację na temat jego rozkładu dnia, żebyśmy mogli planować dokładnie. Już zresztą coś zaplanowałem.

- A kto płaci? - spytał Rilke. Pochylił się do przodu, oczekując wyjaśnień Oakhama.

- Przypuszczam, że Teheran, poprzez Liban. Znam dobrze ten kontakt, jest wiarygodny i ma zabezpieczenie. Wszystko się zgadza. Abdullah jest proamerykański i antyfundamentalistyczny. Nie chcą, żeby był następcą swojego ojca. Staruszek ma kłopoty z sercem. Abdullah zostałby po nim królem Arabii Saudyjskiej. Jest ulubieńcem ojca, ma duże wpływy.

- Więc jaki jest plan? - spytał Zarubin.

Był bardzo podniecony. To poważne wyzwanie znaleźć się w pobliżu takiego celu. W swoim kraju książę jest pilnowany jak oko w głowie i otoczony ochroniarzami, gdy wybiera się za granicę. Wykonanie zadania będzie wymagało błyskotliwego planu i staranności w każdym szczególe. Ale on, Wasilij, potrafi temu sprostać.

- Jest jeszcze jeden warunek - ciągnął Harry. - Wydusiłem z nich za to dodatkowe pieniądze. Chcą mieć publiczny skandal. Nie potrzebują muzułmańskiego męczennika, chcą go obrzucić błotem. Więc będziemy musieli jednocześnie go zabić i utaplać. Opracowałem na razie wstępny plan. - Zwrócił się do Moniki. - Masz w nim kluczową rolę, moja droga.

*

Dick Lucas zobaczył ją na King's Road. Zjechał w stronę krawężnika i zatrzymał się tuż przed nią.

- Rosa! Cześć!

Zatrzymała się, dostrzegła go i pomachała. Wysiadł z samochodu i podszedł do niej.

- Cześć, Dick.

- Dokąd idziesz? Może cię podwieźć?

- Wracam do domu. Myślałam, że się przejdę.

- A może jednak?

Ostatnio widziała go na przyjęciu u ambasadora amerykańskiego. Spieszyła się do Jamesa i martwiła, że się spóźni na kolację. Okazało się, że spóźniła się ze wszystkim.

- No, dalej, chcę posłuchać o Brukseli - nalegał. Wziął ją pod rękę i pomógł wsiąść do samochodu. Wrzucił bieg. - Dokąd? - spytał. - Gdzie mieszkasz?

- Marcham Road. Nie jadę do Brukseli. Jestem w trakcie załatwiania rozwodu.

Rzucił na nią szybkie spojrzenie, zdumiony.

- Trudna sprawa. Przykro mi.

Przez chwilę jechali w milczeniu.

- Skręć jak na Fulham - pilotowała go.

- A może pozwolisz się zaprosić na kolację? - zapytał. - Zawsze ci to proponowałem,

pamiętasz? Mogłabyś mi wszystko opowiedzieć.

Był to ostatni wieczór Rosy w Londynie. Następny będzie już w Suffolk. Nagle poczuła wdzięczność za to zaproszenie. Nie chciała spędzać wieczoru samotnie.

- Bardzo chętnie - powiedziała. - Dzięki, Dick. Dokąd pójdziemy?

- Tu w pobliżu jest dobra francuska restauracja: World's End. Często tam chodzę. Na pewno znajdziemy stół. Spróbujemy?

- Czemu nie? - Spojrzała na niego i uśmiechnęła się.

Odwzajemnił uśmiech. Był miły, nieskomplikowany. W restauracji znali go dobrze. Został mile przywitany i dostali przyjemny stół z widokiem na mały ogródek z tyłu. Oświetlono go, gdy się ściemniło.

- Bardzo tu przyjemnie. - powiedziała Rosa. - Cieszę się, że mnie namówiłeś.

- A ja się cieszę, że cię zobaczyłem - odparł. - Chcesz porozmawiać o tym, co się stało?

- Właściwie niewiele jest do opowiadania. To był szok, bo niczego się nie spodziewałam. Powodem była moja praca. James, mój mąż, chciał, żebym ją rzuciła, siedziała w domu i wychowywała dzieci. Ponieważ ja tego nie chciałam, znalazł inną, która chętnie na to przystała. Postanowiłam więc nie jechać do Brukseli i zostać w Anglii, żeby załatwić rozwód.

- A jakie są twoje dalsze plany? Powinnaś była do mnie zadzwonić. Mam dobrą klapę od marynarki, w którą można się wypłakać.

- Nie wątpię. - Uśmiechnęła się lekko. - Robię sobie wakacje. Około dwóch tygodni. Zresztą i tak miałam wziąć urlop. Później wrócę do pracy i zobaczę, jakie będą propozycje. Mój szef bardzo miło się zachował.

- Sir Hugh Chapman, tak? Sympatyczny facet. Może dałabyś się wysłać do Stanów? Ja muszę wracać pod koniec roku.

- Nie jesteś żonaty, Dick?

- Nie. Miałem na oku pewną panią, ale ona nie lubiła marynarki. Więc postanowiliśmy się wstrzymać na okres mojego wyjazdu do Anglii. Nie czekała jednak tak długo. Trzy miesiące po moim wyjeździe wyszła za mąż.

- Bardzo żałowałeś?

- Wtedy tak. Ale potem wytłumaczyłem sobie, że to była tylko urażona duma.

- Miałeś szczęście! - Rosa podsunęła mu kieliszek, żeby jej nalał wina. - Wszystko jest lepsze od rozpadu małżeństwa. Wtedy ma się takie poczucie klęski. Oczywiście, jest też urażona ambicja. Ale sama się o to prosiłam. Twierdził, że stawiałam na pierwszym miejscu

swoją pracę, a nikt nie lubi być na drugim miejscu. Więc... znalazł sobie inną panią.

- A ty nie znalazłaś innego pana?

- To jest ostatnia rzecz, na jaką mam ochotę, wierz mi.

Zmienił temat:

- Więc co będziesz robiła na tym urlopie?

- Zatrzymam się w hotelu w Suffolk. - Wszystkim o tym opowiadała. Parker podkreślał, że to bardzo ważne. - Będę tam miała spokój, będę chodziła na długie spacer, czytała, odpoczywała i nudziła się na śmierć. - Roześmiała się. - Wszyscy mówią, że właśnie tego mi trzeba. Później powrót do biura, żeby zobaczyć, co mnie czeka w przyszłości. Na pewno nie będzie to następny związek, to ci mogę obiecać. Od teraz będzie tylko praca. Nigdy nie umiałam korzystać z wakacji. Stale martwiłam się, co się dzieje w biurze. James był wtedy wściekły. Ostatnio, kiedy pojechaliśmy na narty, zostałam odwołana. Po tygodniu.

- Tak, żyjemy w nerwowych czasach - przyznał Dick. - Pokój na świecie, aż tu nagle wojna w Zatoce. Bardzo mi było dobrze w Londynie. Ubiegam się o stanowisko na morzu, ale nie sądzę, żebym je dostał. Czuję, że po powrocie będę siedział za jakimś cholernym biurkiem. Dlaczego nie pomyślisz o wyjeździe do Stanów? Naprawdę.

- Waszyngton nie jest chyba bazą morską - zwróciła mu delikatnie uwagę.

Był bardzo miły, sympatycznie się z nim rozmawiało. Tego dzisiaj potrzebowała. Wsiedli do samochodu i odwiózł ją do domu. Żadnych związków, żadnych zażyłości. Postanowiła to zdecydowanie.

Przy drzwiach powiedziała:

- Wejdz na drinka.

Dom wydawał się przez ostatnie tygodnie taki pusty. Wysprzątany, uładzony i mieszkała w nim tylko jedna porządnicka. Nie trzeba było gotować, zmywać, poprawiać wgniecionych poduszek. Ślady stóp tylko jej własne. Otworzyła dobry koniak i nalała im po kieliszku.

Powiedział coś miłego na temat urządzenia salonu i usiadł przy niej na kanapie. Mogą jeszcze obejrzeć w telewizji ostatnie wiadomości, zaproponowała. Zgodził się, że to świetny pomysł, a potem zrobiło się bardzo późno i trzeba było wracać do domu. W wąskim holu ujął jej twarz w dłonie i pocałował lekko w usta.

- Rosa, a może mógłbym zostać na noc? Tak bym chciał.

- Ja też bym chciała, ale jutro wyjeżdżam. Więc pamiętaj, to będzie tylko dzisiejsza noc.

- W porządku - powiedział. - Rozumiem. - Objął ją ramieniem. - Jesteś cudowną

dziewczyną. Chcę, żeby ci było dobrze.

Odwrócili się i razem weszli na górę.

*

Kiedy obudziła się rano, już go nie było. Na kuchennym stole leżała kartka: *Zrobiłem sobie śniadanie. Zadzwoń do Ciebie z biura. Dzięki za cudowny wieczór. Dick.* Przy swoim podpisie narysował okrągłą jak księżyc twarz z szerokim uśmiechem. Uśmiechnęła się też. Był bardzo miły. Czuły kochanek, który pamiętał, żeby powiedzieć, jaka jest wspaniała, i pozwolić jej zasnąć w swoich ramionach. Teraz już wiedziała, dlaczego Dick cieszy się taką dobrą opinią wśród kobiet. Miał dużo uroku. Była mu wdzięczna za tę noc, ale teraz było rano i musiała się pakować.

Wybrała proste, eleganckie stroje na wieczór, oprócz tego zwyczajne bluzki i spodnie. Zapakowała swoją nieliczną biżuterię, częściowo zresztą dość kosztowną. Pozostałość po pierwszych porywach romantycznej miłości Jamesa. Zadzwoiła do Parkera.

- Wyjeżdżam za pół godziny - poinformowała go. - Spędziłam ostatnią noc z pewnym mężczyzną. Pomyślałam, że lepiej ci powiedzieć. Poczęstowałam go tą samą historyjką o wakacjach w Suffolk.

- Dobry pomysł - przyznał Parker. - Byłaś zdenerwowana?

- Tak. Skąd wiesz?

Zaśmiał się leciutko.

- Martwiłbym się, gdybyś nie była. Dobrze zrobiłaś. Przynajmniej oderwałaś się myślami od tego wszystkiego. To twój chłopak?

- Nie, znam go przelotnie od dłuższego czasu. Nic poważnego. Po prostu potrzebowałam towarzystwa. Dzisiaj jest wszystko w porządku i cieszę się na moje nowe zadanie. Zadzwoń do Marian, jak dojadę.

Marian była jej kontaktem, z którym mogła się porozumiewać z hotelu. Parkera należało rezerwować na wyjątkowe okoliczności.

- Powodzenia, Rosa. I uważaj na siebie.

Odłożyła słuchawkę, rozejrzała się, czy czegoś nie zapomniała, sprawdziła w torbie, czy ma klucze od domu i samochodu, karty kredytowe i portfel.

Kiedy zamknęła drzwi wejściowe na podwójny zamek, zaczął dzwonić telefon. Nie usłyszała go już i po jakimś czasie Dick Lucas wyłączył się.

*

- Chcę, żebyś pojechał do Londynu - powiedział Harry do Jana.

Byli sami w domu Harry'ego. Polak spojrział na niego, ale nic nie powiedział. Harry

czuł, że Jan jest zdenerwowany. Od dawna nie miał żadnej prawdziwej roboty. Znalezienie kontaktów i przywiezienie Rilkego do Genewy to nie to samo, co zorganizowanie akcji.

- Jesteś najlepszym koordynatorem, jakiego kiedykolwiek miałem - zapewnił go Oakham. Położył mu rękę na ramieniu, podkreślając tym gestem swoje zaufanie. - Chcę, żebyś zbadał trasę Daniela, sprawdził czasy, zobaczył, co mogłoby rozwalić cały plan, ewentualnie opracować nową trasę i rozkład czasowy, jeśli zajdzie potrzeba. Miej gotowy plan awaryjny. Zrób to tak, jak robiłeś, kiedy pracowaliśmy razem. Byliśmy cholernie zgranym zespołem, co?

Poczuł, że napięcie Jana powoli opada. Polak popatrzył na niego.

- Najlepszym - potwierdził. - Gdybyś był ze mną, nigdy by mnie nie złapali. Często przychodziło mi to do głowy.

- Zapomnij o tym - doradził mu Harry. - Nic łatwiejszego. Zatrzymaj się w przyzwoitym hotelu średniej klasy, ale nie w pobliżu hotelu Regis. Tam będzie szalał oddział specjalny i sprawdzał wszystko przed przyjazdem naszego celu. Nie muszę ci mówić, jak masz wykonywać swoją robotę. Pamiętaj tylko, że byłeś najlepszy w organizowaniu operacji w całym tym zasranym interesie. Dlatego ty musisz jechać, Jan. Nikt inny sobie nie poradzi.

Polak pokiwał głową, rozluźnił ręce. Ścisnął je nerwowo, kiedy Harry mówił.

- Zacznę od burdelu - powiedział. Potem opracuję drogę dla Stevensona i Daniela. Jak tamci mówili, kiedy zwykle posyła po tę dziewczynę? Po południu czy wieczorem? Ruch uliczny będzie miał wpływ na czas, jeżeli będzie to między, powiedzmy, piątą po południu a ósmą wieczór.

- Miejmy nadzieję, że wieczorem - odparł Harry. - Łatwiej byłoby dokonać porwania po ciemku, ale nie możemy mieć pewności.

- Więc opracuję dwa warianty - powiedział Jan. - Będziemy potrzebowali dwóch samochodów. Najlepiej kupić używane, za gotówkę. Później możemy je zostawić.

Oakham odstąpił o parę kroków. Usiadł naprzeciwko Jana i słuchał jego wywodu z uczuciem ulgi, zmieszonym z tkliwością dla przyjaciela. Jan był już w porządku, trzeba go było tylko dopieścić, podbić mu trochę bębenka. Pochłonęła go bez reszty organizacja szczegółów. Jeśli ktoś jest dobrym fachowcem, zostaje nim na zawsze, pomyślał Oakham. A te dranie wyrzuciły go na śmietnik po zwolnieniu z więzienia. To on miał rację co do Jana, nie oni. Tak samo jak mylili się w stosunku do niego, kiedy go wysłali na zieloną trawkę po obiadku w St Ermin's i wręczeniu chudej kopertki. Uznali, że będzie ambitny i zniesie to po męsku. Świetny facet, Harry Oakham! Swego czasu był z niego prawdziwy twardziel... Chyba nieźle się teraz urządził, słyszałem, że prowadzi gdzieś hotel.

- Takiego! - mruknął do siebie pod nosem Harry, słuchając Jana, analizującego plan akcji. Jakbyście mieli odrobinę rozumu, to powinniście nas zastrzelić, a nie zostawiać samym sobie, pomyślał.

- Kiedy mam jechać, Harry?

- Jutro rano. Zostań tam, dopóki robota nie będzie zrobiona. Później zbierzesz resztę i wróćcie tutaj.

- A kiedy oni przyjadą?

- Powiedzmy, dwa dni po przybyciu naszego celu - rzekł Oakham. - Potem zadzwoń do mnie. Przed wyjazdem udzielię im ostatnich instrukcji.

- Więc jutro - powtórzył Jan. Patrzył przez chwilę na Oakhama. - Naprawdę we mnie wierzysz? Cieszę się. Nie zawiodę cię, Harry.

- Oczywiście że nie. Chcesz coś wypić na dobranoc?

- Nie, dziękuję. Będę dobrze spał. Czekam już na to. Naprawdę się cieszę.

Wyszedł, a Harry Oakham nalał sobie koniaku. Plan, który opracowali we dwójkę, oparty był na pomysle Wasilija Zarubina.

Daniel już wchodził w rolę, Stevenson dowiedział się, co ma robić, i o nic się nie spierał, a Monika siedziała, czekając na odegranie swojej roli, z uśmiechem na pięknej twarzy.

Arabski książe, pilnowany dzień i noc przez rodzimych ochroniarzy i osiłków z oddziału specjalnego, którzy przeszukają na wszelki wypadek jego apartament i będą starannie sprawdzać listę gości. Przyjedzie z księciem facet, który będzie badał próbki jedzenia, żeby uchronić szacownego gościa przed otruciem. Książe miał podróżować kuloodporną limuzyną, z uzbrojonymi ochroniarzami po obu bokach, z policjantami w cywilu jadącymi w samochodzie za nim. Będzie pilnowany podczas uprawiania hazardu i podczas wizyt lekarskich. Dokądkolwiek pójdzie i cokolwiek zrobi, zawsze będą go osłaniać inni. Z wyjątkiem chwil, które spędzi w łóżku z kobietą.

Kontakt Hakima podał mu nazwę agencji, z której książe korzystał, gdy potrzebował dziewczyny. Lub dwóch dziewczyn. Miał jedną ulubioną. Prosił o Denise i Denise przywożono do hotelu jednym z jego samochodów z arabskim kierowcą. Była wysoką blondynką. Ostatnim razem dał jej kosztowny prezent i spędzała z nim większość wieczorów, jeśli nie grał w ruletkę w Claremont Club. Kontakt poinformował, że żadna z pańienek nigdy nie spędzała w hotelu nocy. Wychodziły natychmiast, gdy książe z nimi skończył. Wracały tym samym samochodem z kierowcą, który czekał, żeby odwieźć je do domu. Denise nosiła zwykle cieniutki szal, którym osłaniała skromnie twarz, kiedy wchodziła i wychodziła.

Harry skończył koniak. Co za numer, jeżeli im się uda! Uśmiechnął się na myśl o panice wśród służb bezpieczeństwa. Kot pomiędzy stadem gołębi. Krogulec w gołębniku. Oakham położył się i spał niezmaconym snem, dopóki mu nie przyniesiono porannej herbaty.

Jan wyjechał po śniadaniu, zabierając z sobą większą ilość forsy. Zameldował się w hotelu Kensington Gore pod nazwiskiem Peters.

Musiał najpierw zostawić swój samochód na długoterminowym parkingu, a później kupić jakiś używany za gotówkę. Nim go kupi, będzie korzystał z komunikacji miejskiej. Później sprzedawca nie będzie już pamiętał numerów rejestracyjnych. Harry pożegnał się z przyjacielem w biurze. Jan wyglądał na wypoczętego i spokojnego, miał dawny błysk w oku. Harry'emu radowało się serce na ten widok.

- Powodzenia, stary - powiedział ze wzruszeniem i na moment się objęli, po czym Jan odjechał.

Na szosie okrążającej Braintree minął się z Rosą, gdy mknął w kierunku Londynu.

*

Podróż zajęła jej niecałe dwie godziny. Rosa jeździła szybko, a drogi poza miastem okazały się puste. Było bardzo ciepło, świeciło jasne słońce, a białe chmurki nie wróżyły deszczu.

Znów się denerwowała, co odbiło się na jej zachowaniu za kierownicą. Wyprzedziła powolny samochód z całą rodziną i musiała schować się gwałtownie przed nadjeżdżającym z przeciwka. James nie znośił z nią jeździć; twierdził, że jest zbyt agresywna. Teraz zwolniła. Głupio ryzykowała i czuła złość na siebie.

Nie było powodu do takiego zdenerwowania. Jechała tam, bo Parker coś przeczuwał. Równie dobrze jednak mógł się mylić co do Harry'ego Oakhama. Niewykluczone, że ten brutalny facet, niegdyś pracujący w niebezpiecznej służbie dla kraju, na emeryturze prowadzi normalne życie. Istnieją dziesiątki przykładów na to, że może tak być. Parker przytoczył jej jeden, grając rolę adwokata diabła podczas długiego treningu. Człowiek znany z załatwiania nożem wrogich agentów i podwójnych agentów brytyjskich został po wojnie producentem filmów reklamowych i zmarł jako szanowany obywatel; jego nekrolog zamieszczono w „Timesie”.

Ona musi tylko „trochę poczarować”. To wyrażenie zostało jej w pamięci. Nie chciała pamiętać następnych zdań. „Czy to znaczy, że muszę się z nim przespać?” - „Na to nie mogę odpowiedzieć. Będziesz musiała sama się zorientować...”

Nagle wszystko to wydało jej się niemożliwe, gdy tak jechała do hotelu wiejską drogą tonącą w zieleni w ten piękny poranek. Wróci potem do domu i uzna, że była to tylko strata

czasu. I będzie się śmiała z siebie, z głupich przeczuć, jak w swoim dawnym pokoju, gdy wyjeżdżała od matki po weekendzie. Zwolniła, gdy zobaczyła tablicę, i podobnie jak Zarubin czekała, aż powstanie przerwa w ciągu samochodów, żeby skręcić. Budynek był imponujący. Cudowna czerwona cegła, błyszcząca w słońcu. Rosa wzięła głęboki oddech i zatrzymała się przed wejściem.

Młody portier pomógł jej wysiąść. Otworzyła bagażnik i poprosiła, żeby zabrał walizki. W holu powitała ją recepcjonistka. Była ładną dziewczyną o serdecznym uśmiechu.

- Dzień dobry - powiedziała Rosa. - Moje nazwisko Bennet. Zrobiłam rezerwację w zeszłym tygodniu.

- Tak, oczywiście. - Jane sprawdziła na liście. - Ma pani pokój na pierwszym piętrze, z widokiem na ogród różany. Proszę tu podpisać.

Rosa wpisała się do książki. Było dużo rezerwacji. Gdzieś z dala dochodziło mruczenie odkurzacza. Jakaś dziewczyna odświeżała kompozycję kwiatową, spryskując ją i usuwając przywiędłe rośliny. Wszystko było przyjazne, absolutnie zwyczajne. Usłyszała, jak dziewczyna mówi:

- O, jest pan Oakham. Proszę pana, przyjechała pani Bennet.

Serce Rosy podskoczyło. Odwróciła się i ujrzała go obok siebie, a za nim jeszcze trzy osoby. Zobaczyła, że Oakham uśmiecha się i wyciąga rękę. Kiedy ją uściśnęła, uklonił się.

- Miło mi panią poznać. Mam nadzieję, że będzie się pani u nas podobało. Proszę dać znać, jeśli będzie czegoś trzeba.

Miał ciemne oczy, odrobinę siwizny we włosach i wojskową postawę, jakby był emerytowanym oficerem. Wokół ust - zmarszczki, jakby się dużo śmiał. Spłynął na nią jego urok. Dokładniej mówiąc, magnetyzm. Wyczuła coś jeszcze, czego nie udało mu się w pełni ukryć. Nie chciał się zatrzymywać, śpieszył się.

- Bardzo dziękuję - odparła. - Jestem pewna, że będzie mi u państwa dobrze.

Zarejestrowała obecność dwóch mężczyzn i kobiety, którzy szli za nim, gdy zatrzymała go recepcjonistka. Rosa spojrzała w ich stronę. Mężczyźni odwrócili wzrok. Obaj mieli około trzydziestki, byli zwyczajnie ubrani, jeden miał bujne wąsy, a drugi okulary. Nie patrzyli na nią, w odróżnieniu od kobiety, która gapiała się na Rosę prowokująco. Rosa spojrzała w jej oczy. Były bardzo jasne. Przeszył ją lodowaty, przepełniony nienawiścią wzrok. Poczula takie przerażenie, że cofnęła się o krok, jakby się bała uderzenia.

- Tędy proszę - usłyszała głos Harry'ego Oakhama, który zwracał się do tamtych. - Proszę za mną. Zaczekała przy recepcji. Chyba sobie to wyobraziłam. Gdyby wzrok mógł zabijać, pomyślała. Przypomniało jej się to banalne powiedzenie.

- To tutejsi goście? - spytała recepcjonistki.

Jane odpowiedziała radośnie:

- Tak, ale zatrzymają się tylko na jedną noc. Jadą na jakąś konferencję handlową. Są z Irlandii. Pan Oakham się nimi zajmuje, bo mamy nadzieję, że polecą nas innym biznesmenom. Nie mamy zbyt wiele rezerwacji służbowych.

- A to są pieniądze - przedłużała rozmowę Rosa. - Wszystkim ostatnio ciężko. Słyszałam, że wasz hotel zmienił właściciela.

- Tak, to trochę ludzi odstrasza - wyznała Jane. - Ale pracownicy zostali i pan Oakham niczego nie zmienił. Tyle że bardziej zajmuje się gośćmi niż poprzedni dyrektor. Co wieczór rozmawia z ludźmi. Jego asystent, pan Pollock, tak samo. Też jest bardzo miły.

- Mam nadzieję, że go poznam - podchwyciła Rosa.

- Właśnie wyjechał na kilka dni - wyjaśniła Jane. - Jego ojciec nie najlepiej się czuje. Czy będzie pani u nas na kolacji? Wieczorami w weekendy jest dosyć tłoczno.

- Na razie nie będę szukała niczego innego. Nie mam ochoty, tu jest tak miło.

- Gino zanieś pani bagaż. I proszę pamiętać, żeby zadzwonić do kierowniczkii, jeśli będzie pani czegoś potrzebowała.

- Dziękuję - odpowiedziała Rosa. - Zadzwonię.

Pokój był uroczy. Szerokie pojedyncze łóżko z wysokim zagłówkiem, dobrane do zasłon i obicia foteli. W zasadzie panował tu odcień delikatnej żółci z elementami bladego błękitu. Na stoliku stały świeże kwiaty i półmisek z winogronami, jabłkami i brzoskwiniami.

Dała napiwek Włochowi, który uśmiechnął się szeroko.

- Dziękuję pani. Wszystko w porządku?

Był bardzo młody, pewnie uczył się dopiero hotelarstwa, poznając je od najniższego szczebla. Poczula się lepiej.

- Tak, dziękuję.

Kiedy drzwi się zamknęły, rozejrzała się dokładniej po pokoju. Na stole ułożono świeże czasopisma, a przy misie z owocami leżała karteczka informująca, że to poczęstunek od dyrekcji. W łazience Rosa znalazła dobre mydło, eleganckie ręczniki. W pokoju znajdowało się także menu przekąsek, które można było zamówić telefonicznie wraz z informacją, jak skontaktować się z kierowniczką służby, recepcją, restauracją i jak się połączyć z miastem. Leżał również cennik. Jak Rosa wiedziała, ceny tu obowiązywały wysokie.

Podeszła do okna. Róże w ogrodzie nie były już w pierwszym rozkwicie, ale przedstawiały bardzo miły widok, Rozpakowała się, powiesiła rzeczy w szafie i w ogóle

rozgościła się.

Pan Oakham codziennie wieczorem rozmawia z gośćmi. Teraz na rozmowę z nią nie chciał tracić czasu. Musiał się zająć klientami z Irlandii. Chyba nie było w tym nic złego?

Zdjęła pantofle i wyciągnęła się w fotelu. Zapaliła papierosa i zaciągnęła się powoli. Coś jej się przypomniało. Incydent sprzed lat. Kolacja w Londynie, na której bogata Anglo-Irlandka, ofiara porwania przez IRA, opisywała przywódczynię grupy. Najstraszniejszą rzeczą była nie skrywana nienawiść, widoczna w jej oczach. Nie powiedziała ani słowa, tylko patrzyła na nią. Opowiadając to, starsza pani zadrżała. Nie potrafiła opisać nienawiści, jaką miała w sobie tamta kobieta. Znacznie głębszej niż mężczyźni - członkowie grupy. Przywódczyni i jej banda zostali aresztowani i uwięzieni. Ona pewnie albo nie żyje, albo dawno o niej zapomniano. Ma jednak spadkobierców i następczynię - Rosa czuła instynktownie, że jedną z nich widziała właśnie przy recepcji hotelowej. Jako część ekwipunku przywiozła mały, ale bardzo skomplikowany aparat fotograficzny z powiększającym obiektywem. Tamci mieli pozostać tu tylko przez jedną dobę. Musi jakoś zrobić zdjęcie tej kobiety i jej towarzyszy.

6.

Hermann Rilke mówił:

- A teraz rozpoczniemy zajęcia z teorii przesłuchiwania. Mówię o metodach wyrafinowanych. Każdy dureń potrafi zmiążyć facetowi jądra. Wykształcony specjalista umie złamać jego wolę i zniszczyć umysł. Dzięki temu, nawet jeśli się faceta uwolni czy wymieni, i tak będzie bezużyteczny.

Irlandczyk z wąsem przerwał nagle:

- My nie zwalniamy podejrzanych ani ich nie wymieniamy. Chcemy zdobyć informacje, i to szybko.

Zapalił papierosa. Rilke spojrzał groźnie. Byli niecierpliwymi zupakami, ignorantami. Szkoda na nich jego niezwykłych talentów. Ku jego zdumieniu, to dziewczyna sprzeciwiła się szefowi:

- Sean, nie mówimy o informatorach. Kopiesz ich mocniej, to wylądują z powrotem w łonie matki. Ale angole są specjalnie szkoleni do pracy pod przykryciem. Nigdy nie udało nam się niczego z nich wydusić biciem. Myślę, że dużo możemy się nauczyć od pana Rilkego.

Była młoda, nie miała więcej niż dwadzieścia cztery lata. Spokojna, opanowana dziewczyna z dobrej rodziny. Ojciec lekarz, brat w seminarium duchownym w Maynooth. Rilke wiedział o niej wszystko. W wieku lat osiemnastu zwabiła żołnierzy w pułapkę, gdzie ich bezlitośnie zabijano. Podkładała materiały wybuchowe w sklepach i przeprowadzała rozpoznania dla innych zamachowców. Uczestniczyła w przyśpieszonych procesach i egzekucjach informatorów policyjnych. Spędziła krótki okres w więzieniu Maze, skazana za pomoc w ataku na posterunek policji. W więzieniu terroryzowała współwięźniarki.

Mężczyzna imieniem Sean spojrzał na nią ze złością. Maeve O'Callaghan była dziewczyną bardzo ważnego faceta z Provo. Kiedy dowiedziała się o tych specjalistycznych szkoleniach, postanowiła się na nie dostać. I dopięła swego.

- Chciałabym dowiedzieć się czegoś o tych innych metodach - zwróciła się do Rilkego.

- Więc chodźcie za mną - powiedział i wszyscy ustawili się gęsiego.

- Tędy - dodał, wdrapując się po wąskich schodkach.

Otworzył drzwi, zapalił światło, a tamci weszli za nim do środka.

San mruknął:

- Co jest, do cholery?

Pokój był zupełnie pusty i biały, bez okien. W środku stało coś, co wyglądało jak fotel dentystyczny. Przymocowano do niego skórzane paski.

- A więc - zaczął Hermann Rilke tonem wykładowcy - kiedy przyprowadzacie waszego klienta do takiego pomieszczenia, najpierw dochodzi do głosu jego trening. Facet będzie się bał, ale nauczono go, jak sobie z tym radzić. Ma specjalny zasób wiadomości, które może ewentualnie ujawnić, kiedy ból stanie się nie do wytrzymania. Wie, że to przyniesie mu ulgę. Tylko że wy nic do niego nie mówicie - pouczał Rilke - od chwili, gdy go przyprowadzą na przesłuchanie.

- Czy ma zasłonięte oczy? - zainteresował się mężczyzna w okularach.

Rilke uśmiechnął się, słysząc to idiotyczne pytanie.

- Gdyby miał, nie widziałby pokoju ani fotela, na którym, jak sądzi, będzie torturowany. Wy macie zasłonięte twarze, wszyscy. On widzi tylko postacie bez twarzy i nieme. A zatem umieszczacie ofiarę na krześle i przywiązujecie. Jest spięta, czeka na tortury. Wierzy, że dzięki swemu treningowi przetrzyma pierwszy etap. Ale nic się nie dzieje. Nic. Czeka. Wy kolejno wychodzicie z pokoju, a ostatni gasi światło i ofiara zostaje w kompletnej ciemności. Czas płynie.

- A jeżeli nie mamy dużo czasu? - dopytywał się Sean. Wciąż był nieufnie nastawiony do całego przedsięwzięcia.

- Wtedy - oświadczył Rilke - przyspieszacie cały proces. Włączacie urządzenie. - Nacisnął przycisk koło drzwi. Fotel zaczął się obracać. On znów przycisnął i zwiększył szybkość. Fotel wirował. - Kiedy ofiara traci poczucie równowagi, zaczyna wymiotować - kontynuował chrypliwy głos. - Po jakimś czasie nie kontroluje już pęcherza i odbytu.

- Po jakim czasie? - spytała Maeve O'Callaghan.

- Po godzinie, może szybciej. Niektórzy ludzie reagują na dezorientację wolniej niż inni. Kiedy prowadzący śledztwo oceni, że klient już zmiękł, zatrzymuje fotel i zadaje pierwsze pytania. Prawdopodobnie zdobędzie tę część informacji, którą wyciągnąłby po kilku dniach znęcania się fizycznego. Ofiara zyskała nieco na czasie, a w każdym razie tak uważa. Nim zdąży odpowiedzieć, fotel znów rusza. Wiruje coraz prędzej i dłużej. Później znów się zatrzymuje. Tym razem nie zadaje się żadnych pytań, nikt nie wchodzi do pokoju. Jest ciemno i cicho. Rozpoczynamy proces od nowa. Gwarantuję wam, że najpóźniej po dwudziestu czterech godzinach wyciągniecie wszystko z każdego. Po czym możecie się

ofiary pozbyć albo nawet ją wypuścić. Osoba taka cierpi na chroniczne uszkodzenie mechanizmu równowagi. Jest dla wszystkich bezużyteczna.

Odwrócił się i gestem zaprosił słuchaczy do wyjścia. Krótkowzroczny zdjął okulary, przetarł, a kiedy nałożył je z powrotem, powiedział:

- Boże, od samego patrzenia robi mi się niedobrze.

- Nie tak niedobrze, jak byłoby ci na tym fotelu. - zapewnił Rilke.

- Możemy teraz usiąść przy kawie i podyskutować. Chętnie odpowiem na wszystkie pytania.

Wysoka, przystojna blondynka wniosła na tacy kawę i ciasteczka. Nie odezwała się, a Rilke nie zwracał na nią uwagi. Sean jednak zaczął Rilkego atakować:

- Tracimy czas. Nie potrzebujemy takich wymyślnych bajerów. Zresztą skąd mamy wziąć urządzenia do stosowania takich metod, do cholery!

- Znajdziecie je w każdym gabinecie dentystycznym - odpowiedział chłodno Rilke. - Każdy wykwalifikowany elektryk może odpowiednio zaadaptować taki fotel. Potrzeba tylko odosobnionego miejsca. Z pewnością wasza organizacja może je znaleźć.

Maeve O'Callaghan odsunęła się od Seana. Była czerwona ze złości na tego głupola z rozumem w łapach. Tacy ludzie nigdy nie wygrają tej wojny. A on był starszym dowódcą oddziału regionalnego. Zwróciła się do Rilkego:

- Oczywiście, że jesteśmy w stanie to wykorzystać. Zresztą urządzenie może równie dobrze obsługiwać kobieta, jak mężczyzna. Dziękujemy bardzo. Jest genialne w swojej prostocie.

Zmierzyła wzrokiem Seana. Rilke nie mógł się oprzeć pochwale. Podbudowała jego ego, więc uśmiechnął się. Cholerna dziwka.

- Dobrze - powiedział. - Wypijecie kawę? Proszę się częstować. Później zrobię wam wykład na temat techniki przesłuchiwań z dodatkowym zastosowaniem narkotyków. Następnie sesja pytań i odpowiedzi. Przeprowadzę ją z każdym z was indywidualnie. Obiad będzie podany tutaj. Kiedy poczujecie, że macie już dość informacji, możecie wrócić do hotelu.

Obliznął usta i przyglądającej mu się Maeve O'Callaghan wydał się podobny do gada łapiącego muchy. Zwrócił się do niej:

- Szkoda, że macie tak mało czasu. Wydaje mi się, że mógłbym was wiele nauczyć...

- Nie możemy tutaj za długo sterczeć - przerwał Sean. - Mamy inne sprawy do załatwienia w Anglii.

Połknął kawę, rozlewając nieco na spodeczek. Miał ochotę splunąć przez tę dziwkę.

Przydałoby jej się lanie, pomyślał ze złością. On sam wygląda jak idiota przy tej pieprzonej królowej. Żyje pistoletem i bombami. Od gadek Rilkego robi mu się niedobrze.

*

Irlandczyków nie było na obiedzie w jadalni ani przy barze. Rosa wzięła aparat i wyruszyła na spacer po terenach należących do hotelu. Może ich gdzieś zauważy. Słońce stało wysoko i nie było ani odrobiny wiatru. Kiedy przechodziła przez spokojny park, cały pomysł wydał jej się niedorzeczny. Musiała sobie wyobrazić tamto spojrzenie. To wszystko nerwy, uspokajała się.

Zobaczyła tablicę „Szlak przygodowy” ze strzałką wskazującą w stronę zalesionego terenu jakieś dwieście pięćdziesiąt metrów na lewo od niej. Na tabliczce widniała też czerwona czaszka i piszczele. Rosa wzdrygnęła się. Zmieniła kierunek. Zobaczyła tylko z daleka jakiś płot i inny znak, kiedy usłyszała za sobą cichy terkot. Odwróciła się i ujrzała mężczyznę w sportowej bluzie i czapeczce baseballowej, który machał, żeby się zatrzymała. Podjechał do niej małym ogrodowym pojazdem i zatrzymał się obok.

Popatrzyła na niego.

- Słucham? O co chodzi?

Był młody i wyglądał na bardzo sprawnego. Za jego plecami piętrzył się sprzęt ogrodniczy.

- Dzień dobry pani. Podwieźć gdzieś?

- Nie, dziękuję. - Rosa skrzywiła się niechętnie. - Właśnie szłam obejrzeć szlak przygodowy.

- Jest zamknięty - poinformował.

Spod daszka czapki spoglądały bystre oczy. Trójka Irlandczyków odbywała szybki obchód ze Stevensonem. On natomiast miał przykazane, żeby oficjalnych turystów trzymać z daleka.

- Gorąco dzisiaj - ciągnął. - Pilnujemy, żeby jakaś pani nie wybrała się na samotny spacer. Jest tu dużo podziemnych źródeł i teren zrobił się podmokły. Niedawno klientka ugrzęzła i skręciła kostkę. Nie było jej w hotelu parę godzin, aż w końcu ją znaleźliśmy. Lepiej panią odwieźć.

Rosa zawahała się na moment. Nie chciała jechać z nim. Jednak większość gości tak właśnie by zrobiła. „Cokolwiek robisz, nie wzbudzaj podejrzeń”.

Uśmiechnęła się i powiedziała:

- Dobrze, rzeczywiście jest gorąco i za daleko zaszłam. Dziękuję.

Nachylił się i podał jej rękę.

- Więc niech pani wskakuje.

Pomógł jej wsiąść i usiadła koło niego.

- A co państwo zamierzają zrobić z tym terenem? - spytała.

- Drenować. Spędziłem życie na kopaniu rowów.

- Dawno pan tu pracuje?

- Od czasu nowej dyrekcji.

W jego sposobie mówienia słychać było akcent z West Country. Kiedy się poruszył, poczuła woń jego potu. Była drażniąca i Rosa musiała się powstrzymać, żeby się od niego nie odsunąć.

- Pewnie trzeba wielu ogrodników, żeby porządnie utrzymać te tereny - zagadnęła. - Są bardzo rozległe.

- Koło trzystu akrów. Kawał starego majątku.

Była z niej nawet niezła laska. Cycki jej podskakiwały, kiedy jechali. Mogłaby jednak zamknąć gębę. Nie miał ochoty odpowiadać na pytania. Nigdy nie lubił dużo mówić. To jego kumpel był od gadania. Byli już blisko głównego budynku i uznał, że może ją tu wysadzić.

- Muszę panią tutaj zostawić. W porządku?

- Tak, oczywiście, dziękuję bardzo.

Zwolnił sprzęgło i samochodzik pomknął w kierunku, z którego przyjechali. Jechał za szybko i narzędzia ogrodnicze telepały się z tyłu.

Rosa powoli przechadzała się po ogrodzie. Spacerowało w nim kilkoro gości, a jakaś para czytała w cieniu. Usiadła na ławeczce z widokiem na główne wejście. Nie, nie była to jej wyobraźnia. W dziewczynie, którą widziała z Oakhamem, było coś mrozącego krew w żyłach. A ten młodzik w samochodziku nie chciał pozwolić, by się zbliżyła do tak zwanego szlaku przygodowego.

Muszę zrobić zdjęcie, postanowiła. Wyjeżdżają jutro rano. Dziewczyna w recepcji była bardzo przyjacielska, więc jeżeli będzie miała dyżur, podpytam ją, kiedy dokładnie wyjeżdżają. Wróciła do swego pokoju, aby się wykapać i przebrać. Zastała kartkę z wiadomością, że dzwonił kapitan Lucas i odezwie się później.

W recepcji była inna dziewczyna, ale Rosa spróbowała z nią porozmawiać.

- Nazywam się Bennet - powiedziała. - Przyjechałam dziś przed południem. Czy zarezerwowała pani dla mnie stolik na kolację?

Dziewczyna sprawdziła na liście, po czym popatrzyła na Rosę.

- Tak, mam tutaj, pani Bennet. Godzina ósma? A otrzymała pani informację w sprawie telefonu?

- Dostałam, dziękuję. Duży ruch tu u państwa - próbowała podtrzymać rozmowę.

- Tak, w weekendy mamy dużo gości. - Dziewczyna uśmiechała się uprzejmie, ale w tym momencie właśnie zadzwonił telefon, więc powiedziała „przepraszam” i poszła go odebrać.

Przed zejściem na dół Rosa zadzwoniła pod numer kontaktowy, który dał jej Jim Parker.

- Marian? Cześć, to ja. Tak, cudnie. Zupełna rozpusta... - Gadała jeszcze parę minut, a później dodała: - Muszę lecieć, ale jutro pewnie zadzwonię do Jima. Mam te zdjęcia, które chciałam mu dać. Przepraszam, że zapomniałam. Cześć.

Włożyła swoją ulubioną ciemnoniebieską jedwabną sukienkę i długi sznur hodowlanych pereł, związanych w węzeł. Zeszła do koktajlbaru i wybrała miejsce w kącie, z widokiem na drzwi. Jeżeli Irlandka i jej towarzysze będą tędy przechodzić, przyjrzy im się jeszcze raz, na wypadek gdyby jej jutrzejszy poranny plan się nie powiódł.

- Dobry wieczór, pani Bennet.

Rosa podskoczyła. Nie słyszała, żeby ktoś podchodził. Harry Oakham uśmiechnął się do niej. Rano nie mógł poświęcić jej wiele czasu, bo chciał jak najprędzej usunąć z widoku tych gnojków z Belfastu. Teraz szczęśliwie byli upchnięci w swoim apartamencie, jedząc posiłek, który Sean nazwał „podwieczorkiem”, i pijąc whisky.

Widząc siedzącą samotnie Rosę, postanowił podejść do niej i porozmawiać. Bardzo atrakcyjna kobieta, pomyślał, niezwykle koloryt.

- Mam nadzieję, że jest pani zadowolona - zagadnął.

- Tak, dziękuję bardzo.

- Nie ma pani jeszcze nic do picia, może coś przyniosę?

- Proszę o kieliszek białego wina. Miała ściśnięte gardło. Strach, przyływ adrenaliny. Spojrzała w jego oczy i zobaczyła w nich tylko przyjazne uczucia i odrobinę podziwu.

- A może szampana? - zaproponował Harry. - Ponieważ jest to pani pierwszy wieczór, na mój koszt. - Uniósł rękę i barman podszedł do nich. - Szampana dla pani Bennet - powiedział Oakham.

- To bardzo miłe z pana strony. - Rosa już panowała nad sobą. - Ale pod warunkiem, że będzie mi pan towarzyszył - uśmiechnęła się do niego.

- Z przyjemnością. Więc dwa szampany, George.

Tygrys w kocim koszyczku. Przypomniała sobie słowa Jima Parkera, gdy Oakham zajmował miejsce naprzeciwko niej.

- Czy mógłbym zapalić? - spytał.

- Jeżeli i mnie pan poczęstuje - odpowiedziała.

Roześmiał się.

- Nie zerwałem z nałogiem, niestety. Ale ludzie już dostają prawdziwej paranoi, jeśli chodzi o tę sprawę. Bierne palenie i takie tam bzdury.

- Ja przestałam palić na długo. - Rosa nachyliła się nad jego zapalniczką. - Ale później coś się wydarzyło i znów zaczęłam.

- Mam nadzieję, że nic złego - powiedział.

Pojawił się szampan.

- Mąż mnie zostawił.

Harry spojrział na nią ponad kieliszkiem. Po chwili rzekł:

- Przykro mi. Jeśli wolno mi to zauważyć, musi być pełnym idiotą. Za szczęśliwy pobyt pani u nas.

Nawet siedząc, promieniował jakąś dziwną energią. Kiedy mówił, zwykł patrzeć prosto na rozmówcę, zajmując całą jego uwagę. Ma z pewnością wiele uroku, musiała przyznać Rosa, i pewien męski magnetyzm. Jak niebezpieczne zwierzę, kładące ci łeb na kolanach.

Rzucił od niechcienia:

- Ja właśnie też się rozwodzę. Bardzo spokojnie, dzięki Bogu, nie mamy dzieci. Nie rozumiem ludzi, którzy się rozstają, kiedy są dzieci. Och, chyba nie powiedziałem nic niestosownego...

Nie wyglądał na zawstydzonego, tylko po prostu chciał wiedzieć, więc poinformowała szybko:

- Żadnych dzieci. Mój rozwód przebiegł spokojnie. Tak sędzę. Nie kłóciliśmy się o drobiazgi. Jak długo był pan żonaty, panie Oakham?

- Dziesięć lat. Moja żona nie miała ochoty zamieszkać tutaj. Więc... - Wzruszył ramionami, zamykając temat.

- Piękny jest ten stary dom - powiedziała Rosa.

Nie śpieszył się z piciem i nie widziała żadnych oznak, że ma zamiar odejść.

- Urodziłem się w tej okolicy - Harry znów przywołał barmana. - Jeszcze dwa, George, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, żeby chwilę pogadać?

- Absolutnie nie. Czuję się dosyć samotna, nim pan przyszedł.

Pokręcił głową i uśmiechnął się leniwie.

- Nie możemy na to pozwolić. Tak, to ładne miejsce. Bywałem tu jako dziecko. Już wtedy właściciele mieli kłopoty finansowe. Szczęście, że dom zamieniono na hotel.

Przynajmniej nie wpadł w ręce jakiegoś przedsiębiorcy, który natychmiast by go zburzył. Mieszkają w nim ludzie i cieszą się tym.

- Zawsze pracował pan w branży hotelarskiej?

- Nie, byłem urzędnikiem państwowym, póki mnie nie zwolniono. Pewnie byłem za mało usłużny dla niektórych osób. - Zaśmiał się. - Złożyłem więc podanie o tę pracę i dostałem ją. Myślę, że pomógł mi fakt, że jestem stąd. Kocham to. To zupełnie inny świat. Poza tym lubię poznawać nowych ludzi. Wierzę, że osobisty kontakt jest najważniejszy, jeśli chce się zarządzać hotelem tej klasy.

- Nie musiał się pan uczyć? - spytała Rosa. - To wielka odpowiedzialność prowadzić taki hotel.

- Całe życie zarządzałem ludźmi - wyjaśnił Oakham lekko. - A na tym właśnie polega teraz moja praca. Starać się, żeby goście byli zadowoleni, a personel zdyscyplinowany i ustawiony na baczność. Jedyna osoba ważniejsza od dyrektora to szef kuchni. A my mamy jednego z najlepszych. - Spojrzał na zegarek i dopił szampana. - Bardzo mi było miło. - Wstał i wyciągnął rękę. Nie wzmówiła sobie tego; przytrzymała jej dłoń o sekundę dłużej, niż należało. - Może mógłbym kiedyś towarzyszyć pani przy kolacji? - rzucił od niechcienia. - To wbrew naszym zasadom, żeby urocza kobieta czuła się samotna.

- Również wbrew moim - odparła. - Będę zachwycona. I dziękuję za szampana.

Przyniesiono menu, ale nie mogła się na nim skoncentrować. Wszystko wydawało się takie prawdziwe. Wzmianka o poprzedniej pracy, personelu. Żona, którą tak żywo opisywał Jim Parker, skwitowana lekkim wzruszeniem ramion. Człowiek, który lubi poznawać nowych ludzi, zabijał bez skrępowań. Błysk męskiego zainteresowania i żart z samego siebie. „To wbrew naszym zasadom, żeby urocza kobieta czuła się samotna”. Staraj się go poznać, pouczał Parker, ale niczego nie przyspieszaj.

Nie była to jej inicjatywa, bo przecież Oakham sam zrobił pierwszy krok. Szła właśnie do restauracji, kiedy jej powiedziano, że jest do niej telefon. Dzwonił Dick Lucas.

- Cześć, jak leci?

- Świetnie, Dick, dziękuję.

Jego radosny głos dodawał jej pewności.

- A jak hotel?

- Cudowny. Wspaniale wypoczywam.

- Było mi z tobą fantastycznie, Rosa. Dzwoniłem następnego ranka, ale chyba już wyjechałaś.

- Mnie też było fantastycznie - zapewniła. - Jesteś bardzo miły.

- Nie mam żadnych obowiązków w czasie tego weekendu - oświadczył. - Może mógłbym przyjechać? Możesz mi zarezerwować pokój?

Była to kusząca propozycja. Niech przyjedzie. Niech odsunie Harry'ego Oakhama. Ale to by zniszczyło jej historyjkę o samotnej rozwódce. Wzięła się w garść i powiedziała:

- Nie, Dick, jeszcze nie. Przecież uprzedziłam cię, że to była sprawa na jedną noc. Może za parę dni zadzwonię do ciebie?

Był rozczarowany.

- Trudno, jeżeli tak chcesz. Ale nie musiałbym zostawać. Moglibyśmy pójść gdzieś na obiad, po prostu spędzić razem kilka godzin.

Tak, pomyślała, tak. Bardzo by się przydało. Tylko z wizytą. Cokolwiek się dzieje na tym szlaku przygodowym, nie wyrolują Dicka Lucasa opowiastkami o niebezpiecznym podłożu i skręconych kostkach. Zdecydowała szybko.

- Dick, będzie mi miło. Przepraszam, że byłam taka nieprzyjemna. Słuchaj, śpieszę się na kolację, mogę zadzwonić jutro rano?

- Jasne. Około wpół do dziesiątej. Do usłyszenia.

Wyłączyła się.

*

Jan pojechał metrem na Earl's Court. Miał nazwiska i adresy czterech pośredników w tej okolicy, którzy specjalizowali się w sprzedaży części samochodowych i używanych wozów. Interesy w branży nie szły najlepiej i każdy, kto miał trochę gotówki w kieszeni, mógł bez trudu coś wybrać i kupić.

Wiedział, czego będą potrzebowali, i dokonał zakupu już u drugiego pośrednika. Dwuletnie czterodrzwiowe subaru w nie rzucającym się w oczy ciemnoniebieskim kolorze. Wypróbował je. Samochód był szybki, łatwy do manewrowania i z tradycyjną zmianą biegów. Bill Stevenson nalegał na to. Był wykwalifikowanym kierowcą i do takiego zadania nie chciał używać wozu z automatyczną skrzynią. Janowi spodobał się też rozmiar bagażnika. Mógł się w nim zmieścić człowiek, jeśliby go dobrze związać. Zapłacił gotówką i odjechał. Nie parkował przed hotelem Kensington Gore.

Hotel był cichy, przyzwoity, średniej klasy, ze zmieniającymi się gośćmi, turystami i parami starszych ludzi, spędzających kilka dni w Londynie. Jan wtopił się w tłum, z nikim nie rozmawiał i nie rzucał się w oczy. Nie korzystał z hotelowej restauracji, bo nie chciał zostać zapamiętany.

Przez kolejne trzy dni analizował trasę do drogiego klubu na West Endzie, gdzie mieściła się kosztowna i dyskretna agencja towarzyska. Jeździł tam po południu, obliczając

czas, notując intensywność ruchu i miejsca zatrzymań po drodze. Wracał do hotelu Regis, gdzie mieszkał książę, jeździł tą samą trasą wieczorami. Sprawdzał opóźnienia i przygotowywał różne wersje planu. Zaparkowawszy blisko wejścia do klubu, obserwował boczne drzwi. W ciągu dnia podjeżdżały tu małe taksówki, z agencji wychodziły kobiety i wsiadały do nich. Wieczorami był większy ruch. Dziewczyny zamawiano telefonicznie. Ulubienica arabskiego księcia, Denise, też z pewnością tędy wychodziła, gdy przyjeżdżał po nią jeden z samochodów księcia, prowadzony przez któregoś z jego ludzi. Tu nie będzie problemu, uznał Jan.

Zameldował się Harry'emu z automatu telefonicznego. Wszystko szło dobrze. Daniel musi tylko, kiedy się pojawi, ustalić, gdzie konkretnie dokonać porwania. Tak, zapewnił Harry'ego, czuje się dobrze i jest w pogodnym nastroju. Nie, nie ma się o co martwić. Jak za dawnych czasów. Będzie czekał cierpliwie, aż kontakt Oakhama przekaże wiadomość, że ofiara przyjechała.

Obiecał też Harry'emu, że się rozerwie i pójdzie do kina albo na jakieś przedstawienie, jeśli znajdzie coś, co go zainteresuje. Wzruszony był troską starego przyjaciela. Miał łzy w oczach, kiedy odkładał słuchawkę. Harry zawsze o niego dbał. Był jego jedynym przyjacielem, jedynym, który przyszedł się z nim zobaczyć, gdy on był u czubków po zwolnieniu z więzienia, wyśmiał jego lęki i depresję i dodał mu odwagi, żeby zacząć od nowa, kiedy nikt już w niego nie wierzył. Ręka, którą Jan ocierał oczy, trzęsła się ze wzruszenia. Wykona to zadanie najlepiej ze wszystkich w życiu. Jest to winien Harry'emu.

*

Wasilij Zarubin obudził się wcześniej. Zostawił wieczorem otwarte okna, ale zaciągnął zasłony. Obudził go o świcie ptasi koncert i Wasilij nie mógł już zasnąć. Wszystko było tu dla niego obce, a nie znosił uczucia alienacji. Nie smakowało mu jedzenie, irytował się przez cały czas, kiedy musiał udawać, że pracuje, i nie zaczął jeszcze żadnych programów komputerowych. A przede wszystkim nie lubił swoich kolegów. O Rilkiem myślał jak o robaku, nie o człowieku, Holenderka brzydziła go natrętną seksualnością. Czuł, że wbrew tym pozorom blondynka nienawidzi mężczyzn. Daniela w ogóle skreślał jako handlarza ludzką zdradą i chciwcą niezdolnego do żadnej lojalności ani uczuć - prócz własnej chęci przetrwania. Jednak najbardziej nie znosił tego Anglika, Harry'ego Oakhama.

Zarubin szczycił się swym intelektem i silną osobowością. Przyzwyczajony był do tego, że otaczali go ludzie słabsi, którym on rozkazywał, a oni słuchali go bez zastrzeżeń. Tutaj Oakham wydawał rozkazy i obraził Rosjanina, pokpiwając z jego autorytetu. Podobnie zresztą traktował wszystkich.

Zarubin go nie rozumiał. Ten dziwny typ był arogancki, bezwzględny, sam ustanawiał reguły. Nie służył krajowi, ale zawsze był panem siebie. Wasilij nie zetknął się jeszcze z takiego pokroju ludźmi. Oakham osłaniał tego znerwicowanego Polaka o drżących rękach i zrujnowanej psychice, jak ojciec syna. Potrafił jednak zaplanować porwanie i morderstwo z takim spokojem i skupieniem, z jakim Zarubin rozwiązywał problemy szachowe.

Znów był piękny letni dzień, więc Wasilij wstał i wziął prysznic. Podszedł do otwartego okna i wychylił się przez nie. Wciągnął w płuca czyste i pachnące powietrze. Było wczesnie, za wczesnie, żeby ktoś siedział na ławce w ogrodzie. A ona siedziała. Pamiętał ją z wczorajszego wieczoru. Jadła kolację sama. On też tam był, obsługiwany przez szefa restauracji, z pomocnikiem u boku. Szef wyznał słynnemu pisarzowi szeptem, że dwa miesiące temu wybrał się do Londynu, by obejrzeć sztuki Vaclava Havla. Zarubin zauważył samotną kobietę, bo była bardzo ładna, a on lubił ładne kobiety.

A teraz siedziała o ósmej rano na ławeczce przed hotelem, czytając książkę. Nie ruszał się. Patrzył. Nie przewracała stron. Raz spojrzała w kierunku wejścia, jakby się kogoś spodziewała. Stał nadal bez ruchu, cofnąwszy się nieco od okna. Zobaczył nadjeżdżający samochód. Prowadził go Bill Stevenson, były żołnierz piechoty morskiej. Wóz zatrzymał się przy wejściu do hotelu. Stevenson otworzył tylne drzwi. Zarubin zobaczył kobietę i dwóch mężczyzn.

Wiedział, kim są. Rzezimieszki z Belfastu, jak ich nazwał Oakham. Kobieta na ławce na moment opuściła lekko książkę. Słońce błysnęło na czymś, nie wiedział na czym. Potem znów nachyliła się nad książką i nie podnosiła wzroku. Samochód odjechał, a ona wstała, wsunęła książkę pod pachę i ruszyła w stronę hotelu.

Zarubin siedział, zastanawiając się nad tym, co zobaczył. Był pewien, że kobieta obserwowała wejście, udając, że czyta. W czym odbiło się słońce? A może mu się tylko wydawało? Zamówił kawę i angielskie śniadanie, bo tylko to mu tutaj smakowało. Postanowił sam dowiedzieć się czegoś o tej pani, nim powie coś Oakhamowi.

*

Na dyżurze w recepcji była Jane, która uśmiechnęła się na widok Harry'ego.

- Dzień dobry, panie Oakham. Znów mamy dzisiaj śliczny dzień.

Zatrzymał się na chwilę.

- Dzień dobry, Jane. Żadnych tragedii? Nie? To dobrze. Aha, czy pani Bennet już schodziła? - zapytał od niechcienia.

- Tak, wczesnie zeszła na śniadanie, a potem wyszła. Czy mam jej coś przekazać?

- Nie, nie. Wydawało mi się tylko wczoraj wieczorem, że czuje się trochę zagubiona,

więc wypilem z nią kieliszek szampana.

Jane skinęła głową.

- Dziwne, ja jakoś nie lubię chodzić sama do pubów - wyznała. - Czuję się trochę nieswojo. Nie chciałabym w takim dużym hotelu jak ten być sama.

- Myślałem, że należysz do tych wyzwolonych młodych kobiet - zażartował, a ona roześmiała się.

- Och, należę - zapewniła. - Tylko w niektórych sprawach jestem trochę staroświecka, to wszystko.

- Dzięki Bogu, że jesteś - powiedział Oakham. - Miłego poranka i pamiętaj, nie rób tragedii z kryzysu.

Znów się zaśmiała, a on poszedł dalej. Miły z niej dzieciak, pomyślał. Zawsze ma dla każdego uśmiech. Dam jej podwyżkę w przyszłym miesiącu.

Nie miał nic do roboty przez najbliższe godziny. Nie zamierzał tego ranka iść do Croft Lodge. Nie chciał sobie psuć nastroju widokiem Rilkego i Moniki, udających szczęśliwe małżeństwo, ani Daniela wpatrującego się w jej obfity biust. Czuł się pogodnie i beztrzesko.

Myślał o atrakcyjnej pani Bennet, a im więcej myślał, tym radośniej się czuł. Od dawna nie interesował się kobietami. Nie szukał seksu, nie zauważał klientek. Ale ona zwróciła jego uwagę. Była inna. Zawodowa uprzejmość mogła się stać miłym wstępem do czegoś więcej. Pozwolił sobie na spekulacje, czy pani Bennet w końcu wyląduje z nim w łóżku.

Była sama i przyznała się do samotności. Niedawno rozwiedziona. Wyszedł trochę poza rolę uprzejmego dyrektora, żeby zobaczyć, jak zareaguje. Podobała mu się w niej odrobina nieśmiałości. Nie podniecały go kobiety agresywne, wolał sam uwodzić. Wszystko nabierało rozmachu. Akcja w Londynie miała dojść do skutku w ciągu kilku dni; Maeve O'Callaghan oświadczyła, że Rilke jest szalenie użyteczny, że ona doradzi innym, żeby tu przyjechali na szkolenie. Życie było ciekawe, pełne podniecających chwil, jak wtedy, kiedy otrzymywał zadanie bez gwarancji, że wróci. Dlatego myślał o pani Bennet. Ryzyko i pożądanie szły u niego w parze. Już za długo zżera go frustracja i nieróbstwo, dlatego stracił ochotę na kobietę do łóżka. Wyszedł na słońce i ruszył do parku.

Kochał się z wieloma kobietami, ale naprawdę zakochany był tylko w jednej. Judith. Peggy była pomyłką. Nie chciał o niej myśleć. Jedyne na widok Judith o jasnych włosach i chabrowych oczach, uśmiechającej się do niego, biło mu serce. Pani Bennet, powiedział cicho do siebie. Gęste, rudobrzazowe włosy, wcale nie złote; oczy orzechowe, nie niebieskie... Wąska talia, którą mógłby objąć dwiema dłońmi, gładka skóra, usta, pewno słodkie i gorące.

Na co czekać? Dzisiaj kolacja. Nigdy nie lubił marnować czasu.

*

- Coś tu jest nie w porządku, ale jeszcze nie wiem co. Chodzi o drobne rzeczy. Sposób, w jaki patrzyła na mnie ta kobieta, chłopak do wszystkiego, który nie wiadomo dlaczego musiał mnie podwieźć, kiedy spacerowałam. Wiem, że to wszystko jeszcze nic nie znaczy - ciągnęła Rosa. - Nie ustawialiby przecież drogowskazów, gdyby...

Jim Parker jej przerwał.

- Mówiłem ci, masz instynkt. Zaufaj mu. Zdjęcia zostaw na posterunku policji w Ipswich. Zaraz tam zadzwonię, a oni odeślą je do wydziału specjalnego. Jeżeli w hotelu są jakieś podejrzanе typy, chcemy o tym wiedzieć. Dobra robota, Rosa. Nie ma śladu tego Polaka?

- Nie - odpowiedziała. - Słyszałam o zastępcy dyrektora, który akurat wyjechał, zdaje się, do chorego ojca.

- A Oakham? - spytał.

- Piłam z nim szampana wczoraj wieczorem. Myślę, że się mną zainteresował.

- Nie wątpię - oświadczył Parker. - Taka ładna dziewczyna jak ty, sama...

Rosa westchnęła głęboko.

- Boję się - powiedziała.

- Miło to słyszeć. Nie śpiesz się z niczym. Niech się trochę pokręci.

- Znasz tego faceta, z którym spędziłam noc przed przyjazdem tutaj, Amerykanina? Poprosiłam go, żeby przyjechał na jeden dzień. Myślę, że powinniśmy pójść na ten szlak przygodowy i przyjrzeć mu się. Wiem, że celowo mnie stamtąd zabrano, nie chcieli, żebym tam chodziła. Może uda nam się coś zobaczyć.

Parker wahał się.

- A czy on się nie zorientuje?

- Nie - zapewniła go Rosa. - Jest attache amerykańskiej marynarki w Londynie. Bardzo miły, typ playboya. Chce powtórzyć tamtą noc, a ja nie. Ale pomyślałam, że może mi się tu przydać.

- Nie daj się skusić. - Parker był stanowczy. - Chodzi o to, żeby nie odstraszył naszego przyjaciela Oakhama.

- Dobrze - obiecała. - Ciekawa jestem, czy miałam rację co do tej dziewczyny.

- Niestety - odparł - to nie moja branża. W każdym razie nie oficjalnie. Jeżeli się czegoś dowiem, jak będą oglądać te zdjęcia, dam ci znać. Zapomnij o tym, Rosa. Interesuje nas Oakham. I bądź ostrożna.

- Będę - przyrzekła.

Rozłączyła się. Dzwoniła z budki telefonicznej na końcu drogi prowadzącej z hotelu, zamawiając rozmowę na koszt odbiorcy. Posterunek policji w Ipswich. Wróciła do samochodu.

*

Na posterunku czekali na nią: wprowadzono ją do pokoju przesłuchań, gdzie wręczyła film oficerowi w cywilu. Nie powiedzieli nic więcej niż „dzień dobry” i „dziękuję”, po czym Rosa wyszła. Telefon Jima Parkera spowodował, że kilka minut później wyruszył z posterunku do Londynu szybki samochód z motocyklową eskortą.

Nagle poczuła głód. Zżerało ją napięcie nerwowe, kiedy czekała przed hotelem, żeby zrobić zdjęcia, a później podczas rozmowy z Parkerem. Wreszcie była szybka jazda do Ipswich, a na miejscu zdumiewający labirynt jednokierunkowych ulic. Znalazła mały lokalik, w którym podano jej poranną kawę i ciastka. To taka reakcja, uspokajała się, ale ręce wciąż jej się trzęsły, gdy podnosiła filiżankę. „Interesuje nas Oakham”. A ją Oakham przerażał. Było to dziwne uczucie i nie wiedziała, jak je opanować. Nigdy się nie bała żadnego mężczyzny. Zdawała sobie sprawę z fizycznej przewagi tego człowieka, gdyby była zdana na jego łaskę. Z pewnością nigdy nie okazywał litości.

Rosa siedziała dłużej, aż kawa jej wystygła i na wierzchu pojawił się cienki brązowy kożuch. Mogę mieć pretensje tylko do siebie, myślała. Parker pozostawił mi wybór. Nie pomniejszał ryzyka. Weszłam w to świadomie i nie mogę się teraz wycofać. Jest zresztą duża szansa, że w ogóle się mylę. Co najmniej pięćdziesiąt procent. Mogłam zareagować przesadnie na tę dziewczynę w holu, pewnie to po prostu sekretarka albo asystentka w drodze na konferencję. Tereny hotelowe mogą miejscami być podmokłe i ktoś leżący tam ze skrzyżowaną nogą to prawdziwe utrapienie dla pracowników hotelu. A Harry Oakham może być dokładnie tym, kim mówi, że jest; człowiekiem rozpoczynającym nowe życie, z nieudanym małżeństwem za sobą, podobnie jak ja.

Przypomniała sobie Parkera w roli adwokata diabła i jego opowieść o facecie, który załatwiał agentów nożem, a następnie wiódł normalne życie i pracował w szacownym zawodzie, czym zasłużył sobie na nekrolog w „Timesie”. Parker mógł się mylić, mogła i ona.

Może nie musi obawiać się niczego innego ze strony Harry’ego Oakhama jak normalnej reakcji atrakcyjnego mężczyzny na pierwszym etapie seksualnego podboju. A z tym ona, Rosa, z pewnością sobie poradzi.

Spędziła popołudnie na wędrownkach po małych wioskach, wstępowała do sklepów ze starociami. W jednym z nich kupiła figurkę z chińskiej porcelany na prezent dla matki, a

potem, pod wpływem impulsu, kupiła sobie w butiku niebieską letnią sukienkę.

Hotel Dom Lalek wydał jej się bardzo przyjazny, gdy weszła do obszernego holu.

Podeszła do recepcjonistki.

- Chciałabym zarezerwować stolik na dzisiejszy wieczór.

Była to ta miła dziewczyna o promiennym uśmiechu.

- Pan Oakham już to zrobił za panią - powiedziała. - I zostawił dla pani wiadomość.

Rosa rozcięła kopertę. Była to karta z pozdrowieniami od dyrektora. *Dziś wieczorem nie mam dyżuru. Proszę zjeść ze mną kolację.*

7.

Zarubin wcześniej zszedł do baru. Spędził popołudnie na opracowywaniu skomplikowanego programu komputerowego, dotyczącego technik wywrotowców, rozpoczął też program ze specjalnym hasłem i wprowadził do systemu podstawowe dane Rosy Bennet. Zamówił wódkę z lodem, ale był zły, że mają tylko jeden gatunek. U niego w kraju był ogromny wybór. Czekał, aż Rosa się pojawi. Kiedy weszła, musiał zachwycić się pięknie dobranymi kolorami jej stroju. Czarna suknia ze szkarłatną draperią na jednym ramieniu. Żadnej biżuterii, żeby nie zakrywać gładkiej, opalonej szyi, tylko brylanty w uszach.

Patrzył na nią tak długo, aż spojrzała na niego. Uniósł się lekko z krzesła i powiedział:

- Dobry wieczór.

- Dobry wieczór.

Miała przyjemny głos, ale nie brzmiało w nim zaproszenie, nie dostrzegł go też w geście, jakim rozłożyła magazyn i zaczęła czytać. Barman zagadnął ją:

- Szampan, proszę pani? Z wyrazami szacunku od pana Oakhama.

- Nie, dziękuję. - Rosa pokręciła głową. - Czy mogę prosić whisky z lodem?

- Oczywiście. - Barman znikł.

Stary ostro działa. Wczoraj szampan, dzisiaj także, plus kolacja we dwoje. Personel był poruszony. Nawet szef restauracji uniósł brew, zdumiony, że dyrektor będzie jadł kolację z jednym tylko gościem, i to płci żeńskiej. Właściciele mogą robić, co im się podoba, zresztą często było to dobre posunięcie, żeby dołączyć do jakichś ważnych gości, ale takie sam na sam nie jest w dobrym tonie. Recepcjonistka Jane podśmiewała się z tego już od rana.

Wasilij Zarubin wstał. Podeszedł do Rosy i zapytał:

- Przepraszam, czy pani czyta wieczorną gazetę?

- Nie. - Rosa podała mu ją. - Proszę bardzo.

- Dziękuję.

Znów zabrała się do czytania magazynu, a on wrócił na swoje miejsce. Przyniesiono whisky, a po paru minutach do baru wszedł Oakham. Uśmiechnął się do niej i podeszedł do mężczyzny, który usiłował ją zagadnąć.

- Dobry wieczór panu. Wszystko w porządku?

- Czy mógłby pan zamówić do baru pieprzówkę?

- Oczywiście. A jak się posuwa praca?

- Dziękuję, dobrze.

- Mam nadzieję, że będzie panu smakowała kolacja. Przepraszam.

Odszedł i usiadł obok Rosy.

- Zamówiłem dla pani szampana.

- Wiem, zamieniłam go na whisky.

- Nie lubi pani bąbelków? - To określenie już wyszło z użycia, postarzało go w jej oczach.

- Muszę go sporo pić przy okazjach służbowych, a whisky jest jakąś odmianą.

Oakham ubrany był w dobrze skrojony ciemny garnitur i jedwabny krawat. Buty miał wyglansowane jak gwardzista na paradzie.

- Kim jest ten mężczyzna, tam dalej? - zagadnęła go Rosa. Żałowała, że powiedziała o picciu szampana służbowo. Dawała mu w ten sposób szansę na wypytywanie o jej pracę.

- Wasilij Zarubin - odpowiedział Oakham. - Nie słyszała pani o nim? Jest znanym rosyjskim pisarzem dysydem. Kończy tutaj książkę o tym dramaturgu, który jest prezydentem Czech. Chce mieć ciszę i spokój, cały dzień stuka w komputer. Schodzi tylko na posiłki. A dlaczego pani pyta?

- Och, nic takiego. Zdawało mi się, że próbował mnie poderwać.

- To dla pani prawdziwy komplement. - Harry Oakham nawet nie drgnął. - Zwykle jest bardzo powściągliwy, z nikim się nie kontaktuje. Zawsze sądziłem, że Rosjanie są raczej pogodni. To pewnie przez te stare filmy, w których zawsze tańczą kozaka i grają na bałajkach. Sądząc po nim, nie są specjalnie skłonni do wesołości. Dlaczego musi pani pić szampana służbowo? Czy pani mąż pracował w branży winiarskiej?

- Nie mój mąż. - Rosa odpowiedziała ostrzej, niż zamierzała. - Ja pracuję w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Miałam na myśli przyjęcia w ambasadach.

Nigdy nie kłam, kiedy można bezpiecznie powiedzieć prawdę. Parker wbijał jej to do głowy. Zapłaczesz się, jeżeli będziesz kłamać.

- Dobry Boże - rzekł Oakham. - Czy jest pani wysoko postawioną w kręgach dyplomatycznych osobą?

- Jeszcze nie, ale mam nadzieję, że nią będę.

- Podziwiam panią.

- Niepotrzebnie. To nic takiego. Chociaż myślę, że idę we właściwym kierunku. Dlatego tu przyjechałam. Muszę mieć czas, żeby odświeżyć sobie umysł i uświadomić, co jest dla mnie ważne.

- Chyba pani były mąż tego nie zrobił - zauważył Harry. - Czy to było bolesne? Chodzi mi o rozstanie. Nie gniewa się pani, że o to pytam?

- Tak, było - przyznała. - Było bolesne. Boli jak diabli, kiedy człowiek stara się jakoś balansować między mężem a pracą, a on odchodzi do kogoś innego. - Nie chciała tego powiedzieć, ale wyszło samo, niby kolec przebijający skórę. - Ona była w ciąży. To zadecydowało.

Zapanowała nieprzyjemna cisza.

- Może przejdziemy do jadalni? - zaproponował Oakham. - Możemy tam przejrzeć menu.

*

- Czy naprawdę mogę się zachowywać jak osoba prywatna? - Oakham nachylił się w jej stronę.

- Myślałam, że jest pan tu w takim charakterze - powiedziała Rosa. Rozgadała się zanadto i miała o to do siebie pretensje.

- Właściwie nie powinienem - przyznał się. - W sobotę mamy największy ruch. Nie chciałem jednak czekać do środy z zaproszeniem pani, więc wziąłem wolny dzień. Nie zapraszałem nikogo od czasu, gdy zostawiłem żonę. Mam nadzieję, że nie uważa mnie pani za natręta.

- Myślałam, że żona zostawiła pana.

- Oddałem jej swój cały ziemski dobytek, zresztą nie był tak wielki, więc w pewnym sensie się jej pozbyłem. Od wielu lat nie byliśmy szczęśliwi i przyszedł czas, by z tym skończyć. Nikt nie przelewał łez. - Prawie mu uwierzyła. - Zdecydujmy, co będziemy jedli, a ja wybiorę odpowiednie wino. Tak się z panią łatwo rozmawia. Mógłbym pani opowiedzieć całe swoje życie, ale niestety, to bardzo nudne.

- Nie wierzę - odparła. Musiała to zrobić. - Czy mógłby pan mówić do mnie Rosa? Przecież jest pan tu prywatnie...

- Pasuje do ciebie to imię. Jest niezwykle. Czy to skrót od Rosemary?

- Rosamund - wyjaśniła. - Mój ojciec uwielbiał stare, historyczne imiona. Wszyscy nazywają mnie Rosa.

- Twój ojciec musiał być chyba bardzo miły. Opowiedz mi o nim. - Kiedy mówiła, wziął menu, odchylił się na krześle, ale nie otworzył karty od razu. Skończyła, a wtedy powiedział: - Mnie dano na chrzcie imiona Henry Arthur George.

- O Boże! Można język połamać.

- Po ojcu, dziadku i ojcu chrzestnym, który wysilił się na srebrny kubek i więcej nikt

go nie widział. Więc skończyłem jako Harry. A teraz zabierzmy się do poważnej lektury.

Była to jedna z najlepszych kolacji, jakie kiedykolwiek jadła. Sala była cudowna, z elegancką boazerią i przyćmionym światłem. Świece na stolikach rzucały jasne kręgi. Półmiski pojawiały się i znikwały, cudowne wina, jakie wybrał, lały się obficie, a zakończyli posiłek likierami i kawą.

Opowiadał jej o sobie. W jego relacji praca przy biurku w dusznym biurze przypominała zabawny serial telewizyjny. Kiedy jednak mówił o nudzie i frustracji, wyczuła gorycz i żal. Jedzenie i wino uspiły jej czujność, zniekształcając ocenę człowieka siedzącego blisko niej, ocierającego się kolanem o jej udo.

- Czy chciałabyś przejść do biblioteki? - spytał. - Będzie tam teraz dużo ludzi. A może zostaniemy tu, gdzie jesteśmy?

- Bardzo mi tutaj dobrze - zapewniła Rosa. - Wiesz, jakoś cię nie widzę w roli urzędnika państwowego. Myślę o tych, których znam, i doprawdy nie mogę sobie tego wyobrazić.

- A ja nie mogę sobie wyobrazić ciebie jako pracownika Ministerstwa Spraw Zagranicznych - zrewanżował się. - Jesteś piękną kobietą, ale wiele osób musiało ci to mówić. Chciałbym zapalić cygaro, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Pokręciła głową. Patrzyła na jego rękę, gdy odcinał koniec cygara, a potem zaciągnął się. Bogata woń tytoniu podrażniła jej nozdrza. Był to zmysłowy zapach, bardzo męski. Dostrzegła sygnet Oakhama i spytała:

- Czy to twój herb?

- Oakhamów - odpowiedział. - Należał do mojego ojca. Mieliśmy taką samą rękę, więc nie trzeba było nic dopasowywać.

- My niczego takiego nie mamy. Jesteśmy zwykłą klasą średnią.

- Nie uznałbym profesora historii w Oksfordzie za przedstawiciela klasy średniej - sprzeciwił się. - W każdym razie w życiu liczy się tylko poczucie humoru i lojalni przyjaciele. Wystarczy choćby jeden lojalny przyjaciel.

- A ty masz takiego? - Musiała próbować, bo inaczej sytuacja znów wymknęłaby się jej spod kontroli.

- Tak. Mam takiego przyjaciela. Jest teraz za granicą. Wyjechał do Polski, skąd pochodzi jego rodzina. Bardzo za nim tęsknię.

Polak, który był w więzieniu... Jim Parker nie miał racji. Harry Oakham mówił prawdę. Dlaczego miałby kłamać? Po co w ogóle by go wspominał?

- Może wróci? - zapytała.

- Nie ma do czego wracać w tym cholernym kraju - rzekł. - Był dobrym człowiekiem. Tęsknię za nim - powtórzył.

- Jest po dwunastej - zauważyła Rosa. - Nie możemy tu siedzieć całą noc, przetrzymując twoich biednych pracowników.

- Jesteś bardzo miła, Rosa, ale rzeczywiście powinienem był o tym pomyśleć. Trzeba ułożyć hotel do snu. Dziękuję ci za dzisiejszy wieczór. Wybacz, że cię nudziłem, opowiadając tyle o sobie. Sądziłem, że wolisz słuchać niż mówić. Tak mi się wydawało.

- To była wspaniała kolacja i cały czas doskonale się czułam. A jeśli idzie o nudzenie, Harry, nie domagaj się komplementów.

Zaśmiał się i wziął ją pod rękę.

- Nie będę. Odprowadzę cię do twojego pokoju, a potem znów wejdę w rolę dyrektora i zrobię szybki obchód, nim wszystko zamkniemy na noc. Weszli razem po schodach, mijając lalczyny dom.

- Niezwykły kawałek historii - powiedziała, zatrzymując się na chwilę. Nie chciała, żeby szedł dalej.

- Opowiem ci kiedyś związaną z nim legendę. - Harry stał, patrząc na nią. Czytał w jej myślach. - Idź na górę. Pójdę na dół i ułożę hotel do snu. Jeszcze raz dziękuję. - Nie dotknął jej. Nie potrzebował. Przeskakiwały między nimi ładunki elektryczne. - Dobranoc, Rosa. Śpij dobrze.

Odwróciła się i pobiegła korytarzem do swego pokoju. Zrzuciła pantofle i położyła się w ubraniu na łóżku. Była kompletnie wykończona.

- O Boże - szepnęła. - W co ja się pakuję?

*

- W co ty, kurwa, grasz, Zarubin?

Rosjanin popatrzył na Oakhama. Czytał, kiedy Oakham otworzył drzwi do jego pokoju zapasowym kluczem i wpadł do niego znienacka o pierwszej w nocy.

- Gram? Nie rozumiem. I przestań kłąć!

- Miałeś się nie rzucać w oczy - pienił się Harry. - A nie podrywać gości hotelowych! Widziałem cię w barze...

- Nie, nie widziałeś - odparował Zarubin. - To ona ci powiedziała. Ja tylko poprosiłem o gazetę. Widziałem za to, że wyście razem jedli i pili. Co z twoim wizerunkiem?

- To moja sprawa - warknął Harry. - Chcesz się pieprzyć, to powiedz, znajdę ci jakąś dziwkę, ale trzymaj się z daleka od gości!

Zarubin odrzucił kołdrę, wstał i przeciągnął się, patrząc na Oakhama. Był wyższy od

Anglika. Kusilo go, zeby powiedziec, co widzial przez okno. Powstrzymal sie jednak. Jeszcze nie. Poki nie przekona sie, ze ona prowadzi infiltracje. Szpieg to takie staroswieckie slowo. Czy obserwowala irlandzkich terrorystow? Czy po to znalazla sie w hotelu? Jezeli tak, stanowila niebezpieczenstwo dla nich wszystkich. Ale Oakham nie byl czlowiekiem, ktorego mozna sprowokowac do szybkiej akcji. Nie byl szachista. Zarubin ziewnal.

- Nie jestem tutaj wieniem. Przyjechalem z wlasnej woli. Nudzilo mi sie dzis wieczorem i mialem ochote porozmawiac z ladna kobieta. Jezeli nalezy do ciebie, Harry, to popelnilem blad i to sie juz nie powtorzy. A teraz sie wynos i daj mi pospac. - Otworzył drzwi i stanął obok nich.

Harry na chwile sie zawahal. Ten drań przejrzał go i w dodatku ma ostatnie slowo. Oakham wyszedł i zamknął za sobą drzwi bardzo cicho. Nie chodzilo tylko o bezpieczenstwo. Zarubin to najwyzszej klasy profesjonalista i oskarzanie go o niepotrzebne ryzyko bylo oczywiscie tylko pretekstem, zostalo wywolane zazdrocia. On, Harry, nie chcial, zeby pientnascie lat mlodszy od niego Zarubin, do ktorego wzdychala Jane i inne dziewczyny, zagadywal Rose Bennet. Proste. Nie zyczył sobie konkurencji. Rosa podniecala go tak jak zadna kobieta od bardzo wielu lat. Poza olbrzymim ladunkiem seksu, jaki w niej wyczuwal, po prostu lubil ja. Podobala mu sie jej szczerość i niezaleznosc, zupełny brak prózności i sposob, w jaki wypowiadala swoje opinie.

Pragnal Rosy, ale nie chcial jej ponaglac. Nie pozwolilaby mu zreszta, i za to ja szanowal. Mieli czas; czas, zeby zataczac wokół siebie kregi, zblizajac sie coraz bardziej, az wreszcie instynkt zadziala u obojga naraz. W jej oczach, kiedy stali obok domu dla lalek, bylo cos takiego...

Zasnal i obudzil sie spocony po koszmarzym snie: naga kobieta, ktora trzymal w ramionach, miala twarz Judith po smierci.

*

Ochrona w hotelu Regis sprawnie opieczetowala apartament i specjalna winde, zabezpieczyla tez dwa pietra ponizej. Wydzial specjalny wprowadzil swoich ludzi do hotelu i do patrolowania wszystkich wejść. W budynku naprzeciwko umieszczono mala druzynie strzelcow wyborowych. Gość z Arabii Saudyjskiej przezył juz jedna probe zamachu w Paryżu i dlatego wybral Londyn jako miejsce uslug medycznych i rozrywkowych, poniewaz tutaj stosowano znacznie skuteczniejsze srodki ostrozności.

Zajechal szybkim kuloodpornym mercedesem z matowymi szybami; towarzyszyly mu nie oznakowane samochody policyjne z przodu i z tyłu. Swita ksiecia przybyla wynajetymi wozami. Czlonkowie ochrony osobistej, pochodzacy z rzdazcego plemienia, przysiegli strzec

rodzinę królewską od śmierci i zawsze z nim podróżowali. Wejście zostało otoczone kordonem, hol opróżniony, a księcia eskortowano do prywatnej windy. Własny kucharz przygotowywał mu potrawy, a tester spożywał ich próbki, by wykluczyć możliwość otrucia. Nazajutrz księżę miał wyznaczoną konsultację u swego specjalisty od chorób oczu. Wizyta w Londynie była prywatna, więc nie było w planie żadnych oficjalnych przyjęć, tylko kolacja u ministra spraw zagranicznych w jego domu.

Księżę był zmęczony po podróży i spał. Jan na próżno czatował całą dobę przed klubem. Jednak następnego dnia jego cierpliwość została wynagrodzona.

*

Limuzyna z przyciemnionymi szybami zatrzymała się przy bocznym wejściu i wsiadła do niej wysoka dziewczyna, spowita w błyszczący woal. Jan jechał za tamtym wozem. Skręcili w St George Street i objechali Hanover Square. Ku jego zdumieniu, limuzyna skierowała się w lewo, w Tenterden Street. Była to wąska, źle oświetlona uliczka, prowadząca do Bond Street. Chyba kierowca źle jedzie, pomyślał zaintrygowany. Bond Street jest przecież jednokierunkowa. Wtedy kierunkowskazy zaświeciły, wskazując w prawo, limuzyna przejechała parę metrów pod prąd i skręciła w Blenheim Street. Immunitet dyplomatyczny, mruknął do siebie Jan. Jego, niestety, nie obejmował. Kiedy przejechali szybko Oxford Street i skręcili do hotelu, minął ich powoli, właśnie wtedy gdy kobieta wysiadła i weszła szybko do środka. Wrócił do Kensington Gore, zamówił kieliszek wina i poprosił o udostępnienie telefonu.

Mówił cicho. Nie przedstawił się Harry'emu. Postępował jak za dawnych czasów. Nigdy nie podawać swojego nazwiska, nigdy w ogóle nie używać żadnych nazwisk.

- Jesteśmy gotowi - oświadczył. - Przyślij ich jutro. Do mnie.

- W porządku - odparł Harry. - Dobra robota. Jak się czujesz, stary?

Miał włączony zagłuszacz. Jan pewnie z wrażenia zapomniał, że nikt ich nie podsłucha.

- Świetnie. Wszystko pójdzie zgodnie z planem. Obiecuję.

- Dobra robota - powtórzył Harry i Jan się wyłączył.

Wrócił na swoje miejsce. Wylał trochę wina, bo trzęsła mu się ręka. Jest koordynatorem. Jutro może przekazać sprawę Izraelczykowi. Nie musi być nigdzie w pobliżu, kiedy zatrzymają samochód i Monika zajmie miejsce dziewczyny. Miał opuścić Londyn i wrócić do Suffolk, nim zaczną realizować plan. Nie będzie musiał patrzeć na akt przemocy. Nie będzie myślał o Arabie ani o tym, co się wydarzy. Nie będzie myślał nawet o pieniądzach czekających na niego w Szwajcarii. Robi to dla Harry'ego.

Dziewczyna, która podała mu drugi kieliszek wina, spytała, czy dobrze się czuje. Wyglądał na chorego i cały drżał. Powiedział:

- Tak, w porządku, proszę o rachunek.

Wzruszyła ramionami i poszła, żeby go wypisać. Zrobiła, co do niej należało.

*

Rosa nie widziała go od dwóch dni. Pojechała do Woodbridge, kupiła powieść, której akcja toczyła się w Prowansji, i biografię Talleyranda, wznowioną przez wydawnictwo Penguin. Czytała ją, kiedy była uczennicą, i to wpłynęło na jej decyzję podjęcia pracy w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Straciła trochę czasu w sklepach sprzedających drogie rupiecie, zwane na wyrost antykami, i w końcu zasiadła w hotelowym ogrodzie, by poczytać. Powieść była pretensjonalna i ponura. Odłożyła ją i sięgnęła do ulubionej biografii. Nie mogła jednak skupić uwagi. Gdzie jest Oakham? W końcu zapytała o niego w recepcji. Miała zwyczaj zatrzymywać się tam na parę minut, gdy przechodziła, żeby porozmawiać z Jane.

- Dawno nie widziałam pana Oakhama - zagadnęła drugiego dnia.

- Wyjechał gdzieś?

- Jest bardzo zajęty. Mówił mi wczoraj, że pan Pollock wróci dopiero pod koniec tygodnia. - Jane popatrzyła na Rosę. - Chyba będzie tutaj wieczorem. Przekazać mu coś? - Oczka błyszczały jej ciekawie.

Tamta kolacja przeciągnęła się aż po północy. Obsługa restauracji mówiła, że siedzieli, rozmawiając, a on zamawiał najdroższe wina.

Jane uważała, że to bardzo romantyczne. Lubiła panią Bennet, a pan Oakham najwyraźniej też.

„Skoncentruj się na Oakhamie”. Takie miała Rosa instrukcje. Nie mogła sobie pozwolić na stratę czasu.

- Proszę go zapytać, czy nie wpadłby do baru po kolacji - powiedziała. - Jeśli oczywiście nie będzie zbyt zajęty.

- Och, na pewno nie. - Jane promieniała.

Była trochę snobką, ale lubiła ploteczki.

- Aha - Rosa już miała odejść, ale zatrzymała się jeszcze na chwilę - chciałam zapytać, kiedy będzie czynny szlak przygodowy? Chętnie bym się nim przeszła.

- Nie jestem pewna - odpowiedziała Jane. - Chyba jeszcze trwają tam jakieś prace. Może za jakieś dwa tygodnie? Ale nie widzę, żeby zbyt wielu naszych gości wybierało się w tamte strony. Wolą długie służbowe obiady - roześmiała się.

- No, nie wiem. - Rosa oparła się o ladę. - Wiele firm bardzo dba o zdrowie i

sprawność swoich pracowników. Może to trochę zbyt staromodne, pewnie basen albo boisko do squasha byłyby lepsze.

Jane stanęła w obronie hotelu. Lubiła swoją pracę, a z natury była bardzo lojalna.

- Będziemy mieli narty wodne i surfing na jeziorze.

- Naprawdę? To brzmi obiecująco. Kto będzie się tym zajmował?

- Nasze złote rączki, Bob i Ron. Są byłymi spadochroniarzami czy piechurami morskimi, no, coś takiego.

Facet, który podwoził Rosę w ogrodzie, był zbudowany jak czołg.

- Widziałam jednego z nich, jechał maleńką wywrotką. A są przynajmniej mili?

Jane zrobiła niepewną minę.

- Trudno powiedzieć. Nie zadają się z resztą personelu. Spędzają wieczory w pubie.

Ich szef to chyba jakiś były sierżant.

- A gdzie oni mieszkają? - spytała Rosa. - W wiosce?

- Nie, są trzy domki dla robotników przy Dunns Wood. Pan Oakham kazał je zaadaptować. Kierowniczką nie chciała, żeby mieszkali razem z resztą pracowników. Widzi pani, do nas przyjeżdżają na kilkumiesięczne praktyki młode dziewczyny z zagranicy. Nie życzyła sobie, żeby tacy brutalni faceci się tu kręcili. Pan Oakham też nie. Nawet - zniżyła głos - powiedział do kierowniczkę, że to tak, jakby wpuścić lisy do kurnika. Niech pani mu nie mówi, że to powtórzyłam, dobrze? Ale tak zabawnie to ujął...

- Oczywiście, że nie powtórzę.

Jane już się rozpędziła.

- Biedny stary Jim ich nie lubi - wyznała. - To konserwator, pracował tu jeszcze za poprzednich właścicieli. Mówi, że sobie z niego żartują. Robili całą elektryczność w Croft Lodge i stolarkę. Ma o to żal, bo te sprawy zawsze należały do jego obowiązków.

- Nie nadążam - powiedziała Rosa. - Co to takiego Croft Lodge?

- To dom głównego księgowego - wyjaśniła Jane. - Mieszka tam razem z żoną. Są Szwajcarami, a on ma asystenta, który też tam mieszka.

- Przychodzą do hotelu?

- Państwo Brandt? Nie, nie jadają tu posiłków. Wszyscy zostaliśmy sobie przedstawieni, kiedy pan Oakham przejął hotel. Tamtego drugiego jeszcze nie widzieliśmy. Ona jest bardzo atrakcyjna, bardzo elegancka, a on nijaki. Typowy księgowy. Rozumie pani, co mam na myśli. Ani wysoki, ani przystojny, ani nic. A propos przystojny. Widziała pani tego pisarza, pana Rubina? - Zniekształciła nazwisko, opuszczając pierwszą sylabę.

- Taki wysoki, bardzo ciemny? Był w barze przedwczoraj. Kończy, zdaje się, jakąś

książkę?

- Tak, o tym dramaturgu, co siedział w więzieniu, a potem wybrano go na prezydenta. Chyba na Węgrzech?

- Nie, to Czech - delikatnie poprawiła Rosa. Uśmiechnęła się do Jane. - Uważasz, że ten pisarz jest atrakcyjny? - Tak romantycznie wygląda. - Na twarzy dziewczyny pojawił się rumieniec. - Ciągle mam nadzieję, że poprosi mnie o pomoc jako sekretarkę. Ma w pokoju pełno komputerów i innych urządzeń, tak mówiły sprzątaczkę. Pracuje całymi godzinami, a później wychodzi na spacer. Podobno pisarze są samotnikami. - Westchnęła. - Poszłabym z nim na spacer! Ojej, nie powinnam tak mówić. Nie uważa pani, że wygląda na marzyciela?

- Nie przyglądałam mu się - wyznała Rosa. - Ale następnym razem to zrobię. Nie zapomnij przekazać panu Oakhamowi mojej prośby. Marzę o herbacie. Do widzenia, Jane.

- Do widzenia pani.

Rosa poszła na górę i zamówiła herbatę. Było jej gorąco i czuła się zmęczona. Wyciągnęła się na łóżku i zasnęła. Kiedy się obudziła, herbata była lodowata, a skrawek nieba, który widziała z łóżka - prawie zupełnie ciemny. Przespała kamiennym snem prawie trzy godziny. Zrobiła sobie gorącą kąpiel i leżąc w wannie, porządkowała informacje zasłyszane od Jane.

Byli wojskowi zatrudnieni jako złote rączki, również do prac elektrycznych i stolarskich. Nic w tym niezwykłego. Typowe zajęcia adaptacyjne dla osób opuszczających armię. Nie są tu zbyt popularni i niechętnie nawiązują kontakty towarzyskie. Bardzo charakterystyczne, że przez długi czas nie mogą się dopasować. Szwajcarski księgowy z żoną i asystentem, mieszkający na terenie należącym do hotelu. Czy jest w tym coś podejrzanego?

Szlak przygodowy nie został jeszcze ukończony, nic więc dziwnego, że nie chciano, aby ktoś się tam szwendał...

Wybrała jaskrawoniebieską sukienkę, którą kupiła w butik. Umalowała usta i skropiła włosy nowym zapachem Armaniego.

Boję się, wyznała Jimowi Parkerowi. Bała się człowieka, który potrafił zabijać bez skrępow. Popatrzyła na swoje odbicie w lustrze. Teraz był jeszcze inny powód i musiała spojrzeć prawdzie w oczy. Bała się tego, jak sama się czuje w jego obecności. Odkrywając prawdziwe oblicze tego człowieka, może będzie musiała odkryć także swoje. Już zmieniła własny wizerunek. Inteligentna zawodowa dyplomatkę, dyskretnie elegancką, wyglądała inaczej niż dziewczyna w jaskrawej sukience, z rozpuszczonymi włosami i o długich, opalonych nogach, widocznych spod krótkiej sukienki. Włożyła złote sandały na wysokim obcasie. Wyglądała znacznie młodziej. Nie miała dowodów, tylko przypuszczenia. W końcu i

tak wszystko będzie zależało od samego Harry'ego Oakhama.

Czekał na nią, gdy zeszła na dół.

- Witaj - powiedział. - Dostałem twoją wiadomość. Nie obrazisz się, jeżeli powiem, że wyglądasz rewelacyjnie? Jaki piękny kolor!

- Dziękuję. - Rosa popatrzyła na niego. Był spięty, miał zmarszczki wokół oczu. - Dlaczego miałabym się obrazić? Prawisz takie miłe komplementy. Żeby było śmieszniej, kupiłam tę sukienkę tu, w Ipswich. Jest może trochę zbyt jaskrawa, ale podobał mi się ten odcień. Czy możemy coś wypić po kolacji? Jane mówiła, że jesteś bardzo zajęty.

- Mam w tej chwili trochę mało personelu, ale sytuacja się poprawi, kiedy wróci mój asystent. - Monika i Daniel spodziewali się Harry'ego w Croft Lodge. Bill Stevenson i jego bandyci czekali tylko na telefon, żeby dołączyć do tej dwójki. - Będziesz teraz coś piła w barze czy idziesz od razu na kolację?

- Jest dosyć późno. Chyba pójdę do restauracji.

Dotknął jej ramienia, a ona lekko drgnęła. Kiedy przesunął rękę, odczuła to jak pieszczotę na swojej skórze. Powiedział:

- Po kolacji mój czas należy do ciebie. Spotkajmy się w bibliotece około wpół do dziesiątej. Nie będzie tam dzisiaj zbyt wiele osób.

*

Monika była podniecona. Chodziła po niedużym pokoju, trzymając w ręku szklanekę wódki z tonikiem. Popatrzyła na Daniela i uśmiechnęła się. Promieniowała wprost erotyczną energią. Z trudem mógł usiedzieć spokojnie, patrząc na nią.

- Mógłby się ten Harry pośpieszyć. Nie mogę się doczekać, kiedy zaczniemy!

- Nie boisz się? - spytał Izraelczyk.

Zaśmiała się.

- Nigdy się nie bałam. Zapominasz, Danny, że w swoim czasie podejmowałam naprawdę ryzykowne zadania... Nie mówię tylko o tym starym pryku Rittermanie. To nic takiego. Ale był jeszcze szwajcarski handlarz bronią, zaginął w Zurychu. Lubił mieć kobiety na tylnym siedzeniu w samochodzie. Pewnego popołudnia miał mnie. Samochód znaleziono w jeziorze trzy miesiące później. To, co z faceta pozostało, znajdowało się w bagażniku. Byli i inni, obrzydliwe kapitalistyczne świny, jak ten facet we Włoszech. Porwaliśmy go w święto, trzymaliśmy w pudle i pozwoliliśmy mu tam umrzeć, bo rodzina zgłosiła sprawę policji i próbowano nas złapać przy odbieraniu okupu. Zresztą i tak byśmy go nie puścili. Pewnego dnia ktoś zajrzy do tej chatki, *contadino*, i znajdzie pudło. Ale na razie jeszcze nikt go nie znalazł. - Znów się zaśmiała. - Nigdy nie próbowałam z Arabem. Czy to prawda, że lubią

chłopców? Ty powinieneś wiedzieć, co, Danny?

Był nią zafascynowany. Nie brzydziła go, był oszalały z pożądania.

- Czy masz orgazm, jak zabijasz, Moniko? Słyszałem, że niektóre kobiety mają.

- Mężczyźni również - zauważyła. - To oczyszczające uczucie. Czujesz własną siłę, ulgę, ale również przyjemność. To... nie, nie potrafię tego opisać.

- Potrafisz - mruknął. - Ja już też wiem, o co chodzi. Musimy to uczcić, jak będzie po wszystkim. Czy uczcisz to ze mną, Moniko?

Uśmiechnęła się, podeszła do niego i nagle chwyciła go za gęste kręcone włosy. Pociągnęła.

- Zorganizuj mi to, Danny - zagruchała - a potem pozwolę się pieprzyć. Jak tylko zechcesz. Obiecuję. O! - Puściła włosy Daniela i odwróciła się. - To Harry.

Oakham wszedł, zobaczył szklankę w jej ręku i oświadczył:

- Nic z tego. Żadnego picia teraz i podczas wykonywania roboty. Czy jesteście gotowi do wyjazdu?

- Tak. - Daniel wstał. Potarł czubek głowy. Jak tylko zechcesz, powiedziała. Miał dla niej parę niespodzianek. - A co ze Stevensonem i innymi?

- Spotkają was na drodze, naprzeciwko wjazdu. Monika, ile, do cholery, wypiałś? - denerwował się Oakham.

- To był mój pierwszy - burknęła. - Myślisz, że jestem taka głupia, żeby ryzykować?

- Dobra, więc ty prowadzisz. Jan zarezerwował wam miejsca w pensjonacie, Stevenson z chłopakami będą po drugiej stronie ulicy. Kiedy dojedziecie, zameldujcie się w recepcji i idźcie do pizzerii na rogu. Nazywa się Arturo's Pizza Pie. Jan będzie tam na was czekał. Ma wszystko zaplanowane. Potem ty przejmujesz sprawę, Daniel. Dostarczasz Monikę do tego hotelu. Dalej to jej rzecz. Przecięki do prasy zostawiacie mnie. Dam cynk, komu trzeba.

Monika zachichotała.

- Książę martwy po nocnej orgii. Zrobię wam jeszcze na dokładkę ładne zdjęcia...

- Tylko wróć w jednym kawałku - przerwał jej Oakham. - Dobra, ruszajcie w drogę. I powodzenia.

Daniel otworzył jej drzwi. Wymienili konspiracyjne uśmiechy. Harry nie wyszedł za nimi. Czekał, dopóki nie usłyszał odgłosu ruszającego samochodu. Potem pomruk silnika rozpląnął się w ciemności.

Niewątpliwie jest szalona. Jego dziadek mówił w swoich kazaniach o złu. Pamięta niektóre z nich z dzieciństwa. Opętana przez diabła. Współczesna psychologia wyjaśniłaby

łatwo przypadek Moniki. Przejycia z dzieciństwa, brak miłości rodzicielskiej, wszystkie te modne bzdury, które zwalają winę na kogoś innego. Dziadek miał rację. Z Danielem jest wszystko w porządku, a że zżera go pożądanie takiej kobiety? To zepsuty facet. Już taki się urodził, kocha tylko siebie samego, szcurzy instynkt przetrwania.

Drzwi się otworzyły i wszedł Hermann Rilke.

- Pojechali?

- Tak - skinął głową Oakham. - Nie przyszedłeś się pożegnać, Hermann. Będzie im przykro.

Rilke popatrzył na niego z niechęcią. Nie znosił jego poczucia humoru. Nigdy nie bawiła go ironia.

- Na parę dni będę miał dom dla siebie - zauważył. - Bardzo mnie to cieszy. Jeżeli dobrze pójdzie, dostaniemy pieniądze od razu?

- Pieniądze czekają w depozycie w naszym banku - wyjaśnił Oakham. - Nie podam wiadomości do prasy, póki nie dowiem się, że zostały przekazane na konto. Chcą skandalu, więc zapłacą, jak tylko skontaktuję się z Hakimem. Napiłbym się czegoś. Chcesz?

- Nie. - Rilke spojrział w dół swego nosa, jakby poczuł jakiś zapach. Mama nigdy nie pochwałała picia i nie zachęcała do niego. Bardzo za nią tęsknił, ale było jej dobrze w nowym mieszkaniu, czeki przychodziły regularnie co miesiąc, a listy od niego docierały poprzez poste restante w Genewie. Była dumna z jego nowej pracy i cierpliwie na niego czekała. Sądziła, że jest w Urugwaju, gdzie miał zamiar kupić dom i osiedlić się wraz z nią, kiedy zdobędzie dość pieniędzy.

*

Daniel przeprowadził pierwszy rekonesans. Przejechał z Billem Stevensonem odcinek od agencji towarzyskiej przy Conduit Street do hotelu trasą naszkicowaną przez Jana, ale nie pojechał pod prąd na Bond Street. Studiował plan, a Stevenson patrzył za siebie. Milczeli. Stevenson nie był rozmowny, zresztą miał tą trasę jechać prowadzącym samochodem.

Daniel rozmyślał. Postanowił przeprowadzić drugi przejazd próbny, żeby się upewnić, że wybrał właściwe miejsce. Dwaj byli żołnierze będą w drugim samochodzie z Moniką. W tym, który Jan kupił od pośrednika.

Plan był prosty, bo Daniel wiedział, że im więcej komplikacji, tym większe ryzyko, że coś się nie uda. Przez trzy dni Denise wyjeżdżała z agencji do hotelu o tej samej godzinie, to znaczy o jedenastej wieczorem, i trasa się nie zmieniała.

*

Harry otworzył drzwi do swojego biura. Wcisnął zagłuszacz i zadzwonił pod domowy

numer Georga Wernera w Berlinie. Czas, żeby ten drań coś zrobił za pieniądze, jakie dostaje ze Szwajcarii. Telefon dzwonił dłuższy czas, póki nie odebrała go jakaś kobieta. Niemiecki Harry'ego był bezbłędny.

- Poproszę z Herr Wernerem.

Była to żona Wernera.

- A kto dzwoni?

- Ambasada w Londynie - odpowiedział. Doszły go jakieś głosy w tle, a po chwili usłyszał Wernera. - Słuchaj - mówił Harry szybko po angielsku. - Wykonujemy robotę. Bardzo dużą. Numer dwa w Arabii Saudyjskiej... Tak, właśnie to powiedziałem... Tylko posłuchaj, dobrze? Jest w Londynie, a my go chcemy wyprawić. - Usłyszał, jak Werner syknął. Będzie się cholernie przejmował, bo przemoc to nie jego branża. Harry stał się brutalny. - Czas, żebyś na siebie zarobił, Werner. Twoja placówka w Londynie ma ściśle związki z ambasadorem Arabii Saudyjskiej. Chcę, żebyś monitorował oficjalną reakcję. Dowiedz się, jaką mają zamiar wymyślić historyjkę. Będą chcieli sprawę zatuszować, a naszym zadaniem jest ją wyolbrzymić. To część umowy. I miej oczy i uszy otwarte.

Georg Werner był wyraźnie zdenerwowany.

- Postaram się, ale jak? Jakie mam podać powody, że się tak o to dopytuję?

- Wymyśl sobie jakieś - padła odpowiedź. - Za to bierzesz pieniądze. Sprawa jest zaplanowana na pojutrze. Skontaktuj się ze mną tutaj. I nie zawieź, pamiętaj.

- Nie - zapewnił Werner - nie zawiodę. Wymyślę coś.

Nie mógł z siebie wykrztusić życzeń powodzenia, więc odłożył słuchawkę. Jego żona oglądała telewizję. Ściszyła aparat.

- Co to było, kochanie? Coś ważnego?

- Drobne zadanie, które ambasador ma dla mnie. - Uśmiechnął się do niej przepraszająco. - To poufne.

- Chodź, siadaj. Dają dosyć zabawny show.

Znów wzmocniła dźwięk i pokój nappełnił się wyreżyserowanym śmiechem publiczności w studio.

8.

Harry Oakham poczuł się lepiej. Dał Georgowi Wernerowi kopa, który dawno już mu się należał. Georg siedział sobie spokojnie, ciągnąc swoją dolę, a wszyscy inni odwalali robotę, będąc w akcji. Tak, Harry poczuł się znacznie lepiej. Odetchnął głęboko. Teraz nadszedł czas, żeby się odciąć. Czas spuścić zasłonę na to, co ma się wydarzyć. Jego rola jest zakończona. Wszystko spoczywa w rękach profesjonalnych porywaczy i reszty zespołu.

Mógł wreszcie pomyśleć o czekającej na niego uroczej kobiecie. Była naprawdę urocza. Porzuciła swój chłodny wizerunek i tego wieczoru wyglądała, jakby sugerowała coś więcej niż tylko kawę i koniak po kolacji. Poszedł do biblioteki, witając się po drodze z nielicznymi gośćmi w barze i salonie.

Biblioteka była długim pokojem, wyłożonym dębową boazerią, z całą ścianą oprawnych w skórę książek. Poleciał służbie rozpalić w kominku, bo wieczory bywały już chłodne. Lubił bibliotekę, pachnącą starą skórą, drewnem i leciutko pleśnią. Tak jak przypuszczał, nie było nikogo. Tylko na stoliku przy głębokiej sofie, stojącej blisko kominka, czekała na nich kawa i dwa pękate kieliszki koniaku.

- Cześć. - Rosa stanęła za nim.

Odwrócił się.

- Cześć - odpowiedział cicho. - Jak kolacja?

- Pyszna. Zostajemy tutaj?

Zauważyła płomień ognia, liżące kłody na palenisku, przygotowany stolik. Pomyślał o wszystkim. Serce zaczęło jej bić szybciej. Znów dotknął jej ramienia.

- Tym razem nie drgnęłaś - zauważył. - Siadajmy.

Byli blisko siebie, nie dotykając się jednak. Nalewała kawę, a on ją obserwował, trzymając w obu dłoniach kieliszek z koniakiem.

- Ostatnio mówiłem cały czas o sobie - rzekł. - Teraz chciałbym dowiedzieć się czegoś o tobie.

- Od czego mam zacząć? Byłam zdolną dziewczyną i ulubienicą ojca. Przypuszczam, że mamy też, ale jesteśmy zupełnie różne. Studiowałam na uniwersytecie, dobrze mi szło, zdałam egzaminy kwalifikacyjne do Ministerstwa Spraw Zagranicznych i wyszłam za mąż. Potem się rozwiodłam.

Podał jej bombkę z koniakiem.

- Wciąż go kochasz?

- Nie. - Spojrzała na niego. - Nie Kocham. Staralam się bardzo spojrzeć na to wszystko z jego punktu widzenia i chyba pomogło.

- A jaki był jego punkt widzenia? Co to za facet?

- Właściwie miły. Kiedy go poznałam, mieszkaliśmy jakiś czas razem, nim się pobraliśmy. I to zdało egzamin. Byliśmy razem bardzo szczęśliwi.

- Więc co było przyczyną rozstania? - spytał.

- Moja praca. Myślałam, że rozumie, ile ona dla mnie znaczy, ale chyba się myliłam. Uważał, że małżeństwo mnie zmieni. Chciał, żebym miała dzieci i siedziała w domu.

- A ty nie chciałaś - podsunął.

- Nie, nie rzuciłabym wszystkiego, żeby być tylko żoną. Utrzymywał, że problem stanowiły dzieci, ale chodziło o coś jeszcze. Był zazdrosny. Nie podobało mu się, że jestem niezależna.

- Może nie potrzebowałabyś tak bardzo pracy, gdybyś była z nim szczęśliwa.

- Nie wiem - powiedziała powoli. Koniak rozgrzewał ją od środka i mile odpręzał.

Odwróciła się i popatrzyła na niego. - Odczułam to jak wielką porażkę.

- Niesłusznie - powiedział Harry. - On po prostu nie umiał dbać o ciebie, Rosa. Moja żona chciała mieć dzieci. Ta, którą zostawiłem. Ja zawsze mówiłem: nie.

- Dlaczego? Dlaczego nie chciałeś?

Ma piękne oczy, pomyślał, orzechowe, zmieniające odcień w migającym świetle. Mógłby wyjąć z jej ręki kieliszek i jednocześnie wziąć ją w ramiona. Ale nie robi tego. Chciał z nią rozmawiać. Chciał wiedzieć, co się w niej dzieje. Wiedział wszystko o kobiecym ciele i o tym, co z nim trzeba robić, ale z nią to byłoby za mało. Pragnął czegoś więcej. Może mógłby się trochę otworzyć. Jakaż to byłaby ulga, zdjąć maskę i pozwolić jej zobaczyć prawdziwego siebie.

- Bo nie chciałem zostawić dzieci bez ojca - wyjaśnił cicho. - Urzędnik państwowy to dość szerokie pojęcie. Część mojej działalności wiązała się z podejmowaniem dużego ryzyka. Uważałem, że to nie byłoby w porządku. Dlatego. Nie mogłem podać Peggy powodów. Nie zrozumiałyby.

- Co robiłeś? - Rosa starała się mówić spokojnie. Zwierzał się. Zaufał jej.

- Nie mogę ci tego powiedzieć - rzekł. - I nie lubiłabyś mnie, gdybym to zrobił. Ale wtedy wydawało mi się to słuszne. Nie powinienem był się żenić, a w każdym razie nie drugi raz.

Nastąpiła długa cisza. Żadne z nich się nie odzywało. Patrzyła na niego, czekając. On wpatrywał się w ogień. Myślami przebywał daleko od tego pokoju i od niej. „Nie chciał o niej mówić”, przypomniała sobie słowa jego byłej żony. „Ona nie żyła, to wszystko, co wiedziałam... Była dla niego zbyt ważna, żeby o niej rozmawiać...”

- Harry? - odezwała się cicho.

Spojrzał na nią szybko.

- Przepraszam, byłem daleko stąd.

- Wiem o tym. Jaka była twoja pierwsza żona?

- Piękna - powiedział. - I słodka. Najśodsza, najzabawniejsza, najmilsza dziewczyna na świecie. Bóg jeden wie, dlaczego za mnie wyszła.

Popatrzył na Rosę, która w jego oczach dojrzała głęboki ból. Zaszokował ją. Potrafił odczuwać, i to odczuwać głęboko, nawet po tylu latach.

- Co się stało? - spytała.

- Straciłem ją - rzekł po prostu. - Była doskonałą narciarką. Byliśmy na wakacjach w Verbier, niewiele dłużej niż rok po ślubie. Wypadek. Dosłownie skreśliła kark. Podniosłem ją, ale ona już nie żyła. - Sięgnął po swój kieliszek i wypił do dna.

- Straszne - szepnęła Rosa. - Tak mi przykro. - Nie patrzył na nią, tylko na coś, czego ona nie widziała. - Mów dalej - zachęciła. - Jeżeli ci to pomoże.

- Nic nie pomoże - powiedział. - Próbowałem wszystkiego, rzucałem się w wir pracy, nigdy nie odmawiałem wykonania żadnego zadania, choćby było nie wiem jak obrzydliwe. - Uniósł pusty kieliszek. - To też nie pomaga. Próbowałem przez jakiś czas, ale przestałem. Taka ucieczka to tchórzostwo i Judith by mnie za to znienawidziła. Później pewnego dnia poderwałem w kawiarni dziewczynę. Była bardzo ładna, trochę jak ta lalka, Barbie, zdaje się? Przespałem się z nią i pomogło. Potem się ożeniłem, bo nic innego nie umiałem wymyślić. Byłem samotny i zagubiony i miałem nadzieję... - Pokręcił niecierpliwie głową, dając tym gestem do zrozumienia, że popełnił błąd. - To było najgorsze, co mogłem zrobić. Dla nas obojga. Unieszczęśliwiłem ją, Rosa, a ona wciąż mnie zdradzała z innymi mężczyznami. I co najgorsze, nic mnie to nie obchodziło.

- I nie zapomniałeś o Judith? - zadała cicho pytanie.

- Nie. Ciągnąłem dalej swój wóz, jeśli można to tak nazwać, ale wierz mi, kogoś takiego się nie zapomina. Kochała życie, zawsze była pełna zapału do wszystkiego. Moja matka ją uwielbiała. Nie można było jej nie lubić, bo taka to była dziewczyna. Boże, jak potrafiliśmy się śmiać z najgłupszych rzeczy! - Zamilkł przy ostatnich słowach. Zapanowała cisza. Jedno z polan zasyczało i rozpadło się, a iskry pofrunęły do komina. - Miała

dwadzieścia cztery lata - dodał na koniec. - Nawet sobie nie pożyła... Przywiozłem ją do domu i została pochowana na przykościelnym cmentarzyku w Dedham, razem z innymi Oakhamami. Od tego czasu nie byłem tam.

W oczach Rosy pojawiły się łzy. Spojrzał na nią i zauważył je. Powiedział łagodnie:

- No, głuptasku... Nie martw się, proszę. - Objął ją ramieniem i na moment przyciągnął do siebie. - Masz miękkie serce, Rosa. Nie wpakuj się przez to w kłopoty. - Przycisnął usta do jej policzka. Dziękuję, że mnie wysłuchałaś. Jesteś pierwszą osobą, z którą mogłem o niej porozmawiać. - Nagle wstał. - W każdym razie wszystko to wydarzyło się dawno temu. Nie ma żadnego powodu, żebym ci tu wylewał swoje żale. Kawa nam wystygła i nie mamy co pić. Tak nie można. Wypijmy jeszcze trochę koniaku i porozmawiajmy o czymś innym.

Podszedł do kominka i nacisnął dzwonek. Dorzucił szczap do kominka i wsunął je pogrzebaczem w ogień. Rosa patrzyła na niego. Nic nie mówiła. Pocałunek palił ją w policzek. To, co robiła, było tanie i bezwstydnie. Zaufał jej, opowiadając o swych uczuciach... a ona była głęboko wzruszona. Podszedł i popatrzył na nią.

- Chciałbym się z tobą kochać - powiedział. - Pomyślisz o tym?

- Tak - odparła Rosa. - Tak, pomyślę.

- Więc cieszymy się resztą wieczoru. Umiesz grać w trik-traka? - Pokręciła głową. - To cię nauczę.

Zaczynało już świtać, kiedy Rosa zapadła w niespokojny sen. Nie przyszedł do jej pokoju. Nauczył ją grać w hazardową grę; używali zapalek zamiast pieniędzy. Wydawał się innym człowiekiem niż ten, który mówił o zmarłej żonie. Znów włożył maskę, żartował, był pewny siebie i emanował seksem, co ją bardzo niepokoiło. Nie aż tak jednak, jak jego ból. Nie zdobywał jej współczucia po to, aby zaciągnąć ją do łóżka. Potwierdzało to opinię Rosy, że Harry ma swój własny kodeks, którego przestrzega.

Znajdowała w nim same przeciwieństwa. Gruboskórny egoista, który porzucił żonę, był tym samym człowiekiem, który tak wzruszająco opowiadał o swej nieżyjącej ukochanej. Samotność i rozpacz, ucieczka w tak zwaną przez niego pracę. W przemoc, ryzyko i śmierć. I żadnego ukojenia.

Nie mogła zasnąć i nie potrafiła zobaczyć całej sytuacji we właściwej perspektywie. Parker opisywał go jako zawodowego zabójcę. Niebezpiecznego osobnika, nieprzystosowanego do życia w społeczeństwie. Jednak nikt nie może zaprzeczyć, że kierował się patriotycznymi pobudkami. Rozkazy jakie wykonywał, pochodziły właśnie od takich ludzi, jak Jim Parker, który teraz spuszczał za nim psy gończe. Podczas zimnej wojny

nikt nie przestrzegał reguł, żadna ze stron. Wróg był bezwzględny i bezlitosny. Ludzie tacy jak Harry Oakham kierowali broń przeciwko niemu. Rosa przewracała się na łóżku, w końcu wstała, stanęła przy oknie i obserwowała, jak zza horyzontu powoli wyłania się światło, nabierając stopniowo delikatnego, różowego odcienia. Wróciła do łóżka, marząc o śnie, który nie przychodził.

„Chciałbym się z tobą kochać. Pomyślisz o tym?” Myślała o tym, bo pragnęła tego dla siebie, nie żeby pomóc Parkerowi schwytać zdobywcę. Kiedy się obudziła, była zmęczona. Na dywanie, pod drzwiami, leżała karteczka z krótkim tekstem: *Dziękuję za wczorajszą wieczór. Jeśli lubisz ostrygi, znam miejsce, gdzie moglibyśmy pojechać dzisiaj na lunch. H.*

Zadzwoił telefon obok łóżka. Usłyszała jego głos:

- Cześć, Rosa. Dostałaś moją kartkę?

- Tak. Uwielbiam ostrygi.

Zaśmiał się. Wydawał się uradowany.

- Ja też. Spotkamy się przed wejściem o dwunastej. To niedaleko, dwadzieścia parę kilometrów. Nie musimy się śpieszyć.

Odłożyła słuchawkę. Nie było odwrotu. Teraz musiała sprawdzić Oakhama już dla siebie. Od tego może zależeć jej życie i przyszłość.

Przejażdżka była urocza. Kołowali po wiejskich drogach. On był szczęśliwy i nucił „Nessun dorma”, prowadząc.

- Musisz być miłośnikiem piłki nożnej - zażartowała.

Roześmiał się.

- Jeden jedyny raz oglądałem mecz podczas mistrzostw świata z powodu tej arii. Lubisz muzykę?

- Bardzo.

Uśmiechnął się przekornie.

- To lepiej przestanę. Mówiono mi, że fałszuję.

- Trudno się z tym nie zgodzić - uśmiechnęła się do niego Rosa.

Uścisnął jej rękę.

- Byłaś dla mnie wczoraj taka miła, że wybaczę ci tę złośliwość. Jesteśmy. Orford i najlepsze ostrygi we wschodniej Anglii.

Zatrzymał się przed małą restauracyjką, wyskoczył z samochodu i pomógł jej wysiąść. Przez chwilę byli bardzo blisko siebie.

- Wyglądasz pięknie - powiedział. - Wiesz, jak działają ostrygi?

Zjedli tuzin ostryg, pikantnych i słonych, później sałatkę i ser, popijając winem.

Oakham znał właściciela, z którym żartował na temat małej frekwencji wczasowiczów, chociaż knajpka była pełna. Rosa czuła fizyczne przyciąganie, jakby znajdowała się na końcu liny, którą on powoli zwijał w kłębek po swojej stronie. Bardzo podniecające uczucie, chociaż równocześnie ją przerażało. Po raz pierwszy czuła się we władzy mężczyzny i wcale nie miała ochoty się temu opierać. Nie, chciała się poddać.

Poprosił o rachunek. Byli ostatnią parą w lokalu.

- Wypiłam mnóstwo wina - powiedziała Rosa.

- Oboje wypiliśmy sporo - odparł. - Może przespacerowalibyśmy się po plaży?

Morskie powietrze nas orzeźwi.

Wziął ją za rękę, gdy wyszli na ulicę.

- Tędy, to niedaleko.

Uliczka była brukowana i nim doszli do kamienistej plaży, poczuła lekki powiew morza. Przy brzegu kołysało się kilka zakotwiczonych łodzi, a słońce połyskiwało na gorącym niebie jak balonik. Zatrzymali się na chwilę i Rosa pomyślała: jeżeli teraz się nie wycofam, będzie za późno. Oakham nie mówił nic. Odwrócił ją do siebie i popatrzył.

- Naprawdę wypiałś za dużo wina?

- Nie - odpowiedziała.

- Ja też nie. Przyciągnął ją mocno do siebie i zaczął całować jej twarz i oczy, szyję, w końcu musnął usta, najpierw bardzo delikatnie, później wcisnął się między wargi. Zarzuciła mu rękę na szyję i rozchyliła usta.

Znów szli plażą. Zatrzymał się, zebrał kilka kamyczków i zaczął puszczać kaczki na wodzie.

- Nigdy tego nie umiałam - poskarżyła się Rosa. - Mój brat potrafił puszczać je tak, że leciały kilometrami.

- To bardzo łatwe - powiedział. - Pokażę ci. Bierzesz płaski kamień, o, ten będzie dobry, i trzymasz go między kciukiem a resztą palców, patrz, tak...

Jednak kamień wypadł jej z ręki, a potem znów się obejmowali i całowali.

- Nie chcę wracać do hotelu - powiedział Oakham.

Podeszli do samochodu i jeździli bez celu. Dotknęła palcem ust. Były opuchnięte od jego mocnych pocałunków. Przywierała do niego obrzmiałymi piersiami. Twarz paliła ją od morskogo wiatru.

- Dokąd możemy pojechać? - spytała.

- Nie wiem - odpowiedział. - Chciałbym zabrać cię gdzieś w pole i tam się z tobą kochać. Byłoby cudownie zrobić to na powietrzu. Jedźmy, aż znajdziemy miejsce.

Położyła mu rękę na udzie. Jestem bezwstydną, pomyślała. Poszłabym z nim choćby do rowu. Chyba zwariowałam...

- Nie jedź za długo - szepnęła. - Nie chcę czekać.

Położył rękę na jej dłoni i mocno przycisnął.

- Ja też nie. Spróbujmy tutaj.

Skręcił w wąską drogę ze znakiem: „Nie ma przejazdu”. Jechali między wysokimi żywopłotami, aż zobaczył w nich lukę i zatrzymał wóz. Odwrócił się do niej. Nie pocałował jej. Położył obie ręce na jej piersiach i trzymał je tak przez chwilę.

- Jesteś tego pewna, Rosa?

Krzyknęła z niecierpliwości, gdy ścisnął mocniej.

- Więc chodź - szepnął. Weszli na żółte ściernisko. - Pozwól mi wszystko zrobić - powiedział. - Chcę to zrobić dla ciebie.

Zdjął z niej ubranie i położył ją delikatnie na plecach. Ściernisko kłuło jej skórę. Patrzyła, jak zrzuca swoje rzeczy, i zakrył ją jego cień, gdy wyciągnęła do niego ramiona. Wkrótce było po wszystkim. Bez żadnych subtelnosci, bez gry wstępnej. Razem eksplodowali i leżeli teraz, dysząc, na ostrym ściernisku w zachodzącym słońcu, czując, jak lekki chłód muska ich ciała.

Rosa otworzyła oczy. Leżał obok niej. Wydawało się, że śpi. Popatrzyła na niebo. Pojawiło się kilka chmur, które szarzały, w miarę jak słońce zbliżało się do horyzontu. Skóra ją piekła od igiełek zżętego zboża, a ona czuła się tak szczęśliwa, że miała ochotę śmiać się w głos. Odwrócił głowę i patrzył na nią.

- Cześć, kochanie - powiedział łagodnie.

- Cześć - odpowiedziała.

- To było wspaniałe.

- Mówiłeś, że tak będzie - mruzczała Rosa. - W plenerze.

- Zaziębisz się - szepnął do niej i pomógł jej wstać. Przytulił ją do siebie. Przez chwilę milczeli. - Ubiorę cię - rzekł. - Nie chcę, żebyś zmarzła.

Potem Rosa włożyła mu i zapięła koszulę, ale jeszcze przedtem pocałowała go w szyję. Trzymając się za rękę, wrócili na drogę, do samochodu.

- Nie czułem się tak cholernie, cudownie szczęśliwy od lat - powiedział do niej.

- Nie czułam się tak cholernie, cudownie szczęśliwa nigdy w życiu - skorygowała jego słowa.

Zapuścił silnik i powoli wyjechali tyłem po nierównej drodze; samochód kołysał się na boki.

- Nie możemy tego utracić - odezwał się Harry.

- Nie - odpowiedziała i zadrżała. Zrobiło jej się zimno, ale wcale nie od panującego o zmroku chłodu. - Dokąd jedziemy?

- Musimy znaleźć jakiś hotel albo pensjonat. Jakies miejsce, gdzie będziemy mogli spędzić noc. Rozmawiać, kochać się i znów rozmawiać, jeśli będziemy mieli na to ochotę.

Pożądanie z niej uleciało, a świadomość tego, co zrobiła i dlaczego, spowiła ją mrokiem większym niż zbierające się chmury.

Zobaczyli gospodę z szyldem „The Haywain”, takim samym jak tytuł obrazu Constable’a, więc Harry odwrócił się do niej i roześmiał.

- Stary, poczciwy Constable. Co by te okoliczne gospody bez niego poczęły? Zobaczmy, jak tam wygląda.

Był wolny pokój dwuosobowy i nikt się nie dziwił, że są bez bagażu. Harry popatrzył na nią pytająco; skinęła głową.

- Wypijmy coś najpierw - zaproponował. Dotknął jej ramienia i przesunął ręką po gładkiej skórze. - Kochanie, jesteś kompletnie przemarznięta! Chodź, musimy cię czymś rozgrzać.

Salon był mały i ciemny, z czarnymi belkami pod niskim sufitem i końską uprzężą wiszącą po obu stronach kominka, w którym umieszczono przykurzony suchy bukiet.

- Kawa po irlandzku - zaordynował Harry. - Tego ci trzeba. Zaraz zamówię.

Rosa siedziała w zatęchłym saloniku i czekała. Weszła jakaś dziewczyna, żeby zapalić światła. Abażury były czerwone, ze spłowiałymi złotymi frędzlami, a na podstawkach do piwa z napisem „Tolly Cobbold” widniały brudne obwódki, zazębiające się niby jakaś układanka.

Straciłam głowę, powiedziała sobie. Ależ wycięłam numer. Och, James, gdybyś ty potrafił kiedyś tak zrobić... Taka z ciebie chłodna dama, Roso Bennet? No, no, szkoda mówić...

Wrócił, niosąc szklankę z gorącym napojem, przykrytym grubą warstwą ubitej śmietanki. Kazał jej szybko wypić. Popatrzył na nią z troską, jaką zobaczyła w jego oczach, wzruszyła ją.

- Co się stało, Rosa? Wyglądasz na nieszczęśliwą. Żałujesz tego, co się zdarzyło?

Nie potrafiła kłamać.

- Nie wiem, Harry, może to taka spóźniona reakcja. Wypiję tę kawę i zrobię sobie gorącą kąpiel. Na pewno lepiej się poczuję.

Miał łagodny uśmiech na twarzy, kiedy ujął jej rękę i powiedział:

- Kochanie, nie przypuszczam, żeby tu była gorąca woda o szóstej wieczorem, ale zobaczymy. Chcesz ze mną zostać, prawda?

- Tak - odpowiedziała Rosa - chcę z tobą zostać. W tym właśnie problem.

- Dzięki Bogu. Teraz skończ kawę i zobaczymy, co się da zrobić w sprawie kąpieli. Jeżeli nie będzie ciepłej wody, spróbuję cię rozgrzać jakoś inaczej.

Woda ciekła nędznym, letnim strumyczkiem, póki nie lunęła zimnym wodospadem z odkręconego do końca kurka. Pokoik był mały, obwieszony kopiami wiktoriańskich rycin, umieszczonymi powyżej poziomu oczu; stało w nim wysłużone łóżko z nylonową pościelą i materacem szerokim najwyżej na metr dwadzieścia.

Harry usiadł i przyciągnął ją do siebie.

- Włóż pod kołdrę - nakazał. Otulił Rosę i położył się obok. Potem pocałował ją delikatnie. - Prześpij się, kochanie. No, zamknij oczy.

Rosa poczuła jego ciepło. Łóżko było jak kolebka, a on trzymał ją, owiniętą kołdrą, w ramionach.

Powiedziała:

- Nie chcę się w tobie zakochać, Harry. Nie mogę sobie na to pozwolić.

- Wiem, że nie możesz - mruczał. - W każdym razie nie do jutra.

*

- Harry?

Obudził ją ze snu, w którym dotykał jej powolnymi, delikatnymi ruchami, i upewnił się, że nie śpi. Nie śpieszyli się; teraz ona przejęła inicjatywę, pieściła go i odkrywała jego ciało. Nie było żadnych porównań, żadnych zachowań przejętych ze związku z innym mężczyzną. Dla Rosy wszystko działo się po raz pierwszy, wszystko, co czuła i robiła, zwłaszcza to fantastyczne uczucie jedności, stapiania się z nim, gdy się w niej zanurzał.

- Harry? - powtórzyła.

- Tak, kochanie? Jak twoja spóźniona reakcja tym razem?

- Nie ma. I nie będzie. Nie wiem, dlaczego tak się czułam. Chcę ci tylko powiedzieć, że mi bardzo przykro. Byłeś taki dobry, taki wyrozumiały. Znam wielu mężczyzn, którzy byliby wściekli.

- Jak książkę małżonek James?

- Z nim nigdy się to nie zdarzyło - powiedziała. - Było miło i myślałam, że lepiej być nie może. Ale z tobą to jest zupełnie coś innego.

- Znasz stare łacińskie powiedzenie: *post coitum omne animal triste?*

- Wszystkie stworzenia są smutne po stosunku. Tak, pamiętam. Pytałam panią od

łaciny, co to znaczy. Uparłam się, żeby biedaczkę zawstydzić.

- Byłaś niegrzeczną dziewczynką?

- Okropną - przyznała.

- Nie wierzę w to absolutnie. - Zamknął ją w uścisku. Przymknął oczy. Miała lśniące, słodko pachnące włosy. Była ciepła i miękka. - Wiesz co? - powiedział. - Czuję się tak, jakbym przez wiele lat żył zamrożony, a tyś mnie rozmroziła. Nie doświadczyłem czegoś takiego od dawna. I nie chodzi tylko o to. - Poglądził ją jedną ręką gestem posiadacza. - Chodzi też o to, że tak sobie leżymy, rozmawiamy, jesteśmy szczęśliwi. Zapomniałem już, jak to jest.

- Tak było z Judith? - spytała ostrożnie.

- Z Judith - potwierdził. - A teraz z tobą. Naprawdę. Nie możemy tego utracić. Nie mam zamiaru pozwolić ci się wymeldować z hotelu i odejść z mojego życia.

Leżała w zagłębieniu jego ramienia i nie odpowiadała. Jeśli jest niewinny, jeśli niezawodny instynkt Parkera raz go zawiódł, może mogą liczyć na wspólną przyszłość. Na razie niczego konkretnego nie udowodniła.

W końcu odpowiedziała:

- Nie wiem, co się stanie, kiedy skończy się mój urlop. Nie wiem, dokąd mnie pošlą. Pewnie za granicę. I niewiele wiem o tobie. Jakie było twoje życie zawodowe, dlaczego zdecydowałeś się wszystko zmienić.

- Zdecydowano za mnie - odparł Harry Oakham. - Przeniesiono mnie na emeryturę. Po dwudziestu ośmiu latach stałem się niepotrzebny.

- Dlaczego? - zmusiła się Rosa do zadania pytania.

- Ponieważ mój rodzaj pracy został uznany za niegodny. Ludzie tacy jak ja należą do złej przeszłości. Trzeba nas było wmieść pod dywan i udawać, że nigdy nie istnieliśmy.

- Na czym polegała twoja praca, Harry?

Wysunął ramię i oparł się o poduszkę.

- Ścigałem podwójnych agentów. Wiesz, kto to jest podwójny agent?

- Oczywiście. Zdrajca pracujący dla obu stron.

- Oni nie tylko sprzedają tajemnice - mówił Harry cicho. Zapalił małą lampkę. Miała pergaminowy abażur malowany w różyczki. - Sprzedają też ludzi. Philby robił tak wiele razy. Straciliśmy ich przez niego sporo. Żałuję, że mnie na niego nie nasłali. Nie skończyłoby się na zacisznym mieszkanku w Moskwie. - Sięgnął po papierosa, zapalił i spytał: - Chcesz?

- Nie, dziękuję. Co byś z nim zrobił, Harry?

- Zabiłbym drania. No więc już wiesz.

Czuła jego napięcie. Przełknęła ślinę, bo miała ściśnięte gardło.

- Jak ci, którzy zabili terrorystów w Gibraltarze?

- Tak, tylko my byliśmy cywilami. Było nas zaledwie kilku, wszyscy mieliśmy duże doświadczenie. Jeździłem na akcje, kiedy byłem żonaty z Judith, nawiązywałem kontakty, zdobywałem informacje lub pomagałem wrócić tym, którzy mieli kłopoty. To było fascynujące. Uwielbiałem to. Znam języki. - Zgasił na wpół wypalonego papierosa. - Mówię po niemiecku z akcentem westfalskim. Mam zdolności językowe. Radzę sobie z polskim, który jest trudny, ale nie z rosyjskim. To cholerny język. Judith nie wiedziała, co robię. Mogłem jej zresztą powiedzieć, nie zdradziłaby tego nikomu. Ale podpisałem zobowiązanie. Byłem jednym z tych idiotów, którzy wierzyli w dotrzymywanie słowa, w ochronę królowej i kraju i w tym podobne bzdury.

- Ja nie uważam, żeby to były bzdury - oświadczyła Rosa. - I ty też na pewno tak nie myślisz.

Spojrzał na nią i na jego ustach pojawił się lekki uśmiezek.

- Nie będziemy się o to spierać. Po stracie Judith wstąpiłem do sekcji specjalnej. Teraz wiesz o mnie wszystko. Czy to coś zmienia?

- Nie - odpowiedziała Rosa. - Niczego nie zmienia. Cieszę się, że mi powiedziałeś.

- Ja też - potwierdził. - Jesteś głodna, kochanie?

- A ty? - Ogarnęło ją uczucie ulgi.

- Tak. Nie oczekuję tu wytwornej kuchni, ale zadowolilibym się stekiem.

- Ja też - przyznała Rosa. - Prawdę mówiąc, umieram z głodu!

- Więc chodźmy, nim zabraknie frytek. - Wstał. Było prawie ciemno, nie licząc mętnego światła małej lampki. - Kocham cię, Rosa. Dlatego ci to powiedziałem. Kocham cię za zrozumienie i zaakceptowanie mnie takim, jaki jestem.

- Bardzo chcę wiedzieć, kim jesteś - powiedziała powoli. - I to pomaga.

*

Jan spędzał większość czasu, chodząc. Spacerował po ogrodach Kensington i po Hyde Parku. Przeszedł wiele kilometrów. Była piękna, późnoletnia pogoda. Jadł coś po drodze, kiedy był głodny, i wracał z bolącymi nogami do swego pokoju w małym hoteliku.

Wyznaczono akcję na następny wieczór, o ile plan się nie zawali z powodu jakiejś zmiany w rozkładzie zajęć księcia. Jan wyciągnął się na łóżku. Był zmęczony po dużym wysiłku fizycznym, ale właśnie wysiłek fizyczny zalecono mu, kiedy wrócił z Polski. Był lepszy na łagodzenie napięcia niż środki uspokajające. Jan był tak spięty, że odczuwał ból, nawet leżąc spokojnie. Ręce zacisnął w pięści, a nogi skrzyżował tak mocno, jakby tkwiły w

imadle.

W środku cały dygotał. Wciąż myślał o Harrym, bo to go uspokajało. Harry był jego bezpiecznym portem. Wiedział, jak go wyciągnąć ze złego nastroju, z czarnej melancholii lub nawiedzających go lęków, które były skutkiem dziesięciu strasznych lat. Kochał Harry'ego i robił to, co Harry chciał.

Jeszcze tylko dwadzieścia cztery godziny, powtarzał sobie, i będzie po wszystkim, a on wróci do Domu Lalek i będzie odbywał wieczorne obchody hotelu u boku przyjaciela. Spokojny i bezpieczny. Aż do następnego razu, kiedy znów będzie potrzebny. Nawet nie chciał o tym myśleć.

Przerażała go przemoc, walka, porwania. Pamiętał, jak go aresztowano, wciągnięto z ulicy do samochodu i pobito do nieprzytomności. Kiedy się obudził, leżał na podłodze celi w kajdankach. Był to początek długiej, koszmarnej serii pytań i odpowiedzi, a następnie wielu lat zamknięcia w samotności.

Czasami oczy napelniały mu się łzami bez powodu. Nie kontaktował się teraz z resztą grupy. Tamci trzymali się osobno po pierwszym spotkaniu w pizzerii. Stevenson miał samochód, a na tym, którym przyjechali z Suffolk, zmieniono już tablice rejestracyjne. Jego wóz stał na długoterminowym parkingu. Weźmie go, podjedzie w pobliże hotelu Regis i będzie czekał, aż wyjdzie Monika. Przysypiał właśnie, kiedy zadzwonił telefon i poderwał go. Nie spodziewał się żadnych telefonów. Przez chwilę wpatrywał się w pękaty aparat, dźwięczący przy jego łóżku, aż wreszcie podniósł słuchawkę.

- Tu przyjaciel Hakima. - Był to zdrajca z otoczenia księcia, kontakt Hakima.

- Tak - szepnął Jan.

- Jutro wraca do domu - poinformował tamten ochryplym szeptem. - Pośle po dziewczynę o tej samej porze. Musicie to zrobić dzisiaj.

Zniszczone płuca Jana sprawiły, że na moment zabrakło mu tchu. Głos w telefonie syczał mu do ucha:

- Słyszysz mnie? Dziś wieczorem!

- Dobrze. - Jan zdołał wreszcie wykrztusić z siebie kilka słów. - Dobrze. Dzisiaj.

Rozłączył się. Zakaszłał i zaczął grzebać w kieszeni, szukając inhalatora, który zawsze przy sobie nosił. Dwa głębokie wdechy i skurcz przeszedł. Najpierw musi powiedzieć Harry'emu. Później zawiadomić innych. Dzisiaj.

Zadzwonił pod prywatny numer w hotelu. Czekał i czekał. Zaczął się pocić. Harry'ego nie było w gabinecie. Co ze mnie za głupiec! Przecież o tej porze przechadza się po jadalni i salonach. To należało do ich stałych obowiązków, jak mógł nie pamiętać! Znów zadzwonił,

tym razem do recepcji. Poznał głos.

- Dobry wieczór. Tu hotel Dom Lalek. Czym mogę służyć?

- Poproszę z panem Oakhamem. Mówi Pollock.

- Och, dobry wieczór, panie Pollock. Jak pański ojciec? - spytała dziewczyna.

- Lepiej - mruknął Jan. - Znacznie lepiej, dziękuję. Możesz znaleźć pana Oakhama?

- Niestety, proszę pana, wyjechał. Dzwonił mniej więcej godzinę temu, żeby zawiadomić, że wróci dopiero jutro rano. Czy coś przekazać?

Jan starał się uspokoić. Harry'ego nie było. Wyjechał na noc. Przecież nie spodziewał się akcji wcześniej niż jutro wieczorem.

- Panie Pollock? Jest pan tam?

- Tak, ja też wrócę jutro rano. O dzień wcześniej. Myślę, że będę przed nim.

- Bardzo się cieszymy, że pan wraca - powiedziała dziewczyna. - Cieszę się, że już lepiej z pana ojcem. Dobranoc panu.

Nie było czasu na rozterki. To ich jedyna szansa. Jutro ofiary nie będzie. Musiał podjąć decyzję i doprowadzić sprawę do końca. Inaczej zawiódłby Harry'ego. Ujął słuchawkę, połączył się z miastem i zadzwonił do Daniela.

- Musisz jechać - powiedział. - Jutro wybiera się do domu. Dziś wieczorem o jedenastej.

- Cholera - zaklął Daniel. To było typowe. Każdy powód wydawał się dobry, żeby zmienić plany w ostatniej chwili. Wiedząc o tym, nalegał, żeby wszyscy siedzieli w swoich pokojach, zwłaszcza że termin się zbliżał. Całe szczęście. - W porządku - powiedział. - Co na to Harry?

- Nie mogłem go złapać. Wyjechał na noc.

- Cholera... - znów zaczął Daniel, ale Jan mu przerwał. Nie pozwoli krytykować Harry'ego.

- Nie szkodzi, biorę całą odpowiedzialność na siebie.

- Nie wciskaj mi kitu - burknął Daniel. - Nawet cię tu nie będzie. Twoja robota się skończyła i wracasz do domu...

- Nie jadę - odpowiedział Jan. - Będę z wami do końca. Powiedziałem: biorę za to odpowiedzialność.

- Więc pozostaje tylko mieć nadzieję, że nie spieprzymy roboty.

Jan siedział spokojnie przez parę minut. Potem wstał, spakował rzeczy do małej walizki i przeszukał pokój. Niczego nie zostawił. Nic nie było w koszu, pod łóżkiem, nic nie zsunęło się z krzesła. To była rutyna, działała jak automat. Przyjeżdżasz, wyjeżdżasz i nie

zostawiasz żadnych śladów, dzięki którym można by cię zidentyfikować. Włożył rękawiczki i dokładnie wytarł wszystko, łącznie z klamką na zewnątrz drzwi. Nie zdjął rękawiczek, nawet regulując rachunek gotówką.

Wyszedł z hotelu. Zatrzymał taksówkę i pojechał na parking. Jego samochód znajdował się na najniższym poziomie. Sprawdził olej, benzynę i wodę. Przy wyjeździe znów zapłacił gotówką. Powinien teraz wracać do Suffolk. Takie były instrukcje Harry'ego. Jego, Jana, rola kończyła się w dniu realizacji planu. Miał wyjechać z Londynu i znaleźć się z powrotem w hotelu, nim się wszystko wydarzy.

Jednak teraz było to niemożliwe. Zobowiązał się do pozostania, aby dopilnować sprawy. Inaczej Daniel mógłby odmówić jej wykonania. Na to Jan nie mógł pozwolić. Harry na nim polega. Zostanie tu, dopóki nie będzie po wszystkim.

*

Czterej mężczyźni ubrani byli w czarne dresy, adidas i rękawiczki, a w kieszeniach mieli maski z nylonowych pończoch. Przedtem uregulowali rachunki i wycofali się parami. Daniel siedział w samochodzie z Billem Stevensonem.

*

Monika zapłaciła rachunek gotówką i poprosiła o taksówkę. Ubrana była w długą czarną suknię wieczorową; powiedziała, że wybiera się na przyjęcie, zegnając się w recepcji. Taksówka podwoziła ją do bloków na Marble Arch. Monika zapłaciła i weszła do jednego z nich. Gdy tylko taksówka odjechała, wyszła i wsiadła do subaru, którym podjechał Bob. Jego towarzysz, Ron, siedział z tyłu.

Za dziesięć jedenasta znaleźli się na swojej pozycji przy Conduit Street. Ulice były jasno oświetlone, przechodnie spacerowali w ten ciepły wieczór. Daniel siedział z przodu drugiego samochodu, obok Stevensona. Spojrzał na zegarek i zaczął cmokać, aż Stevenson omal nie stracił cierpliwości i kazał mu przestać, na miłość boską. Naraz szturchnął Daniela. Zza zakrętu wyłonił się czarny mercedes.

Ze swojego miejsca mieli dobry widok na wejście do agencji. Mercedes podjechał i zatrzymał się. Drzwi w budynku się otworzyły, zobaczyli jaskrawy szklany sufit holu i wychodzącą stamtąd wysoką blondynkę. Spowita była w błyszczący czerwony szal. Kierowca mercedesa wysiadł i otworzył drzwiczki auta. Był to śniady Arab w workowatym uniformie szofera i czapeczce z daszkiem. Podchodząc do wozu, dziewczyna skromnie zasłoniła twarz szalem. Gdy znalazła się w samochodzie, była już niewidoczna za przydymionymi szybami.

Kiedy mercedes ruszył, Stevenson pojechał za nim. Daniel sprawdzał w tylnym lusterku, czy Bob jedzie w drugim wozie. Znów zaczął wściekle cmokać, że tamtych nie

widać, aż Stevenson spojrział na niego z wściekłością. Po chwili powiedział:

- Są. Jadą za tą cholerną taksówką.

Patrzył uważnie, w nadziei, że ją wyprzedzą, ale na szczęście taksówka zatrzymała się, wysadzając pasażera, i Bob natychmiast wślizgnął się za nich.

Mercedes toczył się przed nimi, nie zbaczając z trasy, którą jechał codziennie, kiedy go śledzili. Prosto w St George Street. Następnie wokół Hanover Square do skrót, Tenterden Street na lewo, żeby ominąć światła przy wjeździe w Oxford Street, gdzie kierowca wyrzucił kierunkowskaz w lewo, ale nim zdążył skrócić, Stevenson szarpnął kierownicą i znalazł się przed nim.

Wąska uliczka była o tej porze pusta. Mieściły się tam tylko sklepy i biura. Wszystko było zamknięte. Daniel obejrzał się do tyłu, na mercedesa, i krzyknął:

- Teraz!

Stevenson przycisnął hamulec i subaru stanęło. Naciągnęli na twarze nylonowe maski. Mercedes nie miał możliwości manewru. Zatrzymał się z piskiem opon, żeby nie uderzyć w subaru, a tymczasem Bob zajechał mu drogę od tyłu. Nim stanął, Ron wyskoczył i szarpnął tylne drzwiczki mercedesa. Był już w środku, kiedy Stevenson rzucił się na siedzenie obok szofera, a Daniel wsunął się do tyłu, z przeciwnej strony niż Bob. Dziewczyna znalazła się między nimi. Nie widziała nic prócz niewyraźnych twarzy za maskami, a gdy otworzyła usta, żeby krzyknąć, Daniel walnął ją pięścią w szczękę i opadła na siedzenie. Stevenson przyłożył nóż do gardła Araba. Mężczyzna zmarł z przerażenia.

Daniel syknął do Rona:

- Wynieś ją.

Ron uniósł nieprzytomną dziewczynę i wywłókł na ulicę. Jeden rzut oka wystarczył mu, żeby się przekonać, iż w okolicy nie ma nikogo. Wcisnął ją na tył subaru, a Monika wciągnęła ją od wewnątrz. Wymacała jej tętno na szyi, a następnie sprawnie wywinęła umalowaną powiekę.

- Nieprzytomna - powiedziała.

- Taa - mruknął Ron. - Nieźle ją trzasnął.

Monika ściągnęła dziewczynie szal, po czym zwróciła się do młodego człowieka:

- Masz. Zaklej ją.

Patrzyła, jak ten odwija plaster i okleja usta dziewczyny.

- Nie zaklejaj jej nosa - upomniała ostro - bo się udusi.

Spojrzał na Monikę i mruknął po cichu brzydkie słowo. Zaśmiała się, a następnie, owinąwszy się błyszczącym szalem, wsiadła na tylne siedzenie mercedesa. Daniel czekał tam

na nią. Popatrzyła na niego i skinęła głową. Wymienili porozumiewawcze uśmiechy, ale nie odezwali się do siebie. Kompletne milczenie było zasadą. Siedzieli, czekając. Wydawało się, że trwa to bardzo długo, ale już po dwóch minutach zamigotały światła subaru. Był to znak, że dziewczyna jest związana i ma zakneblowane usta, a teraz przyszła kolej Daniela. Czas na pozbycie się szofera. Stevenson trzymał czubek noża tak blisko jego szyi, że pojawiła się kropelka krwi.

- Wsiadaj - rzucił Daniel po arabsku do kierowcy.

Mężczyzna skamlał:

- Nie zabijaj mnie... oszczędź...

Stevenson odsunął nóż, a mężczyzna wygramolił się z samochodu i zsiadł ze strachu na widok Daniela w masce. Nie zauważył nawet wsiadającego za nim Stevensona ani nie poczuł uderzenia, po którym stracił przytomność.

Stevenson podbiegł do samochodu blokującego mercedesa i otworzył bagażnik. Był tak silny, że nie potrzebował pomocy Daniela, żeby wrzucić tam nieprzytomnego mężczyznę. Zatrzasnął klapę, zamknął zamek i usiadł na miejscu kierowcy.

Czapka szofera upadła na ulicę i częściowo zmoczyła się w kałuży utworzonej z jego moczu. Daniel podniósł ją i skrzywił się. Zdjął pończochę, nałożył czapkę i siadł za kierownicą mercedesa. Stevenson już ruszał. Mieli umówione spotkanie z subaru.

Daniel zaplanował wszystko co do minuty. Wiedzieli, co robić. Ruszył mercedesem i skręcił w Bond Street. Zegar na desce rozdzielczej wskazywał jedenastą piętnaście.

- Spóźnisz się piętnaście minut - powiedział do Moniki. - Uśmiechnął się, ukazując nierówne białe zęby. Był dostatecznie śniady, żeby móc uchodzić za Araba, zwłaszcza w czapce skrywającej część twarzy. - Możesz mu powiedzieć, że były korki.

Zaśmiał się. Wszystko poszło dokładnie według planu. Drugi samochód był w drodze do Regent's Canal. O tej porze była to spokojna okolica.

Rozkaz Harry'ego był wyraźny: żadnego zabijania. Porzucić tę dwójkę w używanym samochodzie i wynosić się w diabły, wracać do Suffolk subaru. Daniel usiłował się temu przeciwstawić, bo nie lubił zostawiać świadków. Jednak Rosjanin, Zarubin, poparł Harry'ego. Zabójstwo polityczne to jedna sprawa, a zamordowanie dziewczyny i szofera rozwścieczyłoby opinię publiczną i nasiliło poszukiwania zabójców.

Nikt nie zauważył nic innego niż czterech mężczyzn w czerni i w maskach, z których jeden mówi po arabsku. Nie będzie żadnych śladów palców, a jeśli nawet znajdą jakiś włos czy nitkę materiału, nic im to nie da. Z tyłu samochodu Monika drapowała na sobie szal. Nie dotykała niczego wewnątrz, żeby znaleźć tylko ślady Denise. Jechali gładko. Spojrzała

przez przyciemnione okna, gdy okrążali Marble Arch. Nie byli spóźnieni nawet o pięć minut, ruch był wyjątkowo mały. Uśmiechnęła się w miłym oczekiwaniu. Przypominała sobie chwile swych triumfów. Strach na twarzy ofiary, sekundy, w których walczyła o życie, cudowny punkt kulminacyjny zabijania...

Skręcili za róg Lancaster Place i Daniel zatrzymał się przy głównym wejściu do hotelu. Było jaskrawo oświetlone, flagi powiewały na budynku. Natychmiast pojawił się portier w uniformie, zasalutował i otworzył Monice tylne drzwiczki. Nie śpieszyła się. Wysiadła, skinęła Danielowi, który siedział z przodu nieruchomo i z osłoniętą twarzą powoli weszła do foyer.

Portier znał ją i poprowadził do prywatnej windy. Nacisnął przycisk i mrugnął, kiedy drzwi się rozsunęły. Musiał być zaprzyjaźniony z Denise. Monika opuściła wzrok, wchodząc do windy. Był tam tylko jeden przycisk, którym uruchamiało się windę. Wjeżdżała na samą górę. Gdy drzwi się otwarły, do kabiny zajrzał uzbrojony ochroniarz. Miał ciemną, sępią twarz i ubrany był w arabską szatę z przywieszonym u boku bułatem. W ręku trzymał automatyczny pistolet maszynowy. Kiedy zobaczył Monikę, cofnął się i pokazał ruchem ręki, żeby szła dalej. Pojawił się następny służący. Nic nie mówiąc, znów gestem, dał jej znak, żeby kierowała się za nim. Trzeba było przejść obszerny pokój recepcyjny, jasno oświetlony olbrzymim żyrandolem. Światło odbijało się w lustrach oprawnych w złocene ramy. Szła po grubym perskim dywanie. W pokoju stały sofy i stoliki inkrustowane kością słoniową i roznosiła się woń najdroższych pachnidła świata. Książę lubił mieć je rozpylone w całym apartamencie.

Służący zatrzymał się przy drzwiach, zapukał, a głos ze środka zezwolił na wejście. Mężczyzna otworzył drzwi, uklonił się nisko i odsunął się, przepuszczając Monikę.

*

Jan pojechał do Regent's Park. Zrobił kilka kółek, nim znalazł miejsce do parkowania. Zgasił światła i siedział w ciemności. Przygryzał wargi, aż do krwi. Ból go otrzeźwił. Czuł się dziwnie, siedząc tak w samochodzie; nagle zobaczył dwie zbliżające się kobiety, miały rozkołysany, charakterystyczny chód prostytutek szukających klienta. Wtulił się w fotel, udając, że śpi. Zajrzały do samochodu i poszły dalej.

Zobaczył z oddali samochód policyjny i zaczął dygotać, więc znów ruszył. Czas włókł się zamiast posuwać. Jan zatrzymał się w bocznej uliczce i starał się uspokoić zapalając papierosa ze swej codziennej skąpej racji. Zakaszłał się i usta go piekły od tytoniu.

Było po jedenastej. Włączył radio. Na ulicy pusto, ruch i piesi koncentrowali się na niedalekiej Marylebone Road. Słuchał muzyki rozrywkowej, którą odbierał jako bezsensowne

bzyczenie. Jedenasta dwadzieścia. Czas się ruszyć. Znał plan, powtarzał go z Danielem wiele razy.

Monika teraz pewnie ląduje w hotelu Regis. Przewidywała, że zabawi tam najwyżej godzinę. To jej da dość czasu na uśpienie ofiary i następnie zabicie. Kilka minut na zrobienie zdjęć małym aparatem, ukrytym w torebce. Zapewniała, że będą ciekawe. Później opuści apartament z palcem na ustach, żeby ostrzec służbę, że pan śpi. Zjedzie prywatną windą i wyjdzie do czekającego w mercedesie Daniela, jakby była prawdziwą Denise.

Ruszył na spotkanie ze Stevensonem i jego zbirami. Po porzuceniu mercedesa władają się wszyscy do ich samochodu i ruszą do Suffolk.

Jeśli plan się powiedzie, będą w łóżkach, o sto pięćdziesiąt kilometrów stąd, nim ktokolwiek odważy się przeszkodzić księciu. Pomyślał o Monice i wzdrygnął się. Ta kobieta nie miała w ogóle nerwów. Niebezpieczeństwo ją podniecało. Zabijanie było dla niej przeżyciem seksualnym. Wierzyła, że jest niewykrywalna.

Nie śpieszył się. Jechał ostrożnie, wytracając czas. Przed północą skręcił w Lancaster Place. Objechał go raz i zobaczył czekającego mercedesa oraz sylwetkę Daniela siedzącego na miejscu kierowcy, w opuszczonej nisko na czoło czapce. Światła hotelowe były już przyćmione.

Wydział specjalny wie, że książe udał się na spoczynek, a strażnicy pewnie poszli do domów, żeby powrócić rano, kiedy gość będzie odjeżdżał na lotnisko. Oczywiście jakieś symboliczne siły pozostaną w hotelu, ale nie będą się chyba spodziewać żadnych problemów.

Zaparkował w cieniu drzew, lecz w zasięgu wzroku kierowcy mercedesa. Wpół do pierwszej. Lada moment Monika powinna wyjść, a Daniel ją zabierze. Dwunasta trzydzieści pięć. Zaczął się pocić, krople potu spływały mu na oczy. Wytarł je drżącą ręką. I wtedy usłyszał wycie syren.

9.

Książę siedział na kanapie obłożonej poduszkami, stojącej u stóp olbrzymiego, ozdobnego łoża. Nie ruszył się, gdy Monika do niego podchodziła. Drzwi zamknęły się za nią cicho. Wyciągnął rękę i zbliżyła się. Twarz miała wciąż przesłoniętą szalem.

Ubrany był w luźną białą szatę, obramowaną złotą plecionką, a pod nią był nagi. Miał ciemną, nalaną twarz z haczykowatym nosem swej rodziny i czarne oczy pod ciężkimi powiekami. Wstał powoli, a ona stała przed nim nieruchomo, z lekko opuszczonymi, dużymi, umalowanymi oczami. Sięgnął ręką do szala.

- Denise?

Monika powoli zsunęła szal, który opadł z jej ramion. Książę się cofnął.

- Co to znaczy? - zapytał podniesionym głosem.

- Denise źle się czuje, wasza wysokość - powiedziała Monika niskim, uwodzicielskim głosem, patrząc na niego. - Żeby księcia nie zawieść, przysyła mnie. Jako prezent.

Uniosła rękę i wyjęła grzebyki z włosów. Opadły gęstą blond zasłoną do ramion.

Przymrużył oczy. Miał gruby brzuch i prawie kobiece piersi. Na wypielęgowanych rękach błyszczały pierścienie.

- Możesz mnie zadowolić - wymamrotał. - Podejdz tu.

Monika podeszła. Jak na tęgiego człowieka, poruszał się szybko.

Podszedł do niej i przeciągnął ręką po jej plecach, aż do pośladków, które mocno ścisnął. Udała jęk rozkoszy.

- Wspaniała uroda. - Poczula jego oddech. Był kwaśny. Uśmiechnęła się.

- Wiem od Denise, co wasza wysokość lubi - szepnęła gardłowym głosem. - Dlatego tu jestem. Ściągnęła ręce do tyłu i cienki czarny jedwab napiął się na jej dużych piersiach. Książę patrzył na nie. Odpięła haftkę, poruszyła się zmysłowo i suknia opadła na podłogę. Zsunęła pantofle na wysokich obcasach i stanęła przed nim naga. Przez chwilę w pokoju panowała kompletna cisza.

Monika przysunęła się do niego. Zwilżyła usta językiem, oczy jej błyszczały. Drżała lekko z podniecenia. Książę patrzył na nią, jedną rękę wsunął pod swoją szatę. Monika źle odczytała znaczenie tego gestu i uśmiechnęła się.

- Umrzesz z rozkoszy - szepnęła.

Nagle twarz mu się skurczyła, otworzył usta i wykrzyknął coś po arabsku. Zobaczyła, jak w miejsce pożądania na jego twarzy pojawiają się podejrzenie i wściekłość. Ręka odruchowo sięgająca po sztylet, który nosił, gdy był ubrany, wymierzyła cios. Udało jej się uchylić, a on runął w kierunku łóżka, gdzie umieszczony był przycisk, który natychmiast sprowadzał do sypialni ochroniarzy. Księżę poślizgnął się jednak na swej szacie, a wtedy Monika rzuciła się na niego. Nie spodziewał się, że zaatakuje. Odwrócił się, cały czas przyciskając alarm. Dźwięczał jej w uszach przenikliwy dzwonek. Uniosła wyprostowaną prawą rękę. Uderzyła go z całej siły w szyję i zmiażdżyła mu tchawicę, jakby to był spróchniały patyk. Upadł, zachłystując się krwią i plwocinami.

Monika usłyszała otwieranie drzwi, wrzaski i odwróciła się. W ciągu paru sekund było po wszystkim. Zobaczyła dzikie twarze, uniesioną broń i zaraz pierwsze pociski uderzyły w jej piersi i brzuch. Były jak ciosy młotem. Odrzuciło ją na ciało jej ofiary. Nie czuła bólu. Umierała, gdy ściągali ją z księcia, i martwą już zaczęli kłuć i ciąć, głośno rozpaczając po stracie pana.

*

Daniel zaparkował mercedesa w zatoczce, w pobliżu wejścia do hotelu. Siedział z przodu, oczekując wyjścia Moniki. O dwunastej dwadzieścia pięć uruchomił silnik, żeby móc natychmiast po nią podjechać i ruszyć.

I wtedy usłyszał syreny. Zawroźnienie najpierw dochodziło z daleka, stawało się coraz głośniejsze i bardziej groźne, przybliżając się. Niebieskie światła migały w ciemności. Daniel wyskoczył na ulicę. Zawahał się na moment, przyłgnął do ogrodzenia, a kiedy pierwszy policyjny samochód pojawił się za rogiem, zaczął biec.

*

Jan usłyszał syreny, zobaczył błysk niebieskich świateł i już wiedział, że się nie udało. Hotel nagle rozblysnął, gdy włączono główne oświetlenie. Monikę złapali. Porzucić plan. Odezwała się stara zasada. Porzucić. Uciekać. Działał tak, jak był wyuczony w razie wpadki.

Szarpnął kierownicą i samochód skręcił pod kątem prostym. Wyjechał z Lancaster Place, nim pojawił się tam pierwszy wóz policyjny. Nie zauważył biegnącego Daniela. Porzucić plan i wracać do bazy. Nie zastanawiał się, nie myślał. Działał ślepo, byle przetrwać.

*

Regent's Canal był pusty. Stevenson zaparkował samochód nad skrajem wody. Subaru trochę się pokręciło i stanęło za nim. Bob prowadził, a Ron siedział z tyłu, trzymając nogi na dziewczynie. Odzyskała już przytomność i kopał ją, kiedy próbowała się ruszyć. Ron lubił kobiety, ale nie był zbyt rycerski.

Stevenson wysiadł. Światła obu samochodów były wygaszone. Zapalił papierosa i wypatrywał zbliżających się samochodów lub innych oznak. Nic. Cisza, jeśli nie liczyć szmeru czarnej wody kilka metrów niżej. Podszedł do siedzącego w samochodzie Boba, który opuścił okienko w subaru.

- W porządku - mruknął cicho Stevenson. - Możemy się ruszyć.

Dał znak Ronowi, żeby naciągnął pończochę na twarz.

Ron nachylił się, wyciągając dziewczynę. Było to dosyć trudne, gdyż była związana niczym kurczę do pieczenia - nigdy nie działali połowicznie - i ciężka.

Bob stał na ulicy ze Stevensonem i zapalał papierosa, czekając, aż kumpel załatwi swoją sprawę. Ron usadził dziewczynę na siedzeniu. Oczy nad plastrem zakrywającym jej usta były pełne przerażenia. Ron lubił kobiety. Wyjrzał szybko przez szybę. Kumple odwróceniu byli tyłem. Przyciągnął dziewczynę szybko i wsunął jej rękę pod spódnicę.

- O kurde! - Rzucił nią o drzwiczki tak mocno, że zsunęła się prawie całkiem na podłogę.

Stevenson odwrócił się i warknął do niego:

- Co ty, kurwa, wyprawiasz?

Ron wyskoczył z samochodu.

- To nie dziewczyna - powiedział. - To pieprzony facet w przebraniu!

*

Stevenson dotarł na miejsce spotkania na skrzyżowaniu Bayswater Road i Notting Hill. Byli na czas. Mercedesa ani śladu. Drugi samochód zostawili przy Regent's Canal. Ron wyładował się, poszturchując biednego transwestytę, aż tamten znowu zemdlał, nim rzucił nim o podłogę. Arab był w bagażniku, zbyt przerażony, żeby hałasować. Do rana ich znajdą. Ron nie tłumaczył się, że złamał zasadę milczenia, kiedy dokonał tego odkrycia. Dał lewusowi taki wycisk, że nic nie będzie pamiętał...

Czas mijał. Po półgodzinie Stevenson zaczął się wiercić na siedzeniu.

- Nie powinni się, kurde, aż tak spóźniać - mruknął. Denerwował się i odpałał jednego papierosa od drugiego. - Damy im jeszcze piętnaście minut - zdecydował.

- Myślisz, że się nie udało, sierżancie? - spytał Ron. Przygryzał zaczerwienione kłykcie.

- Na to wygląda - odpowiedział Stevenson.

- Więc co robimy? - Bob spoglądał na zegar na tablicy rozdzielczej. Wskazywał prawie godzinę po czasie.

- Jeżeli gliny mają ją albo Izraelczyka, będą ich naciskać. Harry mówił, żeby wiać, jak

się nie pojawiają.

- Cholera - mruknął Bob.

Stevenson się zdecydował. To były jego chłopaki, stare nawyki przeważały.

- Chyba nie będziemy ryzykować - powiedział. - Spadamy i przez jakiś czas będziemy siedzieć cicho. Do rana w tym pieprzonym hotelu może być pełno gliniarzy. Zgadza się?

- W porządku - odpowiedzieli.

Uruchomił silnik, zawrócił i ruszył w stronę Bermondsey.

*

Stek był twardy. Rosa zrezygnowała z walki i wyjadała palcami frytki. Para przy sąsiednim stoliku popatrzyła na nią z dezaprobatą. Tamci mieli wykwintne maniery i trzymali kieliszki z winem, odstawiając zakrzywione małe paluszki.

- Jeżeli pojedziesz za granicę - Harry odsunął swój talerz i sięgnął do jej frytek - to jak myślisz, dokąd?

- Może do Brukseli. Chcesz moją pieczarkę? Ja już mam dosyć. - Nadziała ją na widelec i podniosła do ust Harry'ego. - Jak w tym filmie, „Tom Jones” - powiedziała. - Widziałeś go kiedyś?

- Nie. Dlaczego?

- Wciąż się karmili nawzajem jakimiś kaskami. Najbardziej seksowna rzecz, jaką widziałam.

- Dlaczego do Brukseli?

- Mam tam jechać jako drugi sekretarz ambasady. Ale wszystko się zmienia tak szybko. Może zastanę już jakąś inną propozycję, kiedy wrócę do biura.

- Mam nadzieję, że to będzie Bruksela - powiedział. - Wtedy mógłbym przyjechać i być z tobą. Nie mam zamiaru cię puścić, kochanie. Mówiłem to serio.

- Zostawiłbyś hotel? - Popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Nie przewiduję siedzenia tam do końca życia - odparł. Przywołał kelnera. - Dwa razy kawa po irlandzku. Chyba że chcesz ten jakiś letni deser, który tu widzę?

- Raczej nie. - Rosa pokręciła głową. - Wolę kawę po irlandzku. Jeżeli zostawisz ten hotel, to co będziesz robił? Weźmiesz następny?

Zapalił papierosa i podał jej, dla siebie wyjął drugiego.

- Mam taki interes, który się toczy - powiedział i uśmiechnął się do niej. - Na boku. Całkiem niezłe pieniądze. Może po raz drugi pójdę na wczesną emeryturę.

Przyniesiono kawę. Rosa trzymała szklankę w obu dłoniach i nie patrzyła na niego.

- Jaki interes? Nikt nie robi pieniędzy z niczego w dzisiejszych czasach. - Czują, jak

wali jej serce. Boże, proszę, żeby tylko Parker nie miał racji. Niech Harry nie będzie w nic wieszany.

- Zainwestowałem w tereny w dawnych Niemczech Wschodnich. Można tam kupić akr ziemi za kilka funtów. Część zdążyłem sprzedać pod jakąś budowę, gromadzę marki niemieckie. Ktoś mi dobrze poradził. Teraz nie pozwalają już sprzedawać ziemi obcokrajowcom, bo zorientowali się, jakie na tym robią pieniądze. Ja na szczęście zdążyłem w porę. Zabawne, nigdy przedtem nie zarobiłem na niczym ani pensa. Dzięki temu mogę stać się zamożny.

- Wydaje się bardzo obiecujące.

Słyszała o tym, James i jacyś znajomi martwili się, że jest już za późno. Pamiętała to dokładnie.

Popatrzyła mu w oczy i uśmiechnęła się.

- Zostało mi tylko pięć dni - powiedziała. - Tak się wszystko szybko potoczyło między nami. Zawsze uważałam, że jestem bardzo rozsądna. Nie wchodziłam nigdy w żadne związki pośpiesznie i bez namysłu.

- Ja w ogóle nie wchodziłem w żadne związki - rzekł Harry. - W ciągu ostatnich dziesięciu lat miewałem przelotne romansiki, ale moja żona, Peggy, zniechęciła mnie do pieprzenia się na prawo i lewo. Nie znosiłem kłamstw i bylejakości. Raz się zakochałem i sądziłem, że to się już więcej nie zdarzy. Później poznałem ciebie. Chcę, żebyś wiedziała, Rosa, że twoja praca nie stanowiłaby dla mnie problemu. Dzięki niej jesteś taka inna. Miej to na uwadze. A teraz, kochanie, czy pójdziemy na górę? Bardzo cię pragnę.

- Ciii - szepnęła Rosa. - Oni cały czas słuchają...

Wstali i gdy przechodzili obok sąsiedniego stolika, Harry się zatrzymał. Mężczyzna był speszony, a kobieta zaczerwieniła się. Harry uśmiechnął się do nich.

- Mam nadzieję, że miło państwo spędzili nasz wieczór. Dobranoc.

Rosa śmiała się, wchodząc na schody.

- Harry, jesteś niemożliwy. Jak mogłeś tak powiedzieć?

- Byłem po prostu szczery. Wydawało mi się, że trzeba ich trochę rozweselić. Nam to niepotrzebne. - Otworzył drzwi do pokoju i puścił ją przodem. - Mnie trzeba tylko ciebie.

*

- Gdzie on jest? - krzyczał Hermann Rilke. - Wszystko wali nam się na głowę, a on znika!

Chodził po pokoju tam i z powrotem, obserwowany przez Wasilija Zarubina. W najwcześniejszych wiadomościach telewizyjnych na pierwszym miejscu podano wiadomość o

zamordowaniu arabskiego księcia. Rilke zadzwonił do Oakhama, ale nikt nie odpowiadał. Kiedy otwarto recepcję, dowiedział się tego samego, co Jan poprzedniego wieczoru.

Zarubin nie musiał nawet otwierać telewizora, bo kiedy Rilke obudził go swoim telefonem, w ciągu kilku minut był w Croft Lodge. Niemiec wyglądał okropnie, miał ziemistą cerę i nerwowo skubał wargę, spacerując po pokoju.

- Akcja była zaplanowana na dzisiaj wieczór - powtarzał. - Ruszyli wcześniej. Dlaczego? Dlaczego nam nic nie powiedzieli? Dobrze chociaż, że tamci ją zabili! Gdyby ją złapali żywą i mieli czas przesłuchać...

- Może byś tak usiadł? - rzekł chłodno Zarubin. - Nic nie zrobimy, póki Oakham nie wróci.

Rilke zatrzymał się w pół kroku.

- Myślisz, że on wiedział, że pojechał wczoraj do Londynu, nie mówiąc nam o tym?

- Nie. - Rosjanin pokręcił głową. - Nie sądzę. On tak nie działa.

Rilke usiadł i włączył telewizor, żeby obejrzeć skrót wiadomości o dziewiątej. Nie było nic nowego, tylko powtórka informacji z poprzedniego wydania.

Rosjanin wstał. Przeciągnął się. Wyjrzał przez okno.

- Właśnie pojawił się jego samochód przed tylnym wejściem. I jest z nim kobieta. Zostaw to mnie.

- Nie - zaprotestował Rilke z wściekłością. - Dlaczego mam tu siedzieć i nie wiedzieć, co się stało? Kobieta! - Zaklął wściekle po niemiecku. - Posuwa jakąś obrzydliwą babę w takim momencie! - Zarubin był już przy drzwiach. - W dodatku przekazał dowodzenie temu cholernemu Izraelczykowi. Wszystko zepsuł!

Rosjanin przystanął na moment.

- Tego nie wiemy - zauważył.

- Więc dlaczego tamci nie wrócili? - rzucił się na niego Rilke.

- Tego właśnie chcę się dowiedzieć - powiedział Zarubin i zamknął za sobą drzwi.

*

Podjechali pod tylne wejście. Harry nachylił się i pocałował ją w usta.

- Dziękuję, kochanie - powiedział cicho. - Była to najszczęśliwsza noc, jaką pamiętam.

- Mimo wybojów w materacu? - spytała cicho.

- Dzięki nim. Bo między nami wszystko było doskonale. Wejdziemy przez drzwi służbowe. Nie mogę pozwolić na zaszarganie twojej opinii.

Było to takie staroświeckie wyrażenie, że uśmiechnęła się. O szampanie też

powiedział „bąbelki”.

- Kiedy cię zobaczę? - spytała.

- Może na obiedzie? U mnie? Chcę spędzić z tobą każdą minutę. - Wykorzystaj dzisiejszy dzień, powiedział sobie. Ciesz się tym, co cię spotkało, Oakham. Zanim jutro... - Spotkamy się w ogrodzie. Najpierw coś wypijemy, a później pokażę ci, gdzie mieszkam. O dwunastej?

Rosa skinęła głową, dotknęła jego twarzy, a następnie wejściem dla służby wślizgnęła się do hotelu.

W pokoju zrzuciła wygniezione ubranie i zrobiła sobie gorącą kąpiel. Wlała do wody pachnący olejek i leżała teraz w wannie, wdychając zapach unoszący się wraz z parą, myśląc o Harrym i o nocy, którą spędzili razem. Czuła się taka inna, że po wyjściu z wanny przyglądała się sobie, naga, w lustrze, ale nie zauważyła żadnej zmiany. Mimo to zmieniła się. Już nigdy nie będzie taka jak kiedyś.

- Nigdy nie byłam zakochana - powiedziała głośno. - Małżeństwo z Jamesem to było nic, Dick Lucas, inni, to wszystko było nic... Guzik mnie obchodzi, co uważa Parker... Zadzwoń do niego i powiem, że się myli. Harry jest czysty. Gdyby było inaczej, wiedziałabym. Zadzwoń jutro rano.

*

Harry patrzył na Rosjanina. Siedzieli w gabinecie Oakhama. Zarubin powiedział:

- Rilke usłyszał dziś rano w wiadomościach. Nie wiedziałeś?

- Boże, oczywiście że nie. - Oakham rąbnął pięścią w blat biurka.

- Dlaczego? Dlaczego zrobili to wczoraj wieczorem?

Sięgnął po papierosa, ale pudełko było puste. Klnąc, zaczął przeszukiwać szuflady biurka.

- Złapano Monikę i ochroniarze ją zastrzelili. Całe szczęście - ciągnął Zarubin.

Oakham spojrzał z wściekłością.

- Nie dla Moniki!

Zapalił papierosa, zaciągnął się i powiedział:

- Musi być jakaś wiadomość. Jan na pewno byłby się ze mną skontaktował w przypadku zmiany. Poczekaj. - Zadzwoił do recepcji. Wasilij, przysiadłszy na biurku, obserwował go, machając nogą. - Tak... dzwonił... Dobrze, dziękuję... Tak, świetnie... - Zwrócił się do Rosjanina: - Jan dzwonił i powiedział, że wraca dziś wcześniej rano. W ten sposób zawiadamiał mnie, że plan przesunięto... cholera! Miał wrócić dziś wieczorem...

Leżał w łóżku z Rosą, kiedy Jan telefonował. Wyobrażał sobie, jak jego biedny

przyjaciel musiał się denerwować, nie mogąc się z nim skontaktować.

- Cholera! - zaklął znowu. - Powiniennem był tu siedzieć.

- Rilke zgodziłby się z tobą - potwierdził Zarubin. - No więc gdzie jest Jan? I gdzie jest Daniel i reszta? Morderstwo wykryto o północy, tak w każdym razie podano w wiadomościach. Więc dlaczego ich jeszcze nie ma?

- Skąd, do cholery, mam wiedzieć?

Zdawał sobie sprawę, że Rosjanin go przypiera do muru, bo popełnił błąd, wyjeżdżając na noc.

Powiedział:

- Mieli plan awaryjny, jeżeli coś się nie uda i Monika nie wyjdzie. Daniel, Stevenson i chłopaki mieli siedzieć gdzieś cicho i ostrzec nas. Tak się musiało stać. Wiedzieli, że coś się spieprzyło.

- Daniel nie skontaktował się z nami, a on dowodził grupą - przypomniał Zarubin.

- Na pewno się skontaktuje - upierał się Oakham. - Daniel wiedział, że ma się wynosić w cholerę i nie ryzykować. Połowa wydziału specjalnego musiała rzucić się na to, kiedy się dowiedzieli, co się stało. Więc uciekł. Jest profesjonalistą. Ukrył się, ale się skontaktuje.

- A co z tym Polakiem? Upierałeś się, żeby tu wrócił, nim zaczną. A on nie wrócił.

Harry Oakham popatrzył na Rosjanina wzrokiem pełnym wściekłości.

- Wiem, co jest dla niego najlepsze - powiedział. - Nie martw się o Jana. Wróci.

- On był właśnie słabym ogniwiem - rzucił ostro Rosjanin. - Nie chciałem go angażować, przekonywałem cię, ale ty się uparłeś. Facet może się załamać i zniszczyć nas wszystkich.

Harry podszedł do Zarubina. Widać było jego zaciśnięte pięści i furię w oczach. Nie cofnął się.

- Posłuchaj no. Jan poddawany był najgorszym, najokrutniejszym przesłuchaniom, jakie twoja strona potrafiła wymyślić. Jest jedynym z całej tej bandy, który prędzej umrze, niż nas wyda.

- Jeżeli w to wierzysz, to uwierzysz we wszystko! Rilke chce się jak najprędzej z tobą zobaczyć.

- Rilke może się wypchać - burknął Oakham. - Jadę szukać Jana.

*

- Dzień dobry - powiedział Zarubin.

Rosa odwróciła się. Czekwała w ogrodzie na Oakhama. Spóźnił się.

- Dzień dobry - odpowiedziała.

Nie poszedł dalej.

- Słuchała pani wiadomości?

- Nie. Jakich wiadomości?

Był to sezon ogórkowy, kiedy nic ciekawego się nie działo. Albo wybuchała wojna.

- Mówili w telewizji - ciągnął Zarubin - że w hotelu w Londynie zamordowano arabskiego księcia.

Obserwował ją uważnie. Autentyczne zdziwienie i lekki szok. Domyślił się, że czeka na Oakhama.

- Okropne. Czy to był ktoś ważny? - Odruch pracownika Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

- Bardzo ważny. Syn króla Arabii Saudyjskiej.

- To może być katastrofa - orzekła Rosa. Uznała, że nic się nie stanie, jeśli powie prawdę. - Pracuję w dyplomacji - wyjaśniła. - Bliski Wschód to nie mój rejon, ale wszyscy wiemy, jaka to beczka prochu.

Skinął głową. Dyplomatka. Coś mu się kojarzyło. Uśmiechnął się do niej.

- Musi pani być bardzo mądrą kobietą.

- Czy ja wiem... - Spojrzała na zegarek. Harry był już spóźniony o piętnaście minut.

- Wybiera się pani na spacer? - spytał Zarubin.

- Nie, czekam na pana Oakhama.

- Aha - powiedział. - Musimy kiedyś porozmawiać. Pracuję nad książką. Miło byłoby porozmawiać z kimś inteligentnym, kto zna świat. Ładnie tutaj, ale nie znalazłem nikogo sympatycznego.

Jane miała rację. Był przystojny, a jego samotność mogła się wydawać bardzo romantyczna.

- Chyba czuje się pan bardzo samotny, przebywając tu w pojedynkę.

Oakhama wciąż nie przychodził. Postanowiła wrócić do pokoju i zadzwonić do jego gabinetu.

- Nie mogę pracować w Londynie - wyjaśnił Zarubin. - Potrzebuję spokoju. Londyn jest głośny, brudny i niebezpieczny nocą. Czy pani tam mieszka?

- Tak. - Ta krytyka ją zirytowała. - Może powinien był pan pisać w swoim kraju. Teraz można to już robić bezpiecznie, o ile wiem.

Zrozumiał wyrzut. Uśmiechnął się i powiedział:

- Przepraszam. To pani miasto. Nie byłem w kraju od wielu lat, ale mam nadzieję wkrótce pojechać. Jak pani powiedziała, teraz i tam można pisać książki. Mam nadzieję, że

się pani nie obraziła?

Rosa zmiękała. Przede wszystkim chciała się go pozbyć.

- Oczywiście że nie. Musimy kiedyś porozmawiać. Przepraszam pana. - Wróciła do hotelu i do swego pokoju.

*

W gabinecie Harry'ego Oakhama zadzwonił telefon. Wiedział, że to musi być Rosa, ale nie odebrał. Pojechał z nią i zawiódł Jana. Nie potrafił z nikim rozmawiać, nie mógł myśleć o niczym innym, tylko o Polaku, pozostawionym samemu sobie, któremu znów, jak kiedyś, walił się na głowę cały świat. Jechać go szukać, ale gdzie? Dotarł do niego cały bezsens odpowiedzi, jaką dał Zarubinowi. Może najwyżej wsiąść w samochód i przejechać trasę, jaką powinien był zrobić Jan. Coś mogło mu przeszkodzić albo nie jest w stanie się ruszyć, opanowany przez jeden z ataków paniki, jakie go nachodziły w następstwie uwięzienia. Szansa na odnalezienie przyjaciela w ten sposób była niewielka, ale jedyna. Po prostu dokładnie prześledzić jego trasę i mieć nadzieję, że ugrzązł gdzieś przypadkiem.

Rosa. Zatrzymał się w drodze do drzwi. Będzie czekała. Wziął kartkę, skrobął coś, zaadresował i zakleił. Nie spędzi upojnego popołudnia, nie będzie marzenia z Rosą. Rzeczywistość niosła ze sobą morderstwo i martwą zabójczynię. I człowieka, którego kochał jak syna, w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

*

Rosa podziękowała recepcji. Nie odpowiadał ani jego numer biurowy, ani domowy. Nikt nie wiedział, gdzie go szukać. Dochodziła dwunasta czterdzieści pięć. Rosa była zdenerwowana i zniecierpliwiona, postanowiła jednak zapanować nad sobą. Coś musiało mu nagle wypaść. Włączyła ITV, żeby posłuchać wiadomości.

Ta była pierwsza. Książę Abdullah Al Rashid, ukochany syn króla Arabii Saudyjskiej, został zamordowany przez prostytutkę w swoim apartamencie w hotelu Regis. Kobieta została zastrzelona przez ochroniarzy. Reporterzy telewizyjni i kamerzyści koczowali przed hotelem, okrążonym kordonem policji. Detektywi przeszukiwali plac i okoliczne ulice. Komentarze, ze względu na Saudyjczyków, były taktowne. Krążyły plotki, że to zamach terrorystyczny, ponieważ zaginął arabski szofer, a kobieta nie była znana nikomu z otoczenia. Oficer policji przedstawił w zarysie przebieg wydarzeń i potwierdził, że na razie nikogo jeszcze nie aresztowano w związku z tą sprawą. Wszystkie ambasady krajów arabskich i europejskich, związanych z wojną w Zatoce, zostały objęte szczególną ochroną.

Emerytowany dyplomata, występujący w roli komentatora, przedstawił katastroficzną wizję możliwych reperkusji w świecie muzułmańskim.

Wiadomości się skończyły, a Rosa wciąż nie wiedziała, co się dzieje z Oakhamem.

*

Jan nie pamiętał, gdzie jest. Słońce przypiekało przez przednią szybę i musiał spuścić osłonę, żeby mieć trochę cienia. Nie spał, tego był pewien. Zatrzymał się, kiedy było ciemno, bo nie przypominał sobie, dokąd miał jechać. Bał się ciemności. Nie było żadnych lamp, tylko drzewa i niebo bez gwiazd. Wpadł w panikę. Cały był zlany potem, mokre ręce ślizgały się na kierownicy. Zdjął nogę z pedału gazu. Wiedział tylko, że musi się zatrzymać, nim rozbije samochód. Wysiadł roztrzęsiony, mdliło go. Był w ciemności, wśród jakichś pól, i nie miał pojęcia, jak się tu znalazł i dokąd powinien jechać.

Od lat już nie miał zaniku pamięci. Wszędzie dookoła czaiło się niebezpieczeństwo. Wrócił do bezpiecznego samochodu i zamknął drzwiczki. Wtulił się w siedzenie i zamknął oczy ze strachu. Natura zrobiła swoje i zasnął. Był jak w śpiączce, ale obudziło go ciepło słońca i przypomniał sobie, jak wyjeżdżał z Londynu przy przeraźliwym akompaniamencie syren. Wracał do Harry'ego. Powoli rozprostował skurczone ciało i zmusił się do otwarcia drzwi i wyjścia na zewnątrz.

Czuł suchość w gardle i nie mógł przełykać. Powiedział sobie, że wszystko już jest w porządku. Najgorsze było za nim. Od dawna nie miał ataku, ale atak minął. Jan nie poznawał jednak, gdzie jest. Harry na niego czeka, a on nie wie, jak do niego dotrzeć. Wszystko źle poszło. To było jasne. Syreny policyjne, błyskające niebieskie światła, jego ucieczka z miejsca akcji. Znow zaczął dygotać. Musi dostać się do Harry'ego. Po raz wtóry natura okazała się litościwa. Przypomniał sobie numer telefonu. Nagle pojawił się w jego myślach niby zbawcza gwiazda. Znajdź automat, powiedział sobie. Uruchom samochód i jedź, aż trafisz na telefon.

Nie wiedział, jak długo jechał, nim zobaczył budkę telefoniczną w środku brzydkiego miasteczka i zatrzymał się przy niej. Wysiadł, szukając w kieszeniach jakichś monet. Aparat nie był rozbity przez wandalów. Omal nie rozplakał się z poczucia ulgi, gdy usłyszał głos Harry'ego Oakhama.

- Gdzie jesteś, stary?

Ton Harry'ego był kojący. Jan zaciskał wolną rękę tak mocno, że paznokcie przecięły mu skórę. Przerazonym głosem mamrotał:

- Nie wiem, gdzie jestem.

- O Boże - mruknął Harry. No tak, jest załamany. - Nie martw się. Czy jesteś w budce?

- Tak. Co mam zrobić, Harry? Pomóż mi...

- Pomogę. Popatrz na tarczę telefonu. Co tam napisane?

Nastąpiła koszmarna cisza. Jeżeli skończą mu się pieniądze i stracą kontakt...

- Brentwood - powiedział w końcu Jan.

Harry odetchnął. Postarał się, aby jego głos brzmiał pewnie.

- Jesteś prawie w domu, stary. A widzisz, co jest napisane na ulicy? Jak się nazywa?

Nie, zaczekaj, podaj mi numer swojej budki, żebym mógł do ciebie zadzwonić, jeżeli nas rozłączy.

Jan obejrzał się przez ramię.

- Handcross Road - powiedział. - Jestem na Handcross Road. Harry...

Oakham powiedział głośno:

- Zostań tam. Nigdzie nie próbuj jechać, tylko czekaj. Przyjadę po ciebie. Będę tam za godzinę. Jedną godzinę, Jan. Wytrzymaj.

Jan odparł:

- Tak, tak, poczekam - i połączenie zostało przerwane.

Wrócił do samochodu. Drżał i miał nogi jak z waty. Ale przyjedzie Harry. On musi tylko siedzieć w samochodzie i czekać na niego. Potem wszystko będzie dobrze.

Harry wychodził już z biura, kiedy przypomniał sobie o karteczce, którą napisał do Rosy. Zostawił ją w recepcji i powiedział:

- Nie będzie mnie kilka godzin. Proszę to przesłać pani Bennet.

Następnie w pośpiechu, prawie biegnąc, wypadł z hotelu i wskoczył do stojącego przed nim samochodu.

Nie złapali Jana. Dzięki Bogu, powtarzał. Muszę tylko do niego dotrzeć, przywieźć go do domu. Później zajmę się tymi dwoma draniami, Rilke i Zarubinem. Ale najpierw Jan.

Pędził dwupasmówką, prawie cały czas sto czterdzieści. Miał włączone radio i słuchał wiadomości. Znow to samo o morderstwie, plus kilka szczegółów. Szofera księcia i kobietę znaleziono związanych w samochodzie nad Regent's Canal. Kobietę odwieziono do szpitala z powodu ciężkiego pobicia. Oakham zaklął. Mówił im, żeby nie byli brutalni. Kierowca wyjaśnił, że wpadli w zasadzkę w drodze do hotelu.

Sugerowano ostrożnie, że banda działała z ramienia arabskich ekstremistów. Porwanego mercedesa znaleziono na Lancaster Place. Na razie nikogo nie aresztowano, ale dochodzenie jest w toku. Rząd wysłał kondolencje do rodziny królewskiej w Arabii Saudyjskiej.

Żadnych podejrzanych nie aresztowano. Daniel i reszta uciekli. On sam nie dowie się, co się wydarzyło, póki nie dotrze do Jana. Rilke odzyskał panowanie nad sobą. Był wściekły i

przedtem Zarubin bał się z nim rozmawiać. Zdaniem Rilkego, Oakham naraził ich wszystkich przez swoją nieobecność. Głos Niemca był suchy i łamał się jak gałązki pod nogami.

- Mógł im kazać odwołać akcję - mówił Rilke. - Nigdy, przenigdy nie odstępuję się od ustalonego planu, chyba że jest to sprawa życia lub śmierci. Każdy amator o tym wie. Jeżeli nie udało się przeprowadzić akcji zgodnie z planem, trzeba było zrezygnować. - Siedział, ściskając i rozprostowując dłonie. - Jak on ma zamiar odszukać tego Polaka? - zastanawiał się.

Zarubin wzruszył ramionami. Jego obojętność doprowadzała Rilkego do pasji, ale starał się panować nad sobą.

- Nie wie - odpowiedział Wasilij. - To była reakcja emocjonalna, a nie racjonalne działanie. Nie jest profesjonalistą, za jakiego go miałem. Zareagował jak idiota. - Wyjął z kieszeni pilniczki i zaczął sobie czyścić paznokcie. - Jeżeli złapią Daniela, sprzeda nas, żeby coś dla siebie załatwić. Nie od razu. Będzie się targował.

- Nie mamy możliwości się o niczym dowiedzieć - dodał Rilke. - Siedzimy tutaj, czekamy, aż nas zaarrestują, a ta świnka jeździ szukać tego szurniętego Polaka...

- I to masz zamiar robić, Hermann? Czekać?

Rilke spojrzał na Zarubina surowo.

- Nie. Polegam tylko na sobie. Mam zorganizowany wyjazd, gdyby trzeba było nagle uciekać.

- Spodziewałem się tego - skinął głową Rosjanin. - Ja też na nikim nie polegam. - Wstał. - Masz trochę wódki?

- W kuchni - odpowiedział Rilke. - Ona lubiła. Jak myślisz, zidentyfikują ją w końcu? Jest na pewno w kartotekach Interpolu.

- O ile znam arabskich ochroniarzy - powiedział Zarubin - będzie można oprzeć się jedynie na odciskach palców. Niewiele będzie do rozpoznawania. - Wrócił ze szklanką do połowy napełnioną czystą wódką. - Zaczekam kilka godzin - oznajmił - nie więcej. Jeżeli Daniel się nie pojawi albo jeżeli Oakham nie znajdzie Polaka, jadę.

- A jeżeli znajdzie? - chciał wiedzieć Rilke. I zaraz sam sobie odpowiedział: - Wtedy przynajmniej dowiemy się, co się stało.

- No i gdzie są inni - dodał Zarubin. Wysączył wódkę do końca. Nie było po nim widać działania alkoholu. - Pewna rzecz mnie gnębi - powiedział powoli.

- Co takiego? - Rilke spojrzał na niego.

- Jedna z klientek hotelu. Ta, z którą Oakham spędził noc. Kiedy byli tutaj ci Irlandczycy, zachowywała się dosyć dziwnie. Chciałbym się więcej o niej dowiedzieć. I tym

się teraz zajmę. - Uśmiechnął się.

*

Na posterunek policji przy Cannon Row sprowadzono sześcioro podejrzanych. Wszystkich znaleziono w okolicy hotelu Regis w obrębie kordonu policyjnego i aresztowano. Oficer dyżurny sprawdził dane i dwoje natychmiast zwolniono. Jednym był mieszkaniec tej okolicy, wyprowadzający psa.

- Co za idioci, żeby go przywozić - mruknął dyżurny.

Zatrzymany był wściekły, groził złożeniem skargi, a pies zasiusiał policyjny samochód.

Drugą zatrzymaną była młoda kobieta, wracająca do domu z metra. Sprawdzono jej dane telefonicznie i udało się uspokoić ją przeprosinami i odwiezieniem do domu.

Dalej była para znaleziona na tylnym siedzeniu parkującego w okolicy volvo. Nie byli miejscowi, więc ich wstydlive wyznanie, że zostali zaskoczeni w trakcie sceny miłosnej, potraktowano z rezerwą. Pobrano ich odciski palców i wprowadzono do komputera.

Piątym był mężczyzna, który twierdził, że uprawiał jogging. Był ubrany w dres i złapano go tylko dlatego, że biegł.

Ostatniego zatrzymano miejscowego włóczęgę, którego znaleziono śpiącego u drzwi domu przy Lancaster Place. Przyprawiono go na wszelki wypadek, bo może widział coś podejrzanego, ale przypuszczenie było chybione, bo facet był pijany w trupa i pochrapywał jeszcze w celi.

Jogger nie chciał się zgodzić na pobranie odcisków palców i wykrzykiwał coś na temat adwokata. Pobrano je jednak mimo to i wraz z nazwiskiem, jakie podał, umieszczono w komputerze. Nie znaleziono nic ani na jego temat, ani na temat pary. Wydawało się, że policja znalazła się w ślepym zaułku.

Raport przesłano dalej, a oficer dyżurny nalał sobie kawy z termosu. Już rozpętało się piekło. Wyglądało to na brudną sprawę i dyplomaci nie mieli szans, żeby ją ukryć. Prasa w szyku bojowym podeszła tak blisko hotelu Jak ją dopuszczono, a na posterunku dziennikarze zawracali wszystkim głowę pytaniami, czy kogoś już aresztowano. Nie ma podejrzanych, śledztwo jest w toku. Nie dawać nic tym psom gończym.

Oficer dyżurny ziewnął. Żeby kobieta zabiła takiego gnoja. Niezła babka. Zmiażdżyła mu tchawicę. Zabrali jej ciało do identyfikacji i na sekcję. Ochroniarze wpadli w szal. Ktoś mówił, że pokój wyglądał jak rzeźnia, kiedy tam wszedł. Oficer właśnie kończył kawę, gdy zadzwonił telefon.

Słuchał chwilę, a potem powiedział:

- Tak? Dobrze, zaraz przekażę.

W biurze wypadków w Nowym Scotland Yardzie podniesiono słuchawkę po pierwszym dzwonku.

- Mamy coś, sir.

Nadinspektor zajmujący się w wydziale specjalnym sprawą morderstwa odebrał telefon osobiście.

- Co? Będę tam za dziesięć minut. Przygotujcie pokój. - Rozejrzył się po gabinecie. - Chyba mamy szczęście - oznajmił. - Jeden komplet odcisków pobranych od podejrzanych pasuje do naszego starego znajomego.

*

Kiedy zadzwonił telefon, Rosa podbiegła, żeby go odebrać.

- Harry?

- Tu Dick. Dick Lucas, pamiętasz mnie?

Powstrzymała okrzyk rozczarowania.

- Dick? Ach, cześć.

Był zły. Spytał, jak się czuje i, tak przy okazji, kto to jest Harry? Zirytował ją tą złośliwością. Zignorowała pytanie.

- Dzwonię - powiedział - żeby cię zawiadomić, że nie mogę dotrzymać naszej umowy. Przylatuje jakiś admirał z Waszyngtonu i muszę być na dyżurze. Jesteś teraz zajęta?

- Właśnie wychodzę - powiedziała Rosa. - Szkoda, że nie możesz przyjechać. Ale nie przejmuj się. W przyszłym tygodniu wracam. Spotkamy się innym razem.

- Nie złość się na mnie, Rosa. - Starał się załagodzić sprawę. - Nic nie poradzę, taką mam pracę. Ty powinnaś to rozumieć. Mógłbym przyjechać na kolację. Co ty na to?

Rosa zawahała się. Zaprosiła Dicka, bo chciała, żeby razem zbadali szlak przygodowy. Teraz go nie potrzebowała.

- Rosa?

Miała już gotową wymówkę.

- Nie mogę, Dick, przepraszam. Umówiłam się już z jakimiś ludźmi tutaj i nie mogę ich tak po prostu odstawić. Zadzwonię przed wyjazdem i zobaczymy się w Londynie. Muszę lecieć, bo się spóźnię.

- Tego bym nie zniósł. - W jego głosie znów zabrzmiała ironia. - Harry na pewno też nie. Do zobaczenia gdzieś tam, kochanie.

- A niech cię... - zaklęła, odkładając słuchawkę. Nakręciła numer recepcji. - Mówi Rosa Bennet. Czy pan Oakham zostawił dla mnie jakąś wiadomość?

- Och, tak. Przepraszam, że nie zawiadomiłam pani wcześniej, ale dopiero przed chwilą przejęłam dyżur. - Była to Jane, ta miła Jane...

- Znalazłam ją na biurku i próbowałam panią zawiadomić, ale telefon był zajęty. Chwileczkę, już mam. Zaraz ją pani prześlę.

Liścik był krótki, pisany w pośpiechu, w poprzek strony:

Rosa, wybacz. Dramat przerodził się w kryzys. Muszę się tym zająć. Wyjaśnię po powrocie. Całuję, H.

*

Oakham ostro zahamował, zatrzymał samochód przy krawężniku i wyskoczył. Jan siedział skulony w swoim wozie, stojącym w pobliżu budki telefonicznej. Harry podszedł i zapukał w szybę. Zobaczył, jak blada, wymęczona twarz się rozjaśnia. Drzwi się otworzyły i Harry powiedział:

- Cześć, stary. Wyłaź. - Podał przyjacielowi rękę i pomógł wysiąść.

- Wszystko w porządku? - spytał łagodnie.

- W porządku - odpowiedział Jan. - Tylko mnie zamroczyło. Przepraszam, Harry.

Usta mu drżały. Harry objął go ramieniem.

- Nie bądź głupi. Świetnie się spisałeś. Teraz chodź do mojego samochodu i daj mi swoje kluczyki.

- Są w środku - bąknął Jan.

- Dobra, nie przejmuj się. Niedługo będziemy w domu. Zadzwoń później do jakiejś firmy, żeby ściągnęli wóz. Grunt, że nie stanąłeś przy zakazie parkowania, bo już by cię wywieźli - próbował żartować Harry.

Po drodze nie pytał Jana o nic. Nie jechał zbyt szybko. Niech ochłonie, uspokoi się. Jest zupełnie szary. Jan pierwszy się odezwał. Harry nie naciskał, pozwolił mu mówić.

- Nie mogłem cię znaleźć, Harry. Daniel chciał się wycofać. Musiałem zostać i dopilnować.

- To moja wina - mruknął Harry. - Mów dalej. Co się stało?

- Byłem wcześniej, więc zaparkowałem tak, żeby widzieć, jak Monika będzie wychodziła. Czekałem. Było cicho. W hotelu panował spokój. Ale spóźniła się, Harry. Zacząłem się martwić.

- Spodziewam się - rzekł Harry ze zrozumieniem. Zwolnił i zjechał z dwupasmówki do Ipswich.

- Usłyszałem syreny - ciągnął Jan. - Były coraz głośniejsze, wszędzie niebieskie światła, prosto na hotel... Nie czekałem. Uciekłem.

- Dzięki Bogu. Dobra robota, Jan. Słusznie zrobiłeś. Nie widziałeś gdzieś Daniela? - rzucił Oakham od niechcienia.

Daniel powinien był w mercedesie księcia czekać na Monikę. Wóz znaleźli porzucony przy Lancaster Place. Daniel zatem musiał uciec, kiedy usłyszał zbliżające się samochody policyjne.

- Nie widziałem go - przyznał Jan. - Nie czekałem, odjechałem, nim okrążyli plac. Jechałem na spotkanie z Billem Stevensonem, ale musiałem przegapić ulicę. Znalazłem się na wsi. Spanikowałem, Harry. - Popatrzył na przyjaciela, targany wyrzutami sumienia. - Nie pamiętałem, gdzie jestem, nic. Jak wtedy, gdy miewałem te ataki... kiedy mnie wypuścili...

- Ale pamiętałeś numer, żeby zadzwonić - pocieszył go Harry. - Już prawie zajechałeś do domu, głupolu, więc nie pieprz bzdur. To już nie tak, jak wtedy. Jesteś zdrowy. Świetnie się spisałeś.

Przez chwilę, kiedy jechali wiejską drogą w kierunku Domu Lalek, Jan milczał. Potem zadał pytanie, ale już pewniejszym głosem:

- Czy wiesz, co się stało, Harry?

- Monika go zabiła - odpowiedział Oakham spokojnie - ale ochroniarze ją zastrzelili. Mówili o tym dziś rano w radiu i pokazywali w telewizji. Nikogo nie złapali i robią oficjalny szum koło sprawy ze względu na Arabów. Nie mogą jednak uciszyć skandalu i przypuszczam, że media będą miały uciechę z podwójnego zabójstwa. Więc dostaniemy swoje pieniądze od przyjaciół Hakima.

- Zależy ci na pieniądzach? - spytał Jan.

- Niespecjalnie. Najbardziej martwiłem się o ciebie. No, jesteśmy.

- Uśmiechnął się do Jana zachęcająco. - Potrzebujesz ciepłej kąpieli, porządnego jedzenia i dużo snu. Rano będziesz jak nowy.

Kiedy zatrzymali się na służbowym parkingu, Oakham powiedział:

- Teraz musisz się wziąć w garść. Wejdziemy, przywitasz się z dziewczynami w recepcji, pamiętaj, że wszyscy tutaj martwili się o twojego ojca. Pamiętaj, uśmiechnij się wesoło i wszystko będzie dobrze.

Nie pomógł Janowi. Musiał sam wysiąść, wygładzić zmięte ubranie i ruszyć do wejścia.

I Jan nie zawiódł. Zdołał się uśmiechnąć i powiedzieć parę słów, a nawet przystanąć i porozmawiać chwilę z kierownikiem restauracji. Jakoś nikt nie zwrócił uwagi na to, że jest szary i wymięty. Kiedy znaleźli się na górze, w mieszkaniu Jana, Harry pomógł mu się rozebrać i przygotował gorącą kąpiel.

- Kanapki i kawa - zaordynował. - Potem będziesz spał.
- Nie mogę jeść - protestował Jan. - Rzygałem po drodze.
- To było wczoraj. Teraz jesteś zdrowy i musisz coś zjeść. Idź się odmoczyć. Potem możemy jeszcze pogadać, ale tylko jeżeli będziesz miał na to ochotę.

Kiedy Polak znikł w łazience, Oakham zadzwonił do Zarubina. Rosjanin siedział chyba przy telefonie, bo odebrał natychmiast.

- Możecie z Hermannem przestać sikać ze strachu - powiedział Oakham chłodno. - Jan wrócił, a reszta też dała nogę.

Wyłączył się. Rosa, przypomniał sobie. Zdumiał się, jak bardzo pragnie ją odszukać, objąć i zapomnieć o kilku ostatnich godzinach. Może już z tego wszystkiego wyrosłem, zastanawiał się. Może już naprawdę czas iść na emeryturę.

Najpierw musi urządzić Jana. Trochę potrwa, zanim doprowadzi do ładu jego system nerwowy. Ale wspólnie musi im się to udać. Udało się, kiedy Jan wyszedł ze szpitala. Może jego przyjaciel też powinien przejść na emeryturę. Zaczął rozważać sprawę.

Będzie dość pieniędzy dla nich obu, żeby się mogli wygodnie urządzić, kiedy Libijczycy Hakima zapłacą. To mu przypomniało o Wernerze. Werner dostawał co miesiąc niezłą sumkę zupełnie za nic. Było jeszcze za wcześnie do niego dzwonić, trzeba poczekać, aż wróci do domu. Ambasady europejskie są pod całodobową ochroną policyjną. Dotyczy to na pewno również ambasady niemieckiej. Wystarczający powód, żeby nasz przyjaciel Werner zaczął się intensywnie informować u kolegów w Londynie...

10.

Dzień był ciepły, wiał lekki, zachodni wiaterek. Rosa, w spodniach i wygodnych butach, wyruszyła na spacer po parku. Obeszła jezioro i napotkała małą przystań. Kołysała się w niej łagodnie nieduża łódka. Wokół nie widziała nikogo. Usiadła na chwilę, wystawiając twarz do słońca. Było cicho i spokojnie, miała ochotę się zdrzemnąć.

Dramat przerodził się w kryzys. To było w jego stylu, zawiadomić w ten sposób o problemie, częściowo z niego pokpiwając. Uśmiechnęła się lekko, myśląc o nim. Jest trochę od niej starszy, ale nie czuje się tego. Bardziej żywotny niż Dick Lucas, sprawniejszy od mieszczucha Jamesa, który wieczorami najchętniej zapadał w fotel.

„Nie pozwolę ci odejść. Nie możemy tego utracić”. Odchyliła głowę, pozwalając sobie uciec od rzeczywistości. Zbyt piękne. Miał rację. Otrząsnęła się. Czas na porządny spacer, a kiedy wróci, może on będzie czekał. Nie miała konkretnego planu, ale zobaczyła przed sobą las z miłym cieniem i napis „Szlak przygodowy”, a pod nim czerwoną czaszkę na białym drewnie. Rysunek był żartobliwy, nie miał w sobie nic strasznego. Mogła już za pierwszym razem zwalczyć strach i iść dalej, mimo że napatoczył się facet, który koniecznie chciał ją podwieźć.

Teraz miała szlak przed sobą i nie potrzebowała Dicka Lucasa, żeby się rozejrzeć. Furtka była zamknięta na kłódkę. Nie stanowiło to wielkiej przeszkody. Rosa wdrapała się na nią i zeskoczyła z drugiej strony. Po jasnym, słonecznym parku las wydawał się ciemny i cichy. Rosa zapomniała, że leśna gęstwina może być taka nieprzyjazna. Gdy była dzieckiem, ostrzegano ją, żeby nie chodziła w takie miejsca, bo może spotkać przyczajonego zbója. Zauważyła wąską ścieżkę. Poszła nią, przyzwyczajając wzrok do słabego światła. Po obu stronach ścieżki rosły gęste drzewa. Nad rowem ustawiono drabinkę do wspinania. Nawet dziecko by ją pokonało. Ruszyła dalej ścieżką, idąc za znakami ze śmiesznymi czaszkami o zmrużonym oku i za strzałkami. Dobra zabawa dla dorosłych o mentalności dziecka. Znowu rów z ułożoną w poprzek wąską deską. Niezbyt tu wiele przygód. Pokonała jeszcze jedną przeszkodę, wspięła się po linie na niewysoki murek. Zeskoczyła po drugiej stronie. Łatwe. Trudno uwierzyć, żeby ktoś chciał płacić pieniądze za takie dziecięce wygłupy.

Przypomniała sobie jednak niektórych przyjaciół Jamesa i pomyślała, że dla nich byłoby to osiągnięcie godne prawdziwych *machos*, którym mogliby się potem chwalić w

barze... Prawie słyszała ich śmiech.

Postanowiła zawrócić i oparła się o drzewo, żeby włożyć but, który zsunął jej się z nogi, gdy zeskakiwała z murku. Usłyszała nad głową chrzęst gałązki i spojrzała w górę. Szara wiewiórka, zaalarmowana jej obecnością, wspinała się wyżej na drzewo. Mignęła wśród gałęzi, niby obłoczek dymu. Szare wiewiórki są szkodnikami, bo wybijają większość rudych.

Nagle usłyszała hałas. Przez gęstwinę liści dojrzała, że zwierzątko z czymś walczy. Najwyraźniej było uwięzione. Rosa podciągnęła się na gałęzi i zobaczyła wiewiórkę, jak szamoce się i usiłuje uwolnić, piszcząc przy tym przeraźliwie.

- Och, biedactwo - powiedziała Rosa głośno.

Spróbowała podciągnąć się jeszcze wyżej, ale udało jej się to zrobić tylko na tyle, że zobaczyła, w co się złapało nieszczęsne stworzonko. Siatka maskująca. Gęsta siatka z lin w brązowe i zielone cętki. Nie dosięgnie jej. Nic nie może zrobić i biedne zwierzątko zginie w tej siatce.

Nachyliła się i skaleczyła przy tej okazji w rękę. Gdy puściła najniższą gałąź i zeskoczyła, posypały się na nią drobne gałązki.

W Branksome prowadzono kurs ataku. Bardzo trudny, wyczerpujący kurs dla osób skierowanych na szkolenie specjalne. Żadna z koleżanek i żaden z kolegów Rosy nie chodzili na ten kurs. Raz jedna z dziewczyn, bardzo przebojowa, wybrała się któregoś ranka sama na teren treningowy i złamała nogę w kostce. Raz przeszli tamtędy z instruktorem. „Jeżeli uważacie, że to jest trudne - powiedział wtedy - to popatrzcie w górę”. Zobaczyli siatki maskujące. Były spadochroniarz wyjaśnił, że to jest właśnie trasa pewniaków. Atakuje się przeszkodę, nie wiedząc o siatce. Coś dla prawdziwych twardzieli. Kiedy on był w wojsku, nie mieli tego. „Nie mogę pozwolić, żeby tacy wybrańcy jak wy połamali tu karki, co?” - zakończył. Grupa uśmiechnęła się i potwierdziła, że oczywiście nie.

Rosa nie mogła złapać tchu. Brak mi kondycji, powiedziała sobie. Nie jestem przyzwyczajona do drapania się po drzewach. Dlaczego ktoś miałby urządzać trasę tego rodzaju nad przeszkodami jak z placu zabaw? Kto będzie się tam wdrapywał i trenował?... Wciągnęła but. Zrobił jej się pęcherz na pięcie. Szła powoli ścieżką.

Dźwięczały jej w głowie słowa, które wypowiedziała do Parkera: „Myślę, że powinniśmy dostać się na ten szlak przygodowy i przyjrzeć mu się. Wiem, że zostałam podwieszona dlatego, że nie chcieli, żebym tam chodziła”.

Dotarła do zamkniętej na kłódkę furtki. Tym razem trudniej jej się przechodziło i wylądowała na rękach i kolanach.

- Zrobiła pani sobie jakąś krzywdę? - Rosjanin podszedł i schylił się, żeby jej pomóc

wstać. - Czego pani tam szukała?

- Po prostu spacerowałam. - Podniosła się, nie skorzystawszy z jego pomocy.

Wasilij Zarubin popatrzył na furtkę.

- Jest zamknięta - powiedział. - Pani zawsze chodzi tam, gdzie nie powinna? -

Uśmiechał się, zdziwiony jej zachowaniem. - W Rosji nikt by tego nie zrobił.

- Wielu rzeczy nie zrobiliby w Rosji - odparła Rosa. Ruszyła dalej, a on szedł obok.

- No i jak tam było? - spytał. - Co to jest ten szlak przygodowy? Jakaś zabawa?

- Nie mam pojęcia - powiedziała. - Był ciemny i zarośnięty, więc przeszłam tylko parę metrów. Cała jestem podrapana.

- Ale przedtem miała pani przyjemny spacer?

- Bardzo przyjemny. - Marzyła, żeby się go pozbyć. Nie czuła ochoty na rozmówki o niczym.

- Czy mógłbym pani towarzyszyć? Wraca pani do hotelu? Może zechciałaby pani wypić ze mną herbatę?

Stawiał długie kroki i musiała się wysilać, żeby dotrzymać mu tempa. Przystanąła nagle i powiedziała:

- Czy mogłabym pana przeprosić? Chciałabym dokończyć mój samotny spacer, bo wyszłam, żeby przemyśleć pewną sprawę. Nie chcę być niegrzeczna, ale nie potrafię tego zrobić, jednocześnie z kimś rozmawiając. Nie pogniewa się pan, prawda?

Zatrzymał się i skłonił głowę.

- Jako pisarz - powiedział uroczyście - rozumiem potrzebę samotności. Przepraszam. Znowu! - Uśmiechnął się, a ona się zaczerwieniła, zawstydzona swoim obcesowym wystąpieniem.

- To ja powinnam przeprosić - odparła. - Czy wypiłby pan ze mną drinka w barze dziś wieczorem? O wpół do siódmej?

- Bardzo chętnie. A teraz zostawiam panią na samotnym spacerze. - Odwrócił się i odmaszerował długimi krokami.

*

- Pani Bennet? - Starła się przejść szybko obok recepcji, ale Jane ją zawołała. - Pan Oakham próbował panią znaleźć.

- Byłam na spacerze - odpowiedziała Rosa. - Dziękuję.

- Pan Pollock wrócił - ciągnęła Jane. - Jego ojciec znacznie lepiej się czuje. Myślę, że jutro go pani pozna.

- Mam nadzieję.

Wbiegła szybko po schodach i wpadła do swego pokoju.

*

- Wszędzie cię szukałem - mówił Harry. - Użyłem swojego zapasowego klucza. Mam nadzieję, że nie jesteś na mnie za to zła? Gdzie byłaś? Pobrudziłaś się, ręka cała podrapana...

- Byłam w lesie.

- Rosa, kochanie - upomniał ją delikatnie - nie powinnaś była chodzić do lasu. To niebezpieczne, dlatego furtka jest zamknięta.

Podszedł i objął ją.

- Byłam ciekawa. Muszę się przebrać i umyć głowę.

Nie puszczał jej.

- Nie patrzysz na mnie. Co się stało?

- Tam była wiewiórka - powiedziała Rosa. - Zaplątała się w jakąś siatkę, wysoko na drzewie. Próbowałam się wdrapać i uwolnić ją, ale było za wysoko... Podrapałam się... Wykąpię się szybko, chwileczkę.

- Biedactwo - uzalił się. - Nic dziwnego, że jesteś zmartwiona. Nic na to nie poradzimy. Musieliśmy założyć siatkę, bo niektóre drzewa są niebezpieczne.

Rosa popatrzyła na niego.

- To dlatego? Po to jest ta siatka?

- Żeby spadające gałęzie nikomu nie zrobiły krzywdy - wyjaśnił. - Jeden z ludzi urządzających ten szlak ledwo uszedł z życiem, więc zamknąłem teren, dopóki nie przyjedzie ktoś z nadleśnictwa i nie powie, co trzeba zrobić. Na razie siatka wydała nam się dostatecznym zabezpieczeniem. Remanenty wojskowe. Chcesz, żebym poszedł i odszukał tę wiewiórkę?

- Ona umrze z głodu - powiedziała Rosa. Myślała, że się popłacze ze szczęścia.

Pogładził ją po włosach.

- Powiedz mi, dokąd doszłaś, a ja tam zajrzę.

- Co możesz zrobić?

- Będę ją musiał zastrzelić, kochanie. To lepsze niż zostawić tam biedne zwierzątko. - Uniósł twarz Rosy i delikatnie pocałował ją w usta. - Gdzie było to drzewo? Jaka była najbliższa przeszkoda?

- Mur z jakąś drabinką sznurową.

- Pójdę tam zaraz - obiecał. - Ty się wykup. Nie zabawię długo. Nie martw się, przyrzekasz?

- Przyrzekam.

A więc wszystko było takie proste i łatwe do wytłumaczenia! Siatka z remanentów wojskowych. Z drzewa posypały się tylko okruchy starego drewna. Wielka gałąź mogłaby spowodować poważne obrażenia. Ty idiotko, powiedziała sobie Rosa. Ciepła woda omywała ją z kurzu, wypłukiwała śmieci z jej włosów. Ty idiotko, żeby tak się dać ponieść wyobraźni!

Kiedy wrócił, była w szlafroku, z rozpuszczonymi, wilgotnymi włosami.

- Znalazłeś ją?

- Znalazłem drzewo, spadło z niego dużo kory i gałązek, tam gdzie się wdrapywałeś. Wiewiórki nie było. Musiała się sama uwolnić.

- Och, cieszę się bardzo - powiedziała Rosa. - Co się dzisiaj z tobą działo? Co to był za kryzys?

Uśmiechnął się i wsunął rękę za jedwabny szlafrok, ściskając jej pierś.

- Jeżeli chciałaś porozmawiać, kochanie, to trzeba było się ubrać.

*

Rosa obudziła się, bo kopał i mówił głośno przez sen. Słońce było już poniżej parapetu w jej pokoju. Oakham odrzucił przykrycie, klatka piersiowa błyszczała mu od potu. Zsunął się na skraj łóżka, wykrzykując jakieś niezrozumiałe słowa. Rosa szturchnęła go delikatnie.

- Harry, obudź się.

Nie budził się stopniowo, tylko wstrząsnął się, otworzył oczy i natychmiast usiadł.

- Co... co się stało?

- Coś ci się śniło - powiedziała. - Mówisz przez sen. Bardzo głośno.

Nie mógł się powstrzymać i roześmiał się.

- Boże, mam nadzieję, że nie zawsze. Gorąco tu... Która godzina?

Zdjął zegarek, kiedy się rozbierali. Wzięła go teraz z nocnego stolika.

- Szósta. Och, zapomniałam, że umówiłam się na spotkanie w barze z naszym marudnym pisarzem o wpół...

- Dlaczego? - Oakham skrzywił się. - Dlaczego chcesz się z nim spotkać? Jest cholernie nudny, zapewniam cię.

- Wiem o tym - odparła. - Próbował towarzyszyć mi podczas spaceru po południu, a ja kazałam mu się wynosić. Było to niegrzeczne z mojej strony, ale byłam zła i zmartwiona i nie chciałam, żeby się za mną włókł.

- Z powodu wiewiórki. Mięczak z ciebie, co?

- Tak. - Rosa pogładziła go po ramieniu. - Tak, chodziło o wiewiórkę. Więc żeby się zrehabilitować, zaproponowałam mu drinka. Krytykuje wszystko w naszym kraju, i to mnie

denerwuje. Mam odwołać spotkanie?

Oakham zawahał się. Co ten Zarubin kombinuje, próbując ją poderwać? Dostał jedno ostrzeżenie, ale, jak widać, nie pomogło. No cóż, godzina szósta to siódma czasu niemieckiego, a on musi zadzwonić do Wenera, do Berlina.

- Dobrze, idź z nim na tego drinka - powiedział. - Wezmę prysznic i pójde do biura zobaczyć, co się dzieje. A później przyjde cię oswobodzić. I pamiętaj, nie lubię konkurencji!

- To twoja wina, bo tak nagle zniknąłeś - odcięła się. - Jesteś mi winien wyjaśnienie. Spędziłam nudne przedpołudnie i nie jadłam lunchu.

- Mam nadzieję, że przynajmniej popołudnie nie było nudne. - Przesunął ręką w dół jej brzucha, aż westchnęła. - Idź na miłe spotkanie ze swoim wielbicielem - zażartował, wyskoczył z łóżka i zniknął w łazience, nim zdążyła zareagować.

*

Georg Werner mówił cicho. Żona była w kuchni i nie mogła słyszeć jego słów, ale i tak się denerwował.

- Rozmawiałem z Londynem - powiedział. - Ogłosili stan najwyższej gotowości, jeśli idzie o bezpieczeństwo. Zidentyfikowali kobietę przez Interpol. Wiedzą, że to była Monika. Traktują zabójstwo jako terrorystyczny atak fundamentalistów. Ci, co wam nadali sprawę - ciągnął gorzkim tonem - dostarczyli złych informacji.

Oakham pomyślał o Hakimie.

- Dlaczego tak uważasz? - spytał.

- Bo Rashid był homoseksualistą. prostytutka, którą porwaliście, to był transwestyta!

- Boże - westchnął Oakham - więc dlatego się nie udało! Monika nie miała szans.

- Całe szczęście, że go zabiła, a ochroniarze spanikowali - mówił dalej Werner. - Jeżeli wzięliby ją żywą...

- Ale nie wzięli - przerwał Oakham. Tracił już cierpliwość do Wenera. Zupełnie bez jaj, pomyślał. Uśpiony agent niech lepiej śpi. - Jakie są najnowsze dane? Żadnych aresztowań, żadnych podejrzanych? - Mówił spokojnie.

- Nie, w każdym razie w Londynie nic nie wiedzą.

- Więc bądź z nimi w kontakcie - rzucił Oakham. - W ścisłym kontakcie. Jeżeli cokolwiek usłyszysz, dzwoń do mnie natychmiast.

- Ale nie z biura - zastrzegł się Werner.

- Więc używaj, cholera jasna, publicznych telefonów! - wrzasnęła Oakham, tracąc cierpliwość. - Zapracuj nareszcie na swoje pieniądze.

Werner usłyszał, że drzwi kuchenne się otwierają.

- A wy następnym razem sprawdzajcie informacje od swoich kontaktów - odparował.
- Nie będzie następnego razu - zakończył Harry Oakham i wyłączył się.

Uspokajał się powoli, zapalił papierosa. Żadnych aresztowań, żadnych podejrzanych. Udało im się. A przecież sukces był zagrożony, dlatego że kontakt Hakima uważał, iż Denise to kobieta. Monika nie miała szans wyjść z tego żywa, kiedy okazało się, że jest kobietą. Odłożył na wpół wypalonego papierosa. Nie smakował mu.

Kochała śmierć. Jej koniec pasował do tego. Nie ma litości dla bezlitosnych.

Udało im się, ale ledwo, ledwo. Popatrzył na zegarek. Rosa pewnie siedzi w barku z Zarubinem. Wiedział, że nie może ufać Rosjaninowi, nigdy też nie ufał Hermannowi Rilkemu.

Najpierw jednak musi sprawdzić, co z Janem. Twarz mu się rozjaśniła na myśl o nim. Był odważny, nie tak jak ta szmata Werner. Miał odwagę siedzieć tam, czekając, aż Monika i Daniel bezpiecznie odjadą, narażając swój system nerwowy dla niego, Harry'ego.

Poszedł do mieszkania Jana i sam sobie otworzył drzwi. Wszedł do sypialni. Światło się świeciło. To zły znak. Jan nie mógł znieść ciemności przez pierwszy rok po wyjściu z więzienia.

- Śpisz? - spytał Harry cicho.

- Spałem. Która godzina? - Jan usiadł. Miał zamglone spojrzenie, ale usiłował uśmiechnąć się do przyjaciela.

- Jak się czujesz? - Oakham podszedł i usiadł na łóżku.

- Lepiej. Przepraszam, że byłem taki marudny. Masz jakieś wiadomości? - Zamrugał nerwowo.

- Dobre - odparł zdecydowanie Harry. - Rozmawiałem z Wernerem, jest w kontakcie z ambasadą w Londynie. Nikogo nie aresztowano i nic nie wiedzą, tyle że zidentyfikowali Monikę. Czekam tylko na telefon od Daniela. Więc nie ma się czym martwić.

Jan powiedział powoli:

- Nie chcę o tym myśleć, Harry. Nie powinniśmy byli tego robić. Ona zamordowała człowieka.

- Za to jej zapłacono - rzekł cicho Harry. - Wiesz, jaka była. Zrobiłaby to nawet za darmo. Takie rzeczy ją rajcowały. Nie myśl o tym więcej. A może zażyjesz mogadon? Wyspałbyś się dobrze.

- A gdybyśmy tak dali spokój, Harry? Mówiłeś, że nie zależy ci na pieniądzach. Mnie też nie. Skończmy z tym. Od zaraz.

- Porozmawiamy jutro - obiecał Harry. - A teraz przyłóż głowę do poduszki. Masz. -

Otworzył buteleczkę i podał Janowi tabletkę nasenną.

Polak trzymał ją przez chwilę w ręku.

- Pomyślisz o tym? Żeby przestać.

- Już pomyślałem.

*

- Dlaczego wybrał pan Vaclava Havla? - spytała Rosa.

Wasilij Zarubin wzruszył ramionami.

- Moi wydawcy go wybrali. Mnie się nie wydaje zbyt przekonujący jako polityk.

- Więc po co o nim pisać?

Zarubin nie był tępy, nie był też nudny. Po prostu im dłużej się z nim rozmawiało, tym mniej wydawał się sympatyczny.

- Bo zaproponowano mi dużo pieniędzy - odpowiedział - i zapewniono luksusowe warunki do pracy. Czemu miałbym odmawiać?

- Zależy, jakiego rodzaju biografię chce pan napisać - zauważyła. - Jeżeli pan nie ceni specjalnie swego bohatera, jak może pan zachować obiektywizm?

- Łatwiej być obiektywnym w stosunku do kogoś, kogo się nie podziwia. Nie włącza się emocji.

Rosa prawie skończyła swój kieliszek wina, a on był przy trzeciej wódce.

- Ależ Havel to niezwykle człowiek - nie mogła się powstrzymać od wyrażenia przeciwnej opinii. - Jest dramaturgiem, poetą, był więźniem politycznym, a teraz został prezydentem swojego kraju. Być może nie jest zbyt konwencjonalnym politykiem, ale to właśnie stanowi jego atut.

- Chyba pani powinna pisać moją książkę - uśmiechnął się kwaśno. - Ja nie mam bohaterów, pani Bennet.

- To smutne - powiedziała.

Nachylił się w jej stronę.

- Więc może pani opowie mi o swoich? Czy to dyplomaci?

- Niestety, nie. Nie zawsze są ważni czy znani. To po prostu ludzie, którzy wierzą w prawdę i przyzwoitość i mają odwagę walczyć o nie. Tacy jak Sacharow i Sołżenicyn.

- A więc to Rosjanie - powiedział, wciąż się uśmiechając. - Ale ci akurat nie są nieważni ani nieznanymi.

Spojrzała na niego.

- Symbolizują wszystkich pozostałych. Podobnie jak Havel.

- Naprawdę powinna pani pisać moją książkę.

Rosa skończyła wino. Nie lubi Rosjanina, ale honor został uratowany, naprawiła swoje *faux pas* towarzyskie. Nie musiała jednak myśleć nad tym, jak się wycofać, bo podszedł do nich Oakham.

- Dobry wieczór - zwrócił się do niej z uśmiechem, a następane słowa skierował do Zarubina. - Witam pana. Jak się posuwa praca nad książką?

- Prawie skończyłem - odparł Rosjanin.

Rosa wyczuła między nimi jakąś wrogość.

- Gratuluję - powiedział Oakham. - Pani Bennet, jest telefon do pani.

- Tak? Dziękuję bardzo. - Wstała szybko.

Zarubin również się podniósł.

- Mam nadzieję, że pani wróci. Bardzo miło nam się rozmawiało.

- Nie mogę. - Rosa się nie tłumaczyła i wyszła pośpiesznie z baru.

Oakham nie ruszał się z miejsca i Zarubin znów usiadł.

- W co, do cholery, grasz? - zapytał Harry bardzo cicho.

Rosjanin powiedział:

- Spędziłeś z nią noc, kiedy powinieneś być tutaj. Gdzie Jan?

- Jan jest w porządku. Śpi. Nie mieszaj go do tego.

- Ile o niej wiesz? - spytał Zarubin.

- Wiem - Oakham mówił bardzo cicho - że to nie jest twój interes. Powiedziałem ci już raz, żebyś się odwalił. To ostatnie ostrzeżenie.

- Łaziła po szlaku przygodowym - poinformował Zarubin. - Widziałem, jak wchodziła. Skłamała, mówiąc, że była tylko parę minut w lesie. Spędziła tam pół godziny, sprawdzałem na zegarku. Dlaczego to zrobiła?

- Bo nie chciała, żebyś ją podrywał - odgryzł się Harry. - Powiedziała mi.

- A ty jej wierzysz?

- O co ci chodzi?

Wasilij się zawahał. Oakham jest nią zainteresowany do tego stopnia, że wyjechał podczas przygotowań do szalenie ryzykownej operacji. Okazuje zazdrość, kiedy ktoś się do niej odezwie. Nie, on, Wasilij, nie może podzielić się swoimi podejrzeniami z Oakhamem.

- Jest bardzo wrogo nastawiona - zauważył ostrożnie Zarubin.

Oakham uśmiechnął się z wyższością.

- To dowodzi, że zna się na ludziach. Chcę się spotkać z tobą i Rillem jutro.

- Czy Daniel dzwonił? - spytał Zarubin.

Wtedy Harry Oakham podjął szybką decyzję, jedną z tych, które mogą zmienić całe

życie.

- Tak - powiedział. - Wszystko jest pod kontrolą. Kazałem mu ukrywać się jeszcze przez parę dni. Będę w Croft Lodge około wpół do dwunastej.

Odwrócił się i odszedł. Zarubin wziął kieliszek z wódką i udawał, że pije, obserwując Oakhama.

*

- Nie mogę go znieść - przyznała się Rosa.

- Mówiłem ci, że jest nudny - przypomniał Harry.

Siedzieli przy małym stoliku w kącie restauracji. Wprawdzie w środku tygodnia ruch był nieduży, ale Oakham uważał, że nie może być znowu nieobecny przez cały wieczór.

- To nie o to chodzi. Ale on cały czas ze wszystkiego szydzi. Nie ma nic dobrego do powiedzenia o Anglii, a przecież, do diabła, dostał azyl, skoro jest tu już parę lat. Ma lekceważący stosunek do Havla, mówił, że nie ceni go jako polityka i pisze tę książkę tylko dla pieniędzy... Ciekawa jestem, czy jego wydawcy wiedzą, jak zostali wykiwani!

Zarumieniła się z oburzenia. Oakham uśmiechnął się. Wciąż była taka prawa, nikt jej jeszcze nie odarł ze złudzeń i wiary w ideały. Za to ją kochał. Kochał ją. O żadnej kobiecie tak nie myślał, od czasu kiedy trzymał w objęciach martwą Judith. Pragnął, pożył, ale nie kochał.

- Dlaczego tak patrzysz? - chciała wiedzieć. - Nie żartuję. Naprawdę nie znoszę takiego cynizmu.

- Wiem - odpowiedział Harry. - Łatwo się oburzasz, prawda? On koniecznie chce się wybić. Wielu z tych tak zwanych uchodźców politycznych, których przyjęliśmy, było lipnych. Dlatego Sowieci ich puścili. Woleli się tych ludzi pozbyć. A teraz nie spoglądaj tak wojowniczo, tylko posłuchaj, co chcę ci powiedzieć.

- O kryzysie, który przerodził się w dramat? - przypomniała.

- Odwrotnie. To dramat, który przerodził się w kryzys. - Nie chciał kłamać, więc nawet nie wymyślił żadnej historyjki. - Nie było tak źle - uspokoił ją. - Nudne, ale pilne sprawy hotelowe, związane z pracownikami. Nie mam ochoty rozmawiać o problemach zawodowych. Mówiłem, że chcę ci coś powiedzieć.

Nie nalegała. Sprawy hotelowe, kłopoty z pracownikami...

- Więc powiedz.

- Jestem w tobie zakochany, Rosa. Czy jeżeli zdecyduję się to rzucić i rozpocząć nowe życie, pozwolisz, żebym je dzielił z tobą? Na twoich warunkach?

Zarumieniła się, a potem zbladła.

- Mówisz to serio?

- Lubię czasem pożartować, ale nie w ważnych sprawach. Naprawdę. I nie chcę popełnić tego samego błędu, co twój uroczy James. Nie będę próbował traktować cię jak własność. Nie jesteś typem, który się do kogoś przykleja ani do którego można się przykleić. Ja też nigdy taki nie byłem. Myślę, że możemy być nadzwyczaj szczęśliwi. Co o tym sądzisz?

Dla niej to też był moment decyzji. Popatrzyła na niego poprzez stół w łagodnym blasku świec. Znała każdy rys jego twarzy, szorstkość skóry na szczęce i mocne usta, po których przejechała dłonią, a one rozchyliły się i ostrożnie uwięziły jej palce. Znała jego oczy, błysk humoru, który się w nich zapalał. Były ciemne i bardzo czułe, kiedy się w nią wpatrywały.

- Ja też uważam, że możemy - powiedziała. - Jeśli jesteś pewien, że chcesz spróbować.

- Jestem pewien - rzekł cicho. - A teraz może pójdziemy na górę to uczcić?

- Czemu nie?

Kiedy już wstali od stolika i ruszyli przez salę, przystanęła na chwilę i powiedziała mu:

- Teraz ja ci coś wyznam. Nigdy w życiu nie byłam szczęśliwsza.

*

Daniel uniósł pośladki. Strasznie twarde krzesło. Nie było ostrego światła, nie było ukrytego w jego cieniu śledczego. Nic podobnego. Po prostu pokój na posterunku policji, zwykły stół, dwa krzesła i dywanik na podłodze. W tle majaczył policjant jako wymagany przez prawo świadek. Obok pustej popielniczki stał włączony mały magnetofon.

- No więc, Danny - powiedział cierpliwie nadinspektor - powtórzmy to jeszcze raz. Dlaczego wyszedłeś na jogging o dwunastej w nocy?

- Mówiłem już - odpowiedział Daniel. - Nie mogłem spać.

Stracił poczucie czasu. Zabrali mu zegarek, a w pokoju nie było innego. Nadinspektor nie podał godziny, kiedy rozpoczął przesłuchanie i włączył magnetofon. Danielowi wydawało się, że siedzą tak już wiele godzin.

- Dlaczego nie mogłeś spać? Coś cię gnębiło?

- Wie pan, co mnie gnębiło. - Rzucił ponurym wzrokiem na potężnego, łysego mężczyznę.

- Nie, nie wiem. Dlatego pytam. Czemu podałeś fałszywe nazwisko i adres, kiedy cię zatrzymano?

- Bo takiego używam - powiedział Daniel.

- Dlaczego nam zniknąłeś? Co robiłeś cały czas?

Te same pytania. W nieco zmienionej wersji, ale zasadniczo te same. Dlaczego był o tej porze na ulicy? Dlaczego podał fałszywe nazwisko, kiedy go aresztowano? Dlaczego zniknął, chociaż wiedział, że wolno mu pozostać w Anglii, pod warunkiem, że nie będzie przysparzał kłopotów?

Miał gotowe odpowiedzi. Wszystkie były prawdziwe i ten cholemik naprzeciwko o tym wiedział. Złapali go, ale niczego nie mogą udowodnić. Nie jest tchórzem, umie zachować zimną krew. Bywał już w gorszych sytuacjach, ale zawsze potrafił się wyłgać albo kogoś przekupić. Tym razem się nie uda dobić żadnego targu. Musi trzymać się swojej wersji i po przepisowych trzydziestu sześciu godzinach będą musieli go zwolnić albo zwrócić się do sądu o przedłużenie zatrzymania do siedmiu dni. Pewnie by je dostali. Zresztą i to wytrzyma. Będą go straszyć deportacją, ale nie mogą tego zrobić bez zgody Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Była to kwestia blefowania do końca przez obie strony. Przeklinał swego pecha, ale nie tracił nadziei.

Monika nie żyje. Tyle się dowiedział z plotek w celach. Jeżeliby złapali Stevensona albo innych, nie siedzieliby tu z nim, nic o tym nie wspominając. Więc on musi w kółko powtarzać swoje. Rozłożył ręce.

- Dobrze, dobrze, chcecie jeszcze raz, proszę bardzo. Miałem już dosyć tego, że mnie wciąż śledzicie. Rzuciło mi się na nerwy. Nie mogłem spać, od tego się zaczęło. Śledziliście mnie jak przestępcę. Znudziło mi się. Pozwoliłem waszym ludziom trochę za mną pobiegać. Nie byli w tym zbyt dobrzy - zakpił. - Pojechałem do przyjaciół. Przyjęli mnie. Używałem innego nazwiska. Miałem trochę spokoju.

- Opowiedz mi o swoich przyjaciółkach, Danny. Dziwię się, że w ogóle ich masz. Myślałem, że twój problem polega na ich braku. Nie mogłeś zaufać nikomu, że cię nie wyda twoim koleśkom z Mossadu...

Dotknął czulego miejsca. Daniel popatrzył na niego. Pokręcił głową.

- Nie możecie mnie im przekazać - powiedział. - Aresztowaliście mnie. Jestem tu oficjalnie. Macie mnie w papierach.

Nadinspektor zapalił papierosa. Nie poczęstował Daniela.

- Nie licz na to - powiedział. - Papiery można zgubić, podobnie jak taśmy.

Daniel wzruszył ramionami.

- No, dalej, zastraszcie mnie. Wyszedłem sobie pobiegać. Jeżeli to jest sprzeczne z prawem, oskarżcie mnie.

- Podalesz fałszywe informacje oficerowi, który cię zatrzymał. To przestępstwo.

- Duży wyrok mi grozi? Nie traćcie czasu. Nic nie zrobiłem i wy o tym wiecie. A co z

innymi zatrzymanymi? Może ich też zastraszyć?

- Nie straszmy ludzi - padła odpowiedź. - Dlaczego nie powiesz, gdzie mieszkasz?

Nie podasz alibi?

Daniel parsknął.

- Żebyście nachodzili moich przyjaciół? Znam was. Nie zrobię im tego. Potrafię być wdzięczny.

Nadinspektor wstał. Zgasił papierosa w popielniczce. Zesztywniał od siedzenia i czuł wewnętrzny chłód z bezsilnej wściekłości. To było walenie głową o mur. Żadnego wrażenia. Tamten ani drgnął. Te same kłamstwa powtarzane z beczelnym lekceważeniem, które widywał u ludzi pokroju Daniela, odkąd był zwyczajnym policjantem patrolowym na ulicy.

- Nie jesteś wdzięczny, Danny. Sprzedałbyś własną matkę, gdybyś tylko wiedział, kto nią był. Jesteś artystą od porywania, najohydniejszym draniem, jakiego można sobie wyobrazić. Porywałeś ludzi i przekazywałeś ich dalej, na najgorsze tortury i morderstwa. Jesteś śmieć, więc nie mów mi tu o wdzięczności. Wpuściliśmy cię do tego kraju i pozwoliliśmy zostać, bo przekazałeś pewne nazwiska ludziom z dochodzeń specjalnych, którzy zajmują się takimi śmieciami jak ty. Ale ja wiem, że maczałeś łapy w tej śmierdzącej sprawie, i nie spocznę, póki tego nie udowodnię. Rozumiesz, Danny?

- Powodzenia - odpowiedział Daniel. - Muszę się wysikać.

*

- Dobrze się czuję, Harry - upierał się Jan. - Pozwól mi wrócić do pracy.

- Nie bądź głupi - powiedział Oakham. - Musisz mieć trochę odpoczynku. Jeden dzień więcej ci nie zaszkodzi. Usprawiedliwię cię wobec pracowników. Pielęgnowanie chorego ojca, zajmowanie się matką, zapłaczą się, nim skończę.

Roześmiał się beztrosko. Miał się spotkać z Rilkiem i Zarubinem za pół godziny. Jan obudził się późno, rozespany i zdezorientowany, z poczuciem winy dziecka, które poszło na wagary. Zobaczył, że Harry jest bardzo pewny siebie i w doskonałym humorze. Przyjaciel siadł na jego łóżku, zagadując, pilnując, żeby zjadł śniadanie, rozpędzając niepokoje. Miał oczywiście rację. Jan czuł się lepiej, ale był słaby. Pamiętał, że psychiatra lekceważył jego straszne ataki, twierdząc, że to tylko drobne wahnięcia w procesie powrotu do zdrowia. Było to bardzo sprytnie posunięcie, gdyż nie wywoływało u chorego paniki, jako że nie ma co się przejmować błahym objawem.

- Zastanawiałem się - powiedział Harry - nad tym, co mówiłeś wczoraj wieczorem. Żeby dać spokój tej zabawie i wyjechać.

Jan spojrzał na niego.

- Naprawdę? Jak sądzisz, Harry, możemy to zrobić?

- Możemy zrobić, co nam się żywnie podoba - zapewnił go Oakham. - Mamy w Szwajcarii wystarczającą sumkę, żebyśmy obaj mogli wygodnie żyć przez wiele lat. Mamy paszporty, wprowadźcie nie na nazwiska Oakham i Plekiewski, ale ważne. Możemy wyjechać, zgarnąć szmal i ulokować się w jakimś spokojnym miejscu, na przykład we Włoszech. Nieruchomości są tam tanie i nikogo nic nie obchodzi, jeżeli tylko zapłacisz. No i co, zły pomysł?

Wydostanie się z kraju po pieniądze nie będzie łatwe, ale tego nie musi Janowi mówić.

- Dlaczego chcesz to zrobić? - spytał Jan zdenerwowany. - Przeze mnie, tak? Bo ja się załamałem... - Odwrócił głowę, żeby ukryć łzy.

- Nie - zapewnił go Harry. - Nie dlatego. Robię to dla siebie. Poznałem pewną kobietę, Jan.. Bardzo wyjątkową. Będzie pracowała gdzieś w Europie, prawdopodobnie w Brukseli. Chcę móc się z nią widywać. To tylko parę godzin samolotem. - Poklepał przyjaciela po ramieniu. - Więc, jak widzisz, jestem starym egoistą.

Po dłuższej chwili Polak spytał:

- Ale to nie tak jak z Peggy? O niej też mówiłeś...

- Nie, nie martw się. - Harry mówił pewnie. - To nie tylko łóżko. Jest cudowną dziewczyną, bystrą, niezależną, a przy tym naprawdę słodką. Nie będziemy formalnie związani, chyba że ona tego zechce. Może się tak zdarzyć, ale jeszcze nie teraz... Wszystko jedno. Nie czułem się tak od czasów Judith.

Zapanowało milczenie. W końcu Jan powiedział:

- Jeżeli tak, to jest dla ciebie odpowiednia. Gdzie ją znalazłeś?

- Tutaj, mieszka w naszym hotelu. Byłem z nią, kiedy dzwoniłeś tamtego wieczoru. Wyjechaliliśmy na jeden dzień, mieliśmy wrócić, ale zanocowaliśmy w gospodzie. Jestem ci za to winien kielicha.

- Nic mi nie jesteś winien - zaprotestował Jan. - Cieszę się, Harry. - I nagle skrzywił się, coś sobie przypomniawszy. - A Daniel? Nie odezwał się?

- Nie - odparł Harry. - Ani słowem. Powiedziałem Zarubinowi, że dzwonił, żeby on i ten śmierzdel Rilke siedzieli cicho. Werner ma sprawdzać, czy w ambasadzie w Londynie coś wiedzą. Jeżeli sprawa się wyjaśni, będą wiedzieli, a Werner nas zawiadomi.

- Myślisz, że mogli go złapać? - spytał Jan. - I dlatego nie zadzwonił? - Przygryzł wargę i zamrugał.

- Możliwe - przyznał Oakham. - Ale jeśli mają konkretnego podejrzanego, to

zawiadomią obce ambasady, żeby je uspokoić. Wszystkie są pod najściślejszą ochroną, na wypadek gdyby to był pierwszy krok w kampanii terrorystycznej. Na razie panuje przekonanie, że był to atak fundamentalistów na Arabów nastawionych proamerykańsko i być może ostrzeżenie dla państw europejskich, które popierają wojnę w Zatoce. Teorię tę potwierdza związek Moniki z Czerwonymi Brygadami. Ale diabli wiedzą, dlaczego martwią się o Niemców. Gównu zrobili, żeby pomóc. Muszę lecieć. Czeka mnie miła pogawędka w Croft Lodge. Coś ci powiem. Poproszę Jane, żeby na ten czas przełączała wszystkie rozmowy do mnie tutaj. Na wypadek gdyby Daniel się odezwał. I nie martw się. On jest chytry i będzie się pilnował, póki nie uzyska pewności, że może się bezpiecznie kontaktować. Więc siedź tutaj i pilnuj telefonu, dobra?

Janowi udało się słabo uśmiechnąć.

- W porządku. Jeżeli zadzwoni, mam się połączyć z Croft Lodge?

- Nie - powiedział Harry. - Im mniej tamci dwaj wiedzą, tym lepiej. Mam przeczucie, że chcą nas opuścić, więc moglibyśmy ich wyprzedzić. Zajrzę tu, jak wrócę.

*

- Szpieg? Tu, w hotelu? - Rilke zbladł tak, że jego twarz zrobiła się ziemista. Zaczął kląć po niemiecku. - I nic nie powiedziałaś?

- Nie miałem dowodów i w dalszym ciągu nie mam. Ale instynkt mi mówi, że ona nie jest w porządku. Czuję to. - Zarubin dotknął palcem nosa.

Opowiedział Rilke, jak obserwowała Irlandczyków. Wspomniał też o nagłym błysku słońca, które się od czegoś odbiło, i Rilke wybuchnął:

- Aparat! Fotografowała ich? Dlaczego? Dla kogo pracuje? Boże drogi...

- Tego właśnie trzeba się dowiedzieć. Muszę się dostać do jej pokoju. Skłamała, mówiąc o szlaku przygodowym, ale Oakham nie chciał mnie słuchać. Ona go omotała, Hermann, więc musimy działać bez niego. Jeżeli jest wtyczką, to wywiad brytyjski musiał coś podejrzewać od początku. Jeżeli będę mógł przeszukać jej pokój, na pewno coś znajdę. A wiem, czego szukać. Daniel dzwonił, więc na razie jesteśmy bezpieczni. Ale jeśli mam rację co do niej, im szybciej się stąd wyniesiemy, tym lepiej dla nas obu. Oakham przyjdzie dziś rano. Chcę, żebyś go zatrzymał. Zagaduj faceta jak najdłużej. Daj mi możliwie dużo czasu. Wrócę teraz do hotelu i spróbuję dostać się jakoś do jej pokoju.

- Jeśli to był aparat - powiedział Rilke - może go stale nosić przy sobie. Bywają aparaty nie większe od pudełka zapalek.

- Mało prawdopodobne - zaopiniował Zarubin. - Nie ryzykowałaby, bo może zgubić torebkę albo wyjąć go niechcący, przypadkowo. Jeżeli to jest taki aparat, jak myślę, będzie

gdzieś schowany w jej pokoju.

- A jeśli nic nie znajdziesz? - chciał wiedzieć Rilke.

Zarubin popatrzył na niego.

- Jeszcze nigdy się nie pomyliłem - odpowiedział.

- I co wtedy zrobimy?

- Zadamy jej parę pytań. Przekażę ją tobie, Hermann, ale nic nie powiemy Oakhamowi. Zrobił się za miękki. Po prostu go zajmij. Jeżeli mi się powiedzie, przyjdę później.

- Szpieg - mrucał Rilke. Jego strach przeszedł w złość. - Taki mądrała, taki pewny siebie, a szpiega ma pod nosem!

- I w łóżku - dodał Zarubin. - No to idę. Tylko żeby niczego nie podejrzewał.

- Nie jestem głupi - oburzył się Hermann. - Przyjdzie się wyłgać ze swego błędu, a ja będę udawał, że mu się to udało. Zostaw go mnie. Tylko dostań się do jej pokoju!

*

Rosa obudziła się późno. Spała jeszcze, gdy przyniesiono śniadanie. Słońce prześwitywało przez zasłonki. Leżała chwilę, myśląc o Harrym.

Było im ze sobą jeszcze lepiej niż poprzednio, co wydawało się właściwie niemożliwe. Ich wzajemna czułość była równie wielka, jak namiętność. Śmiali się głośno z radości, a potem zasypiali w swoich ramionach, jakby nie mogli znieść najmniejszego oddalenia. Uniosła się na łóżku i uśmiechnęła, zadowolona z życia. Sok pomarańczowy był słodki, kawa doskonała, dzień piękny. Podobnie jak przyszłość. Pojedzie do Brukseli, a on do niej dołączy. Będą razem - przyjaciele, kochankowie, nie związani niczym prócz miłości. On nie chce jej posiadać na własność i sam też nie chce być posiadany.

Wstała powoli i weszła do łazienki. Była zadowolona ze swego wyglądu, gdy stanęła naga przed lustrem. Człowiek wygląda tak, jak się czuje, pomyślała i przesłała sobie w lustrze pocałunek, wchodząc do wanny.

Harry był przed południem zajęty, ale obiecał jej wieczór i noc, więc mogła przebałaganić cały dzień. Muszę zadzwonić do Jima Parkera, przypomniała sobie, kiedy się już ubrała. Przekazać mu złą wiadomość: Harry Oakham jest czysty. Znalazłam największą miłość swojego życia, ale nic trefnego dla ciebie. Przepraszam, Jim.

Nie powiedziała Harry'emu, że Bruksela nie będzie zwykłą pracą w placówce dyplomatycznej. Była zobowiązana do zachowania tajemnicy. Podpisała odpowiedni dokument. Jeżeli mu kiedyś o tym powie, z pewnością będzie ubawiony. Pojadę do Dedham, do sklepów z pamiątkami... pójdę do fryzjera... kupię mu prezent, planowała. Coś głupiego,

na przykład krawat. Dlaczego kobiety zawsze kupują swoim mężczyznom krawaty, a oni nigdy ich nie noszą, bo są albo za ponure, albo za jaskrawe? Zaśmiała się sama z siebie. Z tego szczęścia zrobiła się beztroska, nierozsądna. Już za nim tęsknię, a musi jeszcze minąć pół dnia, nim go zobaczę...

Nuciła, schodząc ze schodów.

- Dzień dobry - powiedziała do Jane, która miała dyżur w recepcji. - Znowu mamy cudowny dzień.

- Tak. - Jane odwzajemniła uśmiech. - To pani nam przywiozła taką pogodę! Od pani przyjazdu nie było ani jednego brzydkiego dnia.

- Dzień dobry.

Rosa odwróciła się. Koło niej znów pojawił się ten niesympatyczny typ. Odpowiedziała na pozdrowienie i ruszyła w stronę drzwi.

- Znów się pani wybiera na spacer? - Rosjanin wyszedł za nią na schody.

- Nie, jadę do Dedham. Muszę się śpieszyć, bo jestem umówiona.

- Wobec tego życzę miłego przedpołudnia - powiedział Wasilij Zarubin i zawrócił do hotelu.

Rosa odetchnęła. Przez chwilę sądziła, że okaże się na tyle bezczelny, by ją poprosić o podwiezienie. Był okropnie gruboskórny, starała mu się okazać swoją niechęć, nie będąc zarazem niegrzeczna, ale nie przyjmował tego do wiadomości. Pobiegła na parking. Wsiadła do samochodu i uruchomiła silnik.

*

Zarubin zważnym krokiem podszedł do recepcji. Jane uniosła oczy i zarumieniała się.

- Proszę o klucz pani Bennet - rzucił szybko. - Zapomniała portmonetki i prosiła, żebym jej przyniósł. Jedziemy razem do Dedham.

Jane zdjęła klucz z haczyka. Było to zupełnie naturalne. Razem wyjeżdżają, wrócił w pośpiechu...

- Dziękuję! - zawołał Zarubin i już pędził po schodach, przeskakując po dwa naraz. Jane popatrzyła za nim. Ma szczęście ta pani Bennet - i pan Oakham, i ten romantyczny Rosjanin do niej wzdychają.

Zarubin otworzył zamek patentowy, zabezpieczył go, żeby się nie zatrzasnął, i zbiegł z powrotem. Wręczył klucz Jane, która się zarumieniała, bo dotknął lekko jej ręki. Uśmiechnął się do niej.

- Nie ma - powiedział. - Nie znalazłem na stole. Nie szkodzi. Wziąłem pieniądze i chętnie jej pożyczę.

Co za szczęściara, westchnęła znowu Jane, kiedy znikł z jej pola widzenia. Skręcił w lewo, przebiegł wzdłuż muru pod jadalnią, wokół ogrodu różanego i dalej do wejścia służbowego. Stało zawsze otworem. Stamtąd można było się dostać na schody prowadzące na wszystkie piętra. Po chwili znalazł się pod drzwiami Rosy. Wszedł do pokoju. Na podłodze, przy nie zaścielonym łóżku, leżała wywieszka: „Proszę nie przeszkadzać”, więc umieścił ją na klamce od strony korytarza i zamknął drzwi od środka. Teraz spokojnie mógł się zabrać do przeszukiwania pokoju.

*

- Chcę wiedzieć, że zapłacili! - powtórzył Rilke.

Harry zrezygnował już z prób uspokajania go, a poza tym może rzeczywiście powinien to sprawdzić. Przyjął jako pewnik, że ludzie Hakima dotrzymali umowy; mieli przecież skandal, o którym mówiono na całym świecie, a o to im chodziło. Nie przejmował się zbytnio pieniędzmi. Jak słusznie zauważył Jan, nie była to dla niego sprawa pierwszorzędnej wagi. Martwił się natomiast tym, co się dzieje z Danielem, skoro Jan jest już bezpieczny.

- Chcę potwierdzenia wpłaty - nalegał Rilke, podnosząc głos. - Może ty ufasz takim szujom jak Hakim, ale ja nie.

- Nikomu nie ufam - zaprzeczył Harry. - Z zasady. Jednak w naszym małym świecie umowa jest umową, Hermann, inaczej nikt by nie przeżył. Dobrze, połączę się z Genewą.

- Dlaczego nie zadzwonisz teraz? - upierał się Rilke. „Zajmij go”, mówił Zarubin.

- Bo w moim biurze mogę użyć zagłuszacza - wyjaśnił Harry.

- Ode mnie można dzwonić bezpiecznie. Mam prawo wiedzieć, co się stało.

- Skąd ten pośpiech? - zapytał Oakham cicho. - Zamierzasz się wycofać?

Rilke nie obruszył się na tę sugestię.

- Stevenson i inni nie skontaktowali się z nami. Nawet jeżeli Daniel jest bezpieczny, nic o nich nie wiemy. Może zająć konieczność szybkiego wycofania się. Nie mów mi, że sam o tym nie myślałeś!

- Bill ukrył się u przyjaciół, zgodnie z moimi zaleceniami - uciął sprawę Harry. - Nie znasz środowiska kryminalistów w Londynie, Hermann. Bill jest swój chłopak i będą dbali o niego i o innych. Nie ma się co martwić. Dobrze, zadzwonię do Genewy. Bo jeszcze ze zdenerwowania nie uda ci się zdrzemnąć, a to szkodzi urodzie.

Kiedy odwrócił się do telefonu, Rilke spojrzał na niego z nienawiścią. Rzucił okiem na zegarek. Zatrzymał Oakhama przez godzinę, rozważając różne ewentualności, wyklócając się o pieniądze w Szwajcarii. Kiedy Harry spytał o Zarubina, wyjaśnił mu, że pracuje nad

jakimś problemem szachowym i przyjdzie, jak tylko skończy.

Harry wykręcił numer i poprosił do telefonu ich kontakt w banku. Podał umówione nazwisko, na jakie miał tam konto. Przez chwilę panowała cisza, więc Rilke podszedł bliżej. Wreszcie Harry powiedział:

- Przyszły?... Dobrze, może to pani powtórzyć? - i oddał słuchawkę Rilkemu. Kiedy znów wziął ją od niego, rzucił: - Dziękuję - i zwrócił się do Niemca: - Zadowolony? Mówiłem ci, że zapłacą. A najśmieszniejsze, że nie musiałem nawet wygrzebywać prawdziwych brudów o Denise, bo Arabowie nie mają nic przeciwko homoseksualistom. Daniel mówił, że często nawet kobiety wolą od tyłu... - Uznał, że Rilkemu należy się cios poniżej pasa za to całe marudzenie. Zorientował się po jego minie, że trafił. - Pójdę już - powiedział. - Przekaż Wasilijowi, że jego pieniądze są w banku, kiedy się tu pojawi.

- Może byś został na drinka? - zaproponował niechętnie Rilke.

- Nie, dziękuję. - Harry pokręcił odmownie głową. - Muszę popracować, przecież prowadzę hotel. Nie czujesz się samotny bez Moniki?

Rilke nie zareagował. Nie miał zupełnie poczucia humoru. Popatrzył na Harry'ego z błyskiem złośliwości w oczach. Jeżeli Zarubin ma rację, to będzie tu wkrótce inna kobieta zamiast Moniki.

- Nie. Nie lubię towarzystwa kurew - oświadczył chłodno.

- Wyobrażam sobie - odpowiedział uprzejmie Harry.

Rilke obserwował, jak Oakham idzie w stronę hotelu. Zarubin miał dosyć czasu, jeżeli tylko wymyślił sposób, jak się dostać do pokoju tej kobiety. Niemiec nalał sobie kieliszek wina i zapalił swego ulubionego lekkiego papierosa. Jeżeli ona jest szpiegiem, jeżeli Zarubin ma rację i znajdzie dowód w jej pokoju... Rilke poczuł przerażenie i wściekłość, zaciągnął się nerwowo papierosem.

Gdzieś w środku poczuł rosnące podniecenie. Od dawna już nie czuł niczyjego strachu. Wszystkie jego frustracje, niechęć do kolegów i otoczenia zamieniały się w potrzebę okrucieństwa. Wytarł ręce w chusteczkę i łyknął wina.

Pocił się. Kochanka Harry'ego zapłaci za jego żarciki. Przypomniawszy sobie dawne lata, kiedy był najbardziej znienawidzonym śledczym na służbie państwa, kiedy miał władzę i szacunek. Nikt wtedy nie ośmielał się mu sprzeciwić. A teraz ten cholerny angol dowcipkuje sobie na temat jego preferencji seksualnych! Lubił chłopców i młodych mężczyzn, ale największą satysfakcję przynosiło mu zadawanie wyrafinowanych tortur bezbronnym kobietom.

Zarubin rozejrzał się po pokoju Rosy. Był uporządkowany, jeśli nie liczyć nie pościelonego łóżka. Zauważył, że musiały w nim spać dwie osoby. Na toaletce leżał terminarz, ale to zostawił na później... Zaczął od komody, przeszukując poukładaną starannie bieliznę. Kobieta o luksusowych gustach, pomyślał, obmacując koronki i wstążeczki. W kolejnych dwóch szufladach też nic nie znalazł. Był znakomitym fachowcem, chociaż od lat nie przeszukiwał pokoi podejrzanych. Do podstawowych umiejętności adeptów KGB należało takie przeszukiwanie pomieszczenia, łącznie z instalacją elektryczną oraz rzeczami osobistymi, które nie zostawiało żadnych śladów. Zarubin nie zapomniał tej sztuki.

Następna w kolejności była szafa. Na górnej półce leżały torebki. Sprawdził jedną po drugiej. Zaplamiona chusteczka, kilka rachunków z londyńskim adresem, torebeczka rozpuszczalnej aspiryny. Przejrzał kieszenie sukienek i długiego lekkiego płaszcza. Nic. Pod spodem, starannie ustawionych, stało sześć par butów. Znalazł, czego szukał, w palcach jednego z płaskich czólenek. Był mniejszy niż pudełko papierosów, wąski, podłużny, z obiektywem umożliwiającym robienie bardzo wyraźnych zdjęć z dużej odległości. Zarubin obejrzał go dokładnie. Bardzo profesjonalny sprzęt, nie dla amatorów robiących zdjęcia z wakacji. To właśnie błyszczało w jej książce owego poranka. Ten aparat należał do wyposażenia szpiegowskiego. Jego agenci używali podobnych, nawet mniejszych; Miał rację co do Rosy Bennet.

W aparacie był nie używany film. Wsunął aparat do kieszeni. Nie będzie już miała szans go użyć. Przerzucił szybko jej terminarz, spodziewając się zapisków jakimś szyfrem. Minione daty pełne były notatek o spotkaniu takim, przyjęciu owakim, zebraniu, aż nagle... Zaparło mu dech.

17 sierpnia. Seminarium. Branksome. Wiedział doskonale, jakie seminaria prowadzi wywiad brytyjski w Branksome. A więc ta kobieta była nowym nabytkiem, dyplomatką, ale związaną z wyspecjalizowaną sekcją C, kierowaną przez marszałka lotnictwa, sir Petera Jefforda. Zarubin znał nazwiska i stopnie wszystkich ważniejszych szefów wywiadu w Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych. Przestudiował struktury i metody tych organizacji. Było to jak postawienie sobie problemu szachowego i granie roli swojego przeciwnika.

Ktoś postanowił wziąć Oakhama pod obserwację, więc przysłali tutaj nową, nie znaną mu twarz, a on dał się złapać w pułapkę. Z pewnością dotarła już do nich informacja o przebywającej tu grupie członków IRA. Jeżeli mają zdjęcia Irlandczyków w komputerze, cała sprawa może lada chwila wybuchnąć. Wszystko zależy od tego, ile ta kobieta odkryła i przekazała.

Rozejrzał się, czy wszystko zostawił tak, jak było. Wymacał aparat w kieszeni i ręka mu zadrżała z wściekłości. Czas zadać kilka pytań Rosie Bennet. Zdjął z klamki wywieszkę „Nie przeszkadzać” i zatrzasnął za sobą drzwi. Przeszedł bocznymi korytarzami do swego pokoju i zadzwonił do Croft Lodge. Usłyszał głos Rilkego:

- Tak?

- Jest tam?

- Nie, właśnie wyszedł. Znalazłeś coś?

- To, czego się spodziewałem. Czekaj spokojnie, przyprowadzę ci tę damę z wizytą. Jak najszybciej się da.

- Będę gotowy - odpowiedział powoli Rilke.

*

Rosa nie mogła znaleźć krawata, ani krzykliwego, ani żadnego innego. Zrezygnowała z wizyty u fryzjera. Był tłok i musiałyby czekać w kolejce. Spacerowała po ślicznej starej wiosce i w pewnej chwili znalazła się w okolicy uroczego kościółka. Miała dużo czasu i zupełnie nowe dla siebie poczucie wolności. Nie musiała się niczym zajmować, żeby sobie udowodnić, że jest potrzebna. Mogła beztrudnie marnować czas, skoro miała na to ochotę, i uznała, że jest to jeden z objawów prawdziwego zakochania - po raz pierwszy w życiu.

Nie była religijna, jej rodzice określali się jako liberalni agnostycy; wpoili córce ogólne zasady moralności humanistycznej. Obeszła zabytkowy kościółek i zatrzymała się przy tablicy poświęconej przodkom Harry'ego. Oświetlało ją światło jesiennego słońca, sączące się przez witrażowe okno. Biedny porucznik Arthur David Oakham, poległ nad Sommą w 1916 roku w wieku dwudziestu lat. Poczula smutek, wiedząc, że chłopiec zakończył życie, nim miał szansę stać się mężczyzną.

Wyszła szybko z kościoła i znalazła się na przykościelnym cmentarzyku. Znała go z opisu Jima Parkera, który opowiadał o grobie Judith Oakham. Nie odwiedzanym, zaniebanym. „Nigdy nie bywam w pobliżu - powiedział jej Harry. - Nie mogę znieść myśli, że ona tam leży”. Dla Rosy była to jakby pielgrzymka. Nie czuła się intruzem, bo nie kierowała nią ciekawość. Chciała zobaczyć ten grób, żeby pomóc Harry'emu wyleczyć starą ranę na zawsze. Zobaczyła napis i datę. Judith miała zaledwie dwadzieścia cztery lata, gdy zginęła w narciarskim wypadku. Ożywała, gdy Harry o niej opowiadał. Wysportowana, radosna blondynka, która kocha życie. A on zniósł w ramionach jej ciało ze stoku. Jeżeli mógłby dzięki mnie o tym zapomnieć, pomyślała Rosa, stojąc przy grobie, na pewno byś się z tego cieszyła.

W jednej z kawiarenek zamówiła kawę i siedziała, obserwując przechodzących

turystów. Odczuwała głęboki spokój, piła powoli, zapłaciła rachunek i wyszła z kawiarni, zamierzając powoli wracać. Ale nie kupiła jeszcze Harry'emu prezentu. Chciała znaleźć coś, co wyrażałoby jej miłość. Weszła do sklepu z pamiątkami i znalazła tam słomianą laleczkę w filcowym kapeluszu wieśniaka, z uśmiechem na gruzelkowatej, żółtej twarzy. To chyba jakieś pogańskie bóstwo, przypomniała sobie Rosa, związane z dożynkami. Miało odstraszać złe moce czy coś w tym rodzaju.

- Wezmę tego tutaj - pokazała Rosa, a ekspedientka zdjęła figurkę z haczyka.

- Uroczy, prawda? - powiedziała. - Trzy funty dwadzieścia dziewięć. Czy zapakować?

- Nie, dziękuję.

Podawała dokładnie odliczone pieniądze. Na pewno Harry się uśmiechnie, a o to jej chodziło. Ruszyła w drogę powrotną i było jej tak lekko na sercu, że podśpiewywała sobie, wtórując melodii z radia.

11.

- Są dla mnie wiadomości? Jakiś kryzys, który przerodził się w dramat? - Oakham powtórzył stary dowcip i dziewczyna, która przejęła popołudniową zmianę po Jane, zaśmiała się z obowiązku. Nie była jego ulubienicą i wiedziała o tym, ale zachowywała się bez zarzutu.

- Żadnych wiadomości, proszę pana. - Spojrzała pod ladę. - Znalazłam tu polecenie, żeby pańskie telefony przełączać do pana Pollocka. Ale nikt nie dzwonił.

- Dobrze. - Harry odwrócił się.

- Ale - powiedziała dziewczyna z naciskiem - chyba mamy problem.

Irytowała go, bo najwyraźniej należała do osób, które lubią złe wieści.

- Jaki problem?

- Zepsuł się główny bojler. Kuchnia nie ma ciepłej wody, a Jim mówi, że nie może nigdzie znaleźć Rona ani Boba. Prosił, żeby pan zechciał zejść i rzucić okiem.

- Nie bardzo potrafię pomóc, ale oczywiście pójde zobaczyć, co się stało.

- Ciekawa jestem, gdzie oni się podziali?

Wzruszył ramionami, bagatelizując sprawę.

- Pewnie są gdzieś na terenie. Nie rozumiem, czemu Jim narzeka, przecież nie lubi, kiedy wchodzi mu w paradę.

Trzeba tam pójść. Niech się lepiej starszek nie denerwuje i nie rozpowiada, że nie ma chłopaków Stevenson'a. Jeżeli nie da rady naprawić tego cholernego bojlera, będą musieli sprowadzić kogoś z Ipswich... Zszedł do piwnicy.

*

Wasilij Zarubin zobaczył samochód Rosy między wysokimi drzewami bukowej alei. Zajął punkt obserwacyjny na ławeczce, naprzeciwko wejścia do hotelu. Na tej samej, z której ona sfotografowała Irlandczyków. Obserwował, jak wjeżdżała na parking, podobnie jak ona udając, że czyta. Rosa zauważyła go i przyśpieszyła kroku na wypadek, gdyby chciał iść za nią. Na szczęście nie ruszył się. Pochłonięty był czytaniem. Weszła do hotelu. Recepcjonistka spojrzała na nią przelotnie. W odróżnieniu od Jane, nie zwykła gawędzić z gośćmi.

- Cudowne popołudnie - zagadnęła ją Rosa. Chciała podzielić się z kimś swoją radością, choćby z tą niekomunikatywną dziewczyną z recepcji.

- Tak, bardzo ciepło, jak na tę porę roku.

- Poproszę o mój klucz. Dziękuję.

Dziewczyna patrzyła za odchodzącą Rosą. Wszyscy wiedzą, że się spiknęła z dyrektorem. Ta głupia Jane uważa, że to romantyczne, ale jej zdaniem, przynosi mu to wstyd, a o tej kobiecie świadczy wprost fatalnie. Żeby podrywać pracownika hotelu! Słyszało się różne rzeczy na temat starszych pań i młodych kelnerów w niektórych hotelach w Londynie, jednak tutaj, naprawdę... Była bardzo zgorszona.

*

Zarubin wstał, wsunął książkę pod pachę i ruszył swym długim krokiem w stronę parkingu.

Było to BMW, drogi samochód, w dodatku nowy model. Nacisnął klamkę. Zamknięte. Nie należała do nieostrożnych. Zajrzał do środka. Nie zauważył alarmu. Rozejrzał się wokół. Parking, odgrodzony od hotelu rzędem drzew, widoczny był tylko z ławeczki naprzeciw wejścia. Nikt nie mógł Zarubina zobaczyć, a i on nikogo nie widział. Wyjął wielofunkcyjny scyzoryk szwajcarski, który miał od lat. Bawiły go różne wymyślne elementy noża, począwszy od dłutka do usuwania kamyków z końskich kopyt, skończywszy na długim, cienkim jak igła ostrzu, które wsunął teraz w zamek BMW. Otwarcie samochodu zabrało mu mniej niż minutę.

Wsiadł i zamknął drzwiczki. W ciepłym, zamkniętym pomieszczeniu poczuł jej zapach. Taka piękna kobieta, pomyślał zimno. Taka wytworna dyplomatka i została szpiegiem... Wsunął mały sztylecik w zapłon i silnik odezwał się cichym szumem. Podskoczył na dźwięk radia. Dopiero po chwili zorientował się, że w magnetofonie jest taśma. Piękny szpieg lubił sentymentalną muzykę. Wcisnął przycisk i taśma się wysunęła. Włączyło się radio i usłyszał głosy dyskutujące na temat architektury klasycyzmu. W schowku znalazł instrukcję obsługi. Dyplomatka wróciła właśnie z wyprawy do Dedham, więc pewnie nie będzie się nigdzie wybierać, ale na wszelki wypadek obrócił ostrze.

Wrócił do Croft Lodge i zapuścił silnik forda, którego przydzielił mu Harry Oakham zamiast wynajętego samochodu. Zarubin był nim parę razy w miasteczku. Podjechał na parking hotelowy i stanął na wolnym miejscu obok BMW. Dzisiejszego wieczoru pani Bennet nie pojedzie nigdzie swoim eleganckim samochodem. Rozłączył instalację elektryczną.

Popatrzył na zegarek. Słońce było jeszcze wysoko i musiał poczekać kilka godzin na realizację swojego planu. Kiedy zacznie zapadać zmrok, zabierze panią Bennet na przejażdżkę swoim małym fordem. I przedstawi ją Hermannowi Rilkemu.

*

Drzwi do celi Daniela otwały się. Leżał na łóżku, czytając gazetę. Popatrzył na sierżanta.

- Przyszedł mnie pan zwolnić? - zapytał.

Czas minął, jak sędził. Nie mogą go już dłużej trzymać bez nakazu sądowego.

Sierżant nie odpowiedział. Przechylił głowę i stanął z boku. Kiedy znaleźli się poza celą, złapał Daniela mocno za rękę. Daniel usiłował się wyrwać. Uścisk stał się silniejszy.

- Jeżeli będziesz utrudniał - ostrzegł policjant cicho - to ci założę kajdanki!

Daniel przestał się szarpać. Nie mają zamiaru go puścić. Poznał to po zachowaniu sierżanta. Znów pokój przesłuchań. Takie same rutynowe pytania i odpowiedzi, pogrożki, zastraszanie. Nie zwracał na to uwagi, nie miał zamiaru zmieniać swojej wersji. Uniósł nie ogolony podbródek; był zdecydowany dalej bezczelnie się wszystkiego wypierać. Może to ich ostatnia próba, nim się poddadzą i wypuszczą go z braku dowodów. Taką miał nadzieję, ale nie był zupełnie pewien.

Nadinspektor już na niego czekał. Towarzyszyło mu dwóch ludzi: jeden umundurowany oficer i jeden cywil. Tym razem nie było krzesła dla Daniela. W pokoju panował zaduch, czuło się dym papierosowy. Daniel zerknął szybko na twarze obecnych i zauważył na nich błysk triumfu. Żołądek skurczył mu się ze strachu.

- Gra skończona, Danny - oznajmił nadinspektor spokojnie.

- Jaka gra?

Musiał brnąć dalej na wypadek, gdyby blefowali, ale wyczulony instynkt mówił mu, że tak nie jest.

- Twoja gra. W porwanie i morderstwo.

- Nie nastraszy mnie pan tym pieprzeniem. - Daniel zazgrzytał zębami. - Nic nie zrobiłem i dobrze o tym wiecie. Nie możecie mnie w nic zrobić.

- Och, wiemy - odezwał się drugi mężczyzna. Miał wymowę człowieka znacznie bardziej wykształconego, był z pewnością z innego wydziału. - Nie możemy pana powiesić, panie Ishbav, ale możemy pana unieszkodliwić na długie, długie lata. Prawda, Dave?

Nadinspektor skinął głową potakująco. Właściwie nawet się uśmiechnął. Jeżeli to była gra, odstawiali mistrzowskie przedstawienie. Danielowi waliło serce.

- Byłeś na Lancaster Place tego wieczoru, kiedy zamordowano Araba - powiedział. - I wcale nie biegałeś, Danny. Siedziałeś w mercedesie księcia, w czapce szofera. - Zaczekał, patrząc, jak Daniel blednie. Dodał cicho: - Mówiłem ci, że gra skończona. Mamy świadka. Widział cię w samochodzie, widział, jak wysiadłeś, rzuciłeś czapkę w krzaki i zacząłeś biec. Pozytywna identyfikacja, Danny, mamy ją.

Daniel zdołał zaprzeczyć:

- Nikt mnie nie widział. Nie było mnie tam.
- Nasz świadek mówi, że byłeś - upierał się drugi mężczyzna.

Nadinspektor odwrócił się do policjanta.

- Przynieście mu krzesło, dobrze?

Daniel wciąż stał.

- Jaki świadek? Nie wierzę wam.

- Nikt nadzwyczajny - przyznał inspektor. - Włóczęga znany w okolicy. Siedział w bramie, szykując się na noc. Widział samochód i widział ciebie. W pobliżu świeciła latarnia, więc mógł się dobrze przyjrzeć. Nawet się zastanawiał, czy nie podejść i nie poprosić cię o papierosa albo parę pensów. Zwykle kierowca zawsze coś mu dawał. Błogosławieni, którzy dają jałmużnę. Dobry muzułmanin nigdy nie odmawia żebrakowi, wiesz o tym. Zobaczył, jak wyskoczyłeś, kiedy usłyszałeś syreny. Wyrzuciłeś wtedy czapkę, więc się zorientował, że nie jesteś zwykłym szoferem. Widział dostatecznie wyraźnie w świetle latarni, żeby przeprowadzić pozytywną identyfikację.

Daniel wymacał krzesło za sobą. Nogi mu zeszywniały.

- Żebak? Jakiś zaspany pijaczyna? - Zmusił się do śmiechu. - Wypróbujcie go w sądzie. Nie byłem nigdzie w pobliżu.

Drugi mężczyzna podszedł bliżej. Miał chłodną, nieruchomą twarz, ale oczy kpiły z Daniela.

- Przesłaliśmy czapkę do laboratorium - powiedział. - Są na niej włosy, takie same jak na twojej poduszce. Wyłumacz nam, Ishbav, skąd się tam wzięły.

Daniel przełknął ślinę. Zmrużył oczy, otworzył. Wytrzymał wzrok przeciwnika.

- Dobra - powiedział. Odwrócił się i usiadł. - Jaki układ?

- Nie ma żadnego! - rzucił od razu nadinspektor.

- Dobra - powtórzył Daniel. - Bez układu. Macie mnie, ale nie macie innych.

Nadinspektor podniósł głos.

- Mówiłem ci, nie zawieram układów z takimi draniami jak ty.

Drugi mężczyzna podszedł i dotknął jego ręki. Daniel odwrócił się, krzywiąc się z obrzydzenia.

- Panie Ishbav - rzekł mężczyzna pojednawczym tonem. - Chciałby pan papierosa?

*

Nadinspektor i jego towarzysz szli korytarzem do gabinetu.

- Napiłbym się kawy - powiedział nadinspektor - z odrobiną czegoś mocniejszego.

- Dobry pomysł. Zabawne, zwykle, jak już zaczną gadać, to nie można ich powstrzymać, a z tym jest inaczej. Przygwoździliśmy go i wie o tym, ale właściwie nie stara się załatwić niczego dla siebie. Ryzykowałeś jak cholera, ale się udało.

- To była nasza jedyna szansa. Ten biedny pijaczyna nie rozpoznałby własnej matki, gdyby stanął w sądzie. Ale sztuczka się udała. Boże, co za afera! Zabójstwo na zlecenie. Zobaczmy, co powiedzą na to w Ministerstwie Spraw Zagranicznych.

Weszli do gabinetu.

- Cóż, mamy na początek trzy nazwiska. A obiecał więcej.

- Wyznaczę zaraz kogoś do poszukiwania Stevensona i reszty. Wypijemy teraz kawę, a on niech się trochę podenerwuje. Potem znów go pomagłujemy. Szkocka czy brandy?

- Szkocka. Gratuluję, dobra robota.

*

- Cholerny bojler - mruknął Harry Oakham.

Konserwator wytarł ręce w szmatę.

- Mówiłem, żeby ten Bob go nie ruszał - powiedział.

Nie znosił tych dwóch smarkaczy. Nie mieli zupełnie szacunku dla starszego człowieka i z satysfakcją mówił o nich źle, jeśli miał okazję. Harry Oakham zdawał sobie z tego sprawę i miał właściwie pewność, że Bob nawet nie był w tym pomieszczeniu, ale nic nie powiedział.

- Kuchnia zastrajkuje, jeśli im tego nie naprawimy - rzekł. - Spróbuj jeszcze raz, Jim, dobrze? Jeżeli nic się nie da zrobić, będę musiał zadzwonić do Ipswich, żeby przysłali kogoś i naprawili ekspresowo.

Było mu gorąco w dusznym pomieszczeniu. Wielki, błyszczący bojler nie działał, tylko pod nim zbierała się kałuża oleju. Jim pokręcił głową.

- Próbowałem wszystkiego, proszę pana. Ten stary był jeszcze całkiem dobry, a z tymi nowymi modelami zawsze są kłopoty. Mówiłem od razu, ale... - Wzruszył ramionami.

- Zadzwonię do Ipswich - zdecydował Harry. - Na pewno go naprawią.

- Mam nadzieję - powiedział Jim, mając nadzieję, że nie. Nigdy nie lubił tego nowego bojlera. Na starym się znał, ale wszystko musiało być zmienione, kiedy odeszli dawni właściciele. Wyszedł za Oakhamem i zamknął drzwi.

Fachowcy od ogrzewania nie bardzo byli chętni do przyjazdu natychmiast. Harry siedział w swoim biurze i klął na czym świat stoi. Dopiero po dwudziestu minutach i bezpośredniej rozmowie z kierownikiem uzyskał zapewnienie, że za pół godziny mechanik będzie w drodze. Zadzwonił telefon. Recepcja.

- Czy przełączać telefony do pana tutaj, czy pan wychodzi?

- Idę do siebie wziąć prysznic i trochę się ogarnąć - poinformował Harry. - Niech pan Pollock odbiera wszystkie telefony, dopóki nie wrócę.

Przynajmniej Jan będzie zajęty. Zamknął biuro i poszedł do swego domku, myśląc z przyjemnością o ciepłym prysznicu. Przypomniał sobie bojler. O zimnym prysznicu. Uśmiechnął się. Przed drzwiami zobaczył słomianą laleczkę z przypiętą kartką:

Kochanie, wyglądał zupełnie jak Ty, więc nie mogłam się oprzeć! Marzę o dzisiejszym wieczorze. Najgorętsze ucałowania. R.

Naiwna gęba uśmiechała się do niego pod przekrzywionym kapeluszem. Roześmiał się i przez chwilę trzymał figurkę w rękach. Judith też mogłaby dać mu coś takiego.

Nie, zreflektował się. Nie może jej porównywać z Rosą. Są inne. Rosa jest poważna, niezależna, inteligentniejsza. Nagle wydało mu się to bardzo nielojalne. Dziwne, ale pamięć Judith stała się mniej święta, jej obraz nie tak wyraźny. Nareszcie, po tylu latach, żegnał się ze wspomnieniami. To Rosa tego dokonała. Odłożył laleczkę na łóżko. Rozebrał się i wszedł pod prysznic. Woda była najpierw letnia, potem lodowata. Wycierając się, dygotał z zimna. Usłyszał pukanie do drzwi i zawołał:

- Kto tam?

- To ja. - Głos Jana był ochrypliwy. - Wpuść mnie, na miłość boską!

Harry podbiegł i otworzył drzwi. Za nimi stał Jan, zupełnie szary.

- Dzwoniłem - mamrotał - ale nie odpowiadałeś... Powiedzieli mi, że jesteś w domu, więc przyszedłem...

- Nie słyszałem, byłem w łazience. O co chodzi, Jan? Co się stało?

Jan opadł na łóżko Oakhama. Spojrzał na niego.

- Dzwonił Werner. Mają Daniela. Gada.

Harry Oakham zapalił papierosa. Ręka mu nie drżała. Słuchał, jak Jan przekazuje mu to, co powiedział Georg Werner, łącznie z tym, że jest skończony, tak jak inni.

- Gnojek - rzucił cicho Harry. - Mały gnojek. - Miał na myśli Daniela.

- Wiedziałeś, że nie można mu ufać - powiedział Jan.

- Nie ufałem nikomu oprócz ciebie. Więc Werner mówi, że Daniel chce zawrzeć układ... To znaczy, że wszystkich wyda i będzie się starał uzyskać dla siebie jak najlepsze warunki. Zwolnienie od wyroku. - Zaśmiał się nagle. - Nic mu to nie da. Kiedy pojawi się w sądzie, chłopcy z Mossadu będą na galerii dla publiczności!

- Co masz zamiar zrobić? - spytał Jan. Był już spokojniejszy, oczywiście dzięki Oakhamowi. Oakham nigdy nie panikował, a niebezpieczeństwo wyzwalało w nim najlepsze

cechy. Jan wiedział o tym.

- Wnosić się stąd w cholerę, i to jak najszybciej. Daniel nie wyda im na początek grubszych ryb. Ja będę ostatni. Jego as. Mamy paszporty, gotówkę w sejfie hotelowym i możemy z Heathrow polecieć błyskawicznie do Szwajcarii. Potem znikamy. - Podszedł do Jana i położył mu rękę na ramieniu. - I tak mieliśmy zamiar to zrobić. Po prostu pojedziemy wcześniej, nie ma się czym przejmować. - Spojrzał na zegarek. - Zadzwoń do informacji i dowiem się o loty. Potem wrzucimy parę rzeczy do torby i spadamy.

- A co z Rilkiem i Zarubinem? Nie powiesz im?

Harry się nie wahał.

- Daniel w końcu powie wszystko. Nie żywię dla nich ciepłych uczuć. Niech się sami o siebie martwią. Najprędzej podróżuje się w pojedynkę. Dobra, sprawdzimy loty.

*

Czas dosłownie włókł się. Rosa nie pamiętała, żeby kiedykolwiek płynął równie wolno. Może zawsze tak jest, kiedy się czeka na kochanka. Wskazówki zegara prawie się nie posuwały. Pomyślała o Jamesie, Jamesie z początków ich znajomości, i usiłowała sobie wyobrazić, że jest zakochana. Była zakochana, ale nie tak. Zawsze jakaś jej część nie poddawała się temu uczuciu. Rosa sądziła, że w ten sposób zachowuje niezależność i że to zdrowy objaw u nowoczesnej kobiety. Teraz czuła się tak niespokojna i podniecona na myśl o spotkaniu z Harrym Oakhamem, że nie była w stanie oglądać telewizji ani czytać książki.

Poszła na spacer, okrążając jezioro, które zrobiło się szare po zachodzie słońca i pomarszczone od zimnego wiatru. Kończył się piękny jesienny dzień, a z zachmurzonego nieba powiało zimowym chłodem. Rosie zrobiło się zimno i wróciła do hotelu.

Zastanawiała się, czy Harry znalazł słomianą laleczkę, i uśmiechnęła się na tę myśl. Weszła do pokoju i przejrzała garderobę, zastanawiając się, co włożyć na dzisiejszy wieczór. Musi to być coś, czego jeszcze nie widział. Ta miłość uczyniła z niej prózną kokietkę. Rosa wyszczotkowała włosy i zostawiła je rozpuszczone, bo tak mu się najbardziej podobała.

Włożyła kremową suknię, której o mały włos nie zostawiła w domu, bo uznała, że jest zbyt elegancka na wiejski hotel. Z biżuterii tylko złote kolczyki. Góra sukienki była dopasowana, spódnica, z draperią na jednym biodrze, sięgała prawie do kostek. Zamiast bransolety Rosa okręciła kilkakrotnie wokół przegubu sznur pereł. Chciała być piękna dla Harry'ego i nie obchodziło jej, czy innym gościom nie wyda się przesadnie elegancka. Wytworna dyplomatka, Rosa Bennet, zawsze dystygowana. Zaśmiała się głośno do swego odbicia w lustrze. W tej chwili zadzwonił telefon.

- Pani Bennet? - To była recepcja, nie Harry. Jeszcze za wcześnie.

- Słucham?

- Zostawiła pani światła w samochodzie.

- O, do diabła! Wsiądzie mi akumulator... Dziękuję, zaraz zejść.

Znalazła kluczyki, wzięła torebkę dobraną do sukienki i popędziła na dół. Młody portier może wyłączyć światła, da mu kluczyki.

Nie było go jednak. Został wezwany do pokoju Zarubina, żeby zabrać jakąś kasetkę do ulokowania w sejfie. Rosa musiała sama pójść na parking. Ale zimno, wzdrygnęła się, idąc po żwirze, skręciła i przeszła pod drzewami zasłaniającymi samochody. Co za głupota, żeby zapomnieć o światłach... ale jechała przecież w ciągu dnia... Musiała je włączyć przez pomyłkę. Dotarła do samochodu i aż krzyknęła ze złości. Światła wcale się nie paliły. I wtedy poczuła, że ktoś stoi za nią. Odwróciła się i krzyknęła cicho.

Czubek noża dotknął jej gardła.

- Odwróć się - polecił Zarubin. - Nie rób hałasu. Ręce na plecy.

Rosa spojrzała na niego. Była w szoku.

- Odwróć się - powtórzył. - Jeżeli zrobisz jakieś głupstwo, zabiję cię.

Odwróciła się bardzo powoli. Chwycił jej prawą rękę i wykręcił do tyłu. Perły zerwały się i potoczyły po ziemi.

- Drugą - rozkazał.

Zaczęła dygotać. Jej lewą rękę też przytrzymał za plecami. Miał przygotowaną chustkę i skrzepował nią obie ręce. Rosa zdołała wyszeptać:

- Co pan robi? Czego pan chce?

- Cicho bądź.

Przyłożył jej nóż do pleców i otworzył drzwi swojego forda. Potem chwycił ją za łokieć i pchnął na siedzenie.

- Zegnij się. Wchodź.

Wepchnął ją do środka, zatrzasnął drzwiczki i po kilku sekundach siedział obok niej. Popatrzył na nią. Pokazał jej nóż, więc odsunęła się odruchowo. Widziała jego twarz, ale nie odważyła się odezwać. Nachylił się i wyjął coś z kieszeni. Pokazał jej. Na jego dłoni leżał jej aparat.

- Zawiozę panią do przyjaciela - rzekł cicho. - Interesuje się bardzo fotografią. Chce panią zapytać o to i owo. Ma pani zamiar krzyknąć? Nikt pani nie usłyszy.

Rosa pokręciła głową. Zdołała wyszeptać:

- Nie.

Aparat. Rosjanin był w jej pokoju i znalazł aparat. Odłożył go, zapuścił silnik i ruszył.

Nóż trzymał w lewej ręce, tuż przy jej boku.

- Nie jedziemy daleko - powiedział. - Mały kawałeczek.

Była blada jak jej suknia, niemal biała. Zastanawiał się, czy zemdleje. Wyjechał ostrożnie z parkingu na światłach postojowych, prowadząc jedną ręką. Kiedy się poruszyła, ukłuł ją nożem i zamarła w bezruchu. Po drodze nie spotkali żadnego samochodu, nie widziała najmniejszej szansy ucieczki. Zobaczyła przed sobą dom i światła w oknach, a wtedy wóz zwolnił i zakreślił. Kiedy stanął, zebrała się na odwagę, i spytała Rosjanina:

- Dokąd pan mnie prowadzi?

- Na spotkanie z moim przyjacielem.

Wysiadł, obszedł samochód i otworzył jej drzwiczki. Wyciągnął ją i musiał przytrzymać, bo prawie upadła. Dom znajdował się zaledwie kilka kroków od niej. Rozejrzała się, zastanawiając się z rosnącym przerażeniem, czy w ostatniej chwili uda jej się krzyknąć; może ktoś gdzieś ją usłyszy. Drzwi się otworzyły i na tle jasnego prostokąta zobaczyła sylwetkę mężczyzny.

Była tak przerażona tym widokiem, że nie zwróciła uwagi na nóż, nawet gdyby miała go na gardle. Zarubin poczuł, że się szarpnęła, aby się uwolnić, i że chce krzyknąć. Zatkał Rosie usta ręką, brutalnie przygiął jej głowę i popchnął kobietę w stronę oświetlonego wejścia.

*

- Jestem gotów - powiedział Jan. - Spakowałem tylko torbę, a wszystko inne zostawiłem.

- Dobry chłopak - pochwalił go Oakham z uśmiechem, chociaż w jego oczach nie było śladu wesołości. - Obsprawimy się na miejscu. Pieniądze nie grają roli. Zarezerwowałem miejsca na lot do Genewy o dziesiątej. - Spojrzał na zegarek. - Czasu jest niewiele, ale jeżeli wyjedziemy najpóźniej za piętnaście minut, zdążymy. Zaczekaj tutaj, ja muszę jeszcze coś załatwić.

- Z twoją panią? - spytał Jan.

- Tak.

- Będą ją przesłuchiwać - zauważył. - Co jej powiesz?

- Nic nie powiem - odparł Harry. Trzymał w ręku zaklejoną kopertę. - Zostawię jej to. Masz. - Podał przyjacielowi małą słomianą laleczkę. - Włóż mi ją do torby, dobrze? Zabieram ją. Będę za chwilę.

Jan zauważył zmianę w jego twarzy. Wyraz bólu pojawił się na niej wprawdzie tylko na moment, ale był autentyczny. Kocha ją, pomyślał Jan. Pierwsza kobieta, która przerwała

zaklęty krąg Judith.

- Przykro mi, Harry.

- Mnie też, ale takie jest życie - odpowiedział Oakham. I powtórzył: - Będę za chwilę.

Zszedł po schodach do głównego holu. Hol był ciepły i pięknie oświetlony, a jesienna kompozycja kwiatowa przy wejściu dodawała mu żywych barw. Harry zatrzymał się na moment, kiedy zobaczył swą ulubienicę, Jane, na wieczornej zmianie. Uśmiechnęła się do niego. Będzie tęsknił za tym wszystkim... Miły z niej dzieciak i życzył jej jak najlepiej. Ciekawe, co sobie pomyśli, kiedy wszystko wyjdzie na jaw. Odrzucił tę myśl.

- Jane - powiedział, starając się, żeby jego głos brzmiał wesoło - zanieś ten list do pani Bennet, dobrze?

Wzięła od niego kopertę.

- Oczywiście, proszę pana. - Zmarszczyła czoło. - Ale nie widziałam, żeby wracała.

- Skąd wracała? - Harry, który już odchodził, zawrócił.

Mieli się spotkać w barze. Było ciemno. Dokąd mogła pójść?

- Poszła na parking. No... już jakiś czas temu. Pan Zarubin powiedział, że zostawiła światła w samochodzie, więc zadzwoniłam, żeby jej powiedzieć. Wyszła już prawie godzinę temu. Nie widziałam, żeby wracała.

Dawny szef Harry'ego mawiał, że istnieją ludzie z wrodzonym przeczuciem niebezpieczeństwa i że to najlepsze znane mu ubezpieczenie na życie. A Harry, wówczas jego młody protegowany, należał do tych szczęśliwców, którzy je mają. Zarubin. Rosa wyszła na parking prawie godzinę temu, zaalarmowana jego informacją, i dotąd nie wróciła.

- Pójdę zobaczyć. Może próbuje uruchomić samochód.

Jane ze zdumieniem patrzyła, w jakim tempie zawrócił, wypadł przez drzwi i popędził schodami. Spojrzała na kopertę zaadresowaną do pani Bennet. Między tymi dwojgiem nawiązał się naprawdę wielki romans. Jane oddałaby swoją miesięczną pensję za to, żeby się dowiedzieć, co jest w tym liście.

12.

Nie mogła się ruszyć. Niewysoki mężczyzna o ziemistej cerze skrępował ją ciasno skórzanymi pasami. Miał kwaśny oddech, od którego robiło jej się niedobrze, kiedy się nad nią pochylał. Rosjanin palił, stojąc oparty o ścianę.

Przyprowadzili ją tutaj, do tej koszarnej salki, i przywiązali do fotela dentystycznego. Zaczęła się wyrywać, ale ten niski uderzył ją tak mocno w twarz, że prawie zemdląła, i jej opór się skończył. Po policzkach spływały łzy, mieszając się z krwią kapiącą z nosa. Niewysoki cofnął się i przez jakiś czas przyglądał jej się w milczeniu. Rosie wydawało się, że trwa to bardzo długo. Nagle odezwał się, a ona aż podskoczyła z przerażenia.

- Szpiegujesz nas - powiedział. - Dla kogo pracujesz?

Przesłuchań nie przerabiano na jej kursie. Nigdy nie miała wykonywać zadań wysokiego ryzyka. Była eleganckim szpiegiem, który słucha, ocenia, przekazuje informacje do analizy. Nic strasznego ani niebezpiecznego. Oczy i uszy otwarte na to, co się dzieje w kręgach dyplomatycznych. To zupełnie co innego niż zadanie, jakie zlecił jej Jim Parker.

Była tak przerażona, że nie mogła nic wymyślić, tylko zaprzeczyła szeptem:

- Nie szpieguję... puśćcie mnie... Och, proszę... - Słowa zamarły w jej gardle, zresztą i tak nie miały przecież żadnego znaczenia.

- Mój przyjaciel znalazł aparat - rzekł Hermann Rilke swoim chrapliwym, wysokim głosem. - Wiem, że robiłaś zdjęcia ludziom przyjeżdżającym do hotelu. Chcę wiedzieć dlaczego. I kto cię tu przysłał.

Nie mogła odpowiedzieć. Próbowwała pokręcić głową i przemówić, ale nie wydobyła z siebie ani słowa.

- Tracisz czas - powiedział Zarubin. Widział, że Rilkego cieszy przerażenie kobiety. Jego sadyzm nie podniecał, ale również nie brzydził. Brzydziło go, że Niemiec upaja się nim zamiast zdobywać informacje. - Załatw to wreszcie - rzucił. - Szybko się załamię. Przestań się z nią cackać. - Odwrócił się i podszedł do drzwi.

Rilke zawahał się. Podniecenie opadło. Zarubin ma rację. Ta kobieta nie wytrzyma długo. Nie było sensu przeciągać sprawy. Zwrócił się do Rosy:

- Bardzo dobrze. Teraz cię zostawimy. Kiedy wrócę, będziesz gotowa, by odpowiadać na pytania.

Podszedł do drzwi. Zarubin opuścił pokój pierwszy, on za nim. Rosa została sama. Pomieszczenie zatoneło w ciemności, a ciemność zaczęła wirować.

*

Harry Oakham wiedział, gdzie Rosa stawia samochód. Parking był dość zatłoczony, gdyż wielu gości przyjechało specjalnie do restauracji na kolację. Odnalazł BMW i puste miejsce obok niego. Żadnych świateł, ani śladu Rosy, nic. Ruszył, ale zaraz się zatrzymał. Coś zachrząściło mu pod stopą. Schylił się i poświecił zapalniczką.

Na ziemi leżały rozrzucone perły. Srebrna nitka wiła się jak wąż w nikłym świetle. Perły Rosy. Widział ją w nich kilka razy i zawsze je podziwiał. Pamiętał, jak mówił, że pasują do jej karnacji skóry, a potem je rozpinał i całował ją w szyję. Zarubin przekazał Rosie fałszywą wiadomość i zwabił ją na opustoszały parking. Zerwał jej się naszyjnik. Walka... Zrobiło mu się zimno i zeszywniał na myśl o tym, co mogło się stać. Rosa i napadający na nią w ciemności Rosjanin. Przypomnił sobie ostrzeżenie Zarubina: „Jest wrogiem... Skłamała o szlaku przygodowym”... Porwał ją, Oakham nabrał co do tego pewności w ciągu kilku sekund. Nie miał wątpliwości. Nie myślał o niczym, nie czuł nic, prócz ogarniającej go fali przerażenia.

Rosa... Biegł, omijając zygzakami samochody, żuźlową ścieżką do drogi. Biegł, jak jeszcze nigdy od czasu, gdy opuszczał Bremę. Ścigał go wtedy patrol. W 1982 roku. Biegł wzdłuż pięknej alei bukowej; oślepiony na chwilę przez światła nadjeżdżającego do hotelu auta, skręcił na trawę, a potem znów, już po twardej nawierzchni, rwał co sił w nogach w stronę Croft Lodge.

Zarubin zawiózł ją do Rilkego.

*

Jan się denerwował. Harry powiedział, że muszą wyjechać za piętnaście minut. I tak wpadliby na lotnisko w ostatniej chwili, wprost na odprawę. Usiłował się jednak opanować. Harry wie, co robi. Może ją spotkał, może muszą chwilę być razem, żeby się pożegnać... Jaka szkoda, że przyjaciel ją utracił. Zasługuje na szczęście, na to, żeby pogrzebać przeszłość wraz ze zmarłą dziewczyną na cmentarzu w Dedham.

Jan usiadł na łóżku. Obie torby, zamknięte na suwaki, czekały. Harry był szybkim kierowcą, zbyt szybkim, jak na Jana gust, ale nawet on nie dojedzie na Heathrow w porę, jeśli nie przyjdzie za kilka minut. Polak podszedł do tacy z butelkami i nalał sobie kieliszek alkoholu. Nerwy dawały mu się we znaki, tętno miał szybkie, a oddech krótki. Gdzieś w mózgu pojawiły się pierwsze sygnały paniki, bał się, że jej ulegnie. Sięgnął po telefon i nakręcił numer recepcji.

- Proszę mnie połączyć z panią Bennet - powiedział.

Co ten Harry wyprawia? Chyba zwariował, żeby tak tracić czas, zmarnować lot... Zaczął się pocić i trząść, czekając.

- Przykro mi, proszę pana, ale nikt nie odpowiada. Nie ma jej w pokoju mniej więcej od szóstej. Pan Oakham o nią pytał i chyba poszedł na parking sprawdzić, czy nie ma kłopotów z samochodem.

- Dziękuję. - Jan odłożył słuchawkę.

Coś się musiało stać. Nie posiadał nigdy cudownego daru Harry'ego - zdolności przeczuwania niebezpieczeństwa, nim się zmaterializowało, ale nauczył się go oczekiwać, nawet jeśli nie następowało. Był to spadek po krakowskim więzieniu. O każdej porze dnia i nocy mogli po człowieka przyjść i wszystko zaczynało się od nowa. Żył się w ciągłym strachu.

Harry nie przyszedł. Ostatni bezpośredni lot jest o dziesiątej. Jan siedział z pustą szklanką w ręku, kompletnie zrezygnowany. Nie mógłby uciekać bez Harry'ego. I nie chciałby.

*

Ciemność rozkręciła się w wir. Rosa wydała z siebie nieludzki krzyk, nie zdając sobie w ogóle sprawy z tego, że krzyczy. Jej ciało, zupełnie wbrew sile przyciągania, krążyło nieskończenie długo, aż straciła poczucie rzeczywistości, jej krzyk zamarł w pustej przestrzeni i zemdlął.

*

Harry zobaczył światła w oknach. Nie próbował nawet otwierać drzwi wejściowych, tylko rzucił się na nie, wyłamując zamek. Zobaczył nad sobą, na schodach, Zarubina i usłyszał dochodzący z oddali cienki krzyk, jakby mewy na plaży.

- Stój tam - polecił Rosjanin. Zablokował mu drogę. Harry zbierał się do działania. - Ona jest szpiegiem! - krzyczał Zarubin. - Znalazłem to w jej pokoju! - Rzucił mu coś, co Harry odruchowo złapał. - To aparat... Fotografowała wszystko. Nie rób z siebie jeszcze większego idioty, Oakham. Zostaw sprawę Rilkemu!

Harry spojrzał na mały, podłużny przedmiot. Widywał takie wiele razy. Odrzucił go.

- Wchodzę na górę - ostrzegł. - Spróbuj mnie zatrzymać, a zabiję cię.

Posuwał się powoli, gotów do reakcji na każdy ruch Zarubina. Rosjanin miał nad nim przewagę, bo stał wyżej, na podeście. Wsunął rękę do kieszeni i wyjął swój szwajcarski scyzoryk. Zalśniło długie ostrze. Usłyszał dziki chichot Oakhama.

- Nie boję się twojej zabaweczki. Jesteś facetem z za biurka. Twoją grą są szachy, a

wiesz, co jest moją.

Był o dwa kroki od Zarubina. Obserwował jego oczy. Zawsze sygnalizowały ruch, nim zareagowała reszta ciała. Krzyk stawał się coraz głośniejszy, aż zamarł. Zarubin trzymał nóż w prawej ręce. On też obserwował oczy Oakhama.

Był młodszy, sprawny i miał przewagę, stojąc na płaskim podeście. Ale jeśli nie trafi Oakhama za pierwszym razem, nie dożyje drugiego. Opuścił lekko nóż i odsunął się nieco w bok.

- Proszę bardzo, jeżeli masz zamiar interweniować - powiedział. Wzruszył pogardliwie ramionami. - Ona jest wtyczką. - Oakham już stał przy nim. - Mieli rację, że cię wysłali na emeryturę. Złagodniałeś na starość.

Nawet nie dostrzegł uderzenia. Straszliwy cios Oakhama trafił go w pachwinę. Skręcając się z bólu, trzymał się za genitalia, kiedy Harry trzasnął go obiema rękami u nasady karku. Przerwał mu rdzeń kręgowy. Zarubin umarł natychmiast, a jego długie ciało stoczyło się po schodach. Po drodze zahaczyło nogami o barierkę; Rosjanin wyglądał teraz jak martwy pająk.

*

Rilke zatrzymał fotel. Zemdlała. Czas wejść i ją ocucić. Usłyszał jakieś tąpnięcie i hałas, gdy Zarubin turlał się po schodach, i zawołał ostro:

- Wasilij? Co tam wyprawiasz?

Zszedł, żeby zobaczyć, co się dzieje, i stanął twarzą w twarz z Harrym Oakhamem.

- Umiera - powiedział cicho Harry. Rilke cofnął się. - Otwieraj te drzwi, gnojku.

Mówił cichym, ale drżącym głosem. Rilke pomyślał, że wygląda, jakby zwariował. Oczy miał przekrwione, wzrok dziki. Rilke nie był tchórzem, ale nie miał szans, gdyby Oakham go zaatakował. Zachował więc zimną krew i odpowiedział spokojnie:

- Zarubin miał rację. Przysłano ją tu, żeby nas szpiegowała. Nie uszkodziłem jej. Jest za tymi drzwiami. Zobacz sam. - Przycisnął jakiś guzik w ścianie i wśród ciszy rozległo się kliknięcie. - Otwarte - powiedział.

Harry nie ruszył się z miejsca.

- Otwórz sam - rozkazał. Rilke rozsunął drzwi. W pomieszczeniu było kompletnie ciemno. - Światło. - Harry podszedł do niego bardzo blisko. Powiedział łagodnie: - Zapal światło, Hermann. Nie lubię ciemności.

Kolejne przytknięcie. Jarzeniówka na suficie z początku mrugała, ale zaraz rozbłysła ostrym światłem.

- Szpieg - odezwał się głos Rilkego tuż obok Oakhama, który czuł pot Niemca i jego

kwaśny oddech. - Okłamała cię i zrobiła z ciebie idiotę, Harry. Przysłali ją, żeby cię obserwowała. Stary trik. Jest tu, masz ją... Po prostu zemdlą. Może sam przesłuchasz tę kobietę?

Musiał tylko mieć Oakhama za tymi drzwiami. Trzymał rękę na konsoli, oparty o przycisk kontrolujący światło. Niżej znajdował się mechanizm zamykający pomieszczenie, a pod nim guzik wprawiający fotel w ruch.

Rilke czekał, aż Oakham zobaczy ją przywiązaną do krzesła, bezwładną jak szmaciana lalka. Na pewno podejdzie do niej bliżej, a wtedy nawet sobie nie zdoła już pomóc.

*

Kiedy zadzwonił telefon, Jan podskoczył, zrzucając ze stolika pustą szklankę. Szepnął:

- Harry? - ale był to kierownik restauracji.

- Przepraszam, że przeszkadzam, ale czy jest może u pana pan Oakham?

- Nie.

Jan przebudził się z letargu, alkohol już mu wywietrzył z głowy.

- Nie wie pan przypadkiem, gdzie może być? Zarezerwował stolik na ósmą dla siebie i pani Bennet. Trzymałem go dla niego, ale jeżeli nie zamierza przyjść, to chciałbym go zwolnić. Próbowałem dzwonić do niego do domu i do pokoju pani Bennet, ale nigdzie nikt nie odpowiada. Nie wie pan, czy nie wyszli? - Nim Jan zdołał odpowiedzieć, ciągnął dalej: - Przepraszam za ten telefon, ale dzwoniłem nawet do Croft Lodge, na wypadek gdyby był u pana Brandta. Zresztą tam też nie ma nikogo.

Nikogo. A więc Rilkego nie było. A przecież wieczorami nigdzie nie wychodził z domu.

- Taki pechowy dzień - mówił dalej kierownik restauracji. Lubił Jana i miał ochotę się poużalać. - Odesłano mi dwa dania, podpity gość zaczepiał towarzystwo przy sąsiednim stoliku, a jacyś ludzie usiłują się wepchnąć, chociaż zamknęliśmy rezerwację. Będę musiał oddać stolik pana Oakhama. Pan Zarubin też się nie zjawił i nie ma go w pokoju. Ucieszę się, jak pan wróci do pracy.

Rozłączył się, nim Jan zdążył odłożyć słuchawkę. Rilkego nie ma w Croft Lodge. Zarubin znikł. Harry wyszedł z hotelu szukać dziewczyny i przepadł. Musi być w niebezpieczeństwie. Jan wstał. Ze zdenerwowania miał spocone dłonie i czoło. Harry nie zawiódłby go i nie spóźniłby się na samolot... Boże drogi, dlaczego on tu siedzi, marnując czas, pijąc i litując się nad sobą, kiedy Harry jest w niebezpieczeństwie? Zerwał się na równe nogi i przez chwilę usiłował sobie przypomnieć, gdzie go schował.

Oczywiście, co za idiota z niego, żeby tak zapomnieć! Między książkami, na półce za kominkiem. Która półka? Górna? Zwalił wszystkie na podłogę. Tu nie ma. Może niżej? Jasne, tu go położył. Mały luger, naładowany. Odkąd został odesłany na emeryturę, trzymał broń. Kupił ją nielegalnie za część swej mizernej odprawy. Czuł się dzięki temu bezpieczniejszy. Jeżeli kiedykolwiek znów po niego przyjdą, postanowił, gdy zaczęły się ataki paniki i drżenia, zastrzeli się, nim go wezmą. Nawet Harry nie wiedział, że on ma broń.

*

Harry zobaczył ją w ostrym świetle. Głowa zwisała jej na bok, kosmyki włosów zasłaniały twarz. Zobaczył pasy wrzynające się w ciało i plamy krwi na przodzie jasnej sukienki. Krzyknął, a w tym samym momencie Rilke wysunął już prawą nogę, żeby kopnąć drzwi. Harry Oakham bez namysłu rzucił się do pokoju, wołając ją po imieniu. Nie słyszał nawet, że drzwi się zatrzasnęły.

- Rosa... Rosa... O Boże...

Zaczął rozplątywać pasy. Nim zdołał uwolnić ją z jednego, coś go poderwało z ziemi. Fotel zaczął się obracać i Harry nie mógł go zatrzymać. Krzyknął, i w tej samej chwili światło nad nimi zamigotało i zgasło, pograżając wszystko w kompletnej ciemności. Oakham walczył z fotelem, rzucając się na niego całym ciężarem ciała, by go zatrzymać lub choćby zwolnić jego obroty. Wprawdzie mechanizm nie był na tyle silny, żeby go odrzucić, ale straszliwy wysiłek osłabił Oakhama. Ciemność pogłębiała jego dezorientację; usiłował odzyskać równowagę, zamykając oczy. Fotel trząsał się i huśtał. Po chwili usłyszał jęk. Rosa odzyskiwała przytomność. On nie wygra z tym fotelem. W końcu jego ciało nie wytrzyma i będzie musiał go puścić. Rosa umrze z powodu szoku.

Paniczny strach dodał Harry'emu takich sił, że prawie zatrzymał fotel. Na kilka sekund zapanował nad nim. Gdyby udało mu się zrobić to jeszcze raz, mechanizm mógłby się zablokować. Nagle jednak poczuł potworny skurcz mięśni i jego chwyt osłabł. Stracił kontakt z podłogą i trzymając się desperacko fotela, krążył wraz z Rosą, jednak znacznie wolniej, bo obciążenie było podwójne...

Objął ręką oparcie fotela i wymacał miejsce, w którym pas przyczepiony był do ramy. Wpił w niego palce, szukając jakiegoś punktu podparcia, które by go utrzymało. Lewą ręką wymacał klamrę, spinającą pas w poprzek ciała Rosy i szarpnął, usiłując go rozluźnić. Ból prawej ręki stawał się nie do zniesienia. Klamra była zbyt ciężka, żeby sobie z nią poradzić jedną ręką. Nie był w stanie oswobodzić Rosy.

Jeszcze raz spróbował zatrzymać urządzenie, usiłując ustać na podłodze. Nie mógł chwycić równowagi, ręce i plecy skręcał mu ból. Powoli przegrywał tę walkę. Łkając,

powtarzał w ciemności jej imię, a Rosa, mimo przerażenia i niepowstrzymanych mdłości, usłyszała to.

Za drzwiami Rilke na chwilę przystanął. Co za upajający moment! Oto właściwy finał. Dużo czasu upłynie, nim ktokolwiek ich odnajdzie. Oakham będzie słyszał jęki tej kobiety w agonii, chociaż nie będzie jej widział. A on znajdzie się wkrótce w drodze do Portugalii, stamtąd zaś poleci do Brazylii.

Zarubin miał rację. Rilke przygotował swój własny plan odwrotu. Gdy tylko grupa uczestników akcji wyruszyła do Londynu, zamówił prywatny samolot, który czekał na niego w pełnej gotowości na lotnisku w Ipswich, aby go wywieźć, jeśli operacja się nie powiedzie. Z Portugalii do Brazylii. Nowe życie, nowe dokumenty i mnóstwo pieniędzy przekazanych ze Szwajcarii. Matka będzie zachwycona, mieszkając w ciepłym klimacie. Rilke odwrócił się i ruszył po schodach. Zatrzymało go ciało Zarubina. Było zbyt ciężkie, żeby je przesunąć, ale przeklinając ze złości, z największym wysiłkiem wyciągnął jego nogę spomiędzy tralek; zwłoki Rosjanina zsunęły się po schodach i leżały skulone na dole. Rilke przestąpił je i w tej samej chwili Jan wszedł przez otwarte drzwi wejściowe.

*

Croft Lodge. Nikt nie odpowiadał w Croft Lodge. Rilkego nie było, Zarubin znikł. Harry powiedział, że nie będzie ich ostrzegał. Musieli się dowiedzieć skądinąd. I Bóg wie co zrobili Harry'emu, jeśli dał się zaskoczyć. Jan rozmyślał nad tym wszystkim, biegnąc na parking i ściskając w jednej ręce kluczyki Harry'ego, drugą przytrzymując w kieszeni lugera.

Najpierw trzeba sprawdzić w Croft Lodge. Gnał po drodze dojazdowej ponad setką, nie zwalniając na garbach, ledwo panując nad kierownicą. Nie zauważył nawet, kiedy uszkodził tłumik i silnik huczał teraz jak pędzący pociąg ekspresowy. Jan zobaczył palące się w domu światła i zahamował nagle, aż samochód obrócił się w poślizgu. Wyskoczył z auta i zauważył, że drzwi wejściowe są otwarte. Trząśnięty całym z nerwów, ale zaczął biec.

*

Rilke spojrzał na lugera. Polak trzymał go w obu rękach, celując w niego. Dygotał. Rilke widział, że Polak jest na skraju paniki, trzęsie się, oddycha z trudem. Za chwilę może albo strzelić, albo się załamać i wypuścić broń z ręki.

- Oddaj mi to! - rzucił głośno, rozkazującym tonem. - Oddaj mi to natychmiast!

Zrobił krok w stronę Jana. Znał się na odruchach warunkowych. Studiował tę technikę, kiedy łamał ludzkie umysły i dusze. Dziesięć lat w krakowskim więzieniu powinno było wystarczyć, by Polak słuchał rozkazów wydawanych tym tonem. Odruchowo. O to tylko Rilkemu chodziło. Jeden automatyczny odruch tamtego, a łatwo go rozbroić.

Jan patrzył na niego. Pot spływał mu po twarzy, oczy piekły. Czuł, że ciało pęka mu z napięcia. Nie kontrolował drżączki.

„Usłuchaj. Był rozkaz. Usłuchaj!”

Potem następowało bicie, kopanie, całe dni spędzane we własnych odchodach. Rzucił okiem na ciało Zarubina, dziwnie skulone parę metrów dalej. Harry musi tam być. Nie żyje, bo inaczej nie żyłby Rilke. Nie żyje...

Jan wziął głęboki, bardzo głęboki oddech i pociągnął za spust. Rilke padał jak na filmie w zwolnionym tempie. Polak strzelił jeszcze raz, kiedy ciało osunęło się na podłogę. Wygięło się w łuk. Podeszedł bliżej i popatrzył na Niemca. On zabił Harry’ego. Jan strzelał dalej, a teraz jego kule trafiały we wszystkich strażników, którzy go bili, i wszystkich oficerów, którzy stali i patrzyli, jak tamci to robią. Nagle cisza. Pistolet był pusty. Jan wsunął go z powrotem do kieszeni.

Wciągnął powietrze w płuca. Przestał dygotać. Dziwne, ale był spokojny. Przesząpił ciało Rilkego. Potem dobiegł go jakiś odgłos. Dochodził z góry.

*

Oakham usłyszał strzały. Były przytłumione, ale słyszał je wyraźnie. Trzaskały i trzaskały, jakby ktoś puszczał fajerwerki. Zebrał wszystkie siły i krzyknął, jak mógł najgłośniejsze.

- Pomóż mi - charczał Harry. - Pomóż mi ją wyciągnąć...

Jan odczepiał najgrubsze pasy, a Harry rzucił się do węższych, krępujących jej ręce. Opadła bezwładnie w przód, Harry zdążył ją pochwycić.

- Już dobrze - powtarzał - już dobrze, kochanie. Trzymaj się mnie mocno.

Jan pomógł Rosie wstać, ale nogi się pod nią uginały.

- Wymiotowałam - jęknęła. - O Boże...

Trzymali ją, kiedy znów wymiotowała.

- Nic nie szkodzi - pocieszał ją Harry. - Nie martw się, za chwilę ci przejdzie.

Jan spytał go ponad jej głową:

- Wiedziałeś o tym?

- Nie. - Oakhamowi wrócił oddech. Spojrzał przyjacielowi w oczy.

- Nie wiedziałem. To była jego działka, pozwoliłem mu robić, co chce. Woląłem nie wiedzieć.

Podtrzymywał Rosę, która nie mogła stać. Objął ją jedną ręką za szyję, a drugą w pasie. Powiedział do Jana:

- Musimy sprowadzić lekarza.

Kiedy stanęli na podeście, szepnął:

- Rosa? Kochanie, posłuchaj.

Usiłowała na niego spojrzeć, ale obraz rozmazywał jej się przed oczami, a kiedy próbowała skupić wzrok w jednym punkcie, znów czuła mdłości i wszystko dookoła zaczynało wirować.

- Zamknij oczy - powiedział. - Trzymaj się mnie mocno. Schodzimy na dół, ale nie możesz otwierać oczu. Rozumiesz? Zamknij je mocno i nie martw się, nie upadniesz.

Nie chciał, żeby widziała trupy. Dosyć szoku. Mógł tylko mieć nadzieję, że nie była za długo torturowana. Nie zniósłby, gdyby odniosła jakieś trwałe obrażenia. Sprowadzał ją ostrożnie ze schodów. Jan szedł przed nimi. Odsuwał zwłoki na bok. Podłoga była śliska od krwi Rilkego.

Na dole Harry wziął ją na ręce. Czuł ból w każdym stawie, w każdym mięśniu, ale nie przejmował się tym. Wyniósł ją jak dziecko na świeże, wieczorne powietrze.

Już wszystko dobrze - szeptał do niej. - Otwórz oczy. Jesteśmy na dworze i jest ciemno. Pojedziemy do hotelu, wezwę lekarza. Już po strachu. Wszystko będzie w porządku.

Nie odpowiadała. Uniosła głowę, żeby na niego spojrzeć, ale zaraz znów zemdląca i głowa jej opadła.

Oakhama ogarnęła panika.

- Rosa! Jezu...

- Zemdląca - powiedział cicho Jan. - To dobrze. Natura sama się broni, kiedy nie wytrzyma napięcia. Ona nie umarła, Harry...

Nie tak jak Judith, którą zniósł martwą ze stoków narciarskich. Jan ujął Harry'ego pod ramię i prowadził do samochodu.

- Połóż ją z przodu - poradził. - Będzie łatwiej.

Kiedy Harry postawił ją na nogi przed wejściem do hotelu, odzyskała przytomność i, podtrzymywana przez nich z obu stron, zdołała przejść kilka kroków.

Jane krzyknęła na ich widok.

- O Boże! Podbiegła do nich, żeby pomóc. - Pani Bennet, co się stało?

- Miała wypadek wyjaśnił Oakham. - Zadzwoń szybko do doktora Harrisa i poproś, żeby zaraz przyjechał!

Jane patrzyła na Rosę, która miała szarą twarz i półprzymknięte oczy. Chyba za chwilę zemdleje. Piękna sukienka zaplamiona była krwią i wymiotami.

- O Boże powtórzyła Jane. - Już dzwonię.

- Nie jest tak źle, jak wygląda, nie martw się - rzucił Jan przez ramię.

Harry podtrzymał Rosę stojącą przy windzie. Winda była o piętro wyżej. Harry zaklął, a Rosa znów zaczęła przelewać mu się przez rękę.

- Czy chce pan, żebym przyszła na górę? - zawołała do Oakhama Jane, która czekała przy telefonie.

- Nie, sam się nią zajmę - odpowiedział Harry. - Tylko sprowadź lekarza!

- Gabinet jest nieczynny. Spróbuję zadzwonić pod ten drugi numer. Doktor Frazer ma dyżur. Mam nadzieję, że nie jest na wizycie.

Weszli do windy, a Jane zawahała się. Może powinna sprowadzić pogotowie, jeżeli nie ma w tej chwili żadnego lekarza. Ta biedaczka wygląda na bardzo chorą. Wreszcie się dodzwoniła. Doktor Frazer jest u pacjenta, poinformowała ją żona, ale może mu przekazać wiadomość na telefon komórkowy, do samochodu, jeżeli to naprawdę pilne. Bardzo pilne, zapewniła ją Jane. Jeden z gości miał wypadek. Jak długo to może potrwać? Żona doktora obiecała oddzwonić.

Rosa czuła, jak Harry ją podnosi i kładzie na łóżku, ale wciąż wszystko widziała niewyraźnie i co chwila ogarniały ją mdłości. Wiedziała, że ją rozebrał, szeptał, że już jest bezpieczna i że powinna odpoczywać. Przechyliła się przez brzeg łóżka i wymiotowała. Były to skurcze pustego żołądka, gwałtowne wstrząsy targały całym jej ciałem. Harry otulił ją kołdrą i trzymał w ramionach, żeby złagodzić szok i ogrzać ją. Jan przyniósł z łazienki zmoczony w gorącej wodzie i wyżęty ręcznik.

- Masz - powiedział. - Otrzyj jej tym twarz.

Zadygoczę się na śmierć, pomyślała Rosa. Skrzywiła się, gdy ciepły ręcznik dotknął jej opuchniętego policzka. Czuła siłę Harry'ego, jego rękę gładzącą jej włosy, słyszała jego głos, namawiający, żeby oddychała głęboko, to zaraz wszystko przejdzie. Wtedy kryzys osiągnął szczyt i konwulsyjne wstrząsy przeszły w drżenie. Była bezpieczna i on ją trzymał w ramionach. O niczym więcej nie mogła myśleć. Nagle pojawiły się w jej oczach łzy i zaczęła płakać.

- Dzięki Bogu - powiedział Harry. - Bardzo dobrze, wypłacz się.

Jan dodał cicho:

- Teraz już wszystko jest w porządku. Najgorsze minęło.

Wiedział sporo na temat szoku i jego wpływu na ludzi.

Nie potrafiłaby powiedzieć, jak długo trwał jej płacz; nie miała nań zresztą wpływu, podobnie jak na drzączkę. Wszystko zakończyło się cichym łkaniem i uczuciem wielkiego zmęczenia. Powracał jednak zmysł równowagi, a wraz z nim jasność umysłu.

Udało jej się otworzyć oczy i nic się wokół niej nie kręciło. Harry ją uratował. Chciała

spać, ale nie myśleć. Zamknąć oczy i uciec od wszystkiego. Coś jej jednak nie pozwalało tak uczynić. Harry. Harry był częścią tego horroru. Częścią tego koszmaru. Pojawił się w jej umyśle obraz Rilkego i spocila się, czując na nowo, jak ją ciasno przypina pasem.

„Jesteś szpiegiem. Kto cię przysłał, żeby nas szpiegować?...” Słyszała głos Rosjanina, zlewające się ze sobą słowa, pamiętała nagle zapadnięcie ciemności i to potworne wirowanie... „Harry jest jednym z nich”. Krzyknęła cicho, a on natychmiast przytulił ją mocniej.

- Co się stało, kochanie? Powiedz, kręci ci się w głowie?

Rosa otworzyła oczy i popatrzyła na niego. Nie kręciło jej się w głowie. Pokój był nieruchomy, twarz Harry’ego wyraźna. Powiedziała, z trudem wydobywając z siebie słowa:

- Dlaczego ich powstrzymałeś?

Harry Oakham odparł łagodnie:

- Staraj się nie mówić. Leż spokojnie. Lekarz jest już w drodze. Jan, na miłość boską, zadzwoń i sprawdź, dlaczego go jeszcze nie ma.

Rosa nie mogła uciec od rzeczywistości i szukać pociechy w jego ramionach.

- Odsuń się - szepnęła. - Nie dotykaj mnie.

Jan rozmawiał przez telefon z Jane, ale usłyszał te słowa i zobaczył, jak Oakham skulił się w sobie, jakby go ktoś uderzył. Jednocześnie słuchał Jane, która informowała:

- Doktor Frazer jest już w drodze. Będzie za pół godziny. Czy mam zadzwonić po karetkę? Jak pani Bennet się czuje?

- Lepiej - odparł Jan. - Zaczekamy na lekarza.

Harry poprosił:

- Jan, zostaw nas na chwilę samych, dobrze? Idź do baru i przynieś po drinku dla nas obu.

Jan nic nie odpowiedział. Spojrzał na Rosę. Odwróciła od nich twarz.

- Nie dotykaj mnie. Idź sobie, proszę - powtórzyła.

Twarz Jana zapłonęła ze złości. Nigdy nie okłamał Harry’ego, ale zrobił to teraz.

- Nie czuję się najlepiej - rzekł. - Nie mogę zejść na dół. Ja jej popilnuję, a ty przynieś drinki. Dobrze by mi to zrobiło... - Głos mu się załamał.

- Przepraszam. - Harry zerwał się z miejsca. Zrobił, jak Rosa prosiła. Ułożył ją znów na łóżku i przykrył kocami. - Przepraszam cię, Jan, jestem cholernym egoistą... po tym, co zrobiłeś... Idę po brandy. Siedź spokojnie, zaraz wracam. Co powiedziała Jane?

- Lekarz będzie tu za pół godziny.

Wiedział, co to znaczy, kiedy Harry tak wygląda; napięcie było widoczne wokół jego

oczu i w okolicy zaciśniętych ust. Widział często taki wyraz twarzy u przyjaciela po śmierci Judith. Drzwi się zamknęły. Jan podszedł do łóżka i popatrzył na Rosę.

- Nie powinna była pani tego mówić. Uratował pani życie. Nie zna go pani. Nie ma pani prawa go osądzać.

To był ten człowiek, na którego Parker kazał jej zwrócić uwagę, Polak, przyjaciel i towarzysz Oakhama w służbie. Zawsze pracowali razem, poinformował ją Jim.

- Pan jest jego przyjacielem i nazywa się Plekiewski - wymamrotała. - Na pana temat też kłamał.

- Jestem więcej niż tylko zwykłym przyjacielem - odpowiedział Jan. - Kocham go bardziej, niż kochałem kogokolwiek w całym moim życiu. Pani też go okłamała, prawda? A on pani ufał. Ale to się nie liczy.

- Wie o mnie? - Rosa dojrzała grymas złości na jego twarzy.

- Wie, ale to go nie obchodzi. Kocha panią. Tak jak kochał Judith. Kiedy pani zemdląca, omal się nie załamał. Myślał, że pani nie żyje, tak jak ona. Zamordowali ją. Wiedziała pani o tym?

To był nowy wstrząs. Łóżko się zakołysało, a ona krzyknęła, kiedy wszystko wokół niej znów zawirowało.

„Zamordowali”. Usłyszała swój głos, powtarzający:

- Zamordowali...

Nie miał litości, nie oszczędzał jej. Przeżyła jeszcze jeden szok, ale o to mu chodziło.

- Tak. Byli tam, żeby załatwić Harry'ego. W tamtych czasach Rosjanie grali ostro. Włożyła jego czapkę narciarską, żółto-czarną. Ot, jeden z jej żartów. Sama mu ją podarowała. Tamci wysłali człowieka do Verbier. Dogonił Judith na stoku. Myślał, że to Harry. Wymierzył jej cios kijkiem narciarskim między kręgi i przerwał rdzeń.

Siedział na brzegu łóżka. Nie patrzył na nią ani nie obchodziło go, czy ona słucha. Pograżony był w dawnym bólu Harry'ego. Mówił dalej:

- Wszystko zostało zatuszowane, trzeba było uniknąć rozgłosu. Narciarz po prostu zjechał i znikł. Zająłem się wtedy Harrym, pilnowałem, żeby się nie zapił na śmierć. Raz próbował się zastrzelić. Szalał z bólu. Obwinał siebie... Chciał poświęcić resztę życia na odpłacenie im. I niektórzy ludzie bardzo chętnie to wykorzystywali. Nie mieli żadnych skrupułów. Powierzali mu najbardziej niebezpieczne zadania, najbrudniejszą robotę, a on to wszystko wykonywał. Przeszedłem z nim przez najgorsze, ale kiedy mnie złapano, po roku posadzili go za biurkiem. - Znów zwrócił się do niej: - Nie powiedzieli pani tego, kiedy panią tu przysyłali? Nie, na pewno nie. O takich rzeczach najlepiej zapomnieć. On za chwilę wróci.

Gdyby nie poszedł tam po panią, bylibyśmy już bezpieczni za granicą. Zabił Zarubina, żeby panią ratować. Ja zabiłem Rilkego. Więc zawdzięcza pani życie nam obu.

Czuła się odrętwiała, ale przerażenie minęło, gdy mówił. Leżała nieruchomo, niezdolna do niczego.

- Więc co mam zrobić?

- Kazać mu jechać. Dać mu szansę ucieczki. I odwołać to, co pani powiedziała. Jeśli pani potrafi, bardzo mu to pomoże.

- Spróbuję - powiedziała powoli. - Kiedy wróci, proszę zostawić nas samych.

Drzwi się otworzyły. Harry podał Janowi kieliszek brandy.

- To ci dobrze robi. Ty stary chytrusie! Nie wiedziałem, że masz broń. Doskonale zrobiłeś, że zastrzeliłeś tę świnię. Nagle objął przyjaciela ramieniem i uścisnął. - Najlepsza osłona w całym naszym interesie.

Jan upił spory łyk. W pokoju panowała cisza. Oakham zawahał się na moment i usiadł w fotelu.

- Zejdę na dół poczekać na lekarza - oznajmił Jan i nim Harry się odezwał, wyszedł, zostawiając go samego z Rosą.

- Harry.

Wstał i podszedł do niej powoli. Stał tuż obok łóżka.

- Co, kochanie?

Rosa z wysiłkiem wysunęła spod kołdry rękę i skinęła na niego.

- Usiądź tu koło mnie.

Chwycił jej rękę i trzymał w dłoniach, delikatnie ogrzewając jej zimne palce.

- Nie chciałam tego powiedzieć. Wybacz mi, proszę.

- Nie ma o czym mówić - odpowiedział. - Zasłużyłem na to.

- Ja też cię okłamałam - wyznała bardzo cicho. Łzy spływały jej po twarzy.

- Wiem, ale to nie ma znaczenia. Wykonywałaś tylko swoją pracę. Doskonale to rozumiem. Ja też zawsze robiłem swoje, dopóki się nie zmieniłem. Nic teraz nie jest ważne oprócz tego, żebyś była bezpieczna. - Uniósł jej rękę i pocałował. - Co za głupota, żeby zostawiać w pokoju aparat... Nie najlepiej cię wyszkolili, co?

Jak to strasznie bolało - patrzeć na niego, widzieć czułość w jego twarzy.

- Przepraszam za te wszystkie kłamstwa, najdroższa, ale kocham cię. To prawda. Czy możesz mi przebaczyć?

- Nie mów tak - odpowiedziała. - Nie chcę, żeby cię złapali, Harry. Proszę, spróbuj uciec. Nie zniosłabym tego...

- Ach, daj spokój - przerwał jej. - Nie płacz. I tak wszystko przepadło. Nie ma to żadnego związku z tobą. Złapali jednego z naszych kumpli, a on w tej chwili śpiewa wszystko policji jak najęty. Myślę, że gliniarze są już w drodze. Guzik mnie obchodzi, co się stanie ze mną, ale Jan nie zniósłby więcej zamknięcia. Spędził samotnie w więzieniu dziesięć lat. Muszę spróbować wywieźć go gdzieś w bezpieczne miejsce.

- Więc jedź już. - Usiłowała mówić silnym głosem. - Zaraz, nie zwlekaj! Błagam cię. Jeżeli naprawdę coś dla ciebie znaczę, pojedziesz...

- Naprawdę znaczysz - zapewnił. - Będę potrzebował trochę czasu. Dasz mi go?

Nie potrafiła znaleźć słów. Skinęła głową i na krótki moment ścisnęła jego rękę.

- Obstawiają lotniska - powiedział. - Jan uszkodził trochę mój samochód, ale może nam się uda. Nie ukrywaj przed nimi niczego, kiedy tu przyjadą, dobrze? Nie chcesz chyba mieć ich wciąż na karku, jak się już wszystko skończy. Uważaj na siebie. W tej grze nikt nie gra uczciwie. Obiecujesz?

- Obiecuję - zdołała wykrztusić.

Do widzenia, Roso, kochanie. Szkoda, że nie poznałem cię kilka miesięcy temu. Może byśmy wylądowali w Brukseli. Chyba idzie lekarz.

Rozległo się pukanie i drzwi się otworzyły. Harry wyszedł na spotkanie młodego człowieka, który w jednej ręce trzymał torbę lekarską, a drugą uściśnął dłoń Harry'ego.

- Dobrze, że pan przyszedł, doktorze. Pani Bennet miała straszne przeżycie. Zaraz panu opowie.

13.

- Proszę pana? - Jane wytrzeszczyła oczy ze zdumienia. - Czy pan dokądś jedzie? A co z panią Bennet?

Stali obok siebie, ten sympatyczny pan Pollock i pan Oakham, z małymi torbami podróżnymi, i najwyraźniej zamierzali się z nią pożegnać. Lekarz jeszcze nie zszedł.

- Niestety. - Harry uśmiechnął się na swój miły sposób. - Tak się złożyło, że musimy wyjechać. A pani Bennet czuje się już lepiej. Lekarz twierdzi, że musiała zjeść coś nieświeżego i zemdląła na parkingu. Dobrze, że poszedłem jej szukać. Ale do jutra powinna już wydobrzeć.

- Dokąd pan jedzie? Kiedy pan wróci? Mam nadzieję, że nie stało się nic złego? - Kręciła wciąż głową, nie wierząc własnym oczom. Wyjeżdżają. Tak po prostu. Obaj. - Znów spytała: - Ale kiedy pan wróci, panie Oakham?

- Dam znać - odpowiedział Harry. - Musimy już jechać, bo spóźnimy się na pociąg. Bądź grzeczną dziewczynką i dbaj tu w moim zastępstwie o wszystko. - Po czym ku zdumieniu Jane nachylił się i pocałował ją w policzek.

Kiedy zbiegali już po schodach, Jan spytał:

- Dokąd jedziemy, Harry? Jaki pociąg masz na myśli? Dlaczego tak powiedziałeś?

Oakham zostawił samochód zaparkowany przed wejściem. Usiadł za kierownicą i zapuścił silnik. Kiedy ruszyli, szum silnika przeszedł w ryk.

*

- A co dokładnie jadła pani na obiad? - wypytywał lekarz.

Była odwodniona i przeżyła szok. Na klatce piersiowej i na twarzy miała okropne siniaki. Zatrucie pokarmowe mogło spowodować omdlenie; upadek, ataki wymiotów i biegunki ostatecznie tłumaczyłyby jej stan. Co prawda z trudem. Ale upierała się przy zatruciu. Nie jego sprawa, nie będzie się sprzeczał. Musiał przyznać, że nie wyglądała tak źle, jak się spodziewał, sądząc po panice w hotelu. Ale to normalne, że panikowali. Zresztą w końcu całkiem nieźle płacili.

- Ostrygi - wydusiła Rosa.

- No tak, to wyjaśnia sprawę. Wystarczy zjeść jedną zepsutą i od razu kłopot. Nic teraz nie da się zrobić. Mam tylko nadzieję, że już się pani tego pozbyła. Proszę spróbować

zasnąć, a przedtem wypić jak najwięcej płynów, ale po łyżku, bo inaczej znów pani będzie wymiotować. Wpadnę rano zobaczyć, jak się pani czuje.

Zamknął torbę i wyszedł, zły, że nawet mu nie podziękowała za wizytę. Oderwano go od kobiety z zaawansowanymi bólami porodowymi. Nie miał czasu na dolegliwości ludzi dostatecznie bogatych, żeby mieszkać w Domu Lalek i opychać się ostrygami.

Kiedy wyszedł, Rosa leżała z zamkniętymi oczami przy świetle nocnej lampki. Sen. Zapomnienie. Cudowna błogość przynajmniej do rana. Jednak upragniony sen nie przychodził. Leżała cicho w udręczonej skorupie swego ciała, ale nie mogła uspokoić umysłu.

Prosił ją, żeby mu dała trochę czasu. Czasu na ucieczkę, na uniknięcie sprawiedliwej kary za morderstwo i zdradę. A ona mu go dała, bo ryzykował życie, ratując ją. I dlatego, że go kocha. Właśnie z tego powodu nie mogła zasnąć. Czekaając, odczuwała czas jako kategorię niezwykle materialną. Zasnęła, kiedy wyczerpały się ostatnie zasoby jej sił. Gdy się obudziła, na dworze było już jasno, a przy łóżku wciąż paliła się nocna lampka.

Usiadła powolutku, ostrożnie, słabsza niż mały kotek, i sięgnęła po słuchawkę. Wykręciła bezpośredni numer Jima Parkera.

*

Uszkodzony tłumik uniemożliwiał im rozmowę. Jan krzyczał:

- Dokąd jedziemy, Harry, na miłość boską?

Oakham nie odpowiadał. Nagle zjechał z asfaltu na wąską dróżkę w poprzek parku. Samochód podskakiwał i ryczał na nierównym gruncie w ciemnościach, światło reflektorów prześlizgiwało się po drzewach, a przed nimi błyszczało jezioro.

Teren opadał stromo w dół; Harry nagle zahamował i wyłączył silnik i światła.

- Wyjmuj torby - rzucił pośpiesznie. - Będziemy ich potrzebowali. Potem stań obok mnie i pomóż mi pchać!

- Nie uciekniemy pieszo. Chyba zwariowałeś, Harry. Zaczekaj!

- Nie mamy czasu. Torby wyjęte? Dobra, stawaj z tyłu. Zwalniam ręczny hamulec. Już - pchaj!

Stojąc obok siebie, pchali z całych sił i po chwili samochód drgnął, ruszył powoli, a kiedy znalazł się już na pochyłości, zaczął wolno zjeżdżać w dół, nabierając prędkości dzięki sile własnego ciężaru.

Wyprostowali się i patrzyli, dysząc z wysiłku. Wóz zbliżył się do lustra wody, usłyszeli tylko głośny plusk, i już go nie było. Harry zszedł na dół i patrzył na uchodzące bąbelki powietrza, kiedy wewnątrz auta wypełniało się wodą.

- Tu jest sześć metrów głębokości - powiedział. - Kazałem jezioro pogłębić. Auto

może tu sobie długo leżeć. Chodź, Jan, weź torbę, wracamy.

- Wracamy? - Jan odwrócił się i spojrział przez ramię na sylwetę hotelu z jasnymi punktami okien, tam gdzie jeszcze paliło się światło.

- To jedyne miejsce, gdzie nie będą nas szukali - wyjaśnił cicho Oakham, ruszając równym krokiem w tempie, które Jan mógł bez wysiłku utrzymać. - Trzymaj się z tyłu - syknął, skręcając do ogrodu różanego. Jan się potknął, więc przystanął, żeby go podtrzymać. - W porządku?

- Tak - szepnął Polak.

W olbrzymich oknach jadalni zaciągnięto story, ale spod nich przebijały smugi światła. Harry posuwał się ostrożnie i trzymając się najciemniejszych miejsc, lawirował między ścieżkami, żeby dojść do gęstych krzaków na tyłach hotelu. Stał, pociągnął w dół Jana, żeby przykucnął, i skryli się obaj za żywopłotem obok ogrodu warzywnego. Głosy. To pracownicy kuchni wracali do swych samochodów. Było późno. Wkrótce ostatni goście restauracji odjadą, a mieszkańcy hotelu rozejdą się do pokoi.

- Chodź - usłyszał Jan.

Nie mógł złapać tchu. Nie miał takiej kondycji jak Harry, poza tym bał się i był kompletnie zdezorientowany. Stracił resztki nadziei, kiedy zobaczył, jak samochód znika pod wodą, a z nim ostatnia szansa ucieczki. Oakham, jakby wyczuwając jego nastrój, powiedział:

- Zaufaj mi, stary. Zaplanowałem to. Chodź, droga wolna.

Wejście służbowe było otwarte. Harry szepnął:

- Ledwo zdążyliśmy. Zamykają punktualnie piętnaście po dwunastej.

Rozejrzał się, nasłuchując, czy nie dochodzi stamtąd odgłos czyichś kroków i kiwnąwszy na Jana, zaczął wchodzić po schodach.

*

Przyjechali z Londynu nie oznakowanymi samochodami. Bez błyskających na dachach kogutów, bez wyjących syren.

Wszyscy, poza Jimem Parkerem, byli uzbrojeni. On nie umiał się obchodzić z bronią. Niebo szarzało w chłodnych godzinach przed świtem, a nad horyzontem pojawił się skrawek czerwonej zorzy. Jim przypomniał sobie stare powiedzenie, że czerwone niebo o świcie jest ostrzeżeniem dla żeglarzy.

Harry Oakham i jego kompania nie otrzymają żadnego ostrzeżenia. Daniel Ishbav zdradził ich i wydał wszystkich. Nie gwarantowało mu to uratowania własnej skóry. Ale może oczywiście próbować ucieczki przed kumplami z Mossadu. Kolega Parkera rozproszył wątpliwości nadinspektora, dotyczące tego układu. Zapewnił go, że Ishbav nie będzie miał

najmniejszych szans, gdy go wypuszczą z aresztu. Stevensona i jego dwóch zbirów znaleziono na East Endzie. Na razie nie sypali, ale zaczną, gdy dojdzie do konfrontacji z Danielem.

Jedynym tematem, którego Daniel nie poruszył, były pieniądze. Gdzie przelano forszę? Kto dokonał wpłaty? Miał widocznie nadzieję przeżyć, liczył, że zdąży się nimi nacieszyć. Parker uśmiechnął się drwiąco.

Wyciągną to z Polaka, jeśli Oakham i inni okażą się oporni. Polak nie wytrzyma zamknięcia w celi i oczekiwania na przesłuchanie. Załamie się.

Rilke - Zarubin. Parker myślał o nich, jadąc opustoszałą szosą w kierunku Ipswich, konwojowany przez oddział specjalny. Dziwna kompania, zjednoczona przez chciwość i okrucieństwo. Hermann Rilke, obrzydliwy produkt perwersyjnej matczynej miłości. Zarubin - sadystyczny szef wywiadu i szachista - strateg KGB. Słudzy tyranii, która runęła wraz z symbolizującym ją murem. Dla takich nie ma teraz miejsca...

Może nareszcie staniemy się cywilizowanymi ludźmi, pomyślał Parker, obserwując wschód słońca i wiejski krajobraz, skąpany w czerwonym świetle. Może. Trzeba przynajmniej mieć nadzieję.

Wkrótce będą na miejscu. Nie chciał się martwić o Rosę Bennet. Będzie smacznie spała, kiedy otoczą hotel. Nic nie znalazła, niczego nie podejrzewała. Potwierdzały to jej rutynowe telefony. Amatorka działająca przeciwko najwyższej klasy profesjonalistom. Pouczające doświadczenie.

Byli przy skrócie na Higham, kiedy w samochodzie zadzwonił telefon. Odebrał go asystent Parkera i zaraz oddał mu słuchawkę.

- Do pana, sir. Rozmowa przełączona z Londynu. Pilny telefon od pani Bennet.

*

Harry obserwował świt. Jan spał obok niego. Zmęczony, biedak. Bał się tej ciasnej kryjówki i ciemności. Harry zaryzykował, zaświecił latarkę i wyjął dwie z ruchomych cegieł, żeby zobaczyć skrawek nieba. Jan spał dalej, z głową ułożoną na miękkiej torbie. Wytrzyma jakoś, Harry go uspokoił. Tylko kilka dni w ukryciu.

W końcu był katolikiem i nie powinien się bać schowka księży. Chytrzy byli ci starzy papiści, budując od frontu dom dla lalek i wystawiając w nim jakieś wykopane kości, żeby odstraszyć miejscowe władze, poszukujące księdza, który uciekał, ratując życie. Klątwa była dobrym dodatkiem. Żaden tutejszy chłop nie odważyłby się zaryzykować, wiedząc, że dosięgnie go nagła śmierć, jeżeli przebiję ścianę domku. Mądre posunięcie rodziny Lisle.

Z czasem zapomniano, co było przyczyną powstania legendy. Dom dla lalek osłonięto

szkłem i oszustwo nie zostało wykryte. Kryjówka wbudowana w gruby komin była ciasna nawet dla jednej osoby, ale jakoś sobie z Janem poradzą. Kiedy Harry badał dach, zaintrygowany grubością ściany za płytkim domem dla lalek, zauważył cegłę dziurawkę. Musiała zostać użyta po to, żeby przebywający za ścianą miał dostęp powietrza. Cegły wokół niej były kiedyś wyjmowane, ale przy kolejnym remoncie murarz, który sądził, że się po prostu obłuzowały, spoił je cementem. Musiał to zrobić dawno temu; cement był już bardzo kruchy. Harry podczas wizyt na dachu z łatwością je wyjmował, żeby się przekonać, co jest za nimi.

Jan zaczął się kręcić, w końcu obudził się.

- Harry? Harry...

- Jestem tutaj - odpowiedział przyjacielowi natychmiast. - Już jest jasno. Spójrz.

Jan popatrzył na mały kawałek różowego nieba. Nie znosił takiej zamkniętej przestrzeni. Od razu pocił się i dygotał. Ale Harry powiedział, że to nie na długo. Księża dziura. Tak się to nazywało. Ukrywali się tu dobrzy ludzie, aby uciec przed okrutną karą, jaką Tudorowie przewidywali za zdradę. Nie powinien się bać, ale się bał.

Harry wyjął kilka cegieł, żeby mogli wyjść na dach i rozprostować kości. Uspokoił Jana i opowiedział, jak trafił na tę skrytkę. I zaopatrzył ją w puszki z żywnością, napojami i latarkę, na wypadek gdyby historia się powtórzyła i ktoś musiał się tu ukrywać. Harry myślał o wszystkim.

- Myślisz, że przyjadą dzisiaj? - szepnął Jan.

- Założę się, że tak - odpowiedział Harry. - Lada moment. Będą szukać dowodów, zbierać zeznania świadków i dowiedzą się tylko tyle, że wyjechaliśmy samochodem z uszkodzonym tłumikiem, żeby zdążyć na pociąg. Nie kupią tej historii z pociągiem, ale nic innego nie będą mieli. A kiedy się znajdą w Croft Lodge, dopiero zaczną sobie łamać głowy.

- Harry, co z nią? Czy coś wie?

- Nie - odparł Oakham. - Nic nie wie. Nie prosiłem jej, żeby kłamała. To by nie było w porządku. Pewnie nie zrobiłaby tego, ma w sobie zbyt wiele uczciwości. To jeden z powodów, dla których jest taka inna. - Popatrzył na starego przyjaciela i zdołał się uśmiechnąć. - Kilka dni, to wszystko. Dopóki nie wyjadą. Wtedy wyślijniemy się w nocy. Mamy paszporty, pieniądze... Popłyniemy promem do Irlandii. Z Fishguard do Rosslare. To nieprzyjemna trasa, jeżeli morze jest wzburzone, ale jesteś przecież dobrym żeglarzem... Zobacz, słońce wschodzi. Uda nam się. Nie martw się.

*

- Nie potrzebuję żadnego badania lekarskiego - protestowała Rosa. - Dobrze się czuję.

- Pozwolisz, że ja o tym zadecyduję - Jim Parker wstał. - Wyślę cię samochodem do Branksome. Niech cię te konowały porządnie przebadają. - Zawsze mówił o lekarzach „konowały”. Jego ojciec tak ich nazywał, bo w jego czasach medycy nie zaliczali dentystów do swej profesji. - Jeżeli orzekną, że jesteś zdrowa, przyślę kogoś, żeby z tobą porozmawiał i wszystkiego się dowiedział. Ja będę się starał na miejscu rozeznąć w tym bałaganie przez parę dni, a potem także przyjadę. - Wyjął paczkę papierosów. - Chcesz zapalić?

Pokręciła głową.

- Nie, dziękuję.

Na samą myśl o papierosie zrobiło jej się niedobrze. Była zupełnie szara. Zauważył ciemne kręgi pod oczami. Musiała mieć naprawdę straszne przeżycia za sobą. Schował papierosa z powrotem do paczki.

Wrócił właśnie z Croft Lodge. Pokój na górze najdobitniej świadczył o jej męczarniach. Na widok fotela ścisnął mu się żołądek. Zwłoki nie wywarły na nim większego wrażenia.

Złamany kręgosłup. Specjalność Oakhama, ale wystrzelenie co najmniej sześciu nabojów do umierającego człowieka to inna sprawa. Robota Polaka, Jana Plekiewskiego. Znalazł w sobie jeszcze tyle sił i raptem stracił głowę. Oakham poświęcił współpracowników, żeby ratować Rosę Bennet. Ona sama to powiedziała i Parker wierzył jej. A potem Harry i Polak zmyli się z hotelu.

Wyglądała teraz trochę lepiej, niż kiedy widział ją zaraz po przyjeździe, ale niewiele. Nie była jeszcze w stanie odpowiadać na szczegółowe pytania. Przyjdzie na to czas później, gdy zostanie uznana za zdrową.

- Nie chcę jechać do Branksome - upierała się.

Głowę rozsadzał jej ból, odporny na tabletki i słabą herbatę, którą przyniósł, wraz z sucharkami, jeden z ludzi Parkera. Hotel był w rozsypce.

Pracowników i gości przesłuchiowano na zmianę, mieszkania dyrektora i jego asystenta zostały wybebeszone przez specjalistów.

- Bądź grzeczną dziewczynką - rzekł łagodnie Parker - i nie spieraj się. Wciąż jestem twoim szefem. Potrzebujesz wypoczynku i spokoju, a Branksome jest do tego idealnym miejscem.

- To centrum przesłuchań - powiedziała znużonym głosem. - Byłam tam na kursie i wiem.

- Ale również rekonwalescencji - uściślił. - Pobędziesz tam najwyżej tydzień, zajmą się tobą, oderwiesz się od tego wszystkiego tutaj... - Zatoczył ręką łuk. - Żebyś mogła to z

siebie wyrzucić. - Uśmiechnął się i nachylił, ściskając lekko jej rękę. - Byłaś cholernie odważna. Przykro mi, że stało się to tak niebezpieczne. Chcę ci to jakoś wynagrodzić.

Nie odpowiedziała. Nie była w stanie się z nim spierać, czuła się na to zbyt słaba. Jeżeli powiedział, że zabiorą ją do Branksome, to niech zabierają. Po chwili wstał.

- Cóż - powiedział - powinniśmy się cieszyć, że jest po wszystkim. Jeden martwy Saudyjczyk to już i tak wiele złego. Bóg raczy wiedzieć, co wykombinowaliby następnym razem. Naprawdę nic nie podejrzewałaś?

- Nie. Dałam się kompletnie otumanić.

- I nie przychodzi ci do głowy żadne miejsce, do którego mogliby pojechać? - zapytał bez nacisku.

- Powiedziałam już. Mówił coś o samochodzie. Nic więcej nie wiem.

- No dobrze. - Parker zapiął i obciągnął marynarkę. - Jego samochód znikł. Nie sądzę, żeby zdołali uciec daleko. Mamy zablokowane lotniska, porty, wszystko. Ty już o tym nie myśl. Zrobiłaś, co mogłaś. Przyślę kogoś, żeby pomógł ci się ubrać i spakować. Spróbuj się przespać. Wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi. Zapalił papierosa. Oakham sprowadził jej lekarza. Nie powiedziała mu prawdy. Zatrucie pokarmowe. Skłamała. Mogła przecież poprosić doktora, żeby zadzwonił do Londynu, ale nie zrobiła tego. Czekala do rana, żeby Oakham zdążył uciec. Parker wiedział, kogo pośle do Branksome, żeby poznać prawdę.

14.

Był człowiekiem bardzo spokojnym. Około czterdziestki, ubrany w tweed, mówił z lekkim szkockim akcentem. Wyglądał na prowincjonalnego adwokata, agenta handlu nieruchomościami, na każdego, kim nie był naprawdę.

Zjawił się po pięciu dniach pobytu Rosy w Branksome. Peter Mackay. Uścisnęli sobie ręce, powiedział, że jest bardzo zadowolony z wyników jej badań lekarskich. Szybko wróciła do formy po tych strasznych przeżyciach. Również psychiatrzy orzekli, że wyszła z nich bez szwanku. Rosa podziękowała i zapewniła, że rzeczywiście czuje się już prawie dobrze i chce wracać do domu.

Poczęstował ją miętówką, ale odmówiła. On przyzwyczał się do miętówek, gdy rzucał palenie. Teraz one stały się jego nałogiem. Uśmiechnął się na myśl o własnej słabości i schował cukierki do kieszeni.

Był mistrzem pauz. Po tym, co wyznał na temat swoich uzależnień, milczał długo, jakby wciąż się nad nimi zastanawiał. Po czym nagle podniósł głowę i powiedział:

- Oczywiście, udało się pani tak szybko z tego wyjść, bo Oakham przerwał serię tortur. Czy tak?

- Tak - odpowiedziała Rosa. - Myślę, że tak.

- Mówiła pani, zdaje się, że próbował zatrzymać fotel własnym ciałem.

- Wiem, że zwolnił jego obroty, ale nie wiem, jak to zrobił... Panowała kompletna ciemność, a ja byłam zupełnie dezorientowana. Pamiętam tylko, że starał się mi pomóc.

- Oczywiście, jest bardzo silnym mężczyzną - zauważył Peter Mackay. - Ale mimo wszystko to niezwykle, że mu się udało. Dzięki temu uniknęła pani trwałego uszkodzenia zmysłu równowagi. Oczywiście, to znany fakt, że niezwykle emocje mogą podwoić siłę fizyczną. Człowiek rozwścieczony jest znacznie silniejszy niż spokojny. Podobnie ktoś, kto jest w najwyższym stopniu zdeterminowany. A on był, zrobiłby wszystko, żeby przerwać pani tortury. Odwaliła pani kawał dobrej roboty.

- Zawiodłam na całej linii - powiedziała powoli Rosa. - Niczego nie wykryłam. Nie wiem, po co pan to mówi.

- Bo to prawda. Zadanie było bardzo trudne dla kogoś zupełnie bez doświadczenia. Oczywiście, popełniała pani błędy, na przykład wzbudzając podejrzenia Zarubina. No i

zostawiła pani aparat w tak łatwym do odkrycia miejscu. To było poważne potknięcie - podsumował. - Mogło się zakończyć tragicznie.

Podpuszcza mnie, pomyślała Rosa. O co tu chodzi?

- On trochę nie pasował do tego towarzystwa. Mam na myśli Zarubina. To znaczy do takich ludzi jak Rilke czy Ishbav. Dostaliśmy cynk, że jest wtyczką KGB. Mamy przyjaciela w rosyjskiej ambasadzie. Chcieli mieć w grupie Oakhama kogoś, kto pilnowałby sowieckich interesów. Blokowałby każdy plan kolidujący z ich polityką. Ale zamordowanie nastawionego proamerykańsko następcy tronu Arabii Saudyjskiej było dla nich korzystne, więc przystał na to, a nawet, jeśli wierzyć w to, co mówi Izraelczyk, pomagał. Może napiłaby się pani herbaty albo czegoś innego? Wygląda pani na zmęczoną.

- Nie, dziękuję, czuję się dobrze.

- Więc chyba ten lis nie był tak do końca przefarbowany. Oczywiście największym pani sukcesem było zidentyfikowanie irlandzkich terrorystów. Czy Jim Parker mówił o tym? Pewnie jeszcze powie, ale tymczasem chciałbym pogratulować we własnym imieniu. Sam też się zajmowałem tą sprawą. Zostali złapani dzięki pani zdjęciom. Śledziliśmy ich aż do samotnej chatki w Armagh. Siły bezpieczeństwa otoczyły domek i wszystkich aresztowano. Mnóstwo dowodów, detonatory, materiały wybuchowe, drobna broń zakopana w ogrodzie. Pokój z fotelem dentystycznym. Dręczy to panią? - Wydawał się bardzo zatroskany. - Więc zmienmy temat. Sir Peter Jefford bardzo pochlebnie wyrażał się o pani. Należy wziąć pod uwagę również pozytywne strony tego, co się zdarzyło. Bardzo pani pomogła swojej karierze.

- Skoro tak pan uważa - odpowiedziała grzecznie Rosa. Jeżeli on wyjmie następną miętówkę i zacznie ją ssać, będę krzyżeć, pomyślała nagle.

- Pewnie pani jednak pojedzie do Brukseli? Piękne miasto. I bardzo ciekawa praca. Proszę mi powiedzieć, w ile dni po przyjeździe do hotelu pani i Oakham zostaliście kochankami?

Ściągnęła brwi, zaskoczona.

- Dałam już raport Jimowi Parkerowi.

- Wiem - odparł pogodnie. - Czytałem go. Chcę jeszcze tylko postawić kropkę nad „i”. Bardzo sprytnie pani postąpiła, rozkochując go w sobie. Z takim człowiekiem to nie mogło być proste. Jest dobrym kochankiem?

Rosa poczuła rumieniec oblewający jej twarz. Ogarnęła ją wściekłość, kiedy patrzyła w te łagodne oczy, wyrażające życzliwe, przyjazne zainteresowanie.

- Nie ma czego się wstydzić - ciągnął. - Radość z seksu nie jest przestępstwem.

- Nie wstydzę się. Uważam, że to pytanie nie ma związku ze sprawą i nie zamierzam

na nie odpowiadać.

- Proszę, niech pani usiądzie - uspokajał ją. - A więc zakładam, że był dobrym kochankiem. Proszę, jeszcze tylko kilka pytań. Zapewniam panią, że mają znaczenie. On się w pani zakochał, a pani w nim nie. Tak było? - Nie czekał na odpowiedź. - Oczywiście, była pani bardzo podatna na uczucie. Rozpad małżeństwa, rozwód to deprymujące doświadczenia dla pięknej, młodej kobiety. Nasz przyjaciel Harry miał wiele uroku, niektórzy nazywali go „czarusiem”. Trochę staromodne określenie, ale chyba do niego pasuje. Dużo pani wiedziała o nim. Jeśli musiała pani z nim spać w ramach obowiązków służbowych, to się pani poświęciła. Ale nie zakochała się pani w nim.

Rosa zacisnęła dłonie w pięści, żeby nie trzasnąć w tę ciekawską gębę.

- Protestuję przeciwko tego rodzaju inkwizytorским metodom. Panie Mackay, nie mam zamiaru dłużej tego znosić! Proszę, żeby pan wyszedł.

Nie ruszył się. Spokojnie założył nogę na nogę i rozsiadł się wygodnie w fotelu.

- Jeżeli pani się w nim nie zakochała, to dlaczego pomogła mu pani uciec?

- Jak pan śmie tak mówić? Jak pan śmie mnie oskarżać!

- Miała pani instrukcję, żeby w nieprzewidzianych sytuacjach dzwonić do Parkera - zauważył Mackay. - Dlaczego czekała pani z tym aż do rana?

Spojrzała na niego i w jej oczach pojawiły się łzy. Rzuciła głosem pełnym gniewu:

- Nie ma pan nawet zielonego pojęcia, w jakim byłam stanie po tym fotelu! Wymiotowałam, jakbym miała wypluć wszystkie wnętrzności, zmoczyłam się, zemdlałam! I pan uważa, że mogłam telefonować? Trząśł się pan kiedyś tak, jakby pan miał od tego umrzeć? Założę się, że nie, bo inaczej nie mówiłby pan do mnie w ten sposób!

Rzucił cicho:

- Ale czuła się pani na tyle dobrze, żeby skłamać lekarzowi... Doktor Frazer pokazał nam swoje notatki. Zatrucie pokarmowe, ostrygi... Czy nie tak mu pani powiedziała? Dlaczego pani skłamała? Dlaczego nie poprosiła go pani, żeby zadzwonił do Parkera?

- Mówiłam już panu, byłam rozbita, nie mogłam rozsądnie myśleć.

Jest spokojniejsza teraz, kiedy już zauważyła pułapkę i próbuje się z niej wydostać, stwierdził Mackay.

- Zostawiła pani Oakhamowi sporo czasu. Czy to dlatego, że uratował pani życie? - Dawał jej szansę.

- Nie wiem. Nie wiem...

- A ja myślę, że pani wie - przerwał. - Jest pani osobą bardzo inteligentną, rzeczową, zdecydowaną i sądzę, że również wówczas wiedziała pani dokładnie, co robi. Pozwoliła mu

pani uciec i uratować się. Proszę płakać, jeśli ma pani ochotę, i nie przejmować się mną. To czasem pomaga, niech mi pani zaufa, pani Bennet. Jest pani rozsądną i ambitną kobietą i nie chce pani chyba zmarnować swojej przyszłości dla Harry'ego Oakhama. To kłamca, zdrajca kraju i morderca... Bardzo zły człowiek, nawet jeśli pod koniec miał do pani słabość.

Był pewien, że wygrał, kiedy odwróciła się nagle do niego, bardzo błada.

- Ale nie był aż taki zły, żeby go nie wykorzystać, prawda? Mówi pan o kłamstwie. Czy Parker powiedział mi prawdę o tym, co stało się z żoną Oakhama, Judith? Oczywiście że nie. Zamordowano ją przez pomyłkę zamiast Harry'ego i wszyscy o tym wiedzieli. Ale zatuszowaliście sprawę. Wykorzystaliście fakt, że ciężko to przeżył. Szalał z rozpacz, próbował się zabić... Uważał, że to była jego wina. Więc nauczyliście go, jak zabijać dla kraju. Ludzie tacy jak pan i Parker zrobili z niego to, czym był. Siedzieliście sobie za biurkami, wysyłając innych, żeby odwalali brudną robotę. Cholerni hipokryci, niedobrze mi się robi, jak o was myślę.

- On to pani powiedział?

- Nie - warknęła. - Opowiedział mi o tym jego polski przyjaciel.

- Tej nocy, kiedy panią odratowali? - zapytał Mackay. - Kiedy była pani taka chora i nieprzytomna, że nie mogła pani myśleć logicznie?

- Niech pan idzie do diabła. - Rosa odwróciła się do niego tyłem.

- Przesłała mu pani liścik, prawda? Razem z upominkiem. Znaleźliśmy tylko liścik. Co mu pani dała?

- Niech się pan sam dowie. Mam nadzieję, że dobrze się pan bawił, czytając, co napisałam.

- Bynajmniej. - Wstał. - Było mi pani bardzo żal. Może pani jechać jutro do domu, jeśli ma pani ochotę. A poza tym komandor Lucas z ambasady amerykańskiej bombardował ministerstwo pytaniami o panią. Przekonali go tam, że opuściła pani hotel, nim zaczęła się ta cała historia, i że jest pani u znajomych. Bardzo się o panią martwił. Na pewno się z panią skontaktuje, więc wie pani już, jaka jest oficjalna wersja.

- Niech się pan nie martwi - powiedziała Rosa. - Nauczyłam się kłamać od najlepszych z was. Chciałabym wyjechać dziś wieczorem.

- Niech się pani wstrzyma do jutra - doradził. - Miała pani męczący dzień. Rano będzie się pani lepiej czuła. Zorganizuję dla pani jakiś samochód. Boże, która to już godzina! Idę. Dziękuję za szczerość i życzę powodzenia.

Wiedział, że po jego wyjściu wybuchnie płaczem.

- Nie powinienem był tak ryzykować - powiedział Jim Parker. Czekał na Mackaya w części przeznaczony dla pracowników. Spotkali się przy drinku w bibliotece pięknego wiktoriańskiego domu, niedostępnego dla słuchaczy. - To był poważny błąd z mojej strony. Pomyśl, jak niewiele brakowało... Gdyby tak ten drań jej z tego nie wyciągnął... Dopiero byśmy się potem tłumaczyli.

Skończył swoją szkocką. Był zdenerwowany i Mackay rozumiał dlaczego. Parker lubił Rosę Bennet. Czuł się winny z powodu tego, co się jej przytrafiło, i zawiedziony, że nie sprostala zadaniu.

- Nie można jej obwiniać - zauważył Mackay. - Widziałeś ten liścik. Była zadurzona w Oakhamie.

- Oczywiście, że jej nie obwiniam - powiedział kwaśno Parker. - Powtarzam, winię siebie, że wyznaczyłem amatorkę do zadania dla profesjonalisty. A zadurzenie nie jest chyba odpowiednim słowem. Z pewnością z jego strony było to coś więcej. Ten list pożegnalny, który jej zostawił... Lepiej, że go nie dostała.

Jane dała im list Oakhama.

Parker poprosił o jeszcze jedną szklaneczkę. Mackay wstał i nalał mu. Byli przyjaciółmi i kolegami, pracowali razem od lat. Podał Parkerowi szklankę i powiedział:

- Dzięki niej mamy O'Callaghan i jej kumpli. Już to samo było wiele warte. Możemy zbić kapitał na tej celi tortur i fotelu. Zastanawiam się, swoją drogą, gdzie on się z tym Polakiem ukrywa?

Jim Parker powiedział ze złością:

- Bóg jeden wie. Już miałem naciski z kancelarii premiera... Czy są jakieś postępy w śledztwie? Dlaczego jeszcze ich nie znaleźliśmy? Tak mi już dali w kość, że powiedziałem, że teraz są już z pewnością poza granicami kraju.

- Prawdopodobnie udało im się uciec dosłownie w ostatniej chwili dzięki tej cholerniej Rosie Bennet. W takiej sytuacji wystarczy mieć parę godzin przewagi. Co zamierzasz z nią zrobić? - spytał Mackay.

Jim Parker nie odpowiadał. Siedział, trzymając w obu dłoniach szklankę z whisky, i milczał. Mackay lubił ciszę, doceniał jej wagę przy podejmowaniu decyzji. Nagle Parker spojrzał na niego.

- Ten list, który Oakham napisał - powiedział. - Myślę, że powinna go dostać.

- Dlaczego? - zdziwił się Mackay.

- Sposób, w jaki reagowała na twoje pytania, dowodzi, że jest bardziej zaangażowana, niż sobie to uświadamia. Albo niż chce przyznać. Powypisywał tam różne bzdury, że chciałby

cofnąć czas i mieć szansę znaleźć się z nią w Brukseli. Dam mu tę szansę, Peter. Każemy tej dziewczynie z hotelu przesłać do niej list. Zrobi, co jej powiemy. Pójdę do Rosy i powiem, że zachowałeś się po chamsku. Damy jej rekomendację i obejmie stanowisko drugiego sekretarza ambasady w Brukseli.

- Myślisz, że Oakham się na to złapie i skontaktuje się z nią?

- Zawsze był ryzykantem - mruknął Parker. - A w tym wypadku przeszedł samego siebie, czytałeś przecież list. Myślę, że jest duża szansa, że spróbuje.

- A ona go nie odtrąci - podsumował Mackay. - Za to ręczę.

- Nie będzie musiała - odpowiedział Parker i uniósł szklankę - bo my tam będziemy na niego czekać. Zdrowie!

*

- Rosa, tak bym chciał, żebyś mi opowiedziała. - Dick Lucas dotknął jej ręki. Była bardzo szczupła. Rosa sporo straciła na wadze.

- Nie mogę.

- Nie ufasz mi?

Przelotnie uściśnięła jego palce.

- Jesteś chyba jedyną osobą, której ufam - powiedziała. - To była wspaniała kolacja. Jesteś prawdziwym aniołem. Nie zasługuję na to.

- Myślę, że zasługujesz. Ja jestem bardzo oswojonym facetem. Lubię się tobą zajmować, wiesz o tym.

Była już u siebie całą dobę, kiedy zadzwonił. Straszne dwadzieścia cztery godziny. Snuła się po cichym domu, w nocy nie mogła spać, bała się zgasić światło. Nie lubiła teraz ciemności.

Matkę udało się uspokoić dość łatwo. Rosa opowiedziała jej tę samą historię, co Dickowi Lucasowi, że kilka dni wcześniej wyjechała z hotelu i zatrzymała się u znajomych. Matka Rosy miała pretensję, że córka się z nią nie kontaktowała.

- Powinnaś była wiedzieć, że będę się denerwować, słysząc w wiadomościach o tych strasznych wydarzeniach. Mogłaś chociaż zadzwonić. Jesteś straszną egoistką.

Rosa się nie spierała. Przeprosiła i odłożyła słuchawkę. Nie mogła uniknąć pobytu w pustym domu. Nie wyjedzie do matki. Nie wytrzymałaby tego. Nieustanne pytania, uwagi, że źle wygląda i że gdyby trzymała się takiego męża jak James... Oszałałaby.

Została więc w domu, ale nie była pewna, jak długo tu wytrzyma.

I wtedy właśnie Dick Lucas zadzwonił i przyszedł do niej. Tak się ucieszyła na jego widok, że aż się popłakała. Został na noc, ale nic między nimi nie zaszło. Spał w gościnnym

pokoju. Przytrafiło jej się coś złego, ale nie chciał naciskać, nękać jej pytaniami. Po prostu się do niej wprowadził, a ona mu na to pozwoliła.

Rano chodził do ambasady, a wieczorem wracał. Jeśli akurat nie miała ochoty wybrać się do restauracji, on coś gotował. Po tygodniu usiadł obok niej i trzymając ją za rękę, poprosił, żeby opowiedziała, co się właściwie stało.

Rosa popatrzyła na niego. Był miły, czuły, kochający. Unikała tego słowa.

- Co się wydarzyło w hotelu?

Pokręciła głową. Mówił cicho:

- Czy zostałeś zaprzysiężona? Musisz milczeć?

- Tak.

- Wciągnęli cię w ten interes, tak? Byłaś tam, kiedy się to wszystko wydarzyło. Co robiłaś? Chyba się domyślam.

- Już mi powoli przechodzi - odezwała się w końcu. - Dzięki tobie. Przeżyłam szok, tyle mogę powiedzieć. Trochę to potrwa, zanim wszystko wróci do normy.

- Cokolwiek to było, czuję się winien. Nie przyjechałem na weekend.

- Nie bądź niemądry. Mówiłeś przecież, że zatrzymują cię obowiązki służbowe.

- Tak, ale poza tym byłem zazdrosny. „Harry”. Tak powiedziałaś i bardzo mnie to zabolalo. Poznałaś tam innego faceta... Strasznie mnie to rozzłościło.

Oswobodziła rękę i wstała.

- Wypiłabym jeszcze jedną kawę. Ty też wypijesz?

- Zaraz zrobię.

Chciał wstać, ale powiedziała szybko:

- Nie, ty przyrządziłeś kolację. Ja zaparzę kawę. Weź sobie coś do picia.

Zamknęła drzwi i poszła do kuchni. Zostawił tu typowy kawalerski bałagan. Usiadła, czekając, aż zaparzy się kawa. Był dla niej taki dobry, taki cierpliwy. Zupełnie inny niż James. Miliony kilometrów od Harry’ego Oakhama. Przez głowę przelatywały Rosie zdania z listu, który przekazała jej Jane.

Moje życie z Tobą mogłoby nabrać sensu... Ale nie ma drugiej szansy. Tak bym chciał, żeby było inaczej. Kochanie, uwierz mi: kocham Cię... To jedno jest prawdą.

Przeczytała list i podarła. Na maleńkie kawałeczki. Parker był pocziarzem. Wszystko, co wiąże się z Harrym, z pewnością będą przechwytywać i czytać. A więc Parker chciał, żeby ten list do niej dotarł. Przyszedł po południu z kwiatami przeprosić za Petera Mackaya.

Był bardzo troskliwy, chwalił ją, schlebiał. Sir Peter Jefford przesyła jej słowa uznania

za to, co zrobiła. Nie może tego oczywiście uczynić publicznie, ale pochwała zostanie odnotowana w jej aktach w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. A stanowisko w Brukseli na nią czeka. Przynajmniej tyle mogą zrobić, żeby okazać swoją wdzięczność.

Kawa zaczęła bulgotać, więc Rosa wzięła dzbanek. Co za miły aromat. Dick wstał i wyjął z jej ręki naczynie.

- Nalałem sobie szkockiej - powiedział. - Co dla ciebie?

- Nic, dziękuję. Podaj swoją filiżankę. Był dzisiaj u mnie mój szef.

Dick łyknął kawy i spytał:

- Co powiedział? Dobre wieści?

- Wciąż trzymają dla mnie stanowisko w Brukseli - powiedziała.

- Czyli dobra wiadomość dla ciebie, zła dla mnie. Oznacza to, że cię stracę na rzecz jakiegoś Belga... - Starał się mówić żartobliwym tonem, ale nie było mu wesoło.

- Nie przyjmę tej propozycji.

Nie mógł się powstrzymać, uśmiechnął się jak szczęśliwy chłopaczek. Przypomniała jej się śmieszna twarz księżycy, jaką narysował na liściku po pierwszej nocy, którą spędzili razem.

- Nie jedziesz? Wspaniale! Dlaczego nie?

Jechać do Brukseli. Znaleźć się znów w świecie kłamstw i podwójnej moralności. Parker był z nią bardzo szczerzy, bardzo otwarty. Tak samo jak wtedy, gdy siedział tu, na tej kanapie, gdzie teraz siedzi Dick Lucas, i opowiadał o zagadkowej postaci, Harrym Oakhamie.

Jechać do Brukseli w charakterze przynęty. Mieli nadzieję, że człowiek, który napisał taki list miłosny, zechce się z nią skontaktować.

I że ona po przeczytaniu będzie go do tego zachęcać. Sama szczerowość i otwartość.

- Dlaczego nie? Dlaczego nie chcesz jechać? - powtórzył swoje pytanie Dick.

Spojrzała na niego i zdołała się uśmiechnąć.

- Bo nic mnie już w tym nie pociąga. Nie wiem jeszcze, co będę robiła, ale nie odpowiada mi moje obecne życie. Została mi dana druga szansa... Nie każdy ma takie szczęście. Rezygnuję z ministerstwa. Powiedziałam to dzisiaj Parkerowi. Nie był zbyt zadowolony.

Dick Lucas nalał jeszcze kawy. Rosa zmieniła się pod wpływem tego, co przeżyła w ciągu ostatnich kilku tygodni. Nie był do końca pewien, co to takiego, ale zostawiło na niej wyraźne piętno. Popatrzył na nią i po chwili powiedział:

- Kocham cię, Rosa. Chciałbym, żebyś za mnie wyszła, kiedyś, jak będziesz na to gotowa. Ale muszę o coś spytać. Czy Harry to jest ten facet, którego szukają? Harry Oakham?

- Tak - odpowiedziała. - Tak, Dick, to on. Ale to się skończyło. Tyle mogę powiedzieć. Przepraszam.

- W porządku. Skoro jesteś pewna, że się skończyło...

*

Przesyłka dotarła dziś rano. Miała go w sypialni, ludzika w przekrzywionym filcowym kapelusiku, opuszczonym na słomianą twarzyczkę, niemądrze uśmiechniętą. Nie spojrzała na znaczki. Spaliła brązowy papier, nim przyszedł Parker.

Harry i Jan uciekli.

- To się skończyło - powtórzyła. - Zapewniam cię.

- Bardzo dobrze - odparł Dick. - Myślę, że spodoba ci się życie w Stanach.